

Meyer Deon

Diabelski szczyt

Tego popołudnia, kiedy zginął jego syn, Thobela zrozumiał, że spokojne życie, które zbudował, było mrzonką. Że znów musi robić to, co potrafi najlepiej: walczyć i zabijać.

Ujęcie nieuchwytnego seryjnego zabójcy to dla inspektora Griessela szansa na wyjście na życiową prostą. Dla mieszkańców Kapsztadu morderca ludzi, którzy mieli na sumieniu krzywdę dziecka, jest bohaterem. Ale Griessel wie, że zabójca szuka zemsty, nie sprawiedliwości. Lecz nie wie jeszcze, jak skrzyżują się losy jego i człowieka, którego ściga. I że to, co sprawiedliwe, nie musi być słuszne, a to, co słuszne, oznacza sprzeniewierzenie się wszystkiemu, w co wierzył...

Część I

Christine

1

Na chwilę przed tym, nim pastor rozchylił klapy kartonu, świat znieruchomiał i zobaczyła wszystko jaśniej. Silny mężczyzna w średnim wieku, ze znamieniem na policzku, które przypominało rozmazaną bladoróżową łzę. Twarz miał szczupłą, rysy wyraziste, przerzedzające się włosy zaczesane do tyłu, dłonie potężne i niezgrabne jak u boksera. Książki na stojącym za nim regale pokrywały całą ścianę wielobarwną mozaiką. Słońce późnego popołudnia w Wolnym Stanie rzuciło na blat snop światła, magiczny słoneczny promień przeciął wierzch pudła.

Przycisnęła lekko spocone dłonie do nagich chłodnych kolan. Wzrokiem szukała wskazówek w najdrobniejszych zmianach wyrazu jego twarzy, ale napotykała tylko spokój, może jeszcze jakąś powstrzymywaną nieśmiałą ciekawość, co kryje karton. Na chwilę przed tym, nim go otworzył, spróbowała spojrzeć na siebie jego oczami - ocenić wrażenie, które starała się wywołać. W tutejszych sklepach niewiele mogła kupić, musiała zadowolić się tym, co przywiozła. Rozpuszczone długie włosy, kolorowa bluzka bez rękawów, może trochę za obcisła na tę okazję, dla niego. Do tego biała spódnica, która podczas siadania podnosiła się nie wyżej niż na centymetr. Zgrabne i gładkie nogi. Białe sandały z małymi złotymi klamerkami. Paznokcie u nóg celowo niepomalowane. Na prawej dłoni jedyna ozdoba, wąska złota obrączka. Lekki makijaż delikatnie tuszujący pełne wargi. Nic jej nie zdradzi. Może tylko oczy albo głos.

Podniósł klapy pudełka, jedną po drugiej, i zdała sobie sprawę, że przycupnięta na brzeжку fotela pochyła się do przodu. Chciała usiąść wygodniej, ale nie teraz, najpierw musi poczekać na jego reakcję.

Odchylił ostatnią klapę i otworzył pudło.

- Liewe Genade - powiedział po afrykanersku i niemal wstał. - Dobry Panie!

Popatrzył na nią, ale jakby jej nie dostrzegał i znów skoncentrował się na zawartości kartonu. Zanurzył w nim dużą dłoń, wyjął coś i uniósł do światła.

- Dobry Panie! - powtórzył, trzymając dłonie przed sobą. Palce próbowały sprawdzić, co to naprawdę jest. Siedziała bez ruchu, z sercem łomoczącym tak, że prawie je słyszała. Wiedziała, że jego reakcja zdecyduje o wszystkim.

Odłożył przedmiot do kartonu, nie zamykając go. Usiadł, zaczerpnął powietrza, jakby chciał się uspokoić, po czym spojrzał na nią. Co myślał? Co?

Odsunął karton na bok, pewnie po to, żeby ich nie rozdzielał.

- Widziałem panią wczoraj. W kościele.

Skinęła głową. Była tam, żeby go ocenić. Sprawdzić, czy ją rozpozna. Ale to nie był dobry plan, musiała przecież przyciągać uwagę - obca młoda kobieta w małym wiejskim kościółku. Wygłosił ładne kazanie, pełne współczucia i miłości, nie tak pompatyczne i drętwe jak pastory zapamiętani z dzieciństwa. Wyszła z kościoła przekonana, że dobrze postąpiła, przychodząc. Ale teraz nie była już tego taka pewna... Wydawał się zaniepokojony.

- Ja... - zaczęła, szukając w myśli właściwych słów. Nachylił się ku niej. Czekał na wyjaśnienie; to zrozumiałe. Przedramiona i dłonie położył wzdłuż krawędzi biurka, a splecione palce płasko na blacie. Jasnoniebieską koszulę w cieniutkie czerwone prążki miał rozpiętą pod szyją. Podwinięte rękawy odsłaniały w słońcu owłosioną skórę. Z dworu dobiegały zwykle odgłosy popołudnia w małym miasteczku - nawoływania Sotho, witających się z sobą przez szerokość ulicy, pokastywanie silni-

ka przyspieszającego traktora, cykady, metaliczny dźwięk uderzeń młotka mieszający się z ujadaniem psów

- Mam tyle do opowiedzenia - wydusiła słabym głosem. Wreszcie się poruszył, rozplótł dłonie.
- Nie bardzo wiem, od czego zacząć.
- Może od początku - odezwał się łagodnie i była mu za to wdzięczna.
- Od początku - zgodziła się, odzyskując głos. Palcami zebrała z ramion długie jasne włosy i energicznym, wprawnym ruchem odrzuciła je na plecy.

2

Dla Thobeli Mpayipheli początek nastąpił późnym sobotnim popołudniem na stacji benzynowej w Cathcart.

Obok niego siedział ośmioletni Pakamile, znudzony i zmęczony. Mieli za sobą długą drogę z Amersfoort, siedem nużących godzin jazdy. Kiedy zajechali za stację, chłopiec westchnął:

- Jeszcze sześćdziesiąt kilometrów?
- Tylko sześćdziesiąt kilometrów - odparł pocieszająco. -Chcesz coś zimnego do picia?
- Nie, dziękuję bardzo. - Chłopiec podniósł leżącą przy jego stopach półlitrową butelkę coca-coli. Trochę napoju jeszcze w niej zostało.

Thobela podjechał pod dystrybutor paliwa i wysiadł z pikapa. Nigdy nie widział nikogo z obsługi. Rozprostował nogi, duży Murzyn w dzinsach, czerwonej koszuli i butach do biegania. Obszedł wkoło samochód, żeby sprawdzić, czy nie obluzowało się mocowanie motocykli na skrzyni ładunkowej - małego KX 65 Pakamile i jego dużego bmw. Zaplanowali, że w ten weekend potrenują w terenie, zrobią sobie prawdziwy kurs jazdy po piasku, żwirze, wodzie, wzgórzach, muldach, żlebach i dolinach. Z każdą godziną treningu

rosła wiara w siebie chłopca i jego entuzjazm, płonący w nim jak rozżarzony węgielek przy każdym:
„Spójrz, Thobela, popatrz na mnie!”

Jego syn...

Gdzie jest obsługa?

Na stacji stał jeszcze jeden samochód, też przy dystrybutorze, biały volkswagen polo - silnik pracował na jałowym biegu, ale w środku nikogo nie było. Dziwne. Krzyknął:

- Halo! Jest tam kto?! - i zauważył jakiś ruch w budynku. Zaraz ktoś wyjdzie.

Odwrócił się, żeby zdjąć nakrętkę z baku, zerkając przy tym na horyzont, za którym zaczynało już chować się słońce... niedługo zrobi się ciemno. Wtedy usłyszał pierwszy strzał. Odbił się echem w spokoju wczesnego wieczoru i Thobela podskoczył przerażony, po czym instynktownie rzucił się na ziemię.

- Pakamile! - zawołał - Kryj się!

Ale jego słowa zagłuszył kolejny strzał i jeszcze jeden, i wtedy zobaczył ich wypadających ze stacji - dwóch mężczyzn, z bronią, jeden, ten o dzikich oczach, niósł białą plastikową torbę. Zauważyli go i strzelili. Kule uderzyły w dystrybutor, w samochód.

Ryknął gardłowo, poderwał się, szarpnięciem otworzył drzwi wozu i dał nura do środka, próbując zasłonić chłopca. Poczł, że małe ciało dygocze.

- Już dobrze - uspokoił go.

Usłyszał kolejne strzały i świst śmigających nad nimi kul. Chwilę później trzasnęły drzwi samochodu i rozległ się pisk opon. Podniósł głowę - polo wyjeżdżało na drogę. Znów strzał. Szkło wiszącej nad jego głową tablicy reklamowej roztrzaskało się i posypało na pikapa. Potem tamci odjechali z rykiem silnika. Kiedy powiedział: Już po wszystkim, już dobrze, poczuł na dłoni wilgoć. Pakamile przestać drżeć, a on zobaczył na ciele chłopca krew i zawołał:

- Nie! Och Boże, nie!

To tu to się zaczęło dla Thobeli Mpayipheli.

Usiadł w pokoju chłopca, na jego łóżku. Dokument, który trzymał w dłoniach, był ostatnim namacalnym dowodem, że miał syna.

Dom był cichy jak grób, po raz pierwszy odkąd pamiętał. Dwa lata temu, kiedy razem z Pakamile otworzyli jego drzwi, ich oczom ukazały się zakurzone wnętrza, puste pokoje. Z sufitu krzywo zwisały lampy, drzwi od kredensu były wyłamane, a może tylko uchylone, ale dla nich liczyło się tylko jedno: że mogą zamieszkać w nowym domu wychodzącym na Cata River i pola farmy zielone zielenią pełni lata. Chłopiec pobiegł przez dom, zostawiając na zakurzonej podłodze ślady stóp.

- To będzie mój pokój, Thobela - zawołał z korytarza.

Dotarł do głównej sypialni i gwizdnął przeciągle pod wrażeniem ogromnej przestrzeni. Bo jedyne, co znał do tej pory, to ciasne czteropokojowe mieszkanie w Cape Fiats.

Pierwszą noc przespali na dużej werandzie. Ale przedtem patrzyli, jak słońce znika za burzowymi chmurami i pogłębia się zmierzch, jak cień rzucany przez wielkie drzewa przy bramie stapia się z ciemnością, a na niebie gwiazdy otwierają magicznie swoje srebrne oczy. On i chłopiec siedzieli obok siebie, oparci plecami o ścianę.

- Tu jest cudownie, Thobela.

W westchnieniu Pakamile zabrzmiało głębokie zadowolenie i Thobela od razu poczuł się spokojniejszy, bo od śmierci matki chłopca minął zaledwie miesiąc i bał się tego, jak przyjmie, jak obaj przyjmą tę zmianę sytuacji i otoczenia.

Rozmawiali o zwierzętach, które powinni kupić: mleczną krowę albo dwie, kilka kur (i psa, Thobela, proszę, dużego starego psa). Z tyłu domu urządzi warzywnik. Nad rzeką zasieją lucernę. Tamtej nocy snuli marzenia, aż w końcu głowa Pakamile opadła na jego ramię. Wtedy delikatnie położył chłopca na przygotowanym na podłodze pościeliu, pocałował go w czoło i powiedział:

- Dobranoc, mój synu.

Pakamile nie był jego rodzonym synem. Był synem kobiety, którą pokochał. Ale bardzo szybko pokochał też chłopca, jakby był z jego własnego ciała i krwi, i trzy miesiące później wystąpili

o adopcję - pisali listy, wypełniali formularze, posłusznie odpowiadali na pytania. Powolni biurokraci ze swoimi dziwnymi procedurami mieli zdecydować, czy nadaje się na ojca, choć cały świat widział, że połączyła go z chłopcem nierozzerwalna więź. Ale w końcu, po czternastu miesiącach, nadeszły oficjalne dokumenty rozwlekłym, niezdarnym językiem państwowej biurokracji wyrażające zgodę na adopcję.

I teraz te kartki żółtego papieru były wszystkim, co mu zostało. Te kartki i pryzma świeżo wykopanej ziemi pod pieprzowcami nad rzeką. No i słowa pociechy pastora:

- Bóg we wszystkim ma swój zamysł.

Panie, tak strasznie tęsknię za chłopcem.

Nie umiał pogodzić się z tym, że już nie usłyszy jego perlistego śmiechu. Ani kroków w korytarzu. Nigdy wolnych, zawsze bardzo szybkich, jakby życie było za krótkie na chodzenie. Ani radosnych, podnieconych nawoływań od drzwi, gdy dokonał jakiegoś nowego odkrycia. Nie pogodzi się z tym, że już nigdy nie poczuje obejmujących go ramion Pakamile. Tego będzie mu brakować najbardziej - kontaktu, absolutnej akceptacji, bezwarunkowej miłości.

To przez niego.

Nie było godziny dnia czy nocy, żeby nie wracał do wypadków na stacji, nie analizował ich drobiazgowo, nie oskarżał się. Od razu powinien wiedzieć, że coś jest nie tak, gdy tylko zauważył to puste pole na jałowym biegu. Powinien zareagować natychmiast po pierwszym strzale, rzucić się do samochodu, osłonić chłopca, przyjąć kule na siebie. Powinien, jego wina.

Strata przygniatała go ciężarem nie do udźwignięcia. Co ma teraz zrobić? Jak żyć? Nie widział sensu przyszłości. W salonie zadzwonił telefon, ale nie chciało mu się go odebrać - wołał zostać w pokoju Pakamile, wśród jego rzeczy.

Poruszył się pod naporem emocji. Czemu miałby się nie rozplakać? Telefon zadzwonił znowu.

Dlaczego nie dać upustu rozpacz?

Nie wiedząc jak, znalazł się w salonie, chwycił słuchawkę i usłyszał:

- Pan Mpayipheli?

- Tak.

- Mamy ich, panie Mpayipheli. Złapaliśmy ich. Chcielibyśmy, żeby pan przyjechał i ich zidentyfikował.

Otworzył sejf i starannie położył dokument na najwyższej półce. Potem wyciągnął broń, trzy, sztuki: wiatrówkę Pakamile, 0.22 i sztucer. Wziął najdłuższą i poszedł do kuchni.

Czyszcząc ją z metodycznym skupieniem, stopniowo uświadamiał sobie, że odczuwa nie tylko winę i stratę.

- Zastanawiam się, czy był wierzący - powiedziała. Uwaga pastora skupiła się teraz w pełni na niej. Jego wzrok nie wędrował już w stronę pudła. - Bo ja nie jestem. - Nie zamierzała mówić o sobie, dlaczego więc o tym wspomniała? - Może nie chodził do kościoła i tak dalej, ale może był wierzący. I pewnie nie potrafił zrozumieć, dlaczego Pan mu dał, a potem odebrał najpierw żonę, a później, na farmie, dziecko. Poczul się ukarany. Zadaje sobie pytanie, dlaczego? Dlaczego wszyscy tak myślimy, gdy zdarza się coś złego? Ja też. To bardzo dziwne. Nigdy nie umiałam zrozumieć, za co mnie karze. - Mimo że pani nie wierzy? Wzruszyła ramionami.

- Tak. Czy to nie osobliwe? Jakby wina była naszą nieodłączną częścią. Czasem zastanawiam się, czy nie jesteśmy karani za to, czego jeszcze nie zrobiliśmy. Bo ja zaczęłam grzeszyć dopiero po tym, jak zostałam ukarana.

Pastor pokręcił głową i nabrał tchu, żeby coś powiedzieć, ale nie chciała, żeby ją rozproszył, nie chciała, żeby rozbił rytm jej opowieści.

Byli poza jego zasięgiem. Za foliowanym szkłem stało ośmiu mężczyzn, ale on widział tylko dwóch, których szczerze nienawidził. Aroganckie chłystki; gapili się wyzywająco w szybę, rozciągając usta w identycznym głupkowatym uśmiechu. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powiedzieć, że nikogo nie rozpoznaje,

a potem zaczekać na nich na zewnątrz ze sztucerem... Ale nie był na to przygotowany, nie znał rozkładu wyjść z budynku ani okolicznych ulic. Wycelował w nich palec jak lufę karabinu i powiedział do komisarza:

- To ci dwaj, numer trzy i pięć.

Nie poznawał brzmienia własnego głosu; zupełnie jakby należał do kogoś obcego.

- Jest pan pewny?

- Absolutnie.

- Trzy i pięć?

- Trzy i pięć.

- Tak myśleliśmy.

Poprosili go, żeby podpisał zeznanie. Nic poza tym nie mógł zrobić. Poszedł do wozu, otworzył drzwi i wsiadł świadomy, że strzelba leży na podłodze, a ci dwaj są gdzieś w budynku. Zastanawiał się, jak zareagowałby komisarz, gdyby poprosił go o kilka chwil sam na sam z nimi, gdyż czuł nieprzepartą chęć, żeby zatopić w ich sercach długie ostrze. Przez chwilę przyglądał się wejściu do budynku policji, po czym przekręcił kluczyk w stacyjce i odjechał.

3

Prokuratorem była kobieta Xhosa, gabinet miała zawalony blado-żółtymi teczkami z aktami. Były wszędzie. Nie mieszcząc się na biurku, sterty dokumentów zalały dwa stoły i spłynęły na podłogę, więc żeby dostać się do foteli, musieli kluczyć między nimi. Prokurator była kobietą nad wyraz poważną i trochę nieobecną duchem, jakby przytłaczała ją odpowiedzialność, a jej uwagę pochłaniały niezliczone papierzyska.

Wyjaśniła mu sytuację. Prowadziła sprawy z oskarżenia publicznego. Do niej należało przygotować go do roli świadka. Wspólnie będą musieli przekonać sędziego o winie oskarżonych.

- To będzie łatwe - powiedział.
 - To nigdy nie jest łatwe - odparła i poprawiła czubkiem kciuka i palca wskazującego duże okulary w złotych oprawkach. Zadawała mu pytania dotyczące dnia śmierci Pakamile, w kółko i w kółko, dopóki własnymi oczami nie zobaczyła przebiegu wydarzeń. Gdy skończyli, zapytał ją, jaki wyrok wyda sędzia.
 - Jeśli uzna ich za winnych?
 - Kiedy uzna ich za winnych - poprawił ją z przekonaniem. Znow dotknęła okularów i powiedziała, że tego się nigdy nie da przewidzieć. Jeden z oskarżonych, Khoza, miał już na koncie wyrok. Ale dla Ramphele było to pierwsze przestępstwo. I niech nie zapomina, że nie mieli zamiaru zabić dziecka.
 - Nie mieli zamiaru?
 - Oświadczają, że chłopca w ogóle nie widzieli. Tylko pana.
 - Jaki wyrok dostaną?
 - Dziesięć lat? Piętnaście? Trudno orzec coś pewnego. Przez długą chwilę tylko się w nią wpatrywał.
 - Taki mamy system - skwitowała wzruszeniem ramion.
- Dzień przed rozprawą w sądzie pojechał pikapem do Umtaty, żeby kupić parę krawatów, marynarkę i czarne buty. Stanął w nowym ubraniu przed wysokim lustrem. Ekspedientka powiedziała:
- Świetnie pan wygląda.
- Ale on nie poznawał siebie w odbiciu - obca twarz, broda, którą przestał golić po śmierci chłopca, zgęstniała i posiwiała na podbródku i policzkach. Wyglądał w niej niegroźnie i statecznie, jak doświadczony życiem starzec. Zafascynowały go oczy. To jego oczy? Nie dojrzał w nich krzty blasku, jakby były puste w środku i martwe.
- Całe późne popołudnie spędził, leżąc na łóżku w hotelu, z rękami pod głową, bez ruchu. Wspominał: Pakamile w szopie na wzgórzu za domem pierwszy raz dojrzał krowę, niezdarnie, za bardzo się śpieszy. Sfrustrowany, że strzyki nie odpowiadają na ucisk jego małych palców. Ale

wreszcie strzelił ukośnie wąski biały strumień i chłopiec zawołał tryumfalnie:

- Thobela! Zobacz!

Mała figurka w szkolnym mundurku, która czekała na niego każdego popołudnia; opadnięte skarpetki, rozchełstana koszula, nieproporcjonalnie duży plecak. Niezmienna radość na jego widok. Jeśli przyjeżdżał na motocyklu, Pakamile rozglądał się najpierw wokoło, sprawdzając, czy któryś z przyjaciół jest świadkiem tego niezwykłego wydarzenia, czy podziwia tę fantastyczną maszynę, którą tylko on miał prawo jechać do domu.

Czasami jego koledzy zatrzymywali się u nich na noc; czterech, pięciu czy sześciu rozbrykanych chłopców biegało z Pakamile po obejściu.

- Sami z tatą zasadziliśmy wszystkie warzywa. To motocykl taty, a to mój. Popatrzcie, tata sam posadził całe pole lucerny!

Piątkowy wieczór... Salon, oni upchani na łóżku jak sardynki w puszcze. Dom wibrował życiem. Był pełny. Pełny.

Poczuł się przytłoczony pustką pokoju. Tą kontrastującą ciszą. Jakiś głos w nim pytał: co teraz?

Próbował zagłuszyć to pytanie wspomnieniami, ale uparcie wracało. Długo się nad nim zastanawiał, lecz podświadomie wiedział, że jego życiem byli Miriam i Pakamile. Teraz nie zostało nic.

Wstał do toalety, napił się wody i znów się położył. Klimatyzator pod oknem syczał i dmuchał.

Thobela wpatrywał się w sufit, czekając, aż minie noc i zacznie się rozprawa.

Oskarżeni siedzieli obok siebie: Khoza i Ramphele. Popatrzył im w oczy. Obok nich stał ich obrońca:

Hindus, wysoki atleta w eleganckim czarnym garniturze i ekstrawaganckim fioletowym krawacie.

- Panie Mpayipheli, na pytanie prokuratora o wykonywany zawód powiedział pan, że jest pan farmerem.

Milczał, bo to nie było pytanie.

- Zgadza się? - Ton Hindusa był łagodny, ciepły, jakby byli starymi przyjaciółmi.

- Zgadza.
- Ale to nie cała prawda?
- Nie wiem, co...
- Od jak dawna jest pan tak zwanym farmerem, panie Mpayipheli?
- Od dwóch lat.
- A czym zajmował się pan wcześniej?

Oskarżyciel państwowy, poważna kobieta w okularach w złotych oprawkach, wstała.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie. Historia zawodowa pana Mpayipheli nie ma związku z tą konkretną sprawą. - Wysoki Sądzie, historia świadka jest istotna zarówno dla oceny jego wiarygodności, jak i zachowania na stacji benzynowej. Obrona ma poważne wątpliwości co do wersji wydarzeń przedstawionej przez pana Mpayipheli.

- Proszę kontynuować - polecił sędzia, biały mężczyzna w średnim wieku z podwójnym podbródkiem i czerwoną cerą. - Proszę odpowiedzieć na pytanie, panie Mpayipheli.

- Czym zajmował się pan, zanim zajął się pan farmą? - powtórzył adwokat.

- Byłem gońcem u sprzedawcy motocykli.

- Jak długo?

- Dwa lata.

- A przedtem?

Serce zaczęło mu walić jak na wyścigach. Wiedział, że nie może sobie pozwolić na wahanie ani niepewność. - Byłem ochroniarzem. - Ochroniarzem. - Tak.

- Panie Mpayipheli, zanim wrócimy do tej kwestii, cofnijmy się jeszcze dalej. Co robił pan, zanim został, jak pan to nazywa, ochroniarzem?

Skąd ten facet uzyskał te informacje?

- Byłem żołnierzem.

- Żołnierzem.

Nie skomentował. W garniturze i krawacie było mu okropnie gorąco, pot spływał mu po plecach. Hindus przesunął leżące przed nim dokumenty i wyciągnął kilka kartek. Podszedł do prokuratora i podał jej kopię. Potem taką samą kopię sędziemu i Thobeli.

- Panie Mpayipheli, czy zgodzi się pan ze stwierdzeniem, że ma pan skłonność do eufemizmów?

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie, obrona zastrasza świadka - prokurator rzuciła okiem na dokument i mina jej zrzedła, podniosła głos - a kierunek przesłuchania jest niezwiązany ze sprawą.

- Odrzucony. Proszę kontynuować.

- Panie Mpayipheli, możemy tu spędzić cały dzień, bawiąc się w grę uników, ale za bardzo szanuję sąd, żeby do tego dopuścić. Pozwoli pan, że panu pomogę. Mam tutaj artykuł prasowy - machnął w powietrzu dokumentem - w którym jest napisane, cytując: „Mpayipheli, dawny żołnierz Umkhonto w Sizwe; przeszedł specjalne przeszkolenie w Rosji i dawnych Niemczech Wschodnich; związany do niedawna z kartelem narkotykowym w Cape Flats...” Koniec cytatu. Artykuł dotyczy niejakiego Thobeli Mpayipheli, poszukiwanego dwa lata temu przez władze w związku ze zniknięciem, zacytuje ponownie: „materiałów wywiadowczych wrażliwej natury”.

Prokurator rzuciła Thobeli gniewne spojrzenie, jakby ją zdradził, i się poderwała.

- Wysoki Sądzie, muszę zaprotestować. To nie świadek jest tu sądzony...

- Panie Singh, czy wysuwając ten argument, do czegoś pan zmierza?

- Oczywiście, Wysoki Sądzie. Proszę o moment cierpliwości.

- Proszę kontynuować.

- Czy zawarte w tym artykule informacje są prawdziwe, panie Mpayipheli?

- Tak.

- Przepraszam, nie usłyszałem odpowiedzi.

- Tak - powtórzył głośniejszym głosem.

- Panie Mpayipheli, stawiam tezę, że pańska wersja wydarzeń na stacji benzynowej jest równie wymijająca i eufemistyczna jak to, jak pan się nam przedstawił.

- To...

- Jest pan wysoko wykwalifikowanym żołnierzem, wyszkolonym w sztuce walki, terroryzmie miejskim i wojnie partyzanckiej...

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie, to nie jest pytanie.

- Odrzucony. Proszę pozwolić obronie skończyć, pani prokurator.

Usiadła, kręcąc głową, z głęboką zmarszczką między brwiami.

- Według woli Wysokiego Sądu - powiedziała, ale ton przeczył tej potulności.

- Dwa lata pracy w charakterze ochroniarza kartelu narkotykowego w Prowincji Przylądkowej. Ochroniarz. Nie tak nazwała to prasa...

Prokurator wstała, ale uprzedził ją sędzia:

- Panie Singh, wystawia pan cierpliwość sądu na wielką próbę. Jeśli chce pan przedstawić dowody, proszę czekać na swoją kolej.

- Proszę przyjąć szczerze przeprosiny, Wysoki Sądzie, ale to policzek wymierzony zasadom sprawiedliwości, gdy związany przysięgą świadek fabrykuje...

- Panie Singh, proszę mi tego oszczędzić. Jak brzmi pańskie pytanie?

- Według woli Wysokiego Sądu. Panie Mpayipheli, jaki był konkretny cel pańskiego przeszkolenia militarnego? - To było dwadzieścia lat temu. - Proszę odpowiedzieć na pytanie.

- Byłem szkolony w działalności kontrwywiadowczej.

- Czy szkolenie obejmowało użycie broni palnej i materiałów wybuchowych?

- Tak.

- Walkę wręcz?

- Tak.

- Reagowanie w sytuacjach kryzysowych?

- Tak.
- Eliminację i ucieczkę?
- Tak.
- Ale słysząc strzały na stacji benzynowej, zrobił pan, co następuje, zacytuję: „Skoczyłem za dystrybutor paliwa”?
- Wojna skończyła się ponad dziesięć lat temu. Nie pojechałem na stację walczyć, tylko zatankować...
- Dla pana wojna nie skończyła się dziesięć lat temu, panie Mpayipheli. Przeniósł ją pan do Cape Flats, razem z pańskim wyszkoleniem w zadawaniu ran i śmierci. Przyjrzyjmy się pańskiej roli w charakterze ochroniarza...
- Głos prokurator zabrzmiał piskliwie i żałośnie:
- Wysoki Sądzie, sprzeciwiam się najusilniej...
- W tym momencie Thobela popatrzył na twarze oskarżonych: śmieli się z niego.
- Sprzeciw podtrzymany. Panie Singh, wystarczy. Przedstawił pan swoje racje. Ma pan jakieś konkretne pytania w sprawie wydarzeń na stacji benzynowej?
- Ramiona Singha opadły, jakby go skrzywdzono.
- Według woli Wysokiego Sądu, mam.
- W takim razie proszę je zadać.
- Panie Mpayipheli, zapomniał pan, że to pan zaatakował oskarżonych, gdy wyszli z budynku stacji?
- Ja nie... - Nie zapomniał pan?
- Wysoki Sądzie, obrona... - Panie Singh!
- Wysoki Sądzie, oskarżony... przepraszam, świadek ignoruje pytanie.
- Nie, panie Singh, to pan manipuluje świadkiem.
- Dobrze. W takim razie, panie Mpayipheli, utrzymuje pan, że nie groził pan oskarżonym?
- Nie. - Nie miał pan klucza ani jakiegoś narzędzia...
- Sprzeciw, Wysoki Sądzie, świadek odpowiedział już na pytanie.

- Panie Singh...
- Nie mam więcej pytań do tego kłamcy, Wysoki Sądzie...

4

Chyba wierzył, że może świat uczynić trochę lepszym - powiedziała w zapadającym powoli zmierzchu. Słońce skryło się za wzgórzami miasta i wpadające do pokoju światło złagodniało. Łatwiej się teraz mówi, pomyślała, ciekawe dlaczego. - Właśnie to podziwiałam najbardziej. Że miał odwagę się sprzeciwić i zrobić coś, na co nikt inny się nie odważył, choć może chciał. Ja nie należę do odważnych. Za bardzo byłam przestraszona, żeby się bronić. Ale gdy przeczytałam o nim w gazecie, zaczęłam się zastanawiać: może też mogłabym...

Zawahała się przez moment, po czym zapytała z zapartym tchem:

- Słyszał pan o Artemidzie, pastorze?

Nie zareagował od razu, siedział bez ruchu, lekko pochylony do przodu, zaabsorbowany jej opowieścią. Potem zamrugał, skupiając się na pytaniu.

- Artemidzie? Hm, tak... - odparł niepewnie.

- O tej, o której pisały gazety.

- Gazety... - wydawał się speszony. - Zdarza się, że niektóre rzeczy mi umykają. Co tydzień coś nowego. Nie zawsze nadążam.

Poczuła ulgę. Spozrzegła, że role niezauważalnie się zmieniły - on małomiasteczkowy pastor, ona światowa, poinformowana. Wyjęła stopę z sandała i wsunęła pod siebie, sadowiąc się wygodniej w fotelu.

- Opowiem, jeśli pastor pozwoli - powiedziała z większą pewnością siebie.

Skinął głową.

- Wtedy, gdy pierwszy raz o nim przeczytałam, miałam kłopoty. Mieszkałam w Prowincji Przylądkowej. Byłam... - zawahała

się na ułamek sekundy, zastanawiając się, czy bardzo go tym zmartwi - byłam call-girl. Mimo wpol do dwunastej w nocy nie spał jeszcze, gdy ktoś cicho, nieśmiało zapukał do drzwi jego hotelowego pokoju. Pani prokurator.

- Przepraszam - powiedziała; wyglądała na bardzo zmęczoną.

- Proszę wejść.

Zawahała się na moment; zrozumiał dlaczego: był tylko w krótkich spodenkach, jego tors lśnił od potu. Odwrócił się, włożył bawełnianą koszulkę, wskazał jej fotel. Sam usiadł na krawędzi łóżka.

Usiadła sztywno, z rękoma złożonymi na okrywającej jej pulchne nogi ciemnej spódnicy. Stwarzała atmosferę nadgorliwości, jakby miała mu do zakomunikowania coś niezwykle ważnego.

- Jak poszło dzisiaj w sądzie? - zapytał. Wzruszyła ramionami.

- Chciał zrzucić winę na mnie. Ten Hindus.

- Robił tylko swoje. Nic więcej.

- Swoje?

- Musi ich bronić.

- Uciekając się do kłamstw?

- Prawo nie zna pojęcia kłamstwa, panie Mpayipheli, istnieją po prostu różne wersje prawdy.

Pokręcił głową.

- Prawda jest tylko jedna.

- Tak pan myśli? I jaka jest ta jedna prawda o panu? Jest pan farmerem? Ojcem? Bojownikiem o wolność? Czy może handlarzem narkotyków? Albo poszukiwanym przez rząd uciekinierem?

- To się absolutnie nie łączy ze śmiercią Pakamile - oburzył się.

- Od chwili, w której Singh podniósł tę kwestię w sądzie, łączy się z jego śmiercią, panie Mpayipheli.

Ogarnęła go wściekłość, powróciły obrazy pełnego frustracji dnia.

- Całe to panowanie, tu pan i tam pan, wszystko takie grzeczne, i sprzeczne, i prawnicze gierki... a tamci dwaj siedzą i się śmieją.

- W tej sprawie właśnie przyszłam. Żeby panu powiedzieć: uciekli.

Czas stanął w miejscu, Thobela siedział i wpatrywał się w nią.

- Jeden z nich obezwładnił policjanta. W celi, gdy przyniósł mu jedzenie. Miał broń, nóż.

- Obezwładnił - powtórzył, jakby smakował to słowo.

- Policja... Mają za mało ludzi. Nie przyszła pełna zmiana.

- Obydwaj uciekli.

- Ustawiono blokady drogowe. Dowódca posterunku zapewnił, że nie uciekną daleko.

Był nadal wściekły, ale teraz w inny sposób; wołał, żeby tego nie zauważyła.

- Dokąd mogli pójść?

Znów wzruszyła ramionami, jakby jej to nie obchodziło. - Niewiadomo.

Gdy nie odpowiadał, pochyliła się do przodu w fotelu.

- Chciałam, żeby pan wiedział. To pańskie prawo. Podniosła się. Począł, aż przejdzie obok niego, po czym wstał i odprowadził ją do drzwi.

Twarz pastora wyrażała niedowierzanie. Odchylił się do tyłu i przekrzywił głowę na bok, jakby czekał, aż bliżej to wyjaśni, zakończy zdanie puentą.

- Nie wierzy mi pan.

- Wydaje mi się to... mało prawdopodobne.

Poczuła przyływ emocji. Wdzięczność? Ulgę? Starła się nie pokazać ich po sobie, ale zdradził ją głos. - Mój zawodowy przydomek to Bibi.

- Wierzę pani - odpowiedział spokojnie. - Ale patrzę na panią, słucham i nie mogę zrozumieć dlaczego. Co panią do tego skłoniło? Już drugi raz ją o to pytano. Zazwyczaj pytali tylko: jak? Dla nich przygotowała historię na miarę ich oczekiwań. Kusilo ją, żeby teraz też ją przytoczyć - miała ją na końcu języka, wypracowaną, gotową.

Zaczerpnęła powietrza, żeby się rozluźnić.

- Mogłabym powiedzieć, że byłam uzależniona od seksu, że jestem nimfomanką - stwierdziła z namysłem.

- Ale to nieprawda - stwierdził pastor.

- Tak, pastorze, to nie jest prawda. Pokiwał głową, jakby pochwalał odpowiedź.

- Ściemnia się - zauważył, wstał i włączył lampę w rogu pokoju. - Napije się pani czegoś? Kawy? Herbaty?

- Chętnie napiłabym się herbaty, dziękuję. Czyżby potrzebował chwili, żeby ochłonać?

- Przepraszam na moment - powiedział i otworzył drzwi za jej plecami.

Została sama i zastanawiała się, jakiej najgorszej historii wysłuchał w tym gabinecie.

Małomiasteczkowy skandal? Nastoletnia ciąża? Romans? Chwilowe zauroczenie?

Co sprawia, że w ogóle chce tu mieszkać? Może ze względu na status, bo lekarze i pastory cieszą się na wsi poważaniem. A może jest uciekinierem jak ona? Tak jak uciekł przed sekundą; jakby niektóre aspekty rzeczywistego życia go przerastały.

Wrócił, zamknął za sobą drzwi.

- Żona zaraz przyniesie herbatę - oznajmił i usiadł. Nie wiedziała, jak zacząć.

- Zmartwiłam pana?

Długo milczał, jakby musiał zebrać słowa.

- Martwi mnie raczej to, że świat... społeczeństwo... pozwala ludziom takim jak pani gubić drogę.

- Wszyscy czasami gubimy drogę.

- Ale nie wszyscy sprzedajemy ciało. - Zrobił ręką szeroki, wszechobejmujący gest. - Do czego było to pani potrzebne? - Jest pan drugą w tym miesiącu osobą, która mnie o to pyta.

- A kto był pierwszą? - Detektyw z Kapsztadu. - Uśmiechnęła się na jego wspomnienie. - Griessel.

Miał potargane włosy. I łagodne oczy, ale przeszywające spojrzenie.

- Powiedziała mu pani prawdę?

- Prawie.

- Czy on był... jak to nazywacie?
- Klientem? - uśmiechnęła się.
- Tak.
- Nie. Był tylko... Nie wiem... zagubiony?
- Rozumiem.

Rozległo się cichutkie pukanie do drzwi i wstał, żeby odebrać tacę.

5

Komisarz Benny Griessel otworzył oczy i zobaczył żonę; stała nad nim i potrzasała go za ramię, szepcząc z naciskiem:

- Benny, Benny, proszę cię.

Leżał na kanapie w salonie, to jedno nie ulegało wątpliwości. Musiał tu zasnąć. Poczł zapach kawy; głowę miał ciężką, w skroniach mu pulsowało. Przygnięcione ciałem prawe ramię zdrętwiało.

- Benny, musimy porozmawiać. Jęknął i spróbował usiąść.

- Przyniosłam ci kawę.

Popatrzył na nią, na głębokie bruzdy na jej twarzy. Wciąż pochylała się nad nim.

- Która godzina? - wydusił.

- Piąta, Benny. - Usiadła obok niego na kanapie. - Napij się kawy.

Musiał podnieść kubek lewą ręką. Parzył mu dłoń.

- Strasznie wcześnie - mruknął.

- Muszę porozmawiać z tobą, zanim dzieci się obudzą.

Do jego świadomości przeniknął wreszcie niepokojący ton jej głosu. Usiadł, wylewając przy tym kawę na ubranie - to samo, co wczoraj.

- Co takiego zrobiłem?

Wskazała palcem otwartą przestrzeń mieszkania. Na stole w jadalni, obok talerza z nietkniętym obiadem, stała butelka jacka danielsa. Z popielniczki wysypywały się niedopałki, a na podłodze obok wywróconych barowych stołków leżało potłuczone szkło.

Upił łyk kawy. Sparzyła mu usta, ale nie zmyła niesmaku po nocy.

- Przepraszam - powiedział.

- Przepraszam już nie wystarczy - odparła.

- Anno...

- Nie, Benny, koniec. Mam dość - oświadczyła tym samym niepokojącym tonem.

- Jezu, Anna. - Wyciągnął do niej rękę, zobaczył, że dłoń mu się okropnie trzęsie: nadal miał kaca.

Gdy spróbował położyć ją na jej ramieniu, odsunęła się i wtedy zauważył małą opuchliznę na jej wardze, podchodzącą krwią.

- Koniec. Siedemnaście lat. Wystarczy. To i tak więcej niż ktokolwiek mógłby oczekiwać.

- Anno, ja... To przez alkohol, wiesz, że tego nie chciałem. Proszę, Anno, wiesz, że nie byłem sobą.

- Twój syn pomógł ci wczoraj wieczorem zwlec się z tego fotela, Benny. Pamiętasz? Wiesz, co mu powiedziałeś? Pamiętasz, jak przeklinałeś i wyzywałeś nas, póki nie padłeś nieprzytomny? Nie, Benny, nie pamiętasz... nigdy nie pamiętasz. Wiesz, co powiedział ci twój syn? Gdy leżałeś tam z rozdziawioną gębą i śmierzącym oddechem? Wiesz? - Do oczu nabiegły jej łzy, ale je powstrzymała.

- Co takiego?

- Powiedział, że cię nienawidzi. Przyjął ten cios.

- A Carla?

- Carla zamknęła się na klucz w swoim pokoju.

- Porozmawiam z nimi, Anno, naprawię to. Wiedzą, że to przez pracę. Wiedzą, że taki nie jestem.

- Nie, Benny.

Usłyszał determinację w jej głosie i ścisnęło mu się serce.

- Anno, nie.

Nie spojrzała na niego. Dotknęła palcem obrzmiałej wargi i wstała.

- To właśnie mówię im za każdym razem: to przez pracę. To dobry ojciec, tylko taką ma pracę, musicie go zrozumieć. Ale już w to nie wierzę. I oni już też nie... Bo to nie praca, tylko ty, Benny. Ty. Inni policjanci także codziennie przechodzą przez to samo, ale się nie upijają. Nie przeklinają, nie wrzeszczą, nie niszczą wszystkiego, co wpadnie im w ręce, i nie biją żon. Koniec, Benny. Definitywny koniec. - Anno, przestanę, wiesz, że już mi się udawało. Mogę. Wiesz, że mogę przestać.

- Na sześć tygodni? Tyle wynosi twój rekord. Sześć tygodni. Moje dzieci potrzebują czegoś więcej. Zaslugują na coś więcej. Ja zasługuję na więcej.

- Nasze dzieci...

- Pijak to nie ojciec.

Zrobiło mu się żal samego siebie. I ogarnął go strach.

- Anno, co ja mogę poradzić, co mogę poradzić na to, że jestem słaby. Potrzebuję cię. Potrzebuję was... nie mogę bez was żyć.

- Ale my cię już nie potrzebujemy, Benny. - Wstała i zobaczył, że obok niej na podłodze stoją dwie walizki. - Nie możesz tego zrobić. To mój dom - zebrał.

- Chcesz, żebyśmy my się wynieśli na ulicę? Bo albo ty, albo my. Wybieraj; dłużej nie będziemy żyć pod jednym dachem. Masz pół roku, Benny, tyle ci dajemy. Sześć miesięcy na decyzję, wolisz nas czy alkohol. Jeśli nie będziesz pił, pozwolimy ci wrócić, ale to twoja ostatnia szansa. Jeśli zechcesz, w niedziele możesz widywać się z dziećmi. Możesz po nie przyjść, ale jeśli poczuję zapach alkoholu, trzasnę cię w twarz. Nie pokazuj się tu pijany. - Anno... - poczuł napływające do oczu łzy. Nie mogła mu tego zrobić; nie wiedziała, jakie to okropnie przykre.

- Daruj sobie, Benny, znam na pamięć twoje sztuczki. Mam ci wystawić walizki na dwór czy sam to zrobisz?

- Muszę wziąć prysznic, muszę się umyć, nie mogę tak wyjść.
- W takim razie ja je wyniosę - powiedziała i chwyciła ręczki walizek.

W biurze detektywa odczuwało się atmosferę zniechęcenia. Sterty pozwalanych były jak teczek z aktami, rozlatujące się marne meble, na ścianach stare plakaty głoszące czcze hasła o zapobieganiu przestępczości. I krzywo wiszący portret Mbeki w wąskich tanich ramkach. Na podłodze płytki w bezbarwnym szarym odcieniu. W kącie zepsuty wiatrak, z metalową kratownicą wlotu powietrza oblepioną gęstym kurzem.

No i ten przytłaczający zapach porażki. Thobela usiadł na stalowym krześle z szaroniebieskim obiciem i pianką wystającą z jego obszarpanego siedziska. Detektyw stał oparty o ścianę. Wyglądał przez brudne okno na parking. Miał wąskie, zgarbione plecy i poznaczoną siwymi pasmami kozią bródkę. - Przekażę ich dane wydziałowi kryminalnemu przy centrali prowincji. Dołączą je do krajowej bazy danych. Tak to działa.

- Bazy danych uciekinierów?
- Można tak powiedzieć.
- Jak duża jest ta baza?
- Duża.
- I ich nazwiska będą w komputerze? Detektyw westchnął.
- Nie, panie Mpayipheli. Nie tylko nazwiska. Zdjęcia, poprzednie wyroki, nazwiska i adresy rodzin oraz kontaktów. Rozsyła się je posterunkom. Staramy się to śledzić. Khoza ma rodzinę w Prowincji Przylądkowej. Matka Ramphele mieszka tutaj, w Umtacie. Ktoś się do nich wybierze...
- Pojedziecie do Kapsztadu?
- Nie. Wywiad zrobi policja z Prowincji Przylądkowej.
- Co to znaczy: zrobi wywiad?
- Panie Mpayipheli, ktoś pójdzie i zapyta, czy rodzina Khozy miała o nim jakieś wieści.
- A oni powiedzą, że nie, i na tym koniec?

Znów westchnienie, tym razem głębsze.

- Są okoliczności, na które ani ja, ani pan, nie mamy wpływu.

- To samo za czasów apartheidu twierdzili czarni.

- Istnieje chyba pewna różnica.

- Proszę mi powiedzieć, jakie są szanse? Że ich złapiecie?

Detektyw odkleił się wolno od ściany. Przyciągnął sobie krzesło i usiadł ze złożonymi rękami. Mówił wolno, tonem osoby bardzo wyczerpanej.

- Według mnie duże, ale musi mnie pan dobrze zrozumieć. Khoza już raz siedział: osiemnaście miesięcy za włamanie. Do tego napad z bronią w rękę na stację, zabójstwo... i teraz ucieczka. Sam pan widzi, w co się to układa. W spirale. Tacy jak on nie przestają; popełniają coraz poważniejsze przestępstwa. I dlatego szanse są duże. Nie mogę obiecać, że złapiemy ich wkrótce. Nie mogę w ogóle powiedzieć kiedy. Ale złapiemy, bo dalej będą szukać kłopotów.

- Jak pan myśli, ile to potrwa?

- Nie umiem sprecyzować.

- A jak pan przypuszcza? Detektyw pokręcił głową.

- Nie wiem. Dziewięć miesięcy? Rok?

- Nie mogę tak długo czekać.

- Przykro mi z powodu tego, co się stało, panie Mpayipheli. Rozumiem, co pan czuje. Ale niech pan pamięta, że jest pan jedną z wielu ofiar. Proszę spojrzeć na te wszystkie akta. Co teczka, to ofiara.

Choćby pan poszedł do samego KP, nic to nie da. - KP? - Komendant Prowincji.

- Nie chcę rozmawiać z komendantem Prowincji, rozmawiam z panem.

- Wyjaśniłem panu, jak to wygląda. Thobela wskazał ręką dokument na stole i powiedział cicho:

- Proszę dać mi kopię. Detektyw nie od razu odmówił. Zmarszczył brwi, jakby rozważał taką możliwość.

- To niedozwolone.

Thobela pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Ile?

Oczy zmierzyły go, szacując kwotę. Detektyw wyprostował ramiona.

- Pięć tysięcy.

- Za dużo. - Thobela wstał i ruszył do drzwi.

- Trzy.

- Pięćset.

- Ryzykuję utratę pracy. Nie dla pięciu setek.

- Nikt się nigdy nie dowie. Pańska praca jest bezpieczna. Siedemset pięćdziesiąt.

- Tysiąc - powiedział z nadzieją. Thobela się odwrócił.

- Tysiąc. Kiedy otrzymam kopię?

- Będę mógł skopiować dokumenty dopiero wieczorem. Proszę przyjść jutro.

- Nie. Dziś wieczór.

Detektyw popatrzył na niego, jego oczy nie miały już znużonego wyrazu.

- Skąd ten pośpiech?

- Gdzie pana znajdę?

Bieda była straszliwa. Chałupy z desek i falistej blachy, wszechogarniający smród rozpadu i walających się, niewywożonych śmieci. Od spalonej na popiół ziemi bił porażający skwar.

Pani Ramphela wygoniła z domu na dwór czwórkę dzieci -dwóch nastolatków i dwóch brzdąców - i poprosiła, żeby usiadł. W środku było schludnie, czysto, ale gorąco, tak gorąco, że na jego koszuli pojawiły się wielkie plamy potu. Na stole leżały podręczniki szkolne, na kulawej szafie stały zdjęcia dzieci. Uznała, że jest z policji, i nie wyprowadzał jej z błędu, gdy przepaszając za swojego syna, powiedziała, że nie zawsze był taki, że był dobrym chłopcem, tylko Khoza sprowadził go na złą drogę, o co nietrudno tu, gdzie nikt nie ma niczego, nawet nadziei. Andrew szukał pracy, jeździł do Prowincji Przylądkowej, skończył

podstawówkę, po czym oświadczył, że nie może pozwolić, aby matka tak się męczyła, że dalszą naukę skończy później. Pracy nie było. Nigdzie, choć szukał wszędzie: w East London, Uitenhage, Port Elizabeth, Jeffreys Bay, Knysne, George, Mossel Bay, Kapsztadzie...

Za dużo ludzi, za mało pracy. Od czasu do czasu przysyłał jej trochę pieniędzy; nie wiedziała, skąd je brał, ale chciała wierzyć, że nie kradł.

Gdzie teraz jest Andrew? Ma jakichś znajomych w Prowincji Przylądkowej?

Nie miała pojęcia. Był tu?

Spojrzała mu w oczy i zaprzeczyła, a on zastanawiał się, ile w tym, co mu powiedziała, jest prawdy.

Postawili nagrobek. „Pakamile Nzululwazi. Syn Miriam Nzu-lulwazi. Syn Thobeli Mpayipheli.

1996-2004. Spoczywaj w pokoju”.

Prosty kamień z granitu i marmuru w zielonej trawie nad rzeką. Thobela oparł się o drzewo pieprzowe i uświadomił sobie, że to miejsce chłopiec lubił najbardziej. Często spoglądał na niego przez okno kuchni, na małą, przycupniętą nad rzeką postać, i zastanawiał się, o czym chłopiec myśli. Siedział i wpatrywał się w powolny nurt brązowej wody, czasami trzymał w ręce patyk i kreślił na piasku wzory i litery. Bolało go, że chłopiec mógłby myśleć o matce, bo jej śmierć nie była czymś, co potrafiłby naprawić, a ból czymś, co umiałby ukoić.

Czasem próbował go o to zagadnąć, ale ostrożnie, bo bał się rozdrapać starą ranę. Więc pytał:

- Co tam u ciebie, Pakamile? Coś cię trapi? Albo:

- Jesteś szczęśliwy?

I chłopiec z wrodzoną pogodą ducha odpowiadał, że wszystko jest dobrze, że jest szczęśliwy, bo ma jego, Thobelę, farmę i bydło, i to wszystko. Ale on zawsze podejrzewał, że mały nie mówi mu

całej prawdy, że istnieje w jego myślach sekretne miejsce, w którym samotnie rozpamiętuje swoją stratę.

Osiem lat życia, podczas których doświadczył porzucenia przez ojca i śmierci kochającej matki. Przecież to niemożliwe, żeby w tym zamykało się całe życie? Prawda, że to nie w porządku? Musi być gdzieś jakieś niebo... Popatrzył na błękit w górze i się zadumał. Czy na tamtych zielonych południowych wzgórzach Miriam powitała syna? Czy chłopiec znajdzie tam swoją ukochaną Cate River, przyjaciół i miłość? Czy ludzie wszystkich ras współistnieją, równo traktowani? Czy są drzewa, pod którymi można odpocząć? I Bóg, Czarny Bóg - wszechmocna, królewska postać z siwą brodą i mądrymi oczami - który wita przybyszów w Great Kraal ciepłym spojrzeniem i łagodnymi słowami, ale na falujący zielony veld na upadłej Ziemi spogląda z wielkim bólem. I kręci głową, bo nikt nie chce z tym nic zrobić, bo wszyscy są ślepi na Jego Zamyśl. Nie takimi ich stworzył.

Wolno ruszył do domu stokiem pod górę, przystanął i znów ogarnął farmę wzrokiem.

Jego ziemia, aż po horyzont.

I zdał sobie sprawę, że już jej nie chce. Straciła dla niego wartość. Kupił ją dla Miriam i Pakamile. Wtedy była symbolem, spełnionym marzeniem i nowym życiem, ale teraz jest tylko kamieniem młyńskim, przypominając niemożliwe już możliwości. Co mu po tej ziemi, skoro nie ma nic?

6

Jeśli się stanęło w odpowiednim miejscu, z okna mieszkania na drugim piętrze w Mouille Point można było zobaczyć morze. Gdy zjawili się facet z ekipy sądowej i fotograf, kobieta leżała w sypialni, a komisarz Benny Griessel stał w salonie i przyglądał się stojącym na fortepianie zdjęciom.

Facet z sądówki powitał go miłe:

- Rety, Benny, wyglądasz koszmarnie.
- Dzięki - odparł - ale u mnie pochlebstwami daleko nie zajdziesz.
- Co tu mamy?
- Kobieta po czterdziestce. Uduszona sznurem od czajnika. Brak śladów włamania.
- Jakbym to już gdzieś słyszał. Griessel pokiwał głową.
- Tak, identyczny sposób działania.
- To już trzecia.
- Trzecia - potwierdził Griessel.
- Cholera. - Bo to znaczyło, że nie znajdą odcisków palców. Wszystko zostało wytarte do czysta.
- Ale ta przynajmniej jest w miarę świeża - zauważył fotograf.
- Miała szczęście, że w soboty przychodzi sprzątaczką. Tamte dwie znaleźliśmy dopiero w poniedziałek. - A więc to fan piątkowych nocy.
- Na to wygląda.

Gdy mijali go, idąc do sypialni, gość z sądówki obwąchał go teatralnie.

- Ale i tak coś nieszczególnie tu pachnie. Przydałby ci się prysznic, Benny - poradził.
- Zajmij się swoją cholerną robotą.
- Tak tylko mówię - powiedział i wszedł do sypialni. Griessel usłyszał stuknięcia otwieranych zamków ich walizek i skierowane do fotografa słowa faceta z ekipy sądowej:
- Te zwłoki to jedyne kobiety, które ostatnio zdarza mi się widzieć rozebrane.
- Przynajmniej nie pyskują - padła odpowiedź.

Akurat nie prysznic Griessel potrzebował najbardziej. Musiał się napić. Dokąd pójdzie? Gdzie będzie spał? Gdzie schowa butelkę? Kiedy zobaczy dzieci? Jak się skoncentrować na robocie? Monopolowy w Sea Point otwierają dopiero za godzinę.

Masz pół roku na decyzję: wolisz nas czy alkohol.

Jak jej zdaniem ma tego dokonać? Myśli, że będzie mu łatwiej po tym, jak wywaliła go z domu? Kiedy zaserwowała mu jeszcze więcej zmartwień? Jak go odrzuciła?

Jeśli rzucisz picie, będziesz mógł wrócić, ale to twoja ostatnia szansa.

Nie chciał ich stracić, ale też nie potrafił przestać pić. Był w kropce, pieprzonej okrągłutkiej kropce.

Bo bez nich nie uda mu się rzucić picia - czy ta kobieta tego nie rozumie?

Zadzwoiła jego komórka. - Griessel.

- Kolejna, Benny? Nadinspektor Matt Joubert. Jego szef.

- Taki sam modus operandi - powiedział.

- Jakieś dobre informacje?

- Na razie żadnych. Sprytny jest, sukinsyn.

- Informuj mnie na bieżąco.

- Jasne.

- Benny?

- Tak, Matt?

- Wszystko w porządku?

Milczenie. Jouberta nie chciał okłamywać - za dużo razem przeżyli.

- Wpadnij, to pogadamy, Benny.

- Później. Daj mi tu najpierw skończyć. Zaświtało mu, że Joubert coś wie. Czyżby Anna...

Nie żartowała. Tym razem nawet zadzwoniła do Matta Jouberta.

Pojechał motocyklem do Alice, do rzemieślnika, który wyrabiał broń. Tradycyjną metodą przodków.

Wnętrze małego warsztatu było ciemne; kiedy oczy Thobeli przywykły do skąpego oświetlenia, przyjrzał się sagajom stojącym po kilka w pojemnikach, drzewcami w dół, błyszczącymi ostrzami do góry. - Po co je robisz?

- Dla ludzi z tradycją - odparł stary człowiek zajęty obróbką na drzewce pnia wysokiego młodego drzewka. Rytmicznie pocierał drewno papierem ściernym.

- Z tradycją - powtórzył Thobela.
- Niewielu już takich. Niewielu.
- A długie włócznie?
- Też są częścią naszej historii.

Thobela odwrócił się do tych z krótszymi drzewcami. Pogłaskał palcem ostrza - szukał konkretnego kształtu, specyficznego profilu. Wyjął sagaj, przymierzył się, odłożył i wypróbował następny.

- Na co ci sagaj? - zapytał staruszek.

Nie odpowiedział od razu, gdyż trafił na właściwy. Dobrze leżał w dłoni.

- Wybieram się na polowanie - oznajmił. Gdy podniósł wzrok, w oczach starego człowieka ujrzał radość. - Na dziewiąte urodziny dostałam od matki zestaw bajek. Pudełeczko z płytami i książkę z obrazkami, na których były księżniczki i dobre wróżki. Bajki na płytach miały po kilka zakończeń, trzy czy cztery. Nie wiem, jak to dokładnie działało, ale za każdym razem, gdy się ich słuchało, igła przeskakiwała na inne zakończenie. Czytała je kobieta, po angielsku. Jeśli historia kończyła się źle, puszczałam płytę na nowo; dopóki nie skończyła się jak należy.

Nie bardzo wiedziała, po co o tym wspomina.

- Ale w życiu tak się nie da - zauważył pastor.

- Właśnie - potwierdziła. - W życiu tak się nie da. Zamieszała herbatę. Siedziała z filiżanką na kolanach, teraz z obiema stopami na podłodze, i miała wrażenie, że widzi tę scenę z zewnątrz, jak w teatrze: kobieta i pastor siedzą w gabinecie, popijają herbatę z cienkiej białej porcelany. Tak zwyczajnie. Mogła być jedną z parafianek: niewinną kobietą zasięgającą jego opinii w jakiejś życiowej kwestii. Może o związku? Z jakimś młodym rolnikiem? Patrzył na nią jak ojciec i pomyślała: lubi mnie, uważa, że jestem w porządku. - Mój ojciec służył w armii - dodała.

Upił łyk herbaty, sprawdzając, czy przestygła.

- Był oficerem. Urodziłam się w Upington; ojciec był wtedy kapitanem. Mama z początku zajmowała się tylko domem. Potem

zaczęła pracować w kancelarii adwokackiej. Ojciec czasami na długo znikał, ale niezbyt pamiętam ten okres, bo byłam wtedy mała. Jestem starszym dzieckiem, brat urodził się dwa lata po mnie. Gerhard. Christine i Gerhard van Rooyen. Dzieci kapitana Rooies i pani Martie van Rooyen z Upington. Rooies to przydomek od nazwiska. Nadali go ojcu w armii: tam każdy nosi jakiś przydomek. Ojciec był przystojnym mężczyzną; miał czarne włosy i zielone oczy... oczy odziedziczyłam po nim. A włosy po matce, więc pewnie wcześniej osiwieję - blondynki często tak mają. Widziałam zdjęcia z ich ślubu, mama też miała długie włosy. Ale później je obcięła, twierdziła, że jej w nich za gorąco, ale myślę, że zrobiła to raczej z powodu ojca. Śledził wzrokiem jej twarz, usta. Czyżby jej słuchał, naprawdę słuchał? Widział taką, jaką była? Nie zapomni tego później, gdy przyzna mu się do swojego wielkiego oszustwa? Umilkła na chwilę, podniosła do ust filiżankę i kiedy sączyła herbatę, wyrwało jej się:

- Opowiedzenie tego wszystkiego zajmie mnóstwo czasu.

- Tego jednego mamy pod dostatkiem - chciał ją uspokoić. -Czasu mamy mnóstwo.

Wskazała gestem drzwi.

- A pana rodzina i...

- Wiedzą, że tu jestem i że to moja praca.

- Może powinnam przyjść jutro.

- Opowiedz swoją historię, Christine - zachęcił łagodnie. -Wyrzuć ją z siebie.

- Jesteś pan pewny?

- Najzupełniej.

Spojrzała na filiżankę. Była w połowie pełna. Uniosła ją, wypila duszkiem herbatę, odstawiła na spodeczek i postawiła na tacy na biurku. Podciągnęła pod siebie stopy i skrzyżowała ramiona.

- Nie wiem, co poszło źle - powiedziała. - Byliśmy tacy jak wszyscy. No może nie całkiem, bo ojciec był żołnierzem i w szkole byliśmy zawsze dziećmi wojskowego. Kiedy wyleciały Flossies, samoloty na granicę, całe miasto o tym mówiło: nasi ojcowie będą walczyć z komunistami! Wtedy traktowano nas specjalnie, a to bardzo miłe. Ale przez większość czasu byliśmy jak wszyscy. Cho-

dziliśmy z Gerhardem do szkoły, po południu wracaliśmy do domu, w którym czekała matka, odrabialiśmy lekcje i się bawiliśmy. W weekendy robiliśmy zakupy, grillowaliśmy, odwiedzaliśmy znajomych, szliśmy do kościoła i co roku w grudniu jeździliśmy do Hartenbos, i nic w nas dziwnego nie było. Nic, o czym bym wiedziała, mając sześć, osiem czy dziesięć lat. Ojciec był moim bohaterem. Pamiętam jego zapach, gdy po południu wracał do domu i mnie przytulał. Nazywał mnie swoją dużą dziewczynką. Nosił mundur z błyszczącymi gwiazdkami na ramionach. A...

- Rodzice jeszcze żyją? - przerwał jej nagle pastor.
- Ojciec zmarł - powiedziała twardo i stanowczo, jakby nie chciała się zagłębiać w temat.
- A matka? - Bardzo długo jej nie widziałam. - Ach tak, dlaczego?
- Mieszka w Mossel Bay. Nie odezwał się.
- Już wie. Czym się zajmowała?
- Ale kiedyś nie wiedziała?
- Nie.
- Jak się dowiedziała? Westchnęła.
- To część tej historii.
- Sądzisz, że cię odrzuci? Dlatego, że wie?
- Tak. Nie... Myślę, że czuje się winna.
- Że zostałaś prostytutką?
- Tak.
- A jest winna?

Nie mogła dłużej spokojnie usiedzieć. Poderwała się i podeszła do ściany, żeby znaleźć się trochę dalej od niego. Potem podeszła do fotela i chwyciła palcami oparcie.

- Może.
- Dlaczego?

Opuściła głowę, długie włosy spłynęły na twarz. Stała tak bez ruchu.

- Była piękna - powiedziała w końcu, podnosząc wzrok i puszczając oparcie fotela. Postąpiła parę kroków w prawo, w stronę regału, i popatrzyła nieprzytomnym wzrokiem na książki. - Miesiąc miodowy spędzili w Durbanie. Widziałam zdjęcia... Mogła mieć każdego, którego by zechciała. Była taka zgrabna. A twarz... miała śliczną, taką delikatną. I na wszystkich zdjęciach była roześmiana. Czasem wydaje mi się, że wtedy śmiała się ostatni raz.

Odwróciła się do pastora, oparła rękę o regał, pieszczotliwie pogłaskała dłonią książki.

- Musiało być jej trudno, gdy ojciec tak długo przebywał poza domem. Ani razu jednak się nie poskarżyła. A na wieść, że przyjeżdża, urządzała generalne sprzątanie. Mówiła, że to wiosenne porządki. Ale o sobie tak nie dbała. Była schludna, owszem, i czysta. Ale makijażu używała coraz oszczędniej. I nosiła coraz bardziej workowate, nieciekawe ubrania. Skróciła włosy. Wie pan, jak to jest: gdy mieszka się z kimś na co dzień, nie od razu zauważa się te powolne zmiany.

Skrzyżowała ramiona i objęła się nimi.

- A kościół... od niego chyba wszystko się zaczęło. Gdy ojciec wrócił z wojny granicznej, oznajmił, że zmieniamy kościół. Nagle ten miejscowy, holenderski zreformowany przestał mu odpowiadać; zaczęliśmy jeździć do kościoła w mieście, wierni co niedziela spotykali się w szkole podstawowej. Klaskanie w ręce, omdlenia i konwersje... Gerhardowi i mnie nawet by się to podobało, gdyby ojciec nie traktował sprawy tak poważnie. Nagle zaczęliśmy codziennie modlić się w domu, ojciec w długich modlitwach błagał, żeby opuściły nas demony. Zaczął przebąkiwać o porzuceniu wojska, chciał zostać misjonarzem, cały dzień obnosił się z Biblią, nie tą małą wojskową książeczką, tylko opasłym tomiszczem. Sytuacja stawała się coraz gorsza, bo choć w wojsku z początku chyba wyrozumiale podeszli do sprawy, to kiedy ojciec zaczął prosić Boga, żeby wypędził demony z pułkownika i brygadiera, powiedzieli, że Bóg zgodził się otworzyć mu drzwi.

Pokręciła głową.

- Matka musiała to bardzo przeżywać, ale nic nie zrobiła.

Wróciła na fotel.

- Nawet wtedy, gdy zaczął dobierać się do mnie.

7

Do Kapsztadu pojechał pikapem, bo motocykl za bardzo rzucałby się w oczy. Walizkę położył na siedzeniu obok. Jechał z Port Elizabeth do Knysny. Patrzył na góry i lasy i jak zawsze zastanawiał się, jak wyglądały tysiąc lat temu, gdy żyli tu tylko Khoi, San i trąbiące w buszu słonie. Do wydm za George jak opasłe kleszcze przyssały się rezydencje bogaczy, walcząc cicho o lepszy widok na morze. Puste przez większość roku domiszcza, które zapełniały się może na miesiąc w grudniu. Pomyślał o krytej falistą blachą klitce pani Ramphele na spalonych słońcem przedmieściach Umtaty, pięć osób w dwóch pokojach, i nie pierwszy raz stwierdził, że skala kontrastów w tym kraju przekroczyła wszelkie granice.

Ale jakkolwiek były nie do zaakceptowania, nigdy nie zdołają usprawiedliwić śmierci dziecka.

Zastanawiał się, czy Khoza albo Ramphele uciekali tędy, czy jechali tą samą drogą.

Mossel Bay, potem Swellendam i przez rzekę Breede, dalej Ca-ledon i w końcu późnym popołudniem dotarł na Sir Lowry's Pass. W dole szeroko rozciągała się przed nim Prowincja Przyładkowa. Zjeżdżał ku Table Mountain oślepiany przez świecące prosto w oczy słońce. Nie czuł nawet odrobiny radości z powrotu w rodzinne strony, przytłoczony przywołanymi przez nie wspomnieniami.

Dojechał do Parów. Przypomnił sobie, że przy Voortrekker Road był mały hotelik New President; zjeżdżali do niego wszelkich kolorów ludzie, którym zależało na anonimowości.

Tam zacznie.

Griessel stał przed budynkiem wydziału przestępstw ciężkich i bandytyzmu w Bishop Lavis i rozważał opcje.

Mógł wyjąć walizkę z bagażnika, zaciągnąć ją przed nosem siedzącej w recepcji Mavis za róg i potem korytarzem do jednej z wielkich łazienek, które pozostawiła im w spadku akademia policyjna, bo to po niej przejęli budynek. Wtedy mógłby wziąć prysznic, umyć zęby, zeszkrobać przed zmatowiałym lustrem kilkudniowy zarost i zmienić ubranie na czyste. Ale wówczas każdy pieprzony policjant na Półwyspie wiedziałby w pół godziny, że Benny'ego Griessela żona wyrzuciła z domu. Tak to już funkcjonowało w służbie.

Mógł też ot tak pójść do swojego biura, śmierzący i niechlujny, i powiedzieć, że całą noc pracował, choć ta historyjka też nie na długo zamaskuje rzeczywistość.

W szufladzie biurka miał butelkę jacka i trzy paczki gumy clo-rets - dwa łyki dla uspokojenia nerwów, dwie pastylki clorets, żeby odświeżyć oddech, i będzie jak nowo narodzony. Jezu, marzył, żeby poczuć spływający gardłem gęsty brązowy płyn, od razu poczuje się o niebo lepiej. Zatrzasnął bagażnik. Pieprzyć prysznic; wiedział, czego mu trzeba najbardziej.

Ruszył szybko nagle uskrzydłony. Do diabła z tobą, Anno. Nie powinnaś tego robić; pójde do pieprzonego prawnika, choćby do tego Kempa, który nie zwykł się z kimkolwiek cackać. Pijak, nie pijak, jestem do cholery żywicielem rodziny, jak śmiesz mnie tak po prostu wyrzucić? Zapłaciłem za dom, za każdy stół i krzesło. Przywitał się z Mavis, skręcił za róg, wszedł po schodach, szukając w kieszeni klucza. Drżącą ręką otworzył drzwi, zamknął je za sobą, obszedł biurko, wysunął dolną szufladę, podniósł opasłe tomiszczce kryminalnych procedur i poczuł pod dłonią chłodne szkło ukrytej pod nim butelki. Wyjął ją i odkręcił zakrętkę. Pora się naoliwić, kontrolka świeci się na czerwono. Zaśmiał się z własnego dowcipu i w tej właśnie chwili drzwi się otworzyły i z odrazą na twarzy stanął w nich Matt Joubert.

- Benny.

Griessel znieruchomiał jak porażony prądem, oddzielony od szczęścia głupimi piętnastoma centymetrami.

- Pieprzę to, Matt.

Joubert zamknął drzwi.

- Odstaw to gównno, Benny.

Nie ruszył się, nie dowierzał. A to pech! Cholera, był już tak blisko.

- Benny!

Butelka trzęsa się w rytm dygotu jego ciała.

- Co mogę na to poradzić? - wyszeptał.

Nie miał odwagi spojrzeć Joubertowi w oczy. Nadinspektor podszedł do niego i zabrał mu butelkę.

Puścił ją niechętnie.

- Dawaj zakrętkę. Posłusznie oddał.

- Siadaj, Benny.

Usiadł. Joubert z hukiem postawił butelkę na biurku. Oparł się o nie, wyciągnął przed siebie wyprostowane nogi i skrzyżował ramiona.

- Co się z tobą dzieje? I cóż tu odpowiedzieć?

- Doszło już do tego, że stałeś się damskim bokserem i miłośnikiem śniadań w płynie?

Zadzwoiła do Jouberta. Nie wystarczyło jej, że go wykopała -musiała jeszcze upokorzyć go w miejscu pracy. - Jezu!

- Jezu co, Benny?

- Ach pieprzyć to, Matt, jaki sens to wałkować? Co to da? Jestem pierdolnięty. Ty to wiesz, Anna to wie, i ja to wiem. I co tu jeszcze gadać? Mam przeprosić za to, że żyję?

Czekał na jakąś reakcję, ale się nie doczekał. W pokoju zawisła cisza i wisiała tak, póki nie postanowił sprawdzić, czy wzbudził choć odrobinę współczucia. Nieśmiało podniósł wzrok i napotkał kamienną twarz swojego przełożonego. A Joubert zmrużył oczy i spurpurowiał. Griessel widział, że szef jest wściekły jak cholera, i odpuścił. Joubert złapał go bez słowa za szyję i ramię, pociągnął z krzesła i popchnął w stronę drzwi.

- Matt - wykrztusił, czując na ramieniu miażdżący uścisk-Jezu, co ty wyprawiasz?

- Zamknij się, Benny - syknął Joubert i powiódł go w dół schodów, waląc piętami w gołe płytki. Trzymając go mocno za kark, poprowadził obok Mavis i dalej z budynku. Znaleźli się na zalanej słońcem ulicy. Joubert jeszcze nigdy tak go nie potraktował. Żwir parkingu chrząścił pod ich butami, gdy szli do samochodu nadinspektora.

- Matt - jęknął, bo zaczęła opuszczać go odwaga. Jeszcze nigdy nie doświadczył na sobie, do czego jest zdolny rozwścieczony Joubert.

Szef nie odpowiedział. Otworzył szarpnięciem samochód, wepchnął Griessela do środka i zatrzasnął drzwi.

Siadł za kierownicą i odpalił silnik. Wystrzelili z piskiem opon i ten dźwięk chyba ostatecznie przerwał tamę powodzi rozsadzającego Jouberta gniewu.

- Męczennik! - splunął z nieopisanym wstrętem. - Przyłapuję cię z pieprzoną butelką w ręce i to wszystko, na co cię stać? Na odgrywanie męczennika? Chlasz, bijesz kobietę i jedyne, co potrafisz, to użalać się nad sobą? Benny, Jezu Chryste, to dno. Przez całe czternaście lat, czternaście pieprzonych lat wspólnej pracy nie spotkałem nikogo, kto dobrowolnie, bez niczyjego wpływu, zrobiłby ze swojego życia tak perfekcyjny burdel. Powinieneś być cholernym kierownikiem, a co osiągnąłeś, Benny? Masz czterdzieści trzy lata i jesteś komisarzem, spragnionym alkoholem jak Sahara wody. Bijesz żonę, po czym wzruszasz ramionami i mówisz: Co mogę na to poradzić, Matt. Bijesz do kurwy nędzy żonę?! Co ci strzeliło do głowy? Od kiedy? - Wrzaskom Jouberta akompaniowało wycie katowanego silnika, machanie rąk i znaczące przednią szybę placki śliny. - Przepraszasz, że żyjesz?! Jechali w stronę Voortrekker Road. Griessel gapił się przed siebie. W dłoni wciąż czuł butelkę starego jacka, a w środku pragnienie.

- Wczoraj wieczorem był pierwszy raz - powiedział po chwili ciszy.

- Pierwszy raz? Co to za pieprzone usprawiedliwienie? Co to ma niby oznaczać? Że wszystko jest w porządku? Jesteś policjantem, Benny. Dobrze wiesz, że to żadne cholerne usprawiedliwie-

nie. I kłamiesz. Twoja żona powiedziała, że to od miesiący wisiało w powietrzu. Trzy tygodnie temu też ją poszturchiwałeś, tylko byłeś zbyt pijany, żeby ją zbić. A dzieci, Benny? Co tym im robisz? Swoim dzieciom, które muszą patrzeć, jak ich zapijaczony, wyprany z resztek rozumu ojciec wraca do domu i napada na matkę? Powinienem cię zamknąć z szumowinami, a ona powinna wnieść przeciwko tobie pieprzone oskarżenie, ale to tylko wyrządziłoby im jeszcze większą krzywdę. I co robisz po tym wszystkim? Żona wyrzuca cię z domu, a ty lecisz po butelkę. Jezzuu, Benny, ty o niczym innym nie myślisz. No! może jeszcze o sobie. Co do kurwy nędzy dzieje się w twoim łbie? Gdzie podział się twój rozum? Przez mgnienie oka miał ochotę wrzasnąć: Nie wiem! Nie wiem! Nie chcę być taki! Nie wiem, jak do tego doszło, zostaw mnie w spokoju! - Bo dobrze znał te pytania i... znał odpowiedzi; do niczego nie prowadziły, nic nie wnosiły. Więc milczał.

Voortrekker Road stała w korku, co chwila zatrzymywali się na czerwonym świetle. Rozwścieczony Joubert plasnął dłonią w kierownicę. Griessel zastanawiał się, dokąd jada. Wiezie go na odwyk? Nie byłoby to pierwszy raz.

Nadinspektor wypuścił z płuc długi oddech.

- Wiesz, o czym myślę, Benny? Bez przerwy. - Jego głos złagodniał. - O człowieku, który był moim przyjacielem. Małym sierżancie, który przyjechał tu z Parów, zielony i pełen dobrych chęci. Który pokazał bandzie aroganckich oficerów z wydziału morderstw i kradzieży, jak należy prowadzić śledztwo. Ten facet z Parów... gdzie on jest, gdzie się podział? Ten pogodny gość, który na wszystko znajdował sprytną odpowiedź? Facet legenda? Rety, Benny, byłeś dobry; miałeś wszystko. Miałeś instynkt i szacunek. Otwierała się przed tobą wspaniała przyszłość. Ale zniszczyłeś to. Przepiłeś i przeputałeś.

Cisza.

- Czterdzieści trzy lata - powiedział Joubert i najwyraźniej znów zaczynał się złościć. Zatrzymał się niemal na zderzaku stojącego przed nimi wozu. Kolejne czerwone światło. - Czterdzieści trzy lata, a taki pieprzony dzieciuch.

I znowu w samochodzie zapadła cisza. Griesselowi było już wszystko jedno, dokąd jadą; myślał o butelce, niemal trzymał ją w ręce. Nikt go nie rozumie; musieliby wejść w jego skórę. Poznać to pragnienie. W dawnych czasach Joubert sam zdrowo popijał, ale nigdy nie zaszedł tak daleko jak on. Nie poznał tego i nie zrozumie. Gdy znów się rozejrzał, znajdowali się w Bellville, na Carl Cronje Street.

Joubert skręcił z głównej drogi. Prowadził teraz spokojniej. Przed nimi był park, drzewa, trawa i kilka ławek. Zatrzymał samochód.

- Chodź, Benny - rzucił i wysiadł.

Po kiego grzyba tu przyjechali? Griessel wolno otworzył drzwi. Joubert ruszył przodem. Dokąd on idzie, chce mu dołożyć w tych krzakach? Na co to się zda? Docierał tu wprawdzie szum samochodów na biegnącej wyżej NI, ale nikt z niej niczego by nie zauważył. Z ociąganiem ruszył za Joubertem. Joubert przystanął między drzewami i wskazywał coś palcem. Griessel podszedł do niego i zobaczył leżącą na ziemi postać. - Wiesz, kto to jest, Benny?

Słyszając ich głosy, zakopany pod stertą gazet, kartonów i niewiarygodnie brudnym kocem kształt się poruszył. Brudna twarz odwróciła się i spomiędzy bujnych kłaków brody i włosów wyjrzały małe, niebieskie zapadnięte oczka. - Znasz go?

- To Swart Piet - oświadczył Griessel.

- Witam panów - powiedział Swart Piet.

- Nie - odparł Joubert. - Przedstawiam ci Benny'ego Gries-sela.

- Będziecie mnie bić?

Przy gniazdku mężczyzny stał wózek z supermarketu, a na nim rozwalony odkurzacz.

- Nie - uspokoił go Joubert.

Swart Piet popatrzył nieufnie na zwalistego faceta przed nim.

- Znamy się?

- To ty, Benny. Za sześć miesięcy. Może za rok.

Mężczyzna wyciągnął do nich rękę.

- Nie macie na zbyciu dziesięciu randów?

- Na co?

- Na chleb.

- W płynie - zakpił Joubert.

- Chyba zwariowałaś. - Menel roześmiał się gdakliwie bezzębny ustami.

- Gdzie twoja żona i dzieci, Swart Piet?

- Stare dzieje. Może chociaż randa? Albo pięć?

- Powiedz mu, Piet. Powiedz mu, czym się zajmowałaś.

- Neurochirurgią. Co to ma do rzeczy?

- Tego chcesz? - Joubert popatrzył na Griessela. - Tak chcesz skończyć?

Griessel nie wiedział, co odpowiedzieć. Wpatrywał się jak zauroczony w brudne pazury bezdomnego.

Joubert odwrócił się i poszedł do samochodu.

- Hej ty - odezwał się leżący na ziemi mężczyzna. - O co tamtemu chodzi?

Griessel spojrzął na plecy oddalającego się Jouberta. A więc nie zamierzał spuścić mu łomotu. Cała ta eskapada miała na celu tę śmieszoną umoralniającą lekcijkę. Przez chwilę czuł przypływ miłości do tego wielkoluda. Potem wpadło mu coś do głowy, odwrócił się i zapytał:

- Byłeś policjantem? - Wyglądam na głupca? - To co robiłeś?

- Byłem inspektorem sanitarnym w Milnerton.

- Inspektorem sanitarnym?

- Pomóż głodnemu, kolego. Rzuć ze dwa randy.

- Inspektorem sanitarnym - powtórzył Griessel. Wezbrał w nim gniew.

- O cholera! - powiedział Swart Piet. - Jesteś tym gościem z Saddles Steakhouse?

Griessel odwrócił się na pięcie i ruszył za Joubertem.

- Ten facet był inspektorem sanitarnym! - krzyknął.

- No trudno, przyjacielu, to chociaż jednego. Cóż między przyjaciółmi znaczy jeden rand?

Nadinspektor siadał już za kierownicą. Griessel zaczął biec.

- Jak śmiesz! - wrzasnął prosto w okno. - Porównujesz mnie z pieprzonym inspektorem sanitarnym?

- Nie. Porównuję cię z popaprańcem, który nie umiał przestać pić.

- Pytałeś go, dlaczego pije, Matt? Pytałeś go?

- Jemu to już bez różnicy.

- Pieprzyć cię - zaklął Griessel pokonany przez znużenie, pragnienie i upokorzenie. - Nie dam się porównywać do tropiciela karaluchów. Ile on widział trupów? No ile? Powiedz mi. Ile dzieci? Ile kobiet i staruszek zakatowanych na śmierć dla komórki czy dwudziestu randów? Chcesz starego Benny'ego? Tęsknisz do tego głupka z Parów, który niczego się nie bał? Też go szukam. Codziennie, szukam go co dzień, gdy tylko rano otworzę oczy. Bo przynajmniej wiedział, że stoi po właściwej stronie. Wydawało mu się, że może coś zmienić. Wierzył, że jeśli będzie długo i ciężko harował, wygramy, jak nie dziś, to jutro, pal diabli stopnie, pal diabli awanse; sprawiedliwość zatryumfuje, a tylko to się liczy, bo jesteśmy bohaterami. Facet z Parów nie żyje, Matt. Jest zimnym trupem. Dlaczego? Co takiego się stało? Co takiego dzieje się teraz? Jesteśmy w mniejszości. Nie wygrywamy; przegrywamy. Ich jest coraz więcej, a nas coraz mniej. Po co to wszystko? Jaki pożytek z tych nadgodzin i udreki? Ktoś nas docenia? Ktoś nam dziękuje? Im gorsza robota, tym bardziej lecą z nami w kulki. Popatrz tu. Widzisz tę białą skórę? Wiesz, co to znaczy? Dwadzieścia sześć lat harówki w służbie i gówno to się liczy. To nie alkohol; nie dlatego utknąłem na stopniu komisarza, że piję. Dobrze wiesz, że nie. Tylko dzięki akcji afirmacyjnej. Poświęciłem całe pieprzone życie, babrałem się w tym błocku, a potem przyszła akcja afirmacyjna. Dziesięć lat już trwa. Czy rzuciłem robotę w diabły jak De Kok, Rens i Jan Broekman? Spójrz na nich teraz, mają firmy ochroniarskie, pieniądze same im wpływają na konto, jeżdżą bmw i wychodzą do domu punkt piąta.

A ja czego się doczekałem? Sto otwartych śledztw, żona wywalila mnie z domu i jestem alkoholikiem.

Ale wciąż, niech to szlag, tu jestem, Matt. Nie zrezygnowałem, do cholery.

Poczuł, że się wypalił, oparł się o samochód, opuścił głowę na pierś.

- Wciąż tu, niech to szlag.

- Hej panowie! - wykrzyknął Swart Piet spod drzew.

- Benny - powiedział łagodnie Joubert. Wolno podniósł wzrok.

- No co?

- Jedźmy.

- Hej, wy tam!

Gdy obchodził samochód, dobiegł go czysty, przenikliwy głos Swarta:

- Hej, wy tam! Pieprzcie się!

8

Ojciec wykorzystywał cię seksualnie - stwierdził pastor stanowczo, bez cienia wątpliwości.

- Nie - zaprzeczyła. - Wiele call-girl tak mówi. Dobierał się do mnie ojczym. Albo facet matki. Albo ojciec. Ja tego nie mogę powiedzieć. Nie na tym polegał problem z moim ojcem.

Szukała w twarzy pastora oznak rozczarowania, ale ich nie znalazła.

- Wie pan, o co bym poprosiła, gdybym miała tylko jedno życzenie? Chciałabym się dowiedzieć, co mu się przytrafiło. Bardzo często się nad tym zastanawiam. Co takiego zobaczył, że się zmienił?

Wiem, że to stało się podczas wojny granicznej. Wiem mniej więcej, w którym roku. Gdzieś w południowo-zachodniej Afryce albo Angoli. Ale co to było? Gdybym tylko mogła lepiej przypomnieć sobie, jaki był wcześniej. Ale nie mogę. Pamiętam wyłącznie trudne chwile. Zawsze chyba był poważny. I spokojny.

Musiał... Nie wszyscy wrócili z granicy tacy zmienieni, więc zapewne był szczególnym typem człowieka. Był... jak to się mówi?

- Wrażliwy?

- Tak. Musiał być wrażliwy.

Szukała jakiegoś zajęcia dla rąk. Nachyliła się i wyjęła łyżeczkę z białej porcelanowej cukierniczki. Koniec ozdobnej rączki zwieńczał herb miasta. Potarła metal poduszczką kciuka, badając fakturę wzoru.

- W szkole co roku odbywał się festyn. W jeden z październikowych piątków. Po południu urządzano zawody Boeresport, a wieczorem otwierano stoiska z loterią fantową, strzelaniem do celu, z Braaivleis. Na te festyny przychodzili wszyscy, całe miasto. Po zawodach wracało się do domu i ładnie przebierało na wieczór. Miałam czternaście lat. Pożyczyłam od Lenie Heystack kosmetyki i za oszczędności kupiłam sobie pierwsze w życiu dzinsy. Włożyłam błękitną bluzkę, rozpuściłam długie włosy, chyba wyglądałam ładnie. Usiadłam w swoim pokoju przed lustrem, nałożyłam tusz na rzęsy, na powieki cienie w odcieniu bluzki i pomalowałam na czerwono usta. Może trochę przesadziłam, byłam jeszcze głupia, ale poczułam się taka ładna. Mężczyźni tego nie rozumieją. Jak to jest czuć się ładnym... Wyobraźmy sobie, że biorę czarną torebkę, wchodzę do salonu i ojciec mówi: Ślicznie wyglądasz, Christine. Wstaje, ujmuję mnie za rękę i pyta: Mogę cię prosić do tańca, księżniczko? Przycisnęła łyżeczkę do ust. Wróciły stare, znajome emocje. - Ale tak się nie stało - powiedział pastor. - Tak się nie stało - potwierdziła.

Thobela zapamiętał adres brata Khozy w Khayelitsha, ale nie pojechał tam bezpośrednio. Wiedziony impulsem zjechał z autostrady na drugim zjeździe na zachód, licząc od lotniska, i znalazł się w Guguletu. Odszukał domek, w którym mieszkał z Miriam i Pakamile. Zaparkował po drugiej stronie ulicy i wyłączył silnik.

Ogródek, który z takim nakładem troski i wysiłku stworzyli z chłopcem na piaszczystej ziemi Cape Flats, teraz, późnym latem, przywiądl. We frontowych oknach wisały inne zasłony.

W tym pokoju spał z Miriam.

Uliczką niosły się dziecięce krzyki. Rozejrzał się i zobaczył chłopców grających w piłkę, biegali w powyciąganych ze spodni koszulach, z pozwijanymi wokół kostek skarpetkami. Przypomniało mu się, jak około wpół do piątej każdego popołudnia wyczekiwał go na tym rogu Pakamile. Jeździł wtedy hondą benly, jednym z tych niezniszczalnych małych motocykli, na którym ze swoimi długimi nogami wyglądał jak komarnica. Wspominał rozjaśnioną twarz chłopca, gdy wylaniał się zza rogu, jak biegł potem, ścigając się z motocyklem na ostatnim stumetrowym odcinku do furtki ich domu. Zawsze tak się cieszył na jego widok, był taki spragniony rozmowy, chętny do pomocy w ogródku przed domem, w którym z przodu posadzili słoneczniki, a w głębi urządzili warzywnik z grządkami pnącej fasoli, białych dyń i mięsistych czerwonych pomidorów.

Wyciągnął rękę i wolno przekręcił kluczyk, z żalem zostawiając wspomnienia.

Dlaczego wszystko mu odebrano?

Odjechał, wrócił na N2 i minął lotnisko. Zjechał z autostrady, skręcił w prawo, i znalazł się w Khayelitsha, otoczony przez uliczny ruch, ludzi, niewielkie budynki, domy, piasek, zapachy i dźwięki, olbrzymie tablice reklamujące piwo Castle, coca-colę i toyotę, ręcznie malowane szyldy warsztatów rzemieślniczych, fryzjerów i blacharzy samochodowych, stojące wzdłuż ulicy stragany ze świeżymi warzywami, psy i krowy. Rozciągające się na wydmach niby-miasto.

Ostrożnie wybierał trasę, zerkając na przestudiowaną wcześniej mapę, bo nietrudno tu się zgubić: znaki drogowe nieliczne, ulice raz szerokie, raz beznadziejnie wąskie. Zatrzymał się przed domem, ceglanym budynkiem na środku działki. Wokół walały się materiały budowlane, niedawno dobudowano do niego sięgającą okien przybudówkę, na podwórzu stała na bloczkach stara mazda 323, do połowy okryta brezentem.

Wysiadł, podszedł do drzwi i zapukał. Z wewnątrz dobiegała muzyka, amerykański rap. Zastukał jeszcze raz, mocniej, i drzwi

się otworzyły. Stała w nich dziewczyna, siedemnasto-, może osiemnastoletnia, w koszulce i dzinsach. - Tak?

- To dom Lukasa Khozy?

- Nie ma go.

- Mam wiadomość dla Johna. Zmrużyła oczy.

- Jaką wiadomość?

- O pracy.

- Johna też nie ma.

- Szkoda - powiedział. - Zainteresowałaby go. Odwrócił się, by odejść, ale przystanął.

- Przekażesz mu wiadomość?

- Jeśli go zobaczę. Kim pan jest?

- Powiedz mu, że był tu facet, który miewa ciekawe propozycje pracy. Będzie wiedział.

Odwrócił się znów, jakby przestało go to interesować.

- Johna nie było tu od wieków. Nawet nie wiem, gdzie go szukać. Wzruszyła ramionami, podszedł do samochodu i rzucił: - W takim razie zatrudnię kogoś innego.

- Proszę poczekać. Może ojciec coś wie.

- Lukę? Jest tutaj?

- Pracuje. W rzeźni w Maitland.

- Może będę tamtędy przejeżdżać. Dzięki.

Nie odpowiedziała. Stała w drzwiach, opierając się biodrem o futrynę, i go obserwowała. Wślizgując się za kierownicę, zastanawiał się, czy powiedziała mu prawdę. Opowiedziała pastorowi o tamtym wieczorze, gdy ojciec zwymyślał ją od dziwek. Jak stał nad nią w łazience i pilnował, żeby wyszorowała twarz namydloną gąbką. Płakała, gdy na nią krzyczał i powtarzał: nie w domu! W jego domu nie ma miejsca dla dziwki! Tamtego wieczoru to się zaczęło. Coś w niej pękło. Przypominając sobie tamte wrzaski, była świadoma tego, co dzieje się między

nią a pastorem, bo wkroczyła na znajomy teren. Wyjaśniała powód, a on chciał go poznać. Oni. Mężczyźni. Patrzyli na nią, gdy już skończyła pracę, po tym jak łagodnymi rękami i pieszczotliwymi słowami otworzyła przed nimi swoje ciało, i chcieli poznać jej historię, jej tragiczną opowieść. Prymitywna potrzeba. Pragnęli, żeby była dobra. Dziwka ze złotym sercem. Dziwka, która właściwie jest chyba całkiem zwyczajną dziewczyną. U pastora też to dostrzegła - wpatrywał się w nią uważnie, gotów wczuć się w jej los. Ale w jego przypadku nie towarzyszyło temu przynajmniej to drugie. Klienci, prawie wszyscy bez wyjątku, chcieli koniecznie się dowiedzieć, czy stał też za tym seks - naprawdę dobra dziewczyna, tylko trochę rozwiązała. Spełniali swoją fantazję o nimfomance.

Świadoma tego opowiadała dalej:

- Wiele o tym myślałam, bo wtedy wszystko się zaczęło. Tamtego wieczoru. Nawet teraz, gdy to wspominam, wciąż czuję gniew. Chciałam tylko ładnie wyglądać. Dla siebie. Dla ojca. Dla przyjaciół. Nie widział tego, tylko te inne rzeczy, zło. A potem ta jego religijność stała się jeszcze trudniejsza do zniesienia. Zabronił nam tańca, kina, spania u przyjaciół, odwiedzin. Dusił nas.

Pastor pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć, że rodzicom zdarzają się takie rzeczy.

- Nie potrafię tego zrozumieć. Gerhard, mój brat, przeszedł przez to w miarę gładko. Mieliśmy tych samych rodziców, ten sam dom i wszystko inne, ale jemu nic się nie stało. Przycichł tylko, zamykał się z książkami w pokoju, uciekł w swoje opowieści i myśli. A ja? Zaczęłam szukać kłopotów. Chciałam się stać dokładnie tym, czego bał się ojciec. Dlaczego? Dlaczego tak zostałam stworzona? Dlaczego byłam tak nastawiona?

Pastor obserwował ją, gdy mówiła, przyglądał się jej rękom i oczom, przemykającym przez twarz grymasom. Obserwował jej nawyki, włosy, którymi potrząsała z taką biegłością, palce podkreślające słowa drobnymi ruchami, ciało, które nieprzerwanie, czasami celowo przemawiało własną mową. Notował wszystko równoległe do słów i treści, widział krzywdę, szczerłość, niewątpliwą

inteligencję... i coś zrozmiał: podobało jej się to. Na jakimś zapewne podświadomym poziomie lubiła być centrum zainteresowania. Jakby niezależnie od ładunku zła, który na nią spłynął, jej psychika gdzieś w głębi pozostała nietknięta.

W południe skurcze żołądka odciągnęły uwagę Griessela od teczki z aktami morderstwa, w których się zagrzebał. Wtedy przypomniał sobie, że dziś nie ma kanapki ani lunchu owiniętego starannie w folię.

Oderwał wzrok od papierów, wynurzył się na powierzchnię i pokój nagle wydał mu się duży. I co on teraz głodny zrobi? Jak rozwiąże ten problem?

Thobela źle ocenił Lukasa Khozę. Znalazł go w rzeźni, w zakrwawionym plastikowym fartuchu, z grubym czerwonym węzłem w ręce, zajętego zmywaniem krwi z wyłożonej szaro-białymi płytkami podłogi. Wyszli na dwór i Khoza wykorzystał przerwę, żeby zapalić papierosa.

Thobela powiedział, że szuka jego brata, Johna, bo ma dla niego pracę.

- Jaką pracę?

- No wiesz, pracę.

Khoza spojrział na niego z odrazą.

- Nie, nie wiem i nie chcę wiedzieć. Mój brat to śmieć, a jeśli jesteś do niego podobny, też jesteś śmieciem. - Stał w wyzywającej pozie, na rozkraczonych nogach, z papierosem w dłoni, między budynkiem rzeźni a zagrodą dla zwierząt. Za stalową siatką biegały niespokojnie duże różowe świnię, jakby wyczuwały niebezpieczeństwo.

- Nawet nie domyślasz się, o jakim zajęciu mówię - powiedział Thobela świadomy, że źle zaczął, że ogólniki niczemu nie służą.

- Pewnie o takim, które jest jego chlebem powszednim. Rabunki. Kradzieże. Złamię matce serce.

- Tym razem chodzi o coś innego.

- Kłamiesz.

- Nie kłamię, przysięgam. Nie szukam go, by popełnił przestępstwo - zapewnił żarliwie.
 - Nie wiem, gdzie jest. - Khoza zgniótł niedopałek grubą podeszwą białych gumowców i ruszył do drzwi.
 - A czy ktoś inny może wiedzieć?
- Khoza przystanął, już nie tak wrogo nastawiony.
- Niewykluczone. Thobela czekał. Khoza wahał się długo.
 - Yellow Rose - powiedział w końcu i otworzył drzwi. Usłyszeli piskliwy wrzask, prawie ludzki. Świnie za Thobelą gwałtownie napały na siatkę.

9

Thobela pojechał na Waterfront, rozmyślnie wybierając drogę wśród wzgórz, żeby mieć widok na morze i port. Potrzebował tego - przestrzeni i piękna. Rola, którą niedawno odegrał, nie pasowała mu i nie mógł zrozumieć dlaczego. Mijanie się z prawdą nie było dla niego niczym nowym - w Europie stanowiło element codzienności. Wschodni Niemcy wytrenowali go w tym perfekcyjnie. Kłamstwo było jego chlebem powszednim niemal przez dziesięć lat; środkiem uświęconym przez wolność i walkę. Tak bardzo się zmienił?

Objechał wybrzuszone udo góry; wtedy rozpostarł się poniżej przed nim widok: statki i żurawie, bezkres niebieskiej wody, budynki i ulice miasta, i wdzięcznie zakrzywiona linia brzegu widoczna aż po Blouberg. Chciał odwrócić się do Pakamile, powiedzieć: „Popatrz! Przed tobą najpiękniejsze miasto na świecie” i zobaczyć twarz zdumionego i zachwyconego chłopca.

Na tym polega zmiana, pomyślał. Miał wrażenie, że chłopiec wciąż z nim jest, cały czas obok.

Przed Pakamile, przed Miriam był sam: jedyny sędzia swoich uczynków, których konsekwencji nikt poza nim nie ponosił. Ale chłopiec przesunął granice i poszerzył jego świat, i odtąd wszystko, co powiedział czy zrobił, stało się brzemienne w skutki. Teraz okłamanie Lukasa Khozy zawstydzalo go, jakby tłumaczył się przed Pakamile. Jak tamtego dnia, gdy wybrali się na wędrowkę na wzgórza wokół farmy, kiedy to postanowił nauczyć syna odpowiedzialnie używać strzelby, uświadomić mu, że nie wolno się nią posługiwać bezmyślnie.

Strzelba obudziła w chłopcu myśliwego. Podczas eskapady celował nienaładowaną bronią w ptaki, kamienie i drzewa, naśladując odgłos strzału. Potem jego myśli zatoczyły pełne koło i zapytał:

- Byłeś żołnierzem, Thobela?

- Tak.

- Strzelałeś do ludzi? - spytał, ale bez makabrycznej fascynacji; chłopcy już tacy są.

I co na to odpowiedzieć? Jak opowiedzieć dziecku na przykład o Monachium, gdzie leżał w zasadzce ze snajperską strzelbą, mierząc w przeciwnika sojusznika; pociągnął za spust, krew i mózg rozbryznięły się na jaskrawoniebieskiej ścianie; a potem tchórzliwie, cichaczem prysnął. Tak wyglądała jego wojna, jego bohaterskie czyny.

Jak opisać dziecku dziwny, zatracony świat, w którym żył? Wytłumaczyć, co to apartheid, ucisk, rewolucja i zamieszki? Opowiedzieć o Wschodzie i Zachodzie, murach i dziwnych przymierzach?

Usiadł, opierając się plecami o skałę, i spróbował. Na zakończenie podkreślił, że broni wolno użyć tylko przeciw temu, co niesprawiedliwe; że w ludzi można celować wyłącznie w ostateczności. Gdy wszelkie inne formy obrony i perswazji zawiodą.

Jak teraz.

To powiedziałby Pakamile. Cel uświęca środki. Nie mógł pozwolić ujść bezkarnie niesprawiedliwości, jaką było jego zabójstwo; nie umiał potulnie go zaakceptować. W kraju, w którym system ich zawiodł, tak właśnie wyglądała ostateczność, gdyż ten świat stał się skomplikowany, nie mniej trudny do wyjaśnienia, by

go zrozumieć. Ktoś musiał zająć stanowisko. Ktoś musiał powiedzieć: ani kroku dalej.

Tego próbował nauczyć chłopca. Był to winny swojemu synowi.

Komisarz Benny Griessel przez całe popołudnie poruszał niebo i ziemię i w końcu o czwartej wiedział, że ofiara to czterdzie-stosześcioletnia Josephine Mary McAllister, rozwiedziona w 1994, sumienna, niczym niewyróżniająca się asystentka do spraw administracyjnych w Benson Exports na Waterkant Street. Członkini New Gospel Church w Sea Point, samotna kobieta, której były mąż mieszkał w Pietermaritzburgu, a dwójka dzieci pracowała w Londynie. Dowiedział się też, że wciąż wypożyczała książki z biblioteki publicznej, lubiła powieści Barbary Cartland i Wilbura Smitha, posiadała toyotę corolla rocznik 1999, na koncie w Ned-bank miała 18 762 randy, na karcie kredytowej dług w kwocie 6456 randów i w dzień śmierci zarezerwowała bilet lotniczy do Heathrow, najwyraźniej z zamiarem odwiedzenia dzieci.

Niestety nie trafił, jak w przypadku poprzednich dwóch morderstw, na żaden istotny trop.

Przeciągając walizki przez próg jej mieszkania, doskonale zdawał sobie sprawę, że ryzykuje, ale powiedział sobie, że nie ma wyboru. Gdzie do diabła iść? Do hotelu? Tam alkohol dostaje się, naciskając przycisk telefonu! Ekipa medycyny sądowej zrobiła już tu swoje, a poza tym nikt poza nim nie miał klucza do jej mieszkania.

A ono nie było wyposażone w prysznic, tylko w wannę. Napełnił ją do połowy i leżał w parującej wodzie, obserwując delikatne zmarszczki sunące po powierzchni w rytm bicia jego serca.

Kluczowym elementem śledztwa był niejasny związek między McAllister, Jansen i Rosen. Wszystkie w średnim wieku, mieszkały samotnie w Green Point i Mouillie Point. Żadnych śladów włamania czy przemocy. Każda uduszona przewodem elektrycznym znalezionym w kuchni. Jak sprawca je wybierał? Na ulicy? Siedział w samochodzie i przyglądał się przechodzącym kobietom, dopóki

któraś nie wpadła mu w oko? A potem tak po prostu pukał do drzwi?

Nieemożliwe. W obu apartamentowcach: McAllister i Rosen, były wejścia na kartę i domofon. Kobiety nie otworzyłyby drzwi komuś obcemu - nie w dzisiejszych czasach. Dom Jansen przed wejściem odgradzała stalowa brama.

Nie, jakoś musiał się z nimi zaprzyjaźnić. A potem umawiał się na piątkowy wieczór i podwoził albo odprowadzał je do domu. Używał elektrycznego przewodu z kuchni. Zabierał go do salonu albo sypialni? Jak udawało mu się je zaskoczyć? Bo znaleźli niewiele śladów walki - żadnej skóry pod paznokciami, żadnych siniaków.

Musi być silny. Szybki i konsekwentny.

Psycholog sądowy z Pretorii twierdził, że ten popapraniec na pewno jest już notowany, może za jakieś drobne wykroczenie: napaść, kradzież, naruszenie prywatnej własności, a nawet podpalenie. Bardziej prawdopodobnie za przestępstwo seksualne, może gwałt. „Tacy jak on nie zaczynają od morderstwa, powoli wdrapują się na drabinę przestępstw. Jeśli go złapiecie, znajdziecie u niego pornografię, materiały sadomasochistyczne. W każdym razie jedno nie ulega wątpliwości: nie przestanie. Jest coraz sprawniejszy i nabiera coraz więcej wiary w siebie”.

Griessel wziął mydło i namydlił się, zadając sobie pytanie, czy McAllister też siedziała w tej wannie, zanim do niej przyszedł. Nieświadoma szykowała się na randkę jak jagnię na rzeź?

Dorwie go.

Piątkowe wieczory. Dlaczego akurat w piątki? Oplukał się z mydła.

Czyżby piątek był jego jedynym wieczorem wolnym od pracy? Z jakimi zawodami wiążą się wolne piątkowe wieczory? Należałoby raczej zapytać, z którymi nie? Harowali tylko cholerni policjanci, nikt więcej - reszta świata bawiła się. I mordowała.

Wygramolił się z wanny, ociekając wodą, podszedł do walizki i wyjął ręcznik. Anna położyła jeden na samym wierzchu sterty ubrań. Spakowała go bardzo starannie, jakby jej zależało. Ale te-

raz rozgrzebał zawartość. Trzeba powiesić ubranie, inaczej wszystko się wygniecie.

Musi znaleźć jakieś lokum. Na sześć miesięcy.

Nasłuchiwał ciszy w mieszkaniu, uświadamiając sobie nagle, że jest sam. I trzeźwy. Wybrał jakieś ubranie i je włożył.

Pomimo gniewu Anna porządnie go spakowała. O tej porze jest pewnie w kuchni, jeszcze w stroju do pracy, pobrzękuje naczyniami i słucha stojącego na stole radia. Carla siedzi przy stole w jadalni nad zeszytem z zadaniem domowym, obracając we włosach końcówką długopisu. A Fritz pewnie przed telewizorem: z pilotem w ręku skacze zniecierpliwiony po kanałach. Wciąż w ruchu. Jest podobny do niego - lubi, gdy coś się dzieje.

Jezu, co stało się z jego życiem?

Zmarnował je. Z pomocą Klipdrif, coli i jacka danielsa.

Anonimowi Alkoholicy. Krok dziesiąty: Prowadzimy nieustanny obrachunek moralny, natychmiast przyznając się do popełnianych błędów.

Westchnął głęboko. Pragnienie rozsadzało mu klatkę piersiową. Nie chciał tu być. Chciał iść do domu. Odzyskać rodzinę: żonę i dzieci. I swoje życie. Będzie musiał zacząć od początku. Chciał być taki, jakim był wcześniej - śmiejącym się z życia policjantem z posterunku w Parów. Można zacząć od nowa? Teraz? Mając czterdzieści trzy lata?

I od czego zacząć to zaczynanie od nowa?

Nie trzeba geniusza, żeby znać odpowiedź. Nie był pewny, czy przypadkiem nie powiedział tego głośno. Musi kupić gazetę i poszukać w ogłoszeniach jakiegoś mieszkania, ponieważ to pieprzone tutaj napędzało mu stracha. Ale najpierw powinien zadzwonić. Książkę telefoniczną pani McAllister znalazł w szufladzie szafki z telefonem. Otworzył mniej więcej na początku i jechał palcem w dół listy, kartkując strony, póki nie znalazł tego, czego szukał. Spróbuje jeszcze raz. Jeden ostatni pieprzony raz. Wybrał numer. Nie czekał długo.

- Anonimowi Alkoholicy, dzień dobry - odezwał się kobiecy głos.

Thobela przez przypadek kupił akurat „Argusa”. Czytał gazetę, jedząc smażoną rybę z frytkami w kartonowym opakowaniu, w towarzystwie mew, które czyhały na ogrodzeniu jak żebracy na jałmużnę. Wyglądził leżącą na stole gazetę. Najpierw bez większego zainteresowania przeczytał wstępniak - o kolejnych politycznych zawirowaniach w Zachodniej Prowincji, zarzutach korupcji i zwyczajowych w takich wypadkach zaprzeczeniach. Zanurzył frytkę w sosie z owoców morza. Wtedy zauważył tych kilka linijek w prawym dolnym rogu.

„Policja oskarżona o niekompetencję
Sprawa gwałciciela dzieci oddalona”

Przeczytał artykuł. Skończył jeść i odsunął resztki na bok. Zapatrzył się na spokojne wody portu. Cumowały na nich rzędem wycieczkowce, na których po zachodzie słońca serwowano koktajle poparzoną przez słońce turystom. Ale on nie widział ani zatoki, ani statków. Długo siedział nieruchomo i gapił się przed siebie, trzymając w dużych dłoniach rozpostartą gazetę. Potem jeszcze raz przeczytał artykuł.

Rozległo się pukanie do drzwi gabinetu.

- Proszę wejść.

Kobieta, która wystawiła głowę zza drzwi, była w średnim wieku, miała krótkie czarne włosy i wąski zgrabny nos.

- Przepraszam, że przeszkadzam. Zrobiłam coś do przegryzienia.

Kobiety otaksowały się wzrokiem. Christine zobaczyła udawaną pewność siebie, uległość, szczupłe ciało okryte praktyczną sukienką. Zapracowana kobieta z umiejętnymi dłońmi, które wykorzystuje tylko w kuchni. Z rodzaju tych, dla których seks jest źródłem dzieci, nie przyjemności.

Zesztywniałyby, gdyby usta czy język jej męża ześliznęły się poniżej jej małych, zniszczonych piersi. Christine wiedziała, jaki typ reprezentuje sama, ale wolała go nie zdradzać i starała się wyglądać skromnie. Pastor wstał, podszedł do żony i odebrał od niej tacę.

- Dziękuję, skarbie.

- Proszę bardzo, smacznego - odparła, uśmiechając się zaciśniętymi wargami do Christine. Jej oczy przez krótką chwilę mówiły: Wiem, coś ty za jedna; po czym cicho zamknęła drzwi. Pastor postawił tacę na biurku - kanapki, udka kurczaka, korniszony i serwetki.

- Jak się poznaliście? - zapytała. Wrócił na swój fotel.

- Rita i ja? Na uniwersytecie. Popsuł jej się samochód. Miała stare mini minor. Przejeżdżałem akurat na rowerze i się zatrzymałem.

- To była miłość od pierwszego wejrzenia? Zachichotał.

- Dla mnie tak. Rita miała chłopaka w wojsku.

Jak to? - chciała zapytać. Co w niej zobaczyłeś? Dlaczego wybrałeś właśnie ją? Wyglądała na idealną żonę pastora? Była dziewicą? Była czysta? Wyobraziła sobie ten poprawny, ugrzeczni-ny romans i zdała sobie sprawę, że w młodości zanudziłby ją na śmierć.

- Więc mu ją pan skradł - stwierdziła, ale tak naprawdę wcale już jej to nie interesowało. Poczula, jak napływa stara zazdrość.

- Na tym stanęło. - Uśmiechnął się zadowolony z siebie. - Proszę się częstować.

Nie była głodna. Wzięła kanapkę i zauważyła dodatki: sałatę i pomidory. Położyła ją na talerzu, który postawiła na kolanach. Chciała go zapytać, jak sobie radził z czekaniem, jak opanował pragnienia? Czy studenci pastory się masturbują, czy też w ich świecie to grzech?

Zaczekała, dopóki trzymając w palcach kość, nie zaczął jeść kurczaka. Pochylił się nad talerzem. Jego wargi załśniły od tłuszczu.

- Pierwszy raz uprawiałam seks w wieku piętnastu lat - powiedziała. - Prawdziwy seks.

Chciała, żeby się udławił, ale jego szczeka tylko na chwilę znieruchomiła.

- To ja wybrałam chłopca. Wyróżniłam go. Najmądrzejszego w klasie. Mogłam mieć każdego.

Z niedojedzonym kurczakiem w ręce i ustami pełnymi mięsa był bezradny.

- Im gorliwiej ojciec modlił się, żeby wygonić ze mnie demony, tym bardziej pragnęłam je poznać. Każdego wieczoru. Co wieczór musieliśmy usiąść w salonie, ojciec czytał fragment Biblii, recytował długie modlitwy i prosił Boga, żeby wypędził diabła z Christine. Grzechy ciała. Pokusy. Trzymaliśmy się za ręce, on pocił się i modlił zapamiętale, aż ciarki przechodziły mi po plecach. Zastanawiałam się, jakie demony? Jak one wyglądają? Co robią? Jakby to było, gdyby się pokazały? Dlaczego uwzięły się na mnie? Czyżbym nic nie mogła na to poradzić? Początkowo nie miałam pojęcia. Ale potem chłopcy w szkole zaczęli na mnie patrzeć. Na moje ciało.

Nie chciała już dłużej trzymać talerza na kolanach. Odstawiła go na biurko i skrzyżowała ręce pod piersiami. Powinna się uspokoić; potrzebowała go, jego idealnej żony i tego wszystkiego tutaj. Każdego ranka ojciec poddawał ją inspekcji, jakby była jego żołnierzem. Nie wolno jej było przestąpić progu domu, póki nie zaaprobował długości spódnicy. Czasami odsyłał ją z powrotem, żeby związała włosy czy zmyła z rzęs jakiś ledwo widoczny tusz, aż w końcu nauczyła się wychodzić trochę wcześniej i nakładać makijaż przed lustrem szkolnej toalety. Nie chciała zrezygnować z nowej dla niej uwagi chłopców. To było dziwne. Mając lat trzynaście, była jedną z tłumu: płaska jak deska, blada i rozchichotana. Potem nagle wszystko zaczęło rosnąć: piersi, biodra, nogi, wargi -ta metamorfoza sprawiła, że ojciec stał się jeszcze bardziej zaciekle, i dziwnie wpłynęła na otaczających ją mężczyzn. Zaczęli się z nią witać chłopcy z klasy maturalnej, nauczyciele przystawali przy jej biurku, koledzy z szóstej klasy rzucali jej ukośne spojrzenia i szeptali coś do siebie zza zwiniętych w trąbkę dłoni. W końcu zrozumiała - mniej więcej wtedy, gdy matka podjęła pracę, a ona dołączyła do grupy, która po szkole szła zwykle do jednego z domów, żeby pod nieobecność rodziców sobie popalić i od czasu do czasu wypić. I właśnie przy którejś podobnej okazji Colin Engelbrecht po-

wiedział jej zza niebieskiej chmury dymku z chesterfielda, że ma najseksowniejsze ciało w szkole, fakt uznany oficjalnie. I gdyby zechciała choć raz pokazać mu piersi, zrobi dla niej wszystko.

Dziewczyny w pokoju zarzuciły go poduszkami i okrzyknęły świnią. Wstała, rozpięła bluzkę, rozpięła stanik i pokazała piersi trójce chłopaków. Stała tam z tymi swoimi dużymi cyckami i pierwszy raz w życiu poczuła moc, zobaczyła fascynację w ich oczach, opadłe szczęki, wywołaną żądzą słabość.

Wszystko tak odmienne od okropnej odrazy jej ojca.

Tak właśnie poznała demony.

Po tym zdarzeniu już nic nie było takie samo. Jej odkryte piersi, jak sobie później uświadomiła, stały się przedmiotem powszechnej dyskusji, bo zainteresowanie nią jeszcze wzrosło i zmieniło się podejście mężczyzn do niej. Jej postępek dowodził wyuzdania, stwarzał szansę wygrania szczęśliwego losu. Zaczęła więc to wykorzystywać. Jako broń, tarczę i element gry. Faworytów nagradzała od czasu do czasu wstępem do swojego pokoju i długą sesją przytulank w upale południa w Upington, przywilejem głaskania i lizania piersi, a wtedy obserwowała w skupieniu ich twarze i napawała się niewiarygodnie wielką przyjemnością - tym, że to ona jest przyczyną tej ekstazy, dyszenia, dzikiego walenia serca.

Ale kiedy ich ręce zaczynały wędrować niżej, kierowała je łagodnie, lecz stanowczo ku talii, bo sama chciała zdecydować o tym, kiedy to się zdarzy i z kim.

Pragnęła, żeby to odbyło się tak, jak wymyśliła sobie podczas późnowieczornych fantazji w łóżku, gdy masturbowała się, powoli dręcząc diabła palcami, póki nie wypędziła go w drżącym orgazmie.

Tylko po to, żeby następnej nocy znów wrócił, czając się, czekając na jej dłoń.

Przystojnego, dobrego i mądrego, ale nieśmiałego Johana Era-smusa w okularach ze złotymi oprawkami i delikatnymi rękoma uwiodła w dzień szkolnych zawodów sportowych, w ósmej klasie. Odbyło się to w wysokiej trawie za przystankiem autobusowym. To on był zbyt wystraszony, żeby choć na nią spojrzeć, to on rumienił się jak panienka, gdy mówiła mu cześć. Był łagodny - miał

łagodne oczy, głos i serce. Jemu chciała podarować swój dar, bo nigdy o to nie poprosił. I podarowała.

10

Nazywam się Benny Griessel i jestem alkoholikiem.

- Witaj, Benny - powiedziały szczęśliwym chórem trzydzieści dwie osoby.

- Wczoraj wieczorem wypłem całą butelkę jacka danielsa i uderzyłem żonę. Dziś rano wyrzuciła mnie z domu. Mam za sobą jeden dzień bez picia. Jestem tu, gdyż nie potrafię zapanować nad nałogiem. Jestem tu, bo pragnę odzyskać żonę, dzieci i moje życie.

Wsluchiwał się przez chwilę w bijącą z jego głosu rozpacz; ktoś zaczął klaskać i po chwili w obskurnej parafialnej salce zahuczało od braw.

Stał w ciemności pod długim klockowatym budynkiem, instynktownie notując w pamięci wyjścia z niego, okna i odległość do swojego pikapa. Yellow Rose swojego czasu, w latach pięćdziesiątych, była zapewne wiejskim domem, później została wchłonięta przez rozrastające się Khayelitsha.

Pod krawędzią dachu wisiał neon z nazwą i jaskrawożółtą różą. W środku grzmocił rap. W oknach nie było zasłon. Padające przez nie światło rysowało na parkingu długie pasy niczym krzepiący blask morskiej latarni na zdradliwej czarnej rafie.

Klienci siedzieli upchani gęsto przy tanich stolikach. Między nimi zauważył kilkoro europejskich turystów, zachowywali się z wymuszoną serdecznością ludzi niespokojnych jak misjonarze w wiosce kanibalów. Przepisnął się do środka i zobaczył trzy wolne miejsca przy sosnowym barze. Zamówienia realizowało dwóch młodych czarnych barmanów za ladą, między nimi zwinnie uwi-

jały się kelnerki, każda z żółtą plastikową różą przypiętą na piersi do cienkiej bawełny koszulki.

- Co podać, szefie? - zapytał go barman z niewyraźnym amerykańskim akcentem.

- Macie Windhoek? - odparł w swoim ojczystym języku.

- Lager czy light, przyjacielu?

- Jesteś Xhosa?

- Tak.

Miał ochotę powiedzieć: W takim razie mów do mnie w xhosa, ale ugryzł się w język, bo potrzebował informacji.

- Lager, poproszę.

Barman postawił przed nim piwo i kufel.

- Jedenaście randów osiemdziesiąt.

Jedenaście osiemdziesiąt? Rzeczywiście mają go chyba za szefa. Dał mu piętnaście.

- Reszta dla ciebie. Uniósł kufel i pociągnął duży łyk piwa.

- Mam nadzieję, że gdy skończę, też będziecie klaskać - powiedział Griessel, gdy owacja ucichła. - Bo dziś wieczorem powiem to, co powinienem powiedzieć w dziewięćdziesiątym szóstym. I

niekoniecznie spodoba się wam to, co usłyszycie. - Spojrzał na Verę, prowadzącą spotkanie kolorową kobietę z pełnym współczucia uśmiechem na twarzy. Morze głów odwróciło się ku niemu, w oczach dojrzał odblask bezwarunkowego poparcia Very. Poczul się okropnie nieswojo.

- Z AA mam dwa problemy. - Jego głos dudnił w sali, jakby mówił w pustkę. - Pierwszy: wydaje mi się, że tu nie pasuję. Jestem policjantem. Moja specjalność to morderstwa. Stykam się z nimi codziennie. - Chwycił oparcie stojącego przed nim niebieskiego plastikowego krzesła. Zobaczył, że knykie zbiegły mu z przejęcia, i popatrzył na Verę, bo nie bardzo wiedział, gdzie patrzeć. - A piję, bo dzięki temu przestają słyszeć głosy.

Vera skinęła głową, jakby zrozumiała. Poszukał punktu, na którym można by skupić wzrok. Na ścianie wisiały plakaty.

- Krzyczymy, gdy umieramy - mówił cicho i powoli, bo musiał dobrze ubrać to w słowa. - Kurczowo trzymamy się życia. Trzymamy się bardzo mocno, ale gdy ktoś odegnie nasze palce, spadamy.

-Zorientował się, że pokazuje to dłońmi: obie gwałtownie się rozwarły. -1 wtedy krzyczymy. Bo zdajemy sobie sprawę, że na nic już chwytanie się czegokolwiek, gdyż spadamy za szybko.

Syrena mgłowa przy Mouille Point omiotła okolicę niskim żalobnym buczeniem. W sali parafialnej zalegała śmiertelna cisza. Zacerpnął głęboko powietrza i popatrzył na zebranych. Wyczuł skrępowanie, zmroził ich pogodę ducha.

- Słyszę to. Nic nie mogę na to poradzić. Słyszę za każdym razem, gdy przychodzę na miejsce zbrodni i widzę ofiary. Ten krzyk unosi się nad nimi i czeka, żeby ktoś go usłyszał. A gdy się już go usłyszy, wbija się w czaszkę i tam pozostaje.

Po jego lewej ręce ktoś zakasłał nerwowo.

- To najokropniejszy dźwięk, jaki można sobie wyobrazić -stwierdził i popatrzył na nich, bo potrzebował ich wsparcia. Unikali jego wzroku. - Nikomu jeszcze o tym nie mówiłem - wyznał. Vera poruszyła się, jakby chciała coś wtrącić. Ale teraz nie jej pora. - Ludzie pomyśleliby, że zwariowałem. Wy też tak pomyśleliście. Od razu. Ale nie mam bzika. Gdybym go miał, alkohol by mi nie pomógł. Po nim stawałby się jeszcze większy. A mnie alkohol pomaga. Pomaga, gdy zjawiam się na miejscu zbrodni. Pomaga przetrwać dzień. Pomaga, gdy wracam do domu, widzę żonę i dzieci, słyszę ich śmiech, ale wiem, że w nich też skrywa się ten krzyk, że tam czeka i pewnego dnia się wyrwie. I boję się, że to ja będę tym, który go usłyszy.

Pokręcił głową.

- Tego bym nie zniósł.

Popatrzył w dół i powiedział niemal szeptem:

- Ale najbardziej przeraża mnie świadomość, że ten krzyk jest też we mnie.

Podniósł wzrok i spojrzał Verze w oczy.

- Piję, bo alkohol zagłusza też ten strach.

- Kiedy ostatni raz był tu John Khoza? - zapytał Thobela barmana.

- Kto taki?

- John Khoza,

- Człowieku, tyle luda się tu przewala.

Westchnął, wyjął pięćdziesiąt randów i przesunął banknot po ladzie baru.

- Może sobie przypomnisz. Banknot zniknął.

- Taki chudy pryszczaty typek?

- Właśnie.

- On gada głównie z Boss Manem; jego zapytaj.

- A kiedy ostatnio wpadł i gadał z Boss Manem?

- Człowieku, pracuję na zmiany, nie siedzę tu kołkiem. Staruszka Johna nie widziałem od wieków. - Odszedł, żeby kogoś obsłużyć.

Thobela napił się piwa. Gorzki smak był znajomy, muzyka grała za głośno i bas dudnił mu w piersiach. Przy stoliku pod oknem siedziało siedmiu facetów. Śmiali się rehotliwie. Jeden z nich, kolorowy osiłek z ramionami w tatuażach, kiwał się na stołku. Powalił duszkiem duży kufel piwa, krzyknął coś, co zginęło w gwarze, podniósł wysoko puste naczynie.

Thobeli taka jowialność zdawała się płytka i wymuszona. Od zawsze tak miał, konkretnie od czasów Kazachstanu, a to było wieki temu. Stu dwudziestu czarnych braci w radzieckiej bazie treningowej - wieczorami, zmęczeni jak nieboskie stworzenia, pili, śpiewali i się śmiali. I tęsknili za domem.

Towarzysze i wojownicy.

Barman wrócił za ladę.

- Gdzie znajdę Boss Mana?

- Da się załatwić. - Stanął w wyczekującej pozie, nie mrugnawszy nawet okiem.

Thobela wyjął kolejną pięćdziesiątkę. Barman ani drgnął. Jeszcze jedną. Dłoń zgarnęła pieniądze.

- Daj mi minutę.

- Drugi problem mam z dwunastoma krokami. Znam je na pamięć i rozumiem, że mogą być pomocne. Krok pierwszy jest łatwy, bo spie... wiem, że życie wymknęło mi się spod kontroli, przejął ją alkohol. Krok drugi mówi, że siła większa od nas samych może przywrócić nam zdrowie, a krok trzeci, że powierzamy naszą wolę i życie opiece Boga, jakkolwiek Go pojmujemy.

- Amen - powiedziało kilka osób.

- Problem w tym - ciągnął, nadając głosowi najbardziej przeprasający ton, jaki tylko umiał - że nie wierzę w istnienie tej Siły. Nie w tym mieście.

Nawet Vera unikała jego spojrzenia. Przez chwilę stał i milczał. Potem westchnął.

- To wszystko, co miałem do powiedzenia. I usiadł.

Dopijając drugie piwo, zobaczył idącego w jego stronę Boss Mana, grubego Murzyna z ogoloną głową i złotymi pierścieniami na palcach. Przystawał tu i ówdzie przy stolikach, rozmawiał z gośćmi, a właściwie krzyczał - ale do lady jego słowa i tak nie docierały, tonąc w harmidrze. Podszedł do Thobeli, twarz lśniła mu od kropelek potu. Wyciągnął prawą rękę, błyskając biżuterią.

- Znamy się?

Głos miał niezwykle wysoki i kobiecy, oczy małe i bystre.

- Madison Madikiza; nazywają mnie Boss Manem.

- Maleńki - użył przydomka z przeszłości.

- Maleńki? W takim razie mów mi Chudzielec - roześmiał się Boss Man. Śmiał się zaraźliwym śmiechem, oczy zwięziły mu się w szparki i zatrzęsło całe ciało, które wtaszczył na barowy stół. Zaraz stanęła przed nim wysoka szklanka z zawartością przezroczystą jak woda.

- Na zdrowie. - Wypił łączywie i otarł usta rękawem, kiwając do Thobeli palcem wskazującym. - Znam cię.

- Tak?... - Tętno mu przyspieszyło i uważniej przyjrzał się twarzy mężczyzny. Wolał nie dać się zaskoczyć. Rozpoznanie oznacza kłopoty. Skojarzenia, trop z początkiem i końcem.

- Nie, nic nie mów, sam na to wpadnę. Chwila. - Oczka bacznie mu się przyglądały, namysł zmarszczył łyse czoło.

- Maleńki... Maleńki... Czy to nie ty?... Nie, to był inny facet.

- Nie sędzę...

- Nie, czekaj, czekaj, muszę sobie przypomnieć. Cholera, nigdy nie zapominam twarzy... Powiedz mi tylko, czym się zajmujesz?

- Tym i owym - odparł ostrożnie. Boss Man pstryknął palcami.

- Orlando Arendse - oznajmił. - Chodziłeś koło spraw Orlanda. Ulga.

- To było dawno temu.

- Mam wspaniałą pamięć, przyjacielu. Dziewięćdziesiąty ósmy, siódmy, gdzieś w tych granicach, wtedy pracowałem jeszcze dla Shakesa Senzeni, niech spoczywa w pokoju. Prowadził dziuplę w Gugs, robiłem u niego za brygadzystę. Orlando poprosił o spotkanie w kwestii podziału terytorium, pamiętasz? Wielkie spotkanie w Stikland, siedziałeś obok Orlanda. Już po wszystkim Skakes powiedział, że mądrze zrobiliśmy, nie gadając ze sobą w języku xhosa. Cholera, przyjacielu, popatrz, jaki ten świat jest mały. Słyszałem, że Orlando poszedł na emeryturę, podobno handel narkotykami przejęli Nigeryjczycy. - Orlanda widziałem ostatnio ze dwa, trzy lata temu. - Pamiętał tamto spotkanie, ale tego faceta przed sobą nie. Przy okazji pomyślał jeszcze o czymś, o realizacji alternatywy - ciekawe, gdzie byłby teraz, gdyby pozostał z Orlandem.

- A teraz czym się zajmujesz? Mógł spokojnie trzymać się swojej bajeczki.

- Niezależna robota. Kontaktuję ze sobą ludzi...

Czym by się zajmował po przejściu Orlanda na emeryturę? Prowadziłby nocny klub? Coś na peryferiach prawa. Jak blisko prawdy leżała ta sfabrykowana historyjka?

- Pośrednik? - Pośrednik.

Swego czasu było to niewykluczone, mogło się tak zdarzyć. Ale to przeszłość. A przyszłość? Jaka drogą pójdzie?

- I masz coś dla Johna Khozy?

- Chyba tak.

Przez muzykę przebiły się jakieś wrzaski. Obejrzeni się. Kolorowy osiłek we wzorki tańczył teraz do połowy nagi na stole. Publika go zachęcała, a wytatuowany smok pluł na jego klatę wyblakłym czerwonym ogniem.

Boss Man Madikiza pokręcił głową.

- Oho! Szykują się kłopoty - mruknął i odwrócił się do Thobe-li. - Nie sędzę, żeby John był do wzięcia, przyjacielu. Słyszałem, że uciekł. Zapuszkowali go w Ciskei za rabunek i zabójstwo. Napadł na stację benzynową... ten facet nigdy nie tracił czasu na myślenie. Więc kiedy w sądzie zaczęło robić się gorąco, kupił za dużą kasę klucz, rozumiesz. Nie wiem, gdzie jest, ale na pewno nie w Prowincji Przylądkowej. Inaczej już dawno by się tu pokazał. Poza tym mam na składzie lepszych od niego, tylko powiedz, czego potrzebujesz. Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że może ich nie dorwać. Że jego poszukiwania okażą się bezowocne, że ukryli się w jakiejś dziurze, w której ich nie dosięgnie. Dopadła go ciężka frustracja, poczuł się wyczerpany i bezsilny.

- Problem w tym - odparł, choć już wiedział, że nic z tego nie będzie - że Khoza wie o pewnej robocie. Zna wtyczkę. Nie znasz kogoś, kto wiedziałby, gdzie on się podziewa?

- Ma brata... Ale nie wiem gdzie.

- Nikt więcej? - I co teraz? Jeśli nie znajdzie Khozy i Ramphele? Co dalej? Z trudem opanował emocje i skupił się na słowach Boss Mana.

- Niewiele o nim wiem. John to płotka, jeden z wielu, którzy próbowali mi zaimponować. Wszyscy są z jednej gliny. Przychodzą tu i zgrywają panów, szastają przed dziewczynami pieniędzmi, jakby byli nie wiadomo jakimi gangsta, a potem napadają na stację benzynową. Kompletny brak klasy. Jeżeli Johnny powiedział ci, że ma wtyczkę, to jeśli sprawa jest grubsza, radzę ci uważać.

- Tak właśnie zamierzam. - Farma nie wchodziła w grę. Nie mógł tam wrócić. Frustracja doprowadziłaby go do obłędu. Co ze sobą zrobić?

- Jak mam się z tobą kontaktować? Gdybym coś usłyszał?

- Odezwę się.

Oczka Boss Mana zwięzły się jeszcze bardziej.

- Nie ufasz mi?

- Nie ufam nikomu.

Parsknął śmiechem jak szampan bąbelkami, lepka łapa poklepała jego ramię.

- Dobrze powiedziane, przyjacielu.

Rozległ się huk, który przebił się nawet przez ogłuszającą muzykę. Pod tańczącym smokiem zawalił się stół, facet wyłożył się spektakularnie na podłodze, ku wielkiej uciechu widzów. W ręce trzymał uniesiony tryumfalnie kufel z piwem. - Cholera - zaklął Boss Mann i zlął ze stołka. - Wiedziałem, że zrobi się pierdolnik. Kolorowy mężczyzna wstał niezdarnie, przepaszająco pomachał do Madikiza, a on skinął mu głową z wymuszonym uśmiechem.

- Zapłaci mi za ten stół, śmieć pieprzony. - Odwrócił się do Thobeli. - Wiesz co to za jeden?

- Nie mam pojęcia.

- Enver Davids. Wczoraj wywinął się od paki z oskarżenia o gwałt na dziecku. Z powodów formalnych. Pieprzona policja zawieruszyła dowody, dasz wiarę? Co za burdel, z niego nie trzeba się nawet wykupywać. Historia życia tego faceta jest gorsza od lektury Financial Mail. Przywódca gangu. W ciupie złapał od jakiejś cizi AIDS. W więziennych komórkach spędził więcej czasu, niż ma na zbyciu Vodacom, wypuszczają go warunkowo i facet gwałci dziecko, żeby wyleczyć się z AIDS... A teraz przyłazi chlać tutaj, bo nawet jego banda najchętniej by go ukatrupiła, pieprzone śmierdzące gównem. - Enver Davids - wycedził Thobela.

- Pieprzone śmierdzące gównem - powtórzył Boss Man, ale Thobela już go nie słyszał. Zaczynał dostrzegać sens. Zobaczył przed sobą drogę.

Dłonie na kierownicy się trzęsły. Żyły własnym życiem. Mimo ciepłej letniej nocy było mu zimno i zrozumiał, że zbliża się pragnienie.

To dopiero początki - czeka go straszna noc w mieszkaniu Josephine Mary McAllister. Wyciągnął rękę do radia, z trudem znalazł i nacisnął przycisk. Muzyka. Przyciszył ją. Był wieczór i na ulicach Sea Point tłoczyły się samochody i piesi, ludzie gdzieś szli, mieli jakiś cel. Tylko on nie wiedział, co ze sobą począć. Kiedy już skończyli, otoczyli go kołem. Zebrali się wokół niego i dotykali go, jakby chcieli mu tym dotykiem coś przekazać. Siłę. Może wiarę? Twarze, za dużo twarzy. Z niektórych można było, jak ze słojów drzewa, odczytać ich historię wypisaną w zmarszczkach wokół oczu i ust. Rozdzierające serce historie. Inni skrywali swoje tajemnice za maskami. Ale oczy, oczy mieli takie same -przenikliwe, jarzące się siłą woli, jak u kogoś, kto na wzburzonym morzu uchwycił się kurczowo wiotkiej zielonej gałązki. Przekona się, zapewniali. Przekona się. Lecz jedyne, o czym się przekonał, to to, że został członkiem Klubu Ostatniej Szansy. Czuł dokładnie tę samą rozpacz, tę samą znoszącą go falę powodzi. Wstrząsały nim drgawki jak podczas ataku gorączki. Znow zaczął słyszeć krzyki, pogłośnił więc muzykę. Samochód wypełnił się rytmem. Pogłośnił bardziej. Rock, w afrikaans. Próbował dotrzymać wtóru słowom.

Ek wil huis toe gaan na mamma toe,

Ek wil huis toe ganu na mamma toe.

Za dużo syntezatora, uznał, daleko tej muzyce do prawdziwego rocka, ale dawała się słuchać. *Die rivier is vol, my trane rol.*

Zaparkował przed apartamentowcem, ale nie wysiadł. Palcami przebierał po wyimaginowanym gryfie - tego właśnie brakowało muzyce, porządnej dawki basu. Boże, z jaką przyjemnością wziąłby znow do ręki gitarę. Dygocząca dłoń poruszała się własnym rytmem, na ten smutno komiczny widok miał ochotę głośno się roześmiać.

'n Bokkie wat vanaand by my wil le...

Nostalgia. Gdzie tamte dni, gdy jako dwudziestoletni gówniarz dawał czadu w policyjnej kapeli, aż tynk odpadał od ściany?

Sy kan maar le, ek is 'n loslappie.

Emocje. Zapięły go oczy. Kurczę, no nie, nie jest beksą. Pląnięciem dłoni wyłączył radio, otworzył drzwi i wypadł z samochodu, żeby jak najszybciej stamtąd się wynieść.

11

Pastor zastanawiał się, czy Christine mówi całą prawdę - odpowiedzi szukał między słowami i w mowie jej ciała. Zauważył gniew, stary i nowy, bezwiedną świadomość jej fizyczności. Nieustanne, wyćwiczone zwracanie uwagi na usta, piersi i włosy. Oczy miała dziwnego kształtu, prawie orientalne. Nieduże. Rysów nie cechowała delikatność, ale atrakcyjna regularność. Szyja była raczej silna niż smukła. Czasami uciekała wzrokiem, jakby chciała coś ukryć: potrzebę akceptacji? Zdemoralizowanie? A może była zepsuta jak dziecko usiłujące bez przerwy postawić na swoim, domagające się uwagi i szacunku; osobowość rozdarta między dwoma biegunami - raz śmiała, raz niewiarygodnie krucha. Fascynujące.

Zadzwoił do żony tuż po dziesiątej, gdy pewnie świeżo po kąpieli siedziała na ich łóżku z opatulonymi szlafrokiem kolanami i smarowała nogi balsamem, żeby chwilę później odwrócić się do lustra i delikatnymi ruchami opuszek palców wklepać w twarz krem. Żałował, że go tam nie ma i nie może jej się przyglądać, bo jego wspomnienia tych chwili nieco już wyblakły.

- Jestem trzeźwy - od tego wyznania zaczął rozmowę.
- Cieszę się - odparła, ale bez entuzjazmu, i nie wiedział, co powiedzieć dalej.
- Anno... Milczała.
- Tak mi przykro - zapewnił żarliwie.
- Mnie też, Benny. - Tym samym tonem.

- Nie chcesz wiedzieć, gdzie jestem?

- Nie.

Skinął głową, jakby niczego innego się nie spodziewał.

- W takim razie chcę ci życzyć dobrej nocy.

- Dobranoc, Benny. - Odłożyła słuchawkę.

Przez chwilę siedział z komórką przy uchu, a więc Anna nie wierzy, że mu się uda. Może ma rację.

Spostrzegła, że go oczarowała, i wyznała:

- W dziewiątej klasie przespałam się z nauczycielem. I kumplem ojca.

Nie zareagował.

- Co pastor o tym sądzi? - zapytała, nagle ciekawa jego zdania. Wahał się tak długo, że się zaniepokoiła. Słyszał ją, w ogóle

słuchał? A może wzbudzała w nim odrazę?

- Wydaje mi się, że rozmyślnie próbujesz mnie zaszokować - odparł, ale uśmiechnął się do niej, a ton jego głosu był miękki jak jedwab.

Spłoszyła się na chwilę. Nieświadomie podniosła dłoń do włosów i owinęła na palcu kosmyk.

- Zastanawiam się, dlaczego tego chcesz. Nadal uważasz, że cię osądzam?

Nie była to cała prawda, ale lekko skinęła głową.

- Nie mogę mieć ci tego za złe, gdyż podejrzewam, że nauczyły cię tego doświadczenia z ludźmi.

- Tak - przyznała.

- Widzisz, chrześcijański punkt widzenia odróżnia osobę od jej postępków. Bóg może odrzucać nasze czyny, ale nie odrzuca nas. I tego samego oczekuje ode mnie, skoro pełnię tu Jego posługę.

- Mój ojciec też uważał, że pełni tu Jego posługę - wyrzuciła z siebie odruchowo; odżył w niej stary gniew.

Skrzywił się, jakby zabolowały go jej słowa, jakby to porównanie było nieuprawnione.

- Biblię wykorzystuje się w różnych celach. Strach też.

- Dlaczego w takim razie Bóg na to zezwala? - Wiedziała, że to pytanie musi kiedyś paść, i tym razem jej się wyrwało.

- Pamiętaj...

Nagle poczuła się, jakby rzeczywistość wymknęła jej się spod kontroli, jakby utraciła grunt pod stopami.

- Nie, proszę powiedzieć, dlaczego? Dlaczego On napisał Biblię tak, że można jej używać według własnego widzimisie? - Słyszała swój coraz bardziej podniesiony głos, zawarty w nim ładunek emocji.

- Skoro tak nas kocha? Co takiego Mu zrobiłam? Dlaczego nie wyznaczył mi łatwej drogi? Jak panu i pana żonie? Dlaczego dał mi Viłjoena, a potem pozwolił mu roztrzaskać sobie głowę? W czym zawiniłam? Dał mi mojego ojca, jaką miałam przy nim szansę? Skoro chciał, żebym była silniejsza, dlaczego mnie taką nie stworzył? Albo mądrzejszą? Byłam dzieckiem. Czy potrafiłabym to zrozumieć? Skąd miałam wiedzieć, że dorośli są tacy popieprzeni? - Przekleństwo ostro przecięło powietrze, usłyszała je jego uszami i umilkła. Gniewnym ruchem ręki starła z policzków łzy.

Jego reakcja znów ją zaskoczyła.

- Masz problem - powiedział niemal szeptem. Potaknęła i pociągnęła nosem.

Otworzył szufladę, wyjął opakowanie chusteczek higienicznych i przesunął po biurku w jej stronę. Ten gest trochę ją rozczarował. Potwierdzał, że nie pierwsza wypłakiwała tu swoje życie.

- Poważny problem - powtórzył. Nie wzięła chusteczki.

- Tak.

Położył dużą pokrytą piegami dłoń na tekturowym pudle.

- I to się z nim wiąże?

- Tak - odparła - to się z nim wiąże.

- I się boisz - stwierdził. Skinęła głową.

Zatkał dłonią usta, przyłożył ostrze sagaju do gardła i czekał, aż mężczyzna oprzytomnieje. Drgnął i szeroko otworzył dzikie

przestraszone oczy. Thobela zbliżył usta do jego małego ucha i wyszeptał:

- Jeśli będziesz cicho, dam ci szansę.

Silne ciało Davidsa próbowało się oswobodzić. Dźgnął go czubkiem ostrza w gardło, ale lekko, tylko po to, żeby poczuł ukłucie.

- Leż spokojnie.

Davids znieruchomiał, ale Thobela czuł pod dłonią ruchy jego ust.

- Bądź cicho - szepnął; w nozdrza uderzył go smród alkoholu. Zastanawiał się, na ile facet zdążył wytrzeźwieć, ale nie mógł czekać dłużej - dochodziła czwarta.

- Wychodzimy na dwór. Rozumiesz? Ogolona głowa potaknęła.

- Jeśli piśniesz choć słówko, nim się tam znajdziemy, zadżgam cię.

Głowa znów potaknęła.

- Wstawaj. - Pozwolił mu się podnieść, obejmując od tyłu ramieniem jego szyję i trzymając sagaj pod brodą. Ruszyli ciemnym korytarzem do drzwi. Czuł naprężone mięśnie Davidsa i rozumiał, że jego też rozsadza adrenalina. Gdy znaleźli się na chodniku przed domem, odskoczył szybko kilka kroków, poczekał, aż Davids się odwróci, zobaczył oszalałe czerwone oczy smoka i wyszarpnął z kieszeni nóż, długi rzeźnicki nóż znaleziony w kuchennej szufladzie.

Podał go kolorowemu.

- Trzymaj - powiedział. - To twoja szansa.

Kiedy kwadrans po siódmej Griessei wszedł do sali odpraw swojej macierzystej jednostki w Bishop Lavis, nie zauważył, że koledzy są czymś wyraźnie przejęci.

Usiadł z opuszczoną głową i przerzucał bezmyślnie trzymane na kolanach akta, szukając jakiegoś punktu zaczepienia, na którym dałoby się oprzeć raport. Czuł się oszołomiony - myśli kłębiły się w nim jak srebrzyste ryby nurkujące bezładnie w zielonym

morzu, to tu, to tam, ruchliwe i nieuchwytnie. Spoczęły mu się dłonie. Nie mógł przecież powiedzieć, że do niczego w tej sprawie nie doszedł. Zabijają go śmiechem. Joubert wykopie go jak nic. Nie ma wyjścia, powie, że czeka na dane z medycyny sądowej. Jezu, żeby chociaż nie trzęsły mu się tak ręce. Czuł nudności, chciało mu się wymiotować, wyrzucić z siebie całe gówno.

Nadinspektor Matt Joubert klasnął dwa razy i ostry dźwięk odbił się echem w czaszce Benny'ego. Szum w sali przycichł.

- Pewnie już wszyscy słyszeliście - zaczął Joubert i przez salę przeszedł szmer: - Powiedz im, Bushy.
- W głosie Matta brzmiało zadowolenie i Griessei uznał, że szef jest w dobrym humorze. Coś się musiało wydarzyć.

Bezuidenhout stanął pod ścianą naprzeciwko. Griessei, mrugając, próbował skupić na nim wzrok, mrug-mrug-mrug. Bushy oznajmił głucho:

- Wczoraj wieczorem w Kraaifontein zakłuto Envera Davidsa. W sali odpraw wybuchła radosna wrzawa. Griessei się zmieszał. Co to za jeden, ten Davids?

Hałas buczał mu w głowie i coraz bardziej zbierało mu się na wymioty. Chryste, był chory, czuł się jak zbity pies. - Jego kumple powiedzieli, że poszli się napić do speluny w Khayelitsha i wrócili do domu w Kraaifontein około pierwszej w nocy. Dziś rano, zaraz po piątej, ktoś obudził ich stukaniem do drzwi i poinformował, że na ulicy leży trup.

Griessei wiedział, że zaraz usłyszy krzyk.

- Nikt nic nie słyszał ani nie widział - opowiadał dalej komisarz Bushy Bezuidenhout. - Wygląda na to, że załatwiono go nożem. Ma rany cięte na rękach i jedną na szyi, ale przynajmniej na razie wszystko wskazuje, że zginął od pchnięcia w serce.

Griessei ujrzał padającego na plecy Davidsa - osuwał się z otwartymi szeroko ustami, zobaczył nawet zęby z rdzawobrazowymi plombami i powoli wysuwający się język; krzyk, początkowo gęsty jak melasa, stawał się coraz bardziej piskliwy i się zbliżył.

- Powinni obciąć mu jaja - rzucił Vaughn Cupido.

Policjanci zaśmiali się i krzyk przyspieszył, wypalając w eterze długi wąski tor. Griessel szarpnął głową, próbując mu umknąć, ale on go dopadł.

Wtedy zwymiotował na sucho, krztusząc się; usłyszał śmiech kolegów i kogoś powtarzającego jego imię. Jouberta?

- Benny, coś nie tak? Benny?

Wszystko było nie tak, do cholery, krzyk rozsadał mu czaszkę i już na zawsze w niej pozostanie.

Najpierw pojechał do hotelu w Parów. Ramiona i ubranie miał poplamione krwią Davidsa.

Przypomniawszy sobie słowa Boss Mana: zaraził się AIDS od więziennej cizi.

Umył się bardzo starannie, porządnie wyszorował wodą z mydłem, potem uprał w wannie ubranie, włożył czyste i wrócił do samochodu.

Minęła szósta - niebo na wschodzie zaczynało blednąć. Nie myśląc o niczym, pojechał NI, następnie N7, po czym tuż przy płonących i dymiących kominach rafinerii, wciąż oświetlonych tysiącem świateł, zjechał z autostrady zjazdem na Table View. Na drogę wyruszyły już przewożące ludzi mikrobusy. Dojechał aż do Blouberg. Zaparkował i poszedł na plażę. Poranek był bezchmurny. Na skórze czuł podmuchy kapryśnej bryzy, nie wiadomo jeszcze, z jakiego kierunku. Spojrzał na górę - pierwsze promienie słońca rzeźbiły w niej głębokie, podobne do zmarszczek cienie. Oddychał powoli, z namaszczeniem wciągał i wypuszczał powietrze.

Gdy uspokoił mu się puls, wyjął ze schowka wycinek z wczorajszego „Argusa”.

- Ktoś chce panią skrzywdzić? - zapytał pastor. Wydmuchała głośno nos i popatrzyła na niego przepaszajaco.

W dłoni ścisnęła chusteczkę. Chwyciła kolejną i dmuchnęła znowu.

- Tak.

- Kto? - Sięgnął pod biurko i wysunął biały plastikowy koszyk na śmieci.

Wrzuciła do niego zużyte chusteczki, wzięła kilka czystych i wytarła oczy i policzki.

- Kilka osób - wydusiła i poczuła, że zaraz znów się rozpłacze. Odczekała chwilę, żeby opanować emocje. - Kilka osób.

12

Jesteś pewny, że ten facet to zrobił? - zapytał Bossa Man Madiki-zę, gdyż w jego głowie nagle zaczęła materializować się jakaś myśl i gotowała się w nim krew.

Grubas prychnął i powiedział, że zanim Davids zaczął popijawę, odwiedził go w biurze. Chełpliwy i zadowolony z siebie. Policja miała jego spermę, niezaprzeczone dowody, mogli go za pomocą tych próbek i mikroskopów zapuszkować na resztę życia, ale głęby zapodziały gdzieś próbkę, więc oskarżyciel powlókł się jak niepyszny do sędziego i powiedział: Wysoki Sądzie, spieprzyliśmy trochę sprawę, nie ma już DNA, nie ma oskarżenia o gwałt. No to sąd posłał ich do diabła, chłopie. Nie do wiary.

- Co to za człowiek? - ciągnął Boss Man z odrazą. - Jakim trzeba być bydlakiem, żeby zgwałcić dziecko, no pytam cię?

Thobela nie znajdował odpowiedzi.

- A oni na dodatek znieśli karę śmierci - warknął Boss Man, wstając.

Thobela pożegnał się i wyszedł. Usiadł w swoim wozie. Wsunął rękę za siedzenie i poczuł wypolerowane do połysku drzewce sagaju. Pogłaskał palcami drewno.

Ktoś musi powiedzieć: Ani kroku dalej.

Wypadło na niego.

Pastor odsunął się od niej i przysiadł na krawędzi biurka, a ona poczuła, że coś się między nimi zadziało, jakby nad tym, co ich dzieli, przerzucono most. Albo może tylko jej się tak wydaje, bo

jej niejasny niepokój i strach się rozwiały, ale mowa jego ciała też się zmieniła - czuł się swobodniej. Jeśli starczy panu cierpliwości, powiedziała, to chciałabym opowiedzieć całą historię, od początku. Żeby pan zrozumiał. Może i ja przy okazji zrozumieć, bo nie rozumiem. Tak długo uważała, że nie miała wyjścia, że wybrała jedyną możliwą drogę Ale teraz... nie była tego taka pewna.

Nie śpiesz się, powiedział, i uśmiechnął się, i ten uśmiech był jakiś inny. Ojcowski.

Griessel na koniec zapamiętał tylko to - zanim zabrali go do szpitala Tygerberg i wstrzyknęli mu jakieś gówno, po którym głowę miał jak wypełnioną watą - że Matt Joubert trzymał go za rękę.

Nadinspektor przez całą drogę ambulansem do szpitala powtarzał mu uspokajająco:

- To tylko delirium, Benny, trzymaj się. To tylko delirium. -Ale w jego głosie było więcej zmartwienia niż pociechy.

Na uniwersytecie miała studiować fizjoterapię. Tamtego upalnego styczniowego dnia odwieźli ją całą rodziną. W pokoju w akademiku ojciec zmusił ich, żeby uklękli i się za nią pomodlili - on modlił się długo i żarliwie, szczegółowo opisując nikczemności Bloemfontein, aż na nachmurzone czoło wystąpił mu pot.

Gdy w końcu wpakowali się do białej toyoty cressidy, stała na chodniku. Czuła się wspaniale: wolność, przyprawiająca o zawrót głowy euforia. „Czułam się tak, jakby ktoś dał mi skrzydła” - tak to opisała. Dopóki nie dostrzegła twarzy oglądającej się za nią matki. Pierwszy raz zobaczyła wtedy swoją rodzinę z zewnątrz i wyraz twarzy matki bardzo ją poruszył. W tej krótkiej sekundzie, zanim matka znów włożyła maskę, wyczytała w jej twarzy tęsknotę, zazdrość i pragnienie - jakby też chętnie została, uciekła jak córka. Wtedy dotarło do Christine, że nie była jedyną ofiarą.

Zamierzała po immatrykulacji napisać do matki list, wyrazić swoją solidarność, miłość i szacunek. Chciała do tego nawiązać, gdy matka pierwszy raz zadzwoniła do akademika, żeby dowie-

dzieć się, co u niej słycać. Ale jakoś nie umiała znaleźć właściwych słów. Z powodu poczucia winy - jej się udało uciec, matce nie? A może dlatego, że pochłonoło ją nowe życie, nie zostawiając czasu ani miejsca na przygnębienie. Cieszyła się nim ogromnie, każdym jego tchnieniem. Zabawy, spotkania w akademiku, towarzyskie pogaduszki przy kawie, studenckie akcje, piękne stare budynki, tańce, obozy integracyjne, ludzie, rozległe połacie trawników i wysadzone drzewami aleje. Czarę ze słodkim trunkiem wypła do dna, nie mogąc się nasycić.

- Nie uwierzy pastor, ale na dziesięć miesięcy zapomniałam o seksie. Żyłam w stuprocentowym celibacie. Petting owszem, było czterech, pięciu czy sześciu facetów, z którymi się w to bawiłam. Kiedyś nawet spędziłam noc u studenta medycyny, ale pozwoliłam się pieścić tylko do talii. Zdarzało mi się pić, na wszelki wypadek jednak pozwalałam sobie na to wyłącznie na babskich wieczorkach... Żyłam w tym celibacie nie z powodu listów od ojca - pełnych długich, chaotycznych kazań i cytatów z Biblii - których później nawet już nie otwierałam, tylko od razu wyrzucałam do śmieci. Zawarłam z nowym życiem umowę: Nie zrobię nic, co by je mogło spie... popsuć.

Nie chciała kusić losu ani wystawiać bogów na próbę. Wprawdzie niejasno zdawała sobie sprawę, że jej wiara w ich opiekę niezupełnie jest racjonalna, gdyż niespecjalnie radzi sobie na studiach, ciągle o krok od porażki, ale dotrzymywała umowy i bogowie nie przestawali się do niej uśmiechać.

A potem poznała Viljoena.

W ostrej krytyce sposobu, w jaki państwo potraktowało tę sprawę, sędzia Rosenstein zacytował ostatnie doniesienia prasowe dotyczące dramatycznego wzrostu przestępczości, której ofiarą padają dzieci.

- W ostatnim roku prowadzono w tym kraju dochodzenie w sprawie pięciu tysięcy przypadków gwałtu na dzieciach poniżej dwunastego roku życia i około dziesięciu tysięcy przypadków gwałtu na dzieciach w przedziale wiekowym od dwunastu do

siedemnastu lat. Z czego na samym półwyspie ponad tysiąc przypadków i liczba ta stale wzrasta. Tę statystykę jeszcze bardziej wstrząsającą czynią szacunki: tylko piętnaście procent tych przestępstw jest zgłaszane. Do tego dochodzą jeszcze morderstwa dzieci. Padają nie tylko przypadkową ofiarą gangsterskich porachunków lub zostają niewinnymi ofiarami pedofilów, ale zabijane są też z powodu bezsensownego przeświadczenia, że mogą wyleczyć z AIDS - powiedział. - Fakty i liczby wyraźnie wskazują, że społeczeństwo nie chroni odpowiednio naszych dzieci. Co więcej, okazuje się, że mechanizm państwa jest niezdolny postawić przed sądem sprawców tych ohydnych zbrodni. Skoro dzieci nie mogą polegać na ochronie aparatu sprawiedliwości, do kogo mają się zwrócić?

Thobela złożył artykuł i wsunął do kieszeni koszuli. Ruszył plażą, czując pod butami miękki piasek. Z rękami w kieszeniach spodni stanął przy samym brzegu, tuż za zasięgiem rozlewających się po piasku białych spienionych fal. Wyobraził sobie Pakamile, jak ściga się z kolegami, biegnąc plażą. Słyszał ich wołania, widział nagie torsy i ziarenka piasku na skórze, małe gwiazdki na czekoladowym firmamencie. Pędzili z uniesionymi wysoko ramionami jak sunąca w szyku eskadra. Na wielkanocny weekend zabrał ich do Haga Haga na wybrzeżu Transkei. Obozowali pod namiotami, gotowali nad ogniskiem, chłopcy pływali, w sadzawkach tworzących się w zagłębieniach skał łapali ryby na żyłkę i bawili się na wydmach w gry wojenne. Potem do późna w nocy słyszał dobiegające z sąsiedniego namiotu ich stłumione śmiechy i rozmowy.

Mrugnął, plaża opustoszała, a on poczuł się wykończony. Niedostatkiem snu i skutkami wcześniejszego przyływu adrenaliny.

Ruszył plażą na północ. Usiłował odszukać w sobie to absolutne przekonanie, którego nabrał w Yellow Rose, kiedy miał wrażenie, że cały wszechświat wskazuje mu drogę: to właśnie powinienś uczynić. Gdy czuł się tak, jak przed dwudziestoma laty - wtedy był przeświadczony o absolutnej słuszności walki, do której wiodły go jego korzenie, instynkt, cała natura, a on niezachwianie wierzył, że rozpoznał swoje powołanie.

Ktoś musi powiedzieć: Ani kroku dalej. „Skoro dzieci nie mogą polegać na ochronie aparatu sprawiedliwości, do kogo mają się zwrócić?” Był wojownikiem, a na jego ziemi wciąż toczyła się wojna.

Tylko dlaczego teraz brzmi to tak pusto?

Powinien się przespać; sen przywróci mu właściwą perspektywę. Ale odpychały go cztery ściany hotelowego pokoju - potrzebował otwartej przestrzeni, słońca, wiatru, horyzontu. Nie chciał zamykać się sam na sam z myślami.

Zawsze był człowiekiem czynu, nie umiał przyglądać się z boku. Jest i nadal będzie żołnierzem - na jego drodze stanął gwałciciel, zawrzała więc w nim krew. Postąpił słusznie, bez względu na to, co teraz czuje. Mimo że rankiem to przekonanie nie wydawało mu się już tak niezłomne.

Zostawią w spokoju dzieci tej ziemi, nędzne psy, dopilnuje tego. Khoza i Ramphele się ukrywają, uciekli i gdzieś się zaszyli. Ale wcześniej czy później wrócą, nawiążą jakiś kontakt czy coś zrobią; wtedy trafi na ich ślad, wytropi ich, ich kryjówkę i sagaj znów przemówi. Wcześniej czy później. Polowanie wymaga cierpliwości.

A tymczasem ma zadanie do wykonania.

- Nie radziłam sobie finansowo. Zawsze brakowało mi pieniędzy. Ojciec co miesiąc wpłacał na moje konto sto randów. Sto randów. Nawet kiedy bardzo się starałam, wystarczały góra na dwa tygodnie. Może trzy, jeśli rezygnowałam z prasy, papierosów czy udawałam zajętą, gdy znajomi szli do kina, knajpki czy się zabawić... ale i tak na miesiąc, a nie chciałam prosić o więcej, bo musiałabym się spowiadać, na co je wydaję, i wysłuchiwać kazań. Dowiedziałam się, że firma cateringowa na Westdene poszukuje studentów. Organizowali śluby i różne uroczystości, za kelnero-wanie czy pomoc w sobotni wieczór płacili dziewięćdziesiąt randów i dawali zaliczkę na ubranie. Wymagali, żeby nosić czarne rajstopy, czarną obcisłą spódniczkę i białą bluzkę. Poszłam do nich i dali mi pracę, dwóch miłych gejów w średnim wieku, którzy co dwa tygodnie rozstawali się z wielkim hukiem, ale schodzili się

w porę, żeby sprostać następnemu zadaniu. Praca była niezła, gdy już przywykło się do tylu godzin na nogach, a w tym stroju wyglądałam naprawdę nieźle. Ale najważniejsze, że miałam pieniądze. Wolność. Nie wiem... mogłam iść do Mimosa Mail, przymierzyć dzinsy Diesla, zdecydować się i po prostu je kupić. Świadomość tego po tym, jak zawsze brakowało mi kasy, była fantastyczna. Na początku pracowałam tylko w soboty, potem też w piątki i czasem w środy. Dla pieniędzy. Dla... poczucia mocy, tak można to określić... W październiku obsługiwaliśmy przyjęcie golfowe w Sho-emans Park. Podaliśmy danie główne i wyszłam na dwór na papierosa; przy osiemnastym dołku stał Viljoen z butelką w ręce i tak znacząco na mnie popatrzył. Po czym zapytał, czy się z nim napiję. Musieli mu coś wstrzyknąć, bo gdy się obudził, niechętnie i z trudem, był już poranek, a on leżał z twarzą zwróconą do szpitalnej ściany. Dopiero po jakimś czasie zauważył w ramieniu igłę i wąską rurkę. Już nie dygotał.

Przyszła pielęgniarka. Zadawała mu pytania. Odpowiadał zachrypniętym głosem. Niewykluczone, że mówił za głośno, ale słyszał ją jak przez mgłę. Ujęła jego nadgarstek, drugą ręką podniosła do oczu zegarek przypięty na wysokości piersi do fartucha. Uznał, że to dość dziwne miejsce na zegarek. Włożyła w jego wyschnięte usta termometr i cicho coś mówiła. Była Murzynką z policzkami oznaczonymi bliznami po trądziku. Popatrzyła na niego łagodnie, zapisała coś w karcie i sobie poszła.

Po czym zjawily się dwie inne pielęgniarki; przywiozły na wózku śniadanie. Umieściły tacę na łóżku. Dwie zaaferowane, ćwierkające ptaszyny. Postawiły na tacy parujący talerz i oznajmiły:

- Ma pan wszystko zjeść, sierżancie, musi się pan dobrze odżywiać.

I też go zostawiły.

Gdy przyszedł lekarz, jedzenie stało zimne i nietknięte, a Griessel leżał zwinięty w kłębek, z rękoma między nogami i ocieżałą głową. Starał się nie myśleć, bo w myślach zadręczał się tylko kłopotami.

Lekarz był człowiekiem niemłodym; niski, łysy facet w grubych okularach. Resztki włosów zwisały w szarych kosmykach na plecach. Przystudiował kartę pacjenta, po czym usiadł przy łóżku.

- Naszprycowałem pana tiaminą i valium. Powinno pomóc na zespół odstawienia. Ale musi pan jeść - powiedział cicho.

Griessel milczał.

- Rzucenie picia to odważna decyzja. - Widocznie Matt Jo-ubert z nim rozmawiał.

- Powiedzieli panu, że zostawiła mnie żona?

- Nie. Przez alkohol?

Griessel podsunął się wyżej na łóżku.

- Uderzyłem ją po pijaku.

- Od jak dawna jest pan uzależniony?

- Czternaście pieprzonych lat.

- No to dobrze, że pan przestał. Wątroba wytrzyma do czasu.

- Nie wiem, czy dam radę.

- Też miałem wątpliwości, a nie piję od dwudziestu czterech lat. Griessel usiadł.

- Był pan alkoholikiem? Lekarz zamrugał.

- Dlatego dziś rano posłali po mnie. Można powiedzieć, że jestem ekspertem. Przez jedenaście lat piłem jak szewc. Przepiłem gabinet, rodzinę i mercedesa-benz. Trzy razy przysięgałem, że już ani kropelki, i trzy razy zawodziłem. W końcu nie miałem już nic poza rozwaloną trzustką.

- Przyjęła pana z powrotem?

- Przyjęła. - Lekarz się uśmiechnął. - Żeby to uczcić, sprawiliśmy sobie kolejną parkę dzieciaków.

Szkoda tylko, że urodę odziedziczyły po mnie.

- Jak się to panu udało?

- Nie obyło się bez seksu.

- Och, nie, pytam...

Lekarz ujął dłoń Griessela i zaśmiał się z zamkniętymi oczami.

- Rozumiem, o co pan pyta.

- Ach. - Griessel wreszcie się uśmiechnął.

- Krok po kroku, dzień po dniu. I AA. Udało mi się chyba też dlatego, że już niżej upaść nie mogłem. Przetestowałem chyba wszystkie możliwe leki, poza antabusem, który wywołuje wymioty, jeśli człowiek się napije. Ale wiedziałem z książek, że to bez sensu; jeśli naprawdę chce się pić, po prostu nie bierze się tabletek.

- A teraz są leki, po których już się nie pije?

- Żaden lek nie sprawi, że człowiek przestanie pić. Tylko samemu można to osiągnąć.

Zawiedziony Griessel pokiwał głową.

- Ale mogą pomóc przetrwać okres odstawienia.

- Zaradzić *delirium tremens*.

- Jeszcze pan nie wie, co to delirium, przyjacielu. Przychodzi dopiero trzy do pięciu dni po odstawieniu. To, co pan miał wczoraj, to tylko zwykłe mdłości i pewnie halucynacje, jakie miewają nałogowcy po odstawieniu alkoholu. Czuł pan dziwne zapachy?

- Tak. - Słyszał dziwne rzeczy?

- O właśnie - odparł z naciskiem.

- Ostry objaw odstawienia, ale jeszcze nie delirium, powinien pan się cieszyć. Delirium to piekło i jeszcze nie znaleźliśmy metody, żeby mu zaradzić. Jak pójdzie naprawdę źle, można dostać ciężkiego napadu padaczkowego, zawału serca albo udaru, a wszystko to może skończyć się śmiercią.

- Jezu.

- Naprawdę chce pan przestać, Griessel?

- Tak.

- W takim razie to pański szczęśliwy dzień.

13

To była kolorowa kobieta z trojgiem dzieci i mężem w więzieniu. Pracowała jako recepcjonistka w warsztacie Quay Delta na Paar-

den Island i nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że ta sprawa przybierze taki obrót.

Gazetę „Argus” przywożono codziennie o dwunastej trzydzieści, cztery egzemplarze do poczekalni, żeby klienci czekający na naprawę swoich samochodów się nie nudzili. Kobieta miała zwyczaj szybko przeglądać najważniejsze wiadomości dnia. Dzisiaj zrobiła to z nieco większą uwagą niż zwykle, gdyż szukała czegoś konkretnego.

Znalazła to na pierwszej stronie, tuż pod miejscem zagięcia złożonej gazety. Już sama lektura nagłówka powiedziała jej, że wszystko pokręcono.

O zabójstwo mężczyzny oskarżonego o zgwałcenie dziecka podejrzewa się policję

Szybko przeczytała artykuł i cmoknęła.

„Za wczorajszym zabójstwem Envera Davidsa podejrzanego o zgwałcenie dziecka może stać Południowoafrykańska Służba Policyjna.

Rzecznik prasowy Forum Praw Obywatelskich Prowincji Przylądkowej, pan David Rosenthal, powiedział, że jego organizacja otrzymała poufne informacje z bardzo pewnego źródła w policji.

Źródło to dało do zrozumienia, że za zabójstwem stoi wydział przestępstw ciężkich i bandytyzmu (SVC). Seropozytywny Davids, którego uwolniono od zarzutu zabójstwa i gwałtu dziecka trzy dni po tym, jak SVC zawieruszyło niezwykle ważny dla sprawy dowód w postaci DNA, został dziś wczesnym rankiem znaleziony z raną w sercu na ulicy Kraaifontein.

Nadinspektor Matt Joubert, szef SVC, energicznie zaprzeczył tym pogłoskom, nazywając przypuszczenie, jakoby to dwójka oficerów z jego wydziału wytropiła Davidsa i go zabiła, złośliwym, błędnym i całkowicie bezpodstawnym. Przyznaje, że wydział był dobity i zirytowany ostrą krytyką sędziego wytykającego mu błędy w prowadzeniu sprawy, gdyż została ona z tego powodu oddalona...”

Kobieta pokręciła głową.

Musi coś zrobić. Gdy dziś rano weszła do ciemnej kuchni po słoiczek vicks, żeby natrzeć plecy dziecka, zobaczyła ze swojego

okna jakiś ruch - okropny taniec na chodniku. W świetle latarni rozpoznała twarz Davidsa. I jednego była absolutnie pewna. Mężczyzna z krótkim sagajem nie był policjantem. Znała policjantów; policjanta umiała rozpoznać na kilometr. Przez próg jej mieszkania przewinęła się już chyba cała brygada, dziś rano też przyszli spytać, czy czegoś nie widziała, ale zaprzeczyła.

Poszukała na pierwszej stronie „Argusa” numeru telefonu do redakcji i zadzwoniła. Poprosiła o połączenie z dziennikarzem, który napisał artykuł. - To nie policja zabiła Envera Davidsa - powiedziała bez zbędnych wstępów. - Z kim rozmawiam?

- To nieistotne.

- A skąd pani wie, że to nie policja?

Spodziewała się tego pytania. Ale nie mogła odpowiedzieć, bo by ją namierzyli. Jedno słowo za dużo, a będą wiedzieli, że to ona.

- Można przyjąć, że mam wiedzę z pierwszej ręki.

- Chce pani powiedzieć, że brała pani udział w tym zabójstwie?

- Chcę tylko powiedzieć, że to nie była policja. Na pewno nie.

- Należy pani do Pagad?

- Nie, nie należę. To nie była grupa, tylko jeden człowiek.

- Tym człowiekiem jest pani?

- Zaraz odłożę słuchawkę.

- Proszę zaczekać. Jak mogę pani uwierzyć? Skąd mam wiedzieć, że nie jest pani wariatką?

Zastanawiała się chwilę.

- Zabito go włócznią. Sagajem. Możecie to sprawdzić - odparła w końcu.

Odłożyła słuchawkę.

W ten sposób zaczęła się historia z Artemidą.

Tego wieczoru odwiedził go Joubert ze swoją żoną Angielką. Jedyne, co zauważał, to jak się dotykają, wielkolud nadinspektor i jego ruda żona o łagodnych oczach. Choć byli małżeństwem od

czterech lat, wciąż zachowywali się jak nowożeńcy. Joubert opowiedział mu o oskarżeniach, jakoby wydział był odpowiedzialny za śmierć Davidsa. Margaret Joubert przyniosła mu czasopisma. Rozmawiali o wszystkim, tylko nie o jego problemie. Żegnając się, Joubert położył łapsko na jego ramieniu i powiedział:

- Trzymaj się Benny.

Po ich wyjściu zastanawiał się, kiedy oni z Anną ostatnio się dotykali. W taki sposób.

Nie mógł sobie przypomnieć.

Cholera, nawet nie pamiętał, kiedy ostatnio uprawiali seks. I kiedy ostatnio w ogóle miał na niego ochotę. Wprawdzie zdarzało się, że podczas spędzanych w półpijanym widzie dni myślał o nim, ale gdy dociera! do domu, zapominał, bo alkohol robił swoje.

A co z Anną? Miała takie potrzeby? Ona nie piła. Lubiała seks, kiedyś zanim rozpił się na amen.

Zawsze się z nim bawiła, gdy nachodziła go ochota, czasem dwa razy na tydzień, brała w delikatne palce jego nabrzmiały członek i zaczynała ich rytualną zabawę, która zaczęła się spontanicznie i której nigdy nie zarzucali. - Skąd tyś to wziął, Benny?

- Była wyprzedaż w Checkers, to wziąłem cztery. Albo:

- Przehandlowałem z Żydem za ćwierć metra burskiej kiełbasy. Nie bój się, jest bez mycki.

Za każdym razem wymyślał coś nowego, a ona śmiała się, nawet wtedy, gdy nie starczało mu pomysowości i opowiadka wypadała nieciekawie. Kochali się radośnie i pogodnie, poważniała dopiero przy orgazmie. Potem leżeli objęci, a ona mówiła:

- Kocham cię, Benny.

Niszczył to systematycznie, jak wszystko inne.

Tęsknił. Gdzie są tamte dni, Panie, czy kiedykolwiek wrócą? Ciekawe, co robiła Anna, gdy nachodziła ją ochota? Jak sobie radziła przez minione dwa czy trzy lata? Sama? Czy może?...

Panika. A jeśli kogoś miała? Jezu, zastrzeliłby drania, cholera. Nikomu nie pozwoli dotknąć swojej Anny.

Popatrzył na swoje dłonie, zaciśnięte pięści, blade knykie. Uspokój się, uspokój. Lekarz powiedział, że będzie rozchwiany emocjonalnie, nerwowo. Musi się uspokoić.

Rozwarł pięści i wziął czasopisma.

„Car”. Margaret Joubert przyniosła mu pisma dla facetów, ale samochody nie były jego pasją.

Podobnie jak „Popular Mechanics”. Na okładce widniał rysunek futurystycznego samolotu. Tytuł na pierwszej stronie głosił *Z Nowego Jorku do Londynu w 30 minut?*

- Kogo to obchodzi? - zapytał sam siebie.

Jego pasją było picie, ale niestety nie wydawano czasopism o tej tematyce.

Wyłączył światło. Czekala go długa noc.

Kobieta w kafejce internetowej przy Long Street miała cały płatek ucha oblepiony kolczykami i błyszczący przedmiot w nozdrzu. Thobela uznał, że te ozdoby nie dodają jej urody.

- Nie wiem, jak się z tego korzysta - powiedział.

- Internet kosztuje dwadzieścia randów za godzinę - oznajmiła, jakby ten fakt dyskwalifikował go na starcie. - Potrzebuję kogoś, kto mnie nauczy - nie rezygnował, postawiony na nogi poobiednią drzemką. - Co pan chce robić?

- Słyszałem, że można czytać tu prasę. I znaleźć artykuły nawet z poprzednich lat.

- Archiwa. To się nazywa archiwa internetowe.

- Aha... Nie pokazałaby mi pani?

- Nie prowadzimy szkoleń.

- Zapłacę.

Dojrzał błysk w jej bladozielonych oczach: nadarzała się okazja wyciśnięcia ciężkiego grosza z głupiego Murzyna, ale czy zadanie okaże się nużące i niewdzięczne?

- Dwieście randów za godzinę, ale będzie pan musiał poczekać, aż skończę zmianę.

- Pięćdziesiąt - powiedział. - Zaczekam

Zaskoczył ją, ale szybko się pozbierała.

- Sto albo koniec rozmowy.

- Sto, ale pani stawia kawę. Wyciągnęła dłoń i się uśmiechnęła.

- Zgoda. Jestem Simone.

Zobaczył, że w języku też tkwi coś błyszczącego.

Viljoen. Nie był wysoki, zaledwie pół głowy wyższy od niej. Nie był też oszałamiająco przystojny. Na nadgarstku nosił miedzianą bransoletkę, a na szyi wąski złoty łańcuszek, który jej się nie podobał. Nie należał do biednych, tylko nie wykazywał żadnego zainteresowania pieniędzmi. Lakier jego ośmioletniego pikapa z napędem na cztery koła tak wyblakł pod słońcem Wolnego Stanu, że nikt by nie zgadł, jakiego koloru był pierwotnie. Samochód dzień w dzień stał na parkingu klubu golfowego Schoemans, podczas gdy jego właściciel udzielał lekcji golfa, sprzedawał piłki golfowe w sklepie ze sprzętem albo rozgrywał partyjkę czy dwie z któryś z ważniejszych członków klubu.

Był zawodowym golfistą. Teoretycznie. Na Sunshine Tour wytrzymał tylko trzy miesiące, potem skończyły mu się pieniądze, bo nie umiał grać pod presją stresu. Dostawał dreszczy, czkawki, jak to nazywał. Przymierzał się do piłki, cofał się, przyjmował odpowiednią pozycję i znowu się przymierzał, lecz zawsze uderzał za krótko. Zjadały go nerwy.

- Został rezydentem w Schoemans Park. Tamtej nocy zobaczyłam go przy osiemnastym dołku z butelką w ręce. Poczulałam się dziwnie. Zupełnie jakbyśmy się znali. Byliśmy tacy sami, tego samego rodzaju. Trochę odstawieni na bok. Gdy się mieszka w akademiku, szybko można to zauważyć: że nie całkiem się przynależy. Nikt nic nie mówi, wszyscy są mili, masz towarzystwo, śmiejecie się i martwicie o egzaminy, ale tak naprawdę nie przynależysz. I Viljoen to wyczuł. Znał to, bo z nim było dokładnie tak samo. Zaczęliśmy rozmawiać. Było tak... naturalnie, od początku. Gdy musiałam wracać do klubu, zapytał mnie, co robię po pracy. Powiedziałam, że muszę złapać transport do akademika,

więc nie mogę się spotkać; zaproponował, że mnie podrzuci. A kiedy wszyscy już sobie poszli, zapytał mnie, czy nie ponosiłabym mu piłeczek, bo chciał chwilę pograć w golfa. Chyba był trochę pijany. Stwierdziłam, że nie da się grać w golfa po ciemku, na co odparł, że tak właśnie wszyscy myślą, ale udowodni mi, że to nieprawda.

Letnia noc w Bloemfontein... Poczula tamten zapach skoszonej trawy, usłyszała dźwięki ciemności i zobaczyła sierp księżyca. Pamiętała nawet, jak na opalonej skórze Viljoena lśniło światło padające z werandy budynku klubu. Widziała jego szerokie ramiona, ten dziwny uśmiech i wyraz oczu i tę otaczającą go aurę jakiejś straszliwej samotności. Przypomniała sobie odgłos kija golfowego uderzającego w piłkę i to, jak leciała w mrok, a Viljoen wołał: „Chodź moja pomocniczko, niech cię nie rozprasza owacja tłumów”. Miał łagodny, ironiczny głos. Przed każdym uderzeniem wypijali łyk półsłodkiego białego wina z wciąż jeszcze chłodnej butelki. „Wieczorem nie mam tej czkawki”, powiedział i świetnie mu wychodziły uderzenia, i długie, i krótkie. Po ciemku piłka obracała się idealnie, idealnie płynęła po nierównym trawniku i brzęcząc, wpadła do dołka. Przy szóstym dołku ją pocałował, ale wtedy wiedziała już, że bardzo go lubi i że ten pocałunek jest w porządku, w absolutnym porządku.

- Rozegrał po ciemku dziewięć dołków, a ja się w nim przez ten czas zakochałam - tylko tyle powiedziała pastorowi. Zupełnie, jakby wspomnienia tamtej nocy chciała zachować dla siebie, jakby mogły zblaknąć, gdyby wydobyła je z ciemności na światło dnia.

Usiadł na piaszczystym bunkrze przy dziewiątym dołku, wypełnił kartę wyników i ogłosił, że zdobył trzydzieści trzy punkty.

„Ujemne?”, dokuczała mu.

„Dodatnie”, roześmiał się. Cicho, jakoś tak po kobiecemu. Pocałował ją znowu. Powoli i delikatnie, jakby zależało mu na tym, żeby zrobić to jak najlepiej. Potem z taką samą troską położył ją i rozebrał, każdą część ubrania starannie kładąc na trawie. Uklęknął nad nią i całował ją od szyi do kostek, z wyrazem absolutnego zachwyty na twarzy: że dany mu jest ten przywilej, ta magiczna

szansa. Potem wszedł w nią, w jego oczach pojawiła się taka intensywność, rytm stawał się coraz szybszy, on coraz bardziej niecierpliwy, aż się w niej zatracił.

Niechętnie wróciła do terażniejszości. Pastor cierpliwie czekał, aż przerwie milczenie.

Zastanawiając się, dlaczego wspomnienia tak bardzo powiązane są z zapachem, bo czuła jego zapach: dezodorantu i potu, nasienia, trawy i piasku, powiedziała:

- Przy dziewiątym dołku poczęła się Sonia.

I wyciągnęła dłoń po chusteczkę.

14

Barkhuizen, lekarz w okularach z grubymi soczewkami i o długich włosach, tym razem zaplecionych w zabawny warkoczyk, wpadł znowu następnego ranka, tuż po tym jak Griessel bez entuzjazmu i apetytu przełknął śniadanie.

- Dobrze widzieć, że coś jesz - powiedział. - Jak się czujesz? Griessel wykonał gest oznaczający: lepiej nie mówić.

- Nie masz apetytu? Skinął głową.

- Mdłości?

- Trochę.

Lekarz zaświecił mu latarką w oczy.

- Ból głowy?

- Tak.

Przyłożył stetoskop do jego piersi i słuchał, badając palcami puls Griessela.

- Znalazłem ci mieszkanie. Griessel nie odpowiedział.

- Masz serce jak dzwon, przyjacielu. - Włożył stetoskop do kieszeni białego fartucha i usiadł. - Niedrogie. Kawalerka w Gardens,

kuchnia i salon na dole, drewniane schody do sypialni. Prysznic, umywalka i toaleta. Tysiąc dwieście miesięcznie. Budynek stary, ale czysty.

Griessel wbił wzrok w przeciwległą ścianę.

- Chcesz je?

- Nie wiem.

- Co ci jest, Benny?

- Niedawno byłem zły, doktorze. Teraz mam wszystko w dupie.

- Zły na kogo?

- Na wszystkich. Na żonę. Na siebie. Na pana.

- Nie zapominaj, że jesteś w żałobie z powodu śmierci przyjaciółki butelki. Pierwsza reakcja to gniew.

Zdarza się, że ludzie tkwią na etapie gniewu przez lata. Możesz ich rozpoznać na spotkaniu AA:

napadają na wszystkich i wszystko, krzyczą i klną. Ale to na nic nie pomaga. Potem przychodzi

depresja. Wraz z wycofaniem. Apatia i znużenie. Musisz tego doświadczyć; wyjść z wycofania przez

wściekłość i rezygnację i dojść do akceptacji. Musisz uporać się z życiem.

- Jakim pieprzonym życiem?

- Tym, które musisz sobie urządzić. Musisz znaleźć sobie coś, co zastąpi alkohol. Potrzebujesz odpoczynku, hobby, ćwiczeń. Ale krok po kroczku, Benny, dzień po dniu. I teraz właśnie rozmawiamy o jutrze. - Nic, kurczę, nie mam. Tylko walizki z ubraniami.

- Jeśli się zdecydujesz na to mieszkanie, twoja żona wyśle ci do niego łóżko.

- Rozmawiałaś z nią? - Tak. Ona chce pomóc, Benny.

- Dlaczego mnie nie odwiedziła?

- Powiedziała, że ostatnio za łatwo ci uwierzyła, więc tym razem chce trzymać się swojej decyzji.

Zobaczy się z tobą dopiero wtedy, gdy będziesz absolutnie trzeźwy. Moim zdaniem postępuje słusznie.

- Świetnie sobie to wszystko obmyśliliście, co?

- Rooi Komplot, spisek doskonały. Cały świat przeciwko tobie. Tobie i twojej butelce. Ciężko ci będzie, ale wiem, że twardziel z ciebie, Benny. Dasz sobie radę.

Griessel, milcząc, wpatrywał się w niego.

- A teraz porozmawiajmy o twojej kuracji - zaproponował Barkhuizen. - Chcę ci coś przepisać.

- Po co pan to robi, doktorze?

- Bo wiem, że leki ci pomogą.

- Nie, doktorze, dlaczego pan się tak angażuje? Ile pan ma lat?

- Sześćdziesiąt dziewięć.

- Cholera, doktorze, w tym wieku jest się na emeryturze. Barkhuizen uśmiechnął się i jego oczy błysnęły szelmowsko za grubymi soczewkami.

- Mam w Witsand dom przy plaży. Emerytowaliśmy się tam przez trzy miesiące. Przez ten czas doprowadziliśmy ogródek do śliczności, dom do porządku i poznaliśmy sąsiadów. Po czym zacząłem tęsknić do butelki. Zdałem sobie sprawę, że nie to chcę robić.

- Więc pan wrócił. - Utrudniać życie takim jak ty.

Griessel obserwował go przez dłuższą chwilę.

- Kuracja, doktorze? - zapytał w końcu.

- Naltrexone. Nazwa handlowa ReVia, nie pytaj dlaczego. Ten środek działa. Ułatwia odstawienie i nie ma żadnych poważnych przeciwwskazań, pod warunkiem że będziesz stosował go tak, jak ci przepiszę. Ale stawiam warunek: przez pierwsze trzy miesiące musisz co tydzień się ze mną spotykać i regularnie chodzić na spotkania AA. Bez żadnej dyskusji. Bierzesz wszystko albo nic.

- Biorę. - Nie wahał się. - Jesteś pewny?

- Tak, doktorze, jestem pewny. Ale chcę coś powiedzieć, żeby pan wiedział, na co się pan naraża. - Postukał się palcem wskazującym w skroń.

- W taki razie powiedz.

- Chodzi o ten krzyk, doktorze. Chcę wiedzieć, czy ta kuracja pomoże na ten krzyk.

Dzieci pastora przyszły powiedzieć dobranoc. Zapukały cicho w drzwi i czekały.

- Przepraszam - powiedział, po czym zawołał: - Wejdźcie!

Dwaj chłopcy, nastolatki, bardzo starali się nie okazywać zainteresowania jej osobą. Starszy miał może siedemnaście lat. Był wysoki jak ojciec, mocno zabudowany. Błyskawicznym spojrzeniem ocenił obwód jej biustu, zerknął też na nogi. Dostrzegł chusteczkę w jej dłoni i przez jego twarz przemknął znany jej wyraz zatroskania.

- Dobranoc, tato - wyrecytowali kolejno i go pocałowali.

- Dobranoc, chłopcy. Śpijcie dobrze.

- Dobranoc pani - dodał młodszy.

- Dobranoc - zawtórował mu drugi, a kiedy odwrócił się plecami do ojca, z nieukrywaniem zainteresowaniem zajrzał jej w oczy. Miała świadomość, że instynktownie, jak pies na tropie krwi, odgadł jej zranienie i okazję, jaką stwarzało.

Zirytowała się.

- Dobranoc - odparła i, niedostępna, odwróciła wzrok. Wyszli i zamknęli drzwi.

- Richard będzie w przyszłym roku reprezentantem szkoły - powiedział pastor nie bez dumy.

- Ma pan tylko tych dwóch chłopców? - zapytała machinalnie.

- Wystarczy, takie z nich urwisy - odparł.

- Wyobrażam sobie.

- Potrzebuje pani czegoś? Jeszcze herbaty?

- Powinam pójść przypudrować nos.

- Oczywiście. Korytarzem, drugie drzwi po lewej. Wstała. Wygładziła spódnicę.

- Przepraszam na chwilę. - Otworzyła drzwi i zniknęła w korytarzu. Znalazła toaletę, zapaliła światło i usiadła, żeby się wysuszyć. Wciąż była zła na chłopca. Od zawsze zdawała sobie sprawę, że rozsiewa zapach, który mówi mężczyznom: skosztuj mnie.

Było coś takiego w jej wyglądzie i osobowości, jakby wiedzieli... Ale nawet tu? Taki neptek. Syn pastora?

Uświadomiła sobie, że w cichym domu słysząc strumień moczu uderzający o muszlę.

Ci ludzie nie puszczają muzyki? Nie oglądają telewizji?

Miała dosyć. Nie chciała już dłużej tak pachnieć. Chciała pachnieć tak, jak pani tego domu, wierna żona, kochająca kobieta. Zawsze pragnęła właśnie tego.

Wysusiała się, wytarła się, spuściła wodę, otworzyła drzwi i zgasiła światło. Wróciła do gabinetu. Pastora nie było. Stała przed regałem i popatrzyła na poupychane w nim książki - jedne stare i w twardej oprawie, inne nowe i kolorowe; wszystkie o Bogu albo Biblii.

Tyle książek. Dlaczego tyle pisze się o Bogu? Do czego to potrzebne? Dlaczego po prostu On nie zstąpi na ziemię i nie powie: Oto jestem, nie lękajcie się.

A potem mógłby wyjaśnić, dlaczego dał jej ten zapach. Nie tylko zapach, ale też słabość i kłopoty. I dlaczego nie wystawia na próbę tej tutaj Pieprzonej Paniusi Świętoszki z jej praktyczną sukienką i pracowitymi rączkami. Dlaczego ją oszczędził? Dlaczego przeznaczył jej na męża niezawodnego perszerona? Co by zrobiła, gdyby zaczęli się wokół niej kręcić starsi kościoła, obwąchiwał ją z tym głodnym wyrazem oczu mówiących: Rozum mam w penisie?

Pewnie zatkałoby ją ze świętego oburzenia i pogoniłaby ich, gdzie pieprz rośnie. Rozgrywająca się w jej myślach scena rozśmieszyła ją i zaśmiała się głośno, krótkim, niegodnym damy szczeknięciem.

Zakryła ręką usta, ale za późno. Za nią stał pastor.

- Dobrze się pani czuje? - zapytał.

Skinęła głową i nie odwróciła się, póki nie odzyskała panowania nad sobą.

Niewiarygodna liczba zawartych w sieci informacji niemal przytłoczyła Thobelę.

Dziewczyna z kolczykami udzieliła mu najpierw podstawowej lekcji o działaniu Internetu, a później pozwoliła klikać myszką

na ekranie. Niezbyt dobrze mu to szło, bo koordynacja jego ręki, myszki i strzałeczki była nie najlepsza. Ale z minuty na minutę robił postępy. Pokazała mu połączenia, adresy sieciowe, okienka, w które mógł wpisywać słowa, i dużą strzałkę wstecz, gdyby się zgubił.

Gdy w końcu uznała, że sam sobie poradzi, przekazał jej uroczyście uzgodnioną sumę i zaczął poszukiwania.

- Najlepsze archiwa sieciowe mają Die Burger i IOL - poinformowała i podała mu adresy stron. Wpisał kluczowe słowa i systematycznie poprawiał i udoskonalał wyszukiwanie. I wtedy zalała go powódź.

„Co najmniej czterdzieści procent przypadków gwałtu na dzieciach przypisuje się mitowi, że można w ten sposób wyleczyć AIDS.

Ludzie, którzy w wielu rejonach świata wykorzystują dzieci w celach seksualnych, znacznie częściej okazują się miejscowymi dopuszczającymi się tych czynów w przekonaniu, że przyniesie im to szczęście lub wyleczy z AIDS, niż pedofilami czy seks-turystami - oznajmili obrońcy praw człowieka na czwartkowej konferencji ONZ.

Tysiące uczennic w Afryce Południowej i w Zachodniej Prowincji Przylądkowej są codziennie zagrożone w szkołach przemocą seksualną i molestowaniem.

Od kwietnia 1997 do marca bieżącego roku wydział opieki społecznej przy szpitalu Tygerberg zajmujący się dziećmi po traumatycznych przeżyciach udzielił pomocy 1124 ofiarom molestowanym fizycznie i seksualnie. A chodzi tylko o dzieci, które znalazły się w szpitalu: prawdziwa liczba jest znacznie większa.

Molestowanie seksualne i maltretowanie małych dzieci osiągnęło już w Valhalla Park, Bonteheuvel i Mitchells Plain rozmiary epidemii. Rzecznik informuje, że jego biuro zostało poinformowane o 945 przypadkach molestowania seksualnego i maltretowania nieletnich.

Niespełna trzyletnie dzieci patrzą na pracowników wydziału opieki społecznej przy szpitalu Tygerberg oczami pełnymi strachu.

Te małe ofiary napaści na tle seksualnym zaraz po wyjściu z pieluszek dowiedziały się, że dorosłym nie można ufać.

Działające na półwyspie dwie jednostki do walki z przemocą w rodzinie pracują nad ponad 3200 przypadkami, z których większość to oskarżenia o poważne seksualne i inne przestępstwa przeciwko dzieciom.

Na każde 100 przypadków maltretowania nieletnich w Zachodniej Prowincji Przylądkowej zaledwie 15 jest zgłaszanych na policję; w 83 procentach tych przypadków przestępca jest dziecku znany.

Gdy przestępca zostanie zdiagnozowany jako potwierdzony pedofil, zawsze należy brać pod uwagę ryzyko, że ponownie da upust swym skłonnościom - powiedział profesor David Ackerman, psycholog kliniczny na Uniwersytecie Kapsztadzkiem".

Raport po raporcie, niekończący się strumień przestępstw przeciwko dzieciom. Morderstwa, gwałty, maltretowanie, molestowanie, napaści, nadużycia. Po godzinie miał dość, zmusił się jednak, by czytać dalej.

„Trzyletnią dziewczynkę trzymano zamkniętą w klatce, a jej dziadkowie prawdopodobnie wykorzystywali ją seksualnie i nie zaspokajali nawet najbardziej elementarnych potrzeb - podała w środę policja z Mpumalanga. Sierżant Anelda Fischer powiedziała, że policja otrzymała niedawno informację od przejeżdżającego tamtędy pastora, że na ogrodzonej posesji za White River jest uwięzione dziecko. Fischer relacjonowała, że kiedy policja pojechała to sprawdzić, stwierdziła, że dziewczynkę wypuszczono już z klatki. Jednakże znaleziono dowody na to, że dziecko było bite kijem albo innym narzędziem i że naruszono jego nietykalność seksualną. Wszystko świadczy również o tym, że dziecko nie miało żadnego ubrania i musiało nagie zebrać o jedzenie. Dziewczynka spała w klatce na kawałku plastiku.

Colin Pretorius, właściciel i dyrektor przedszkola w Parow, został aresztowany pod zarzutem wykorzystywania seksualnego 11 chłopców w wieku od 6 do 9 lat przez okres czterech lat. Został wypuszczony za kaucją 10 000 randów".

W końcu wstał i niepewnym krokiem podszedł do lady, żeby zapłacić za skorzystanie z Internetu. Spędziła z Viljoenem trzy miesiące, zanim rozwalił sobie łeb.

- Początkowo byłam po prostu na niego zła. Nie zrozpaczona, to przyszło później, bo naprawdę go kochałam. I bałam się. Zostawił mnie w ciąży i nie wiedziałam, co robić ani dokąd pójść. Ale okropnie zła byłam dlatego, że okazał się takim tchórzem. To zdarzyło się tydzień po tym, jak poinformowałam go, że jestem w ciąży, w poniedziałkowy wieczór. Zabrałam go do Spur i oznajmiłam mu, że muszę mu coś powiedzieć, no i powiedziałam. A on tylko siedział i się nie odzywał. Więc uspokoiłam go, że nie musi się ze mną żenić, niech tylko mi pomoże, bo nie wiem, co zrobić. Wtedy wydusił: „Jezu, Christine, nie nadaję się na ojca, jestem popieprzonym, zapijaczonym golfistą z czkawką”.

- Zapewniłam, że nie musi być ojcem, ja też jeszcze nie chciałam być matką, tylko czułam się zagubiona. Studiowałam. Miałam zwariowanego ojca. Gdyby dowiedział się o dziecku, wściekłby się. Zamknąłby mnie albo co.

Więc powiedziałam mu, żeby to przemyślał, coś zaplanował. Przez cały tydzień nie zadzwonił i w piątek wieczorem, tuż przed wyjściem do pracy, postanowiłam zatelefonować do niego ostatni raz, a jeśli wciąż będzie próbował mnie unikać, to pieprzyć go, przepraszam, ale to był dla mnie ciężki okres. Potem powiedzieli mi, że miał wypadek i nie żyje, ale to nie był wypadek. Zamknął sklep na klucz, usiadł na stoliku i przyłożył do głowy pistolet.

Potrzebowałam dwóch lat, żeby przestać się złościć i pamiętać, że te trzy miesiące z Viljoenem były dobre. Wtedy zaczęłam się też zastanawiać, co powiem dziecku o jego ojcu. Któregoś dnia zechce się dowiedzieć i...

- Masz dziecko? - zapytał pastor; po raz pierwszy go zaskoczyła.

- ...i będę musiała zdecydować, co powiedzieć. Nawet nie zostawił mi listu. Nawet nie napisał do niej kilku słów, nie tłumaczył, że jest mu przykro, że to depresja albo że zabrakło mu odwagi, al-

bo cokolwiek. Więc postanowiłam, że opowiem jej o tych trzech miesiącach, bo to były najlepsze miesiące w moim życiu.

Umilkła, po czym westchnęła głęboko. Po krótkiej chwili milczenia pastor zapytał:

- Jak ma na imię?

- Sonia.

- I co się z nią dzieje?

- O tym właśnie jest moja historia.

15

Niewiele brakowało, a Griessełowi by to umknęło. Z samego rana na oddział wpadły dwie pielęgniarki z posiłkami na wózku. Był już wtedy ubrany, spakowany i gotowy do wyjścia. Myślał zupełnie o czymś innym i nie słuchał ich trajkotu, kiedy zbliżały się do jego szpitalnego pokoju.

- ...więc gdy dowiedziała się, że to jest jego stary podstęp, do wszystkiego się przyznał. Ona mówi, że zorientował się, że kobiety w średnim wieku jedzenie kupują w Pick and Pay w piątkowe wieczory, bo spędzą je przed telewizorem, i właśnie wtedy biega z wózkiem po alejkach i wybiera sobie najładniejszą. Tak właśnie poderwał Emmarentię. O, dzień dobry, sierżancie, już na nogach? Dziś rano mamy pyszny omlecek z serem, wszyscy za nim przepadają.

- Nie, dziękuję. - Chwycił walizkę i podszedł do drzwi. Ale nagle przystanął i zapytał: - Piątkowe wieczory?

- Sierżancie?

- Proszę, powtórzcie ten kawałek o Emmarentii i Pick and Pay!

- Ależ sierżancie, nie musi się pan uciekać do takich desperackich metod, nie wygląda pan tak najgorzej - zapewniła jedna.

- Przypomina pan trochę rosyjskiego arystokratę - dodała druga. - Ma pan takie seksowne słowiańskie rysy.

- Nie, to nie...

- Może czasami okropnie zaniedbuje pan włosy, ale z tym dałoby się coś zrobić.
- A poza tym nosi pan chyba obrączkę, dobrze widzę?
- Poczekajcie! - Uniósł ręce. - Nie interesują mnie kobiety...
- Sierzancie! A mogłybyśmy przysiąc, że jest pan hetero. Omal się nie rozszłościł, ale przyjrzał się uważnie ich twarzom

i zorientował się, że z premedytacją stroją sobie z niego żarty. Roześmiał się serdecznie. Drzwi otworzyły się i stanęła w nich jego córka Carla w szkolnym mundurku. Przez chwilę zdawała się zmieszana tym, co zobaczyła, ale szybko się rozchmurzyła i uściskała ojca.

- Mam nadzieję, że to jej tatuś - powiedziała jedna z pielęgniarek.
- Niemożliwe, sam się przyznał, że jest ciotą.
- Myślisz, że to chłopak w dziewczynskich ciuchach? Rozbawiły Carle; śmiała się z głową opartą o jego pierś i w końcu wykrztusiła: - Cześć, tato.
- Spóźnisz się do szkoły.
- Chciałam się dowiedzieć, jak się czujesz.
- W porządku, dziecinko.

Pielęgniarki już wychodziły, więc poprosił je, żeby wyjaśniły, o co chodzi z tą Emmarentią.

- Dlaczego pan pyta, sierzancie?
- Pracuję nad sprawą. Nie możemy wpaść na to, jak wybiera ofiary.
- Więc sierżant chce się z nami skonsultować?
- Tak.

W naprzemiennym duecie opisały mu sytuację. Jimmy Fortuin podrywał dziewczyny w Pick and Pay w piątkowe wieczory, bo o tej porze roiło się tam od samotnych kobiet.

- Ale tylko te starsze. Młodsze mają odwagę iść do klubu same albo całą paczką, w grupie różnej.
- W piątek kupują jedzenie na wieczór i weekend: coś dla przyjemności, rozumie pan, żeby sobie trochę dogodzić. Ukoić samotność.

- Jimmy wyrusza na łowy między piątą a siódmą, bo o tej porze wracają z pracy. Łatwy podryw, bo Jimmy ma gadane, czaruś z niego. - Tak po prostu w Pick and Pay?

- Tak sobie wybrał, ale Checkers też się nadaje.

- Jest coś takiego w supermarketach...

- Ten smętny powiew melancholii...

- Rozpaczy...

- Klub Samotnych Serc.

- Przy ostatnim stoisku w OK Bazaars.

- Bezszenność w Seven Eleven.

- Rozumie pan?

Śmiejąc się, przytaknął, podziękował i wyszedł. Podrzucił Carlę do szkoły samochodem, który zostawił mu Joubert. - Tęsknimy za tobą, tatusiu - wyznała, gdy zatrzymali się pod bramą szkoły.

- Nie tak jak ja za wami.

- Mamusia powiedziała nam o mieszkaniu.

- To tylko na pewien czas, córeczko. - Ujął jej dłoń i uścisnął. - Dziś jest mój trzeci trzeźwy dzień - oznajmił. - Wiesz, że cię kocham, tatusiu.

- A ja ciebie.

- Fritz też cię kocha.

- Tak powiedział?

- Nie musi mówić. - Szybko otworzyła teczkę. - Przyniosłam ci to, tatusiu. - Wyjęła kopertę i mu podała. - Wpadnij czasem do nas po szkole. Nie powiemy mamie. - Objęła go za szyję i przytuliła się. Potem otworzyła drzwi. - Do widzenia, tatusiu.

- Do widzenia, córeczko.

Patrzył za nią, gdy szybko wbiegała po schodach. Jego córka z ciemnymi włosami i niesamowitymi oczami, które odziedziczyła po nim.

Rozerwał kopertę. W środku znalazł zdjęcia, rodzinne fotki, które pstryknęli przed dwoma laty na szkolnym festynie. Anna uśmiechała się z przymusem. On krzywo - tamtego wieczoru miał w czubie. Ale byli na nich całą czwórką, razem.

Odwrócił zdjęcie. Kocham cię, tatusiu. Wypisane ładnym, okrągłym pismem, z wyrysowanym maleńkim serduszkim.

- W ciąży czy nie w ciąży, przepracowałam cały tamten grudzień. Zadzwoiłam do domu i powiedziałam, że zostaję na święta. Że nie przyjadę do Upington i nie pojedę z nimi do Harten-bos. Ojciec nie był zadowolony. Przyjechał do Błœemfontein, żeby mnie ubłagać. Skamieniałam ze strachu: zauważy, że jestem w ciąży? Ale nie zauważył; za bardzo pochłaniały go jego myśli. Powiedziałam mu, że zostanę w domku gościnnym u Kallie i Colina, bo pomagam im zakończyć rok finansowy, przygotować śluby i świąteczne odprawy dla pracowników, a w tym okresie niewielu studentów kwapi się do pomocy. Chciałam zarobić większe pieniądze i trochę się uniezależnić finansowo.

Wtedy widziałam go po raz ostatni. Przed wyjściem pocałował mnie w policzek; w tym momencie był najbliżej swojej wnuczki.

Któregoś ranka w styczniu Kallie mnie przyłapał. Przyniósł mi śniadanie do domku... stanął i obserwował, jak wymiotuję do kibla. Potem stwierdził: „Jesteś w ciąży, skarbie”, a kiedy nie odpowiedziałam, zapytał: „Co zamierzasz zrobić?” „Zamierzam urodzić”. Wtedy pierwszy raz sama się tego naprawdę dowiedziałam. Wiem, że to dziwne, ale po Viljoenie, moim ojcu i tym wszystkim... Do tamtej chwili zdawało mi się to jakieś nierealne. Jak sen; i może liczyłam na to, że się obudzę albo że dziecko samo jakoś zniknie, albo co. Nie chciałam o tym myśleć, chciałam tylko iść do przodu.

Wtedy zapytał, czy oddam dziecko do adopcji; powiedziałam, że nie wiem, ale że pod koniec miesiąca wyjeżdżam do Kapsztadu. Poprosiłam, żeby dali mi jak najwięcej zmian. Więc spytał mnie, czy wiem, co robię, odparłam, że nie, nie wiedziałam, co robię, bo to wszystko było takie nowe.

Odprowadzili mnie do Hoffman Square, dostałam prezent dla dziecka: maleńkie niebieskie śpioszki, buciki, śliniaczki i kopertę dla mnie - z premią noworoczną. Podali mi kilka nazwisk swoich przyjaciół gejów w Kapsztadzie, na wypadek gdybym potrzebowała pomocy.

Tamtego dnia płakałam przez całą drogę do Colesberg. Właśnie wtedy poczułam pierwsze kopnięcie Sonii, jakby chciała powiedzieć: dość tego, musimy wziąć się w garść, wszystko będzie dobrze.

Wtedy już wiedziałam na pewno, że chcę ją mieć.

Griessel znalazł w trzech raportach laboratorium to, czego szukał, poszedł do biura Matta Jouberta i czekał, aż nadinspektor skończy rozmawiać przez telefon.

- Raport medycyny sądowej nie wyklucza sagaju - mówił Joubert do aparatu - ale trzeba przeprowadzić dodatkowe badania, a to zajmie trochę czasu. Proszę zadzwonić za dzień lub dwa.

Właśnie. Bardzo proszę. Dziękuję. Do usłyszenia.

Podniósł wzrok na Griessela.

- Dobrze znów cię widzieć, Benny. Jak się czujesz?

- Potwornie trzeźwy. O co chodzi z tym sagajem?

- O przypadek Envera Davidsa. Nagle „Argusowi” zebrało się na pytania. Przeczuję kłopoty.

Griessel położył przed Joubertem wyniki badań.

- Łajdak podrywa je w Woolworths- powiedział. - W piątkowe popołudnie. Zobacz tylko, przegapiłem to, bo nie wiedziałem, czego szukać, ale ludzie z sądówki przejrzeni pojemniki na śmieci wszystkich trzech ofiar i w dwóch znaleźli torby i paragony z Woolworthsa, a w trzecim tylko paragon, ale wszystkie trzy kobiety tam były, w tym sklepie na Waterfront w piątki między... hm... wpół do czwartej a siódmą.

Joubert obejrzał raporty.

- Słabe dowody, Benny.

- Wiem, ale dziś rano konsultowałem się z ekspertkami, Matt. Wiesz, chyba tylko żonaci faceci jak my uważają, że supermarket służy do robienia zakupów.

- Możesz jaśniej? - zapytał Joubert, zastanawiając się, jak długo pozostanie ten błysk w oczach Griessela.

Thobela znalazł budkę telefoniczną na monety w Church Center Mail i kartkował zniszczoną książkę telefoniczną w poszukiwaniu numeru wydziału psychologii Uniwersytetu Kapsztadz-kiego.

Zadzwoił i poprosił o rozmowę z profesorem Davidem Ackermanem.

- Profesor jest na obchodzie. W jakiej sprawie pan dzwoni?

- Zbieram materiały do artykułu na temat przestępstw, których ofiarami padają dzieci. Chciałbym zadać kilka pytań.

- Z jakiej redakcji pan jest?

- Jestem wolnym strzelcem.

- Profesor Ackerman ma bardzo dużo pracy...

- Proszę tylko o kilka minut.

- Będę musiała do pana oddzwonić.

- Trudno mnie dziś złapać; mogę zadzwonić jutro?

- Z kim rozmawiam?

- Z Pakamile. Pakamile Nzuluwazi.

16

Z początku Kapsztad nie był dla niej przyjazny.

Przede wszystkim dokuczał jej wiejący całymi dniami wiatr, sztormowe południowo-wschodnie podmuchy. Potem ukradli jej jedyną walizkę, w schronisku Backpackers w Kloof Nek, gdzie za sto randów za noc dzieliła pokój z piątką marudnych, mających się za nie wiadomo kogo młodych niemieckich turystów. Mieszkania były drogie i niełatwo było je zdobyć, sieć transportu publicznego skomplikowana i niesolidna. Któregoś razu poszła na piechotę aż do Sea Point obejrzeć mieszkanie, ale zawiodła się, widząc norę z rozbitą szybą i graffiti na ścianach.

Dwa tygodnie mieszkała w Backpackers, potem znalazła pokój na poddaszu w starym bloku mieszkalnym przy Belle Ombre Street w Tamboers Kloof. Dawny schowek gospodarczy przerobiono na małą, nadającą się do zamieszkania przestrzeń - pod jedną ścianą wanna i toaleta, pod drugą zlew i szafka kuchenna; łóżko, stół i stara koślawa szafa. Drugie drzwi wychodziły na dach, skąd rozciągał się widok na panoramę miasta, górę i morze. Za prawie siedemset randów na miesiąc, ale pokój był przynajmniej porządny i czysty.

Jej największy problem leżał w niej samej, bo bardzo się bała. Zbliżającego się z każdym dniem porodu, potem opieki nad dzieckiem, odpowiedzialności; gniewu ojca, gdy w końcu do niego zadzwoni albo napisze list - jeszcze nie wiedziała. Ale najbardziej bała się tego, że skończą się pieniądze. Codziennie sprawdzała saldo w bankomacie i porównywała je z listą najniezbędniejszych zakupów: łóżeczko dzieciinne, ubranka, pieluchy, butelki, mleko w proszku, koce, garnek, patelnia, dwupłytowa kuchenka, kubek, talerz, nóż, widelec, łyżka, czajnik i przenośne radio. Lista z każdym dniem się wydłużała, a stan konta malał, aż w końcu udało jej się zdobyć pracę kelnerki w dużej kawiarni przy Long Street. Brała każdą zmianę, dopóki mogła jeszcze ukryć rosnący brzuch.

Jej życiem rządziły cyferki na pasku wypłaty. Stały się jej obsesją. Pierwszy cel, do którego dążyła każdego miesiąca, to sześć osiem zero, bezdyskusyjna wysokość czynszu. Wyznaczał minimalny poziom dochodu w prowadzonych przez nią rachunkach i nie pozwalał jej spokojnie spać. Odkryła pchli targ przy Green Point Stadium i zawsze targowała się o cenę. W sklepach z używanymi rzeczami w Gardens i na Kloof Street kupiła łóżeczko dzieciinne, rower oraz czerwony i niebieski dywaniki. Na dachu pomalowała łóżeczko białą, bezołowiową farbą, a że trochę jej zostało, pokryła też kilkoma warstwami starą żółtozieloną kolarkę na wąskich oponach i z zawiniętymi w dół rączkami kierownicy. W „Cape Ads”, które jakiś klient zostawił na blacie kawiarnianego stolika, znalazła ogłoszenie, że ktoś chce sprzedać nosidełko. Zadzwoniła, zbiła cenę i przywiozła je do domu. Dzięki

niemu będzie mogła wziąć dziecko na rower i pojechać z nim wzdłuż zbocza góry, a potem nad morzem do Mouille Point, gdzie znajdował się dziecięcy plac zabaw z huśtawkami, drabinkami i kolejką.

Co sobotę wyjmowała z portfela dwadzieścia randów, żeby zagrać w lotto, po czym siedziała przy radiu i czekała na zwycięskie liczby, które zapisywała długopisem na kartce. Snuła fantazje, co zrobiłaby z najwyższą wygraną. Pierwszy na liście był dom - sprawiłaby sobie jeden z tych nowoczesnych zamków na stoku góry, z automatycznie otwieranymi drzwiami do garażu. Na podłodze perskie dywany, na ścianach kilimy i dzieła sztuki. Olbrzymi dziecięcy pokój z wymalowanymi na suficie morskimi ptakami i chmurami, a na podłodze sterty błyszczących kolorowych zabawek. Landrower discovery z fotelikiem dla maleństwa. Garderoba wypełniona ciuchami znanych projektantów, pod nimi na podłodze schludne rzędkie butów. Ekspres do kawy. Dwudrzwiowa lodówka ze stali nierdzewnej.

Któregoś popołudnia, o trzeciej, siedziała na dachu z kubkiem rozpuszczalnej kawy, gdy usłyszała dochodzące gdzieś z okien poniżej odgłosy seksu. Głos kobiety, ach-ach ach, wznosił się po szczeblach ekstazy, za każdym razem odrobinę wyższy, trochę głośniejszy. Z początku nie zwracała na dźwięki uwagi, ot, jeszcze jeden miejski hałas, ale gdy je rozpoznała, rozbawiła ją ta nietypowa pora. Zastanawiała się, czy tylko ona je słyszy, czy też dotarły jeszcze do jakichś innych uszu. Poczowała przebiegający przez ciało lekki seksualny dreszcz. Potem pojawiła się zazdrość, rosnąca w miarę jak okrzyki stawały się coraz szybsze, głośniejsze i wyższe. Zazdrość o to, czego jej brakowało, aż w końcu ostry orgazm sprawił, że wstała i zgięła ramię z prawie pustym kubkiem: wiedziona impulsem chciała cisnąć nim w to, co przeciwko niej spiskowało. Nie mierzyła w jakiś konkretny cel, jej wściekłość ogarnęła wszystko. Była wściekła na samotność, swoją sytuację i stracone szanse. Nie cisnęła. Opuściła wolno ramię, nie chcąc tracić pieniędzy na nowy kubek.

W marcu nie mogła już dłużej zwlekać z telefonem. Przejechała całą drogę wzdłuż Waterfront, poszukując budki, na wypadek gdyby chcieli ustalić, skąd dzwoni. Zadzwoiła do kancelarii adwokackiej, w której pracowała matka. Rozmowa była krótka.

- Mój Boże, Christine, gdzie jesteś?

- Zrezygnowałam ze studiów, mam. Mam się dobrze. Dostałam pracę. Chcę tylko...

- Gdzie jesteś? - matka panikowała. - Szuka cię policja. Ojciec dostanie zawału, codziennie wydzwania na posterunek w Bloemfontein.

- Mamo, każ mu odpuścić. Powiedz mu, że mam po dziurki w nosie jego kazań i religii. Nie jestem w Bloemfontein i mnie nie znajdzie. Wiedzie mi się nieźle. Jestem szczęśliwa. Tylko zostawcie mnie w spokoju. Nie jestem już dzieckiem. - Nie miała pojęcia, skąd wzięło się w niej tyle złości. Wyzwolił ją strach?

- Christine, nie rób tego. Znasz ojca. Wścieka się. Okropnie się o ciebie martwimy. Jesteś naszą córką. Gdzie jesteś?

- Mamo, zaraz odłożę słuchawkę. Nie martw się, wszystko u mnie w porządku. Będę do ciebie dzwoniła, żebyś wiedziała, że mam się dobrze. - Potem pomyślała, że powinna dodać coś w rodzaju: Kocham cię, mamo, ale tylko trzasnęła słuchawką, wsiadła na rower i odjechała.

Zadzwoiła jeszcze tylko raz, gdy Sonia miała tydzień, na początku czerwca, bo bardzo pragnęła usłyszeć głos matki.

Thobela pił colę przy stoliku na dworze w barze Wimpy w St Georges. Czytał artykuł na pierwszej stronie „Argusa” snujący domysły o śmierci Envera Davidsa. Z powodu telefonu anonimowej kobiety artykuł utrzymany był w sensacyjnym tonie.

Ktoś zobaczył go z sagajem. Ale nie złożył doniesienia.

Za bardzo skoncentrował się na zadaniu. Nie, przeciwnie, nie był wystarczająco uważny, nie przemyślał wszystkiego. Znalazł się świadek. Powinien przewidzieć, że ta sprawa stanie się głośna. Ze zainteresuje media. Że pojawią się wielkie nagłówki, spekulacje i oskarżenia.

„Czy zabójstwo Erwera Davidsa, gwałciciela dziecka, może być dziełem kobiety, która wzięła sprawiedliwość w swoje ręce, a nie Południowoafrykańskiej Służby Policyjnej, jak podejrzewano wcześniej?”

Dziwne konsekwencje.

Policja odnalazła kobietę, która dzwoniła? A ona podała jego rysopis?

To w końcu nie takie ważne.

Przewrócił kartkę. Na trzeciej stronie zobaczył artykuł prezentujący wyniki sondy radiowej z telefonicznym udziałem słuchaczy. Czy kara śmierci powinna być przywrócona? Osiemdziesiąt siedem procent zagłosowało na „tak”.

Stronę drugą zdominowały krótkie doniesienia kryminalne. Trzy morderstwa w Khayelitsha.

Strzelanina gangów w Blue Downs - zginęła przypadkowa kobieta. Podczas kradzieży samochodu w Constantii zraniono mężczyznę. Napad na transport gotówki w Montague Gardens: dwóch strażników na oddziale intensywnej opieki medycznej. Siedemdziesięciodwuletnia kobieta zgwałcona, napadnięta i okradziona we własnym domu w Rosebank. Rolnik w prowincji Limpopo zastrzelony w swojej szopie.

Dziś bez dzieci.

Kelnerka przyniosła rachunek. Złożył gazetę i odchylił się na krześle. Obserwował przechodzących przez centrum handlowe ludzi, jedni zdecydowanie zmierzali do jakiegoś celu, inni tylko się przechadzali. W alejce stały stragany z ubraniami i sztuką. Niebo było niebieskie, na chodniku usiadł gołąb z szeroko rozłożonym ogonem i skrzydłami.

To było déjà vu, jego obecna egzystencja. Jakiś pokój hotelowy z do połowy rozpakowaną walizką, długie dni do zabicia w oczekiwaniu na następne zadanie. Kiedyś był Paryż, inne miasto, inna architektura, inny język; ale uczucie to samo. Z tą różnicą, że w tamtych czasach cele wybierano mu w ponurym biurze w Berlinie Wschodnim, a dokumenty ze zdjęciami i wypisanymi na maszynie kartkami dostarczano przez kuriera. Jego wojna. Jego walka.

Wieki temu. Teraz świat zupełnie się zmienił, ale łatwo mu przyszło wpaść w rutynę - stan czujności, cierpliwości, przygotowań, planowania, oczekiwania na następny uboczny zastrzyk adrenaliny.

A więc wrócił do tego. Do kieratu. Koło się zamknęło. Jakby ten okres przerwy w ogóle nie istniał, jakby Miriam i Pakamile byli złudzeniem, jak reklama w przerwie telewizyjnego dramatu, zakłócająca go wizją domowego szczęścia. Zapłacił za napój, poszedł do budki i wybrał numer.

- Czy tym razem zastałem profesora Ackermana?

- Chwileczkę.

Połączyła go. Znowu użył tamtego nazwiska i historyjki o wolnym strzelcu. Powiedział, że przeczytał artykuł w „Die Burger”, w którym profesor twierdził, że zdeklarowany pedofil zawsze ponownie popełnia przestępstwo. Chciał zrozumieć, co miał na myśli.

Profesor westchnął, zastanowił się, po czym powiedział:

- Cóż, chyba mniej więcej to, co zostało napisane, panie Nulwazi.

- Nzuluwazi.

- Przepraszam, nie mam pamięci do nazwisk. Czyli to, że oficjalna linia jest taka, iż statystycznie rzecz biorąc, rehabilitacja okazuje się nieskuteczna. Innymi słowy, nawet jeśli odsiedzą długi wyrok w więzieniu, nie ma żadnej pewności, że nie popełnią znowu tego samego przestępstwa. - W jego głosie brzmiało znużenie. - Oficjalna linia. - Tak.

- Różni się od rzeczywistości?

- Nie.

- Rozumiem, że nie popiera pan oficjalnej linii.

- To nie jest kwestia poparcia. To kwestia semantyki.

- Mianowicie?

- Czy możemy to zachować między nami, panie Nulwazi? Tym razem zignorował błąd w nazwisku.

- Oczywiście.

- I nie zacytuje mnie pan?

- Ma pan moje słowo.

Profesor znów milczał chwilę, jakby ważył wartość danego przez Thobelę słowa.

- Rzecz sprowadza się do tego, że ja w ogóle nie wierzę w ich rehabilitację.

- W ogóle?

- To straszna choroba. A metody leczenia jeszcze nie znamy. Problem w tym, że jakkolwiek pragnęlibyśmy wierzyć, że zbliżamy się do rozwiązania, ono chyba nie istnieje. - Nadal tym samym znużonym tonem. - Wychodzą z więzienia i wcześniej czy później tam wracają, a my mamy coraz więcej dzieci z urazami psychicznymi. Szkody są olbrzymie. Niewyobrażalne. Takie doświadczenie niszczy życie na zawsze i całkowicie. Powoduje trudną do opisanego traumę. A ich co roku jest coraz więcej. Bóg jeden wie, czy to dlatego że nasze społeczeństwo produkuje ich coraz więcej, czy dlatego że panująca w kraju anarchia stanowi zachętę do wyjścia z ukrycia. Nie wiem...

- Czyli uważa pan, że nie powinno się ich wypuszczać?

- Proszę posłuchać, zdaję sobie sprawę, że dożywocie jest niehumanitarne. Pedofile nie mają łatwego życia w zakładach penitencjarnych. Uważani są za najgorsze plugastwo na ziemi. Są gwałceni, bici i upokarzani. Ale odsiadują wyrok, poddają się różnym terapiom, po czym wychodzą i robią to samo. Jedni od razu, drudzy po roku czy dwóch latach. Nie wiem, jakie jest rozwiązanie tego problemu, ale jakieś będziemy musieli znaleźć.

- Tak - powiedział Thobela. - Jakieś będziemy musieli znaleźć.

Jakie nudne musiało być codzienne życie pastora, skoro nadal siedział i słuchał jej z niesłabnącym zainteresowaniem. Z wyrazem neutralnego współczucia, z rękami swobodnie opartymi o biurko. W domu panowała cisza, na zewnątrz też, z dworu dobiegało tylko bzyczenie owadów. Jej, przyzwyczajonej do nieustannego hałasu samochodów i ludzi wciąż gdzieś pędzących, wydawało się to dziwne.

Tu nie było dokąd iść.

- Miałam za mało pieniędzy. Jeśli się nie ma pieniędzy, trzeba mieć czas na stanie w długich kolejkach z dzieckiem na biodrze w oczekiwaniu na szczepienie czy lekarstwo na kaszel albo biegunkę. Kiedy ma się dziecko i jest się zmuszonym pracować, trzeba płacić za opiekę. Kelnerka musi płacić dodatkowo komuś, kto zajmie się nim wieczorem. Potem trzeba zimą o pierwszej w nocy wrócić z dzieckiem do domu na piechotę albo zapłacić za taksówkę. Jeśli nie będziesz pracować wieczorem, opuścisz najlepsze zmiany z największymi napiwkami. Więc nie kupisz niczego dla siebie, i tak w jednym tygodniu próbujesz jednego, w następnym drugiego, aż w końcu przekonasz się, że nie wygrasz.

Przestałam sobie radzić - za dużo tego było. Co poniedziałek czytałam dodatek „Times Job” i wysyłałam CV na wszystkie możliwe stanowiska: sekretarki, przedstawiciela medycznego, urzędnika. Przy odrobinie szczęścia wzywali mnie na rozmowę kwalifikacyjną. Ale zawsze przebiegała tak samo. Brak doświadczenia? O, ma pani dziecko. Jest pani rozwódką? Cóż, potrzebujemy z doświadczeniem. Potrzebujemy kogoś z samochodem. Potrzebujemy kogoś ze znajomością księgowości. Przykro nam, to stanowisko zarezerwowano dla akcji afirmacyjnej.

Rzuciłam pracę w kawiarni, bo dostawałam małe napiwki, była zima i okres poza sezonem.

Pracowałam w Trawlers, restauracji z owocami morza, którą otwarto na Kloof Street, i pewnej nocy jakiś facet zapytał: „Chcesz zarobić prawdziwe pieniądze?” Odparłam, że tak. A wtedy on: „Ile?” Nie połapałam się i odpowiedziałam: Ile się da. Wtedy zaproponował: „Trzysta randów”. Zapytałam: Trzysta randów za co, za dzień? A on się tak dziwnie uśmiechnął i odparł: „Raczej za noc”. To był taki zwykły facet, koło czterdziestki, w okularach, z lekko wystającym brzuchem. Zapytałam: Co będę robić? - a on to: „No wiesz”. Ale ja nadal się nie pokapowałam. Wtedy powiedział: „Przynieś mi długopis, zapiszę ci numer mojego hotelowego pokoju”. No i nareszcie zrozumiałam, zatkało mnie i tylko się na niego gapiłam. Chciałam na niego krzyknąć, co on sobie myśli, że kim jestem, byłam wściekła. Ale co

miałam zrobić, to był klient. Poszłam po jego rachunek, a kiedy wróciłam, jego już nie było. Zostawił mi sto randów napiwku i wizytówkę z numerem pokoju, na której napisał: „Pięćset? Za godzinę”.

Włożyłam ją do kieszeni, bo bałam się, że ktoś ją zobaczy.

Pięćset randów. Gdy czynsz wynosi sześćset osiemdziesiąt, to pięćset jest dużą sumą. Jeśli za opiekę nad dzieckiem trzeba płacić czterysta pięćdziesiąt i jeszcze dodatkowo za weekendy, bo wtedy dostaje się najwięcej napiwków, to pięćset wypełnia wielką lukę. Jeśli potrzebujesz trzech tysięcy, żeby przetrwać miesiąc, a nigdy nie wiadomo, czy je zarobisz, i jeśli musisz oszczędzać na samochód, bo co robić, jeśli trzeba odebrać dziecko, a pada deszcz... wtedy wyjmujesz ten kartonik z kieszeni i na niego patrzysz. Ale kto to zrozumie? Jaki biały to zrozumie?

A potem myślisz, co to właściwie za różnica? Widzisz to codziennie. Wchodzi para i on stawia jej obiad i wino. Po co? Żeby zaciągnąć ją do łóżka. Co to za różnica? Trzysta randów za obiad czy pięćset za seks.

I tak się zresztą do mnie bez przerwy przystawiali. Nawet w kawiarni, gdy byłam w ciąży, i potem w Trawlers, jeszcze bardziej. Bez przerwy. Jedni tylko patrzyli i wiadomo, co myśleli, drudzy mówili „co za cycuszki” albo „ładna dupcia, skarbie”; inni pytali prosto z mostu, co robię w piątkowy wieczór albo „jesteś z kimś, złotko?” Co pewniejsi siebie zapisywali na rachunku numery swoich komórek, jakby uważali, że powinnam uznać, że złapałam Pana Boga za nogi. Inni zagadywali, niby to niewinnie: „Skąd jesteś?” „Od dawna mieszkasz w Kapsztadzie?” „Co studiujesz?” Ale wiadomo, o co im naprawdę chodziło, bo zaraz potem pytali: „Masz własne mieszkanie?” Albo: „Rety, tak dobrze się gadało, o której kończysz pracę, może się spotkamy?” Z początku wydaje ci się, że jesteś kimś wyjątkowym, bo niektórzy są tacy mili i dowcipni, potem jednak słyszysz, że tak samo zachowują się w stosunku do wszystkich kelnerek, nawet brzydkich. Bez przerwy, każdy, jak te króliki na długowieczne baterie, nigdy nie przestają, nieważne czy ma się lat szesnaście, czy sześćdziesiąt, jest się meżatką czy samotną, czatują na ciebie i nie ma temu końca.

Wtedy wracasz do swojego pokoju i łamiesz sobie głowę nad tym wszystkim, nad tym, czego potrzebujesz, a czego nie masz, i dochodzisz do wniosku, że to naprawdę żadna różnica, myślisz o tych pięciuset randach, kładziesz się spać i zastanawiasz się, jakby to było, czy to takie okropne być godzinę z facetem?

17

Griessel spędził cały dzień na szukaniu przynęty, policjantki w średnim wieku, która w piątkowy wieczór chodziłaby z wózkiem po sklepie Woolworthsa przy Waterfront. Przy odrobinie szczęścia łajdak ją wybierze. W końcu ktoś zasugerował mu sierżant Marais z Claremont, parę lat przed czterdziestką, powinna idealnie się nadawać. Zadzwoił do niej i umówił się na rozmowę. Postanowił wybrać drogę M5, bo tak było szybciej. Skręcił w Lansdowne, żeby dojechać do Main Road. Przy zjeździe z autostrady po lewej stronie stała ogromna tablica reklamowa. Castle lager. Piwo. Cholera, od dwóch lat nie miał piwa w ustach, ale ta reklama była taka sugestywna: oszroniona szklanka z zawartością w kolorze sików, ściekające po szkle kropelki i wielka czapa białej piany. Akurat stanął na światłach i wpatrywał się w tę cholerną szklankę piwa. Niemal rozpoznawał jego wytrawny, gorzki smak, czuł, jak spływa mu do gardła, ale przede wszystkim wyobraził sobie falę ciepła w żołądku.

Gdy oprzytomniał, ktoś za nim niecierpliwie nacisnął klakson. Wzdrygnął się i gwałtownie ruszył, dopiero wtedy świadom tego, co przed chwilą zaszło, i wystraszony mocą tego oczarowania. Pomyślał: Co ja u licha ciężkiego zrobię? Jak z czymś takim walczyć, z tabletkami czy bez? Jezu, dwa lata nie pił piwa.

Zdał sobie sprawę, że ściska kurczowo kierownicę, więc spróbował rozluźnić krtań i oddychać, bo przecież prowadził.

Od razu wiedział, że jest idealna, nim jeszcze wstała zza biurka. Miała ten specyficzny wygląd - więcej kilometrów na liczniku niż wskazywałyby rocznik - i tlenione włosy. Przedstawiła się: André. Uśmiechnęła się i zobaczył lekko krzywy przedni ząb. Spojrzała na niego, jakby oczekiwała, że skomentuje jakoś jej imię.

Usiadł naprzeciwko niej i zapoznał ją ze sprawą i swoimi podejrzeniami. Powiedział, że nadaje się idealnie, ale nie może jej zmusić do wzięcia udziału w operacji.

- Zgadzam się - oświadczyła.

- Może być niebezpiecznie. Nie wkroczymy, dopóki nie spróbuje czegoś zrobić.

- Zgadzam się.

- Proszę wieczorem porozmawiać z mężem. I przemyśleć to. Może pani zadzwonić do mnie jutro.

- To nie będzie konieczne. Już się zdecydowałam.

Choć nie miał takiego obowiązku, porozmawiał z komendantem posterunku i poprosił go o zgodę. Kapitan, duży kolorowy mężczyzna, poskarżył się, że nie ma wolnych sił, że cierpią na niedobór rąk do pracy, a Marais jest bardzo ważną osobą: kto wykona za nią robotę? Griessel wyjaśnił mu, że chodzi tylko o piątkowy wieczór od piątej i że nadgodziny nie obciążą budżetu posterunku. Kapitan skinął głową.

- W takim razie zgoda.

Pojechał do Gardens późnym popołudniem, z adresem swojego nowego mieszkania zapisanym na kawałku papieru leżącym na siedzeniu obok.

Friend Street... co to do cholery za nazwa? Mount Nelson's Mansions. Numer 128.

Nigdy nie mieszkał w tym rejonie. Całe dotychczasowe życie spędził na przedmieściach północnych, od czasów szkolnych w Parów Arrow, jeśli pominąć rok w Pretorii w akademii policyjnej i trzy lata w Durban, gdzie był posterunkowym. Jezu, za żadne skarby nie chciałby tam wrócić, do tego gorąca, wilgoci i smrodu. Curry, marycha i wszystko po angielsku. W tamtych czasach mówił z wyraźnym akcentem, anglojęzyczni biali i Hindusi dokucza-

li mu lub szydzili z niego, w zależności od tego, czy byli kolegami, czy aresztantami. Pieprzony Bur ze słomą w butach. Cholerna szczeciniasta świnia. Durny holenderski policjant.

Mount Nelson's Mansions. Posesję ogradzał płot ze stalowej siatki, z dużą automatycznie otwieraną bramą. Zaparkował na ulicy, potem nacisnął guzik i czekał, aż wyjdzie dozorca z kluczami i otworzy pilotem bramę. Czerwony ceglany budynek, może trzydziestoletni z okładem, na pewno nie rezydencja. Ani piękny, ani brzydki, ot, zwykły dom w sąsiedztwie otynkowanych na biało bloków mieszkalnych.

Dozorcą był stary Xhosa.

- Pan jest policjantem? - zapytał.

- Tak.

- To dobrze. Przyda nam się policjant.

Wyciągnął z samochodu walizki i zataszczył po jednej na pół-piętro. Numer 128. Drzwi przydałoby się pomalować. Miały wizjer pośrodku i dwa zamki. Znalazł właściwe klucze i otworzył. Brązowy parkiet, zero mebli, jeśli nie liczyć lady śniadaniowej bez choćby jednego stołka, kilku wyblakłych kuchennych szafek z melami-ny i starej kuchni Defy z trzema płytami i piekarnikiem. Drewniane schody. Zostawił walizki i wszedł na górę. Stało tam pojedyncze łóżko, przechowywane wcześniej w garażu, jego garażu. Dawnym garażu. Prosty drewniany stelaż i materac piankowy w niebieskie spłowiałe kwiatki. W nogach łóżka leżała sterta pościeli. Poduszka i poszewka, prześcieradła i koce. Była tam też szafa w ścianie. Z pokoiku drzwi prowadziły do niewielkiej łazienki.

Poszedł po walizki.

Ani jednego cholernego krzesła. Będzie musiał siedzieć na łóżku. Żadnego talerza, szklanki czy czajnika. Kompletnie nic. Już nawet w akademiku miał więcej. Jezu.

Thobela siedział w swoim hotelowym pokoju i przeglądał numery w książce telefonicznej pod literą P. Znalazł to, czego szukał: Colin Pretorius, właśnie tak pisany, i adres: 122 Chantelle Street,

Parów. Pojechał do Sanlam Center przy Voortrekker Road i kupił tam plan Kapsztadu. Gdy słońce schowało się za Górą Stołową, pojechał Hannes Louw Drive, skręcił w lewo w Fairfield, potem w prawo w ulicę Simone i po długim łuku w lewo, w Chantelle. Numery parzyste były po prawej stronie. Dom pod 122 wyglądał niepozornie, z kratami w oknach i automatycznie otwieraną bramą. W zadbanym ogrodzie rosły dwa ozdobne cyprysy, kilka krzewów, zielona, przycięta trawa; posesję z trzech stron otaczał betonowy mur. Żadnych oznak życia. Na ścianie garażu, nad drzwiami, wisiała niebiesko-srebrna tabliczka z napisem: „Cobra Security. Grupa Szybkiego Reagowania”. Miał problem. Był Murzynem w dzielnicy białych. Wiedział, że dzięki temu, że jedzie pikapem, w półmroku nie widać jego skóry i pozostaje anonimowy. Ale do czasu. Jeśli będzie jechał za wolno albo przejedzie o jeden raz za dużo, ktoś zauważy, że jest czarny, i zacznie się zastanawiać. Objechał kwartał ulic i znów przejechał pod numerem 122, tym razem przyglądając się sąsiednim domom i długiemu pasowi parkowej zieleni wzdłuż Simone Street. Potem zawrócił do centrum handlowego. Potrzebował kilku rzeczy. Griessel siedział na wciąż nieposłanym łóżku i wpatrywał się w szafę. Jego ubrania nie zapełniły jej nawet w jednej trzeciej. Pusta przestrzeń go zafascynowała. Jego szafa w domu była pełna rzeczy, których od lat nie wkładał - za małych albo już tak niemodnych, że Anna zabroniła mu je nosić. Ale tu na palcach jednej ręki mógł zliczyć garderobę, którą mu zapakowała, z wyjątkiem slipów - tych było chyba z dziewięć par, ułożył je w stercie na środkowej półce. Pralnia. Jak to załatwić? Na dole szafy, obok butów, uzbierał się już stos brudnych ciuchów z dwóch dni. I prasowanie - cholera, od lat nie miał w ręku żelazka. Gotowanie, zmywanie. Odku-

rzanie! Na podłodze w pokoiku na górze leżała brudnobrązowa wykładzina dywanowa.

- Pieprzę to - powiedział i wstał.

Przypomniała mu się reklama piwa.

Boże, nie, to właśnie przez takie rzeczy znalazł się w tej makabrycznej sytuacji. Nie wolno mu nawet myśleć o alkoholu. Jak najszybciej musi się czymś zająć. W teczce czekają akta. Ale gdzie tu pracować? Na łóżku? Potrzebny mu stołek do baru śniadaniowego. Ale już za późno, żeby dziś czegoś poszukać. Miał ochotę na kawę. Może Pick and Pay w Gardens jest jeszcze otwarte. Wziął portfel, telefon komórkowy i klucze do nowego mieszkania i zszedł po schodach do pustego salonu.

Thobela kupił małą kieszonkową latarkę, baterie, lornetkę i zestaw śrubokrętów, po czym usiadł w restauracji, żeby przestudiować mapę.

Pierwszy problem: jak się dostać na przedmieście. Nie może zaparkować w pobliżu domu, bo pikap jest zarejestrowany na jego nazwisko. A nuż ktoś zapisze numery. Albo zapamięta. Musi zaparkować gdzieś indziej i pójść na piechotę, ale to też ryzykowne. Co drugi dom ma na ścianie tabliczkę firmy ochroniarskiej. Poza tym są wozy patrolowe i czujne oczy gotowe zadzwonić pod numer alarmowy: Po naszej ulicy kręci się Murzyn. Za dnia jest łatwiej - może być ogrodnikiem w drodze do pracy - ale wieczorem ryzyko wzrasta.

Przestudiował mapę. Jego palec przesuwiał się wzdłuż Hannes Louw Drive po zjeździe z NI. Może by tak zaparkować na północ od autostrady, na poboczu albo parkingu... Oznaczało to długi czas realizacji zadania, ale było wykonalne.

„W sprawie, w której Colin Pretorius został oskarżony o molestowanie seksualne i gwałt, jedenastolatek zeznawał wczoraj, jak oskarżony wezwał go trzy lata temu do swojego biura i pokazał mu materiał natury pornograficznej. Oskarżony zamknął na klucz drzwi, po czym zaczął się pieścić i zachęcał chłopca, żeby robił to samo”.

Następny problem: jak dostać się do domu. Front był zbyt widoczny, powinien dostać się od tyłu, tam przez oczami sąsiadów skryje go betonowa ściana. Kraty w oknach. Firma ochroniarska oznacza alarm. I guzik alarmowy.

„Kobieta, której nazwiska nie możemy podać do publicznej wiadomości, zeznała, że przejawy stresu u jej pięcioletniego syna: agresja, moczenie nocne i dekoncentracja, skłoniły rodziców do skonsultowania się z psychologiem dziecięcym. W trakcie terapii chłopiec wyjawiał, że przez trzy miesiące był molestowany seksualnie przez Pretoriusa, właściciela przedszkola”.

Miał dwie możliwości. Czekać na powrót Pretoriusa. Albo dostać się do domu. Pierwsza była nieprzewidywalna w skutkach, nie dawała praktycznie żadnej kontroli nad sytuacją. Druga była trudna, lecz nie niemożliwa.

Zapłacił za napój. Nie był głodny. Niecierpliwił się, denerwował, oczekiwanie wyostrzyło mu zmysły. Zabrał wóz z parkingu i odjechał.

„Podczas aresztowania policja zajęła komputer Pretoriusa, płyty CD i wideo. Komisarz Dries Luyt z jednostki przemocy w rodzinie powiedział sądowi, że ilość i natura znalezionej na nich pornografii dziecięcej były najgorsze, jakie dotychczas widzieli”.

Sunął w rytm ulicznego ruchu.

Wspominał Pakamile, wspólnie spędzony czas na tydzień przed jego śmiercią, w górzystej okolicy Mpumalanga za Amers-foort. Z sześcioma pozostałymi kursantami jechali motocyklami w jasnym porannym słońcu. Mijali ładne drewniane domy, Pakamile nie odrywał wzroku od udzielającego z zapałem wskazówek instruktora.

- Największym wrogiem motocyklisty jest nadmierne skupienie na celu. Taką mamy naturę.

Połączenie między oczami a mózgiem działa niestety następująco: jeśli będziemy patrzeć na wybój czy kamień, na pewno na nie najedziemy. Starajcie się nigdy nie patrzeć wprost na przeszkodę. Piloci myśliwca szkoleni są tak, żeby w momencie odpalania pocisków patrzeć pod kątem dziewięćdziesięciu stopni do linii celu. Jeśli spostrzeżesz przeszkodę na

drodze, to wiesz, że ona tam jest. Poszukaj objazdu i na nim skup wzrok. Zarówno ty, jak i motocykl automatycznie nim podążycie.

Pomyślał teraz, że była to lekcja nie tylko jazdy motocyklem -w życiu też się sprawdza. Nawet jeśli przeszkodę uświadamiasz sobie późno albo prawie za późno. Czasami w ogóle jej się nie zauważasz. Jak wtedy, gdy wrócił z wojny. Gotowy do walki, czujny, uzbrojony dla Nowej Afryki Południowej. Gotów też służyć swoim wyszkoleniem, umiejętnościami i doświadczeniem. Wychowanek uniwersytetu KGB, absolwent szkoły strzelców wyborowych Stasi, weteran siedemnastu eliminacji w miastach Europy.

Nikt go nie potrzebował.

Oprócz Orlando Arendse. Przez sześć lat chronił trasy narkotykowe i ściągał długi, aż któregoś dnia zaczął zauważać przeszkody i wyboje i wybrał bezpieczniejszą drogę, żeby się na nich nie roztrzaskać.

A teraz?

Zaparkował przy Hendrik Verwoerd Drive, wysoko na wzniesieniu Tygerberg, skąd roztaczał się widok na Prowincję Przylądkową aż po Górę Stołową, migoczącą w nocy światłami.

Przysiadł na moment, ale nie widział tej panoramy.

Może instruktor jazdy motocyklem był jednak w błędzie: w życiu unikanie przeszkód nie wystarczy. Jak dziecko ma ominąć te okropieństwa i straszne pułapki? A jeśli potrzebuje kogoś, kto usuwa przeszkody? Griessel obładowany torbami z zakupami zrobionymi w Pick and Pay wrócił do domu i pod drzwiami zastał doktora Barkhuizen, który właśnie zamierzał zapukać.

- Przyjechałem zobaczyć, jak się pan ma.

Później usiedli po turecku na podłodze w kuchni; pili kawę rozpuszczalną z nowiutkich kubków w kwiatki i Griessel opowiedział mu o reklamie piwa. Lekarz oświadczył, że takie są początki. Zacznie widzieć rzeczy wcześniej niewidoczne. Cały świat zmówi się, by z niego szydzić, cały wszechświat będzie go zachęcał do tego jednego małego drinka, tylko jednej szklaneczki.

- Mózg to fantastyczny organ, Benny. Zdaje się żyć własnym życiem, o którym nie mamy pojęcia. Gdy ktoś długo pije, mózg zaczyna lubić tę chemiczną równowagę. Kiedy się więc przestaje, knuje, żeby ją przywrócić. Zachowuje się wtedy jak fabryka przebiegłych myśli, które gdzieś magazynuje, a potem najlepsze pompuje do świadomości. Ach, to tylko jedno piwo. Jeden drink to przecież nic straszego. Albo stosuje inną metodę i szepcze: Zasłużyłem na to, cały tydzień cierpiałem, więc chyba należy mi się mały drink. Albo jeszcze gorzej: Jak się zaraz nie napiję, to stracę nad sobą kontrolę.
- Jak u licha można z tym walczyć?
- Trzeba zadzwonić do mnie.
- Nie mogę robić tego za każdym razem, gdy...
- Owszem, możesz. O każdej porze, i w nocy, i w dzień.
- To chyba nie będzie wiecznie trwać, prawda?
- Nie będzie, Benny. Nauczę cię metod poskramiania bestii.
- Naprawdę?
- A druga rzecz, o której chciałem z tobą porozmawiać, to te głosy.

Usiadł w głębokim cieniu zaniedbanych krzewów w parku przy Simone Street. Skierował lornetkę na dom Pretoriusa, trzysta metrów dalej ulicą Chantelle.

Wieczór w dzielnicy białych. Fort Blanc. Żadnych bawiących się na podwórzu dzieci. Pozamykane na klucz drzwi, garaże i sterowane pilotem bramy, za oknami salonów niebieskie błyski telewizyjnych ekranów. Puste ulice, jeśli nie liczyć losowych patroli białej toyoty tazz firmy ochroniarskiej czy jakiegoś wracającego późno do domu mieszkańca.

Mimo tych zabezpieczeń, murów, wież i fos, dzieci nie były bezpieczne nawet tu - wystarczył jeden intruz jak Pretorius, który wszystkie przeszkody sforsował.

W domu pedofila toczyło się życie, światła gasły i się zapalały.

Rozważał możliwe opcje, obmyślał trasę, która by z daleka od ulicznych latarni powiodła go ogrodami na tyłach domów pod

ściany domu Pretoriusa. W końcu uznał, że największą szansę na sukces niesie opcja najszybsza w realizacji: ulica.

Wstał, włożył lornetkę do kieszeni i przeciągnął się. Nasłuchując, czy nie zbliża się jakiś samochód, wyszedł z cienia i ruszył zdecydowanym krokiem.

- Doktorze, to nie głosy. Ani szmery. To... jakby ktoś krzyczał. Ale nie na zewnątrz, tylko w środku, gdzieś w mojej głowie. Słyszeć to nie jest dobre określenie, bo widzę też kolory. Czarne i czerwone; jasny gwint, muszę się panu wydawać szalony, lecz to prawda. Jadę na miejsce zbrodni. Powiedzmy, że chodzi o sprawę, nad którą ostatnio pracuję. Kobieta leży na podłodze, uduszona przewodem od czajnika. Po sińcach na szyi można poznać, że uduszono ją od tyłu. Zaczynam rekonstruować wydarzenia; na tym polega moja praca, muszę to poskładać. Widzę, że go wpuściła, bo nie ma żadnych śladów włamania. Widzę, że byli razem w pokoju, gdyż stoi w nim butelka wina i dwie lampki albo filiżanki z kawą. Z tego wnioskuję, że pewnie rozmawiali, była spokojna i niczego nie podejrzewała, stała tam, a on za nią, mówił coś do niej i nagle na jej szyi znalazł się ten sznur, przestraszyła się, co u licha, i próbowała wcisnąć palce pod przewód. Może ją odwrócił, bo to chory człowiek, chciał zobaczyć jej oczy, chciał patrzeć na jej twarz, gdyż obsesyjnie potrzebuje poczucia kontroli. I teraz ona spogląda na niego i wie...

Musiał szybko podjąć decyzję. Obszedł wkoło dom i zobaczył, że najlepiej wejść tylnymi drzwiami; żadnych szczególnych zabezpieczeń, zwykły zamek. Musiał działać błyskawicznie: im dłużej będzie zwlekał, tym większa szansa, że ktoś go zauważy.

Sagaj miał na plecach, pod koszulą, drzewce między łopatkami, a ostrze zatknięte pod pasek. Podniósł rękę i wyciągnął broń. Wziął zamach nogą i, mierząc w zamek, kopnął drzwi z całej siły.

„Werdykt w sprawie przeciwko właścicielowi żłobka Colinowi Pretoriusowi oskarżonemu o gwałt i molestowanie seksualne dziecka i posiadanie materiałów pornograficznych z udziałem dzieci zapadnie prawdopodobnie jutro. Pretorius nie zeznawał”.

W kuchni było ciemno. Przebiegi przez nią, kierując się do światła. Korytarz, zakręt w lewo, do pokoju, prawdopodobnie salonu. Dźwięk telewizora. Wpadł do pokoju z sagajem w dłoni. Kanapa, fotele, markowany śmiech telewizyjnej komedii. Nikogo. Odwrócił się, spostrzegł ruch w korytarzu. W drzwiach, oświetlony padającym z pokoju światłem, stał mężczyzna. Zamarł z otwartymi ustami. Przez chwilę stali naprzeciw siebie, po czym mężczyzna rzucił się do ucieczki. Thobela za nim. Alarm jest pewnie w sypialni. Musi zatrzymać Pretoriusa. Drzwi zaczęły się zamykać. Opuścił ramię, sześć, pięć, cztery susy, drzwi zatrzęsły się, trzy, dwa, jeden, dźwięk zamykającego się zamka. Rąbnął w drzwi, rozległ się hałas jak wystrzał z armaty, przeszył go ból.

Drzwi wytrzymały.

Nie da rady. Cofnął się, przygotowując się, by znów kopnąć, ale było za późno. Pretorius zaraz włączy alarm.

- Obrazy w mojej głowie, doktorze... Jakby zwisała z urwiska, chwytając się życia. On ją dusi, siły ją opuszczają, czuje, że palce trzymają coraz słabiej. Wie, że nie może spać, nie chce, chce żyć, chce wdrapać się z powrotem, ale on wyciska z niej życie i zaczyna się ześlizgiwać. Strasznie się boi, w dole czyhają ciemności; czarne, czerwone albo brązowe, a ona nie daje rady dłużej się trzymać i spada. Ogarnęła go panika: drzwi zamknięte na klucz, rwący ból ramienia, świadomość, że zaraz rozlegnie się alarm. Ale wciągnął głęboko powietrze, skupił się i kopnął drzwi z pięty. Adrenalina zadziałała. Rozniósł drewno w drzazgi. Drzwi były otwarte. Gdzieś na dachu zaczął wyc alarm. Pretorius stał przy szafie, sięgał na górną półkę, szukał broni. Wpadł na niego i wcisnął go w szafę, wysoką, chudą postać w okularach, z niedbałą grzywką. Przewrócił go. Usiadł na nim, przygwoździł klatkę piersiową kolanem i przytknął sagaj do gardła.

- Jestem tu z powodu dzieci - oświadczył głośno, przekrzykując wycie alarmu, teraz już spokojny.

Wzrok mężczyzny spoczął na sagaju. Nie było w nim strachu. Coś innego. Wyczekiwanie. Przeczucie nieuchronności.

- Tak - powiedział Pretorius. Wbił długie ostrze w jego mostek.

- Kiedy spadają, krzyczą. Na dole jest śmierć, a życie jest w górze, krzyk biegnie w górę, zawsze tam dobiega i tam trwa. Porusza się tak szybko, wygląda... jak woda wylana z wiadra. Zostaje tylko ten krzyk. Pełny strasznego przerażenia. I cierpienia...

Griessel umilkł na chwilę; gdy znów zaczął mówić, był już spokojniejszy.

- Najbardziej przeraża mnie to, że wiem, że to nie dzieje się w rzeczywistości, doktorze. Kiedy podchodzę do tego racjonalnie, wiem, że to moja wyobraźnia. Ale skąd to się bierze? Dlaczego moja głowa mi coś takiego robi? Czemu ten krzyk jest taki świdrujący, czysty i głośny? I tak cholernie pełny rozpacz? Nie mam bzika. Czyż nie mówi się, że póki człowiek zdaje sobie sprawę, że jest lekko stuknięty, wszystko jest w porządku, bo tylko naprawdę obłąkani wierzą, że są zdrowi?

Barkhuizen zachichotał. Zaskoczył tym Griessela, ale ponieważ ten chichot był pełen współczucia, odpowiedział uśmiechem.

Przebiegł sprintem przez dom przy akompaniamencie jednostajnego wycia alarmu. Przez tylne drzwi, wokół budynku, na oświetloną ulicę. Gwałtownie skręcił w prawo. Widział park, bezpieczny cień i ciemność. Czuł na sobie tysiące spojrzeń. Nogi pracowały rytmicznie, oddychał szybko; instynktownie wciągnął głowę w ramiona i napiął mięśnie pleców na wypadek, gdyby ktoś do niego strzelił. Bijąc stopami w asfalt, nasłuchiwał syreny wozu policyjnego.

Gdy dopadł krzaków, zwolnił, bo po biegu oświetloną ulicą nic nie widział. Musiał ostrożnie wybierać drogę, żeby się nie przewrócić. Nie mógł ryzykować skręcenia czy zwichnięcia ręki czy nogi.

- Wiesz, skąd to naprawdę się bierze - stwierdził Barkhuizen.

- Skąd?

- Wiesz, Benny. Zastanów się. Nakłada się na to wiele czynników. Praca. Myślę, że wszyscy pewnie cierpicie na zespół stresu pourazowego, bo macie wciąż do czynienia z morderstwami i śmiercią. Ale nie to jest prawdziwym źródłem. Coś innego. To, co sprawia, że pijesz i że ja też piłem.

Griessel długo się w niego wpatrywał, po czym zwiesił głowę.

- Tak, wiem - wydusił.

- Powiedz to, Benny.

- Doktorze...

- Powiedz to.

- Boję się śmierci, doktorze. Bardzo boję się śmierci.

Usiadł za kierownicą. Wciąż oddychał ciężko, serce waliło, oblewał się potem. Jezu, ma czterdzieści lat - jest na to za stary. Wsunął kluczyk w stacyjkę.

Była jedna różnica. Siedemnaście celów dla KGB... w większości wypadków nie czuł żadnego zaangażowania, działał mechanicznie, nawet niechętnie, jeśli to był jakiś urzędniczyna o zgarbionych plecach i wyblakłych oczach.

Ale nie tym razem. Teraz było inaczej. Gdy sagaj dosięgną! serca Pretoriusa, Thobela poczuł euforię. Absolutną pewność.

Chyba nareszcie znalazł swoje prawdziwe powołanie.

18

Dopiero następnego ranka zadzwoniła do tamtego pokoju hotelowego. Z publicznej budki, z Sonią na ramieniu.

- Pięćset randów - przedstawiła się głosem niezdradzającym jej niepokoju.

Zrozumiał w mig i zapytał:

- Możesz przyjść o szóstej?

- Tak.

- Pokój 1036, Holiday Inn, naprzeciw wejścia na Waterfront.

- O szóstej - powtórzyła.

- Jak ci na imię?

Jej umysł chyba przestał pracować. Nie chciała mu podać prawdziwego imienia, ale nie umiała wymyślić żadnego innego. Nie może wahać się za długo, bo on domyśli się, że sfabrykowała je na oczekaniu, podała więc pierwsze słowo, które przyszło jej na myśl.

- Bibi.

Później nieraz zastanawiała się, dlaczego akurat takie? Czyżby coś znaczyło, niosło jakieś psychologiczne konotacje, było wskazówką, dzięki której zrozumie siebie lepiej? Od Christine do Bibi. Skok, nowa tożsamość, nowa istota. W jakimś sensie oznaczało narodziny. Ale też mur. Z początku cienki jak papier, przezroczysty i kruchy. Z początku.

- Dużo o tym myślałam - powiedziała, bo tym razem chciała szczerze opowiedzieć tę historię. - Pieniądze bardzo się liczyły. To tak, jak się gra w lotto i człowiek zastanawia się, co zrobiłby z wygraną. W wyobraźni przeznaczają ją dla siebie i swojego dziecka. Same rozsądne rzeczy: nie chce roztrwonąć fortuny. Nie będzie jak nowobogacy. Dlatego wygra. Bo mu się należy. Zasługuje na to. Ale nie pieniądze były najważniejsze, ale coś, co uświadomiłam sobie jeszcze w szkole. Gdy uprawiałam seks z przyjacielem ojca. I nauczycielem. To, jak się czułam. Panowałam nad nimi, ale nie panowałam nad sobą. Jak mam to wyjaśnić? Jednocześnie byłam i nie byłam sobą.

Wiedziała, że te słowa nie oddają tego, co chce powiedzieć, i zirytowana machnęła ręką. Pastor nie odzywał się, czekał na ciąg dalszy albo go zamurowało.

Sfrustrowana zamknęła oczy.

- Moc jest łatwo wyjaśnić - stwierdziła. - Któregoś popołudnia, gdy wracałam ze szkoły, wuj Sarel, kumpel mojego ojca, podrzucił mnie do domu. Gdy otworzyłam drzwi samochodu i dostrzegłam wyraz jego twarzy, wiedziałam, że mnie pragnie. Zastanawiałam się, co by powiedział, jak by się zachował. Obie ręce

trzymał na kierownicy, bo drżały i nie chciał, żebym to zauważyła. Wtedy poczułam, jaką mam moc. Bawiłam się nim. Przyznał się, że chce ze mną porozmawiać, przez chwilę, i zapytał, czy nie moglibyśmy się przejechać. Bał się na mnie spojrzeć, widziałam jednak, że jest strasznie napalony, ale zachowywałam się, jakby nigdy nic. Odparłam: Pewnie, czemu nie. Udawałam niewinne dziecko, bo tego oczekiwał. Podczas jazdy coś opowiadał, nic ważnego, takie paplanie, żeby coś mówić. Zatrzymał się nad rzeką, a ja dalej udawałam. Wtedy powiedział, że od dawna ma mnie na oku, że jestem taka seksowna, ale mnie szanuje, a ja wtedy położyłam rękę na jego ptaszku i popatrzyłam na jego twarz, potem w oczy. Zrobił taką strasznie głupią minę i mnie to... podnieciło. Było mi przyjemnie, że mnie pragnie, cieszyłam się, że aż tak bardzo; dzięki temu poczułam, że ktoś mnie chce. Ojciec miał mnie za nic, ale inni nie. Niektórzy dorośli myśleli, że jestem wspaniała. Ale gdy się kochaliśmy, czułam się jakby poza ciałem. Robił to ktoś inny, a ja przyglądałam się z boku. Czułam wszystko, jego członek i ciało, ale byłam na zewnątrz. Patrzyłam na tego faceta i dziewczynę i myślałam: co ona robi? Robi sobie krzywdę. Ale to też w porządku... To było najdziwniejsze ze wszystkiego, że ta krzywda też była w porządku. Znalazła kogoś na zastępstwo w Trawlers i spędziła dzień z Sonią. Pojechały na rowerze wzdłuż nadmorskiego bulwaru aż do basenu kąpielowego w Sea Point, a potem powoli wróciły. Zastanawiała się, w co się ubrać, i poczuła, że wyczekuje tego dawnego uczucia bycia poza sobą, tej niejasnej świadomości krzywdy i dziwnego zadowolenia, które ona ze sobą niosła. O czwartej zostawiła córkę u opiekunki, wzięła długą kąpiel, umyła i wysuszyła włosy. Włożyła stringi, kwiecistą bluzeczkę bez pleców, dzinsy i sandały. O wpół do piątej wsiadła na rower; jechała wolno, żeby nie zjawić się w hotelu zdyszana i spocona. Czuję się prawie tak, jakbym jechała na randkę, pomyślała. Gdy przeciskała się między samochodami na Kloof Street, zauważyła, że mężczyźni odwracają za nią głowy. Uśmiechnęła się lekko, bo za-

den nie wiedział, kim jest ani dokąd jedzie. A to przecież dziwka na rowerze.

Nie było tak źle.

To był normalny facet. Nie miał żadnych dziwnych życzeń. Przyjął ją z nieco przesadną uprzejmością i rozmawiał z nią szeptem. Chciał, żeby go głaskała, dotykała i położyła się przy nim. Ale najpierw musiała się rozebrać. Wtedy zadrżał i powiedział: „Boże, jakie ciało”. Sunął wolno palcem po jej łydkach, udach i brzuchu. Całował piersi i ssał sutki. A potem się kochali. Szybko osiągnął orgazm, jęczał z zamkniętymi oczami. Leżąc na niej zapytał: „Jak ci było?” Odparła, że cudownie, bo to właśnie chciał usłyszeć.

Gdy długą, stromą ulicą wracała rowerem do domu, pomyślała z nutą współczucia, że tak naprawdę chodziło mu o rozmowę. O pracy, małżeństwie, dzieciach. To, czego naprawdę pragnął, to odegnąć na chwilę samotność w czterech ścianach hotelowego pokoju. Tak naprawdę potrzebował uważnego ucha.

Kiedy później to zajęcie stało się jej pełnoetatowym zawodem, zdała sobie sprawę, że większość z nich ma podobne potrzeby. Płacili, żeby przez godzinę znów poczuć się kimś.

Tamtej nocy pomyślała, że ma szczęście, bo mógł się okazać bestią. Gdy Sonia usnęła, wyjęła z portfela pięć nowych banknotów i rozłożyła je na stole. Niemal tydzień pracy w Trawlers. Gdyby obsłużyła tylko jednego mężczyznę na dzień, tylko pięć dni w tygodniu, miałyby miesięcznie dziesięć tysięcy randów. Po opłaceniu wszystkich rachunków zostałyby na wydatki siedem tysięcy. Siedem tysięcy randów.

Trzy dni później kupiła telefon komórkowy i zamieściła ogłoszenie w „Die Burger's Snuffelgids”. Zanim zdecydowała się na treść, najpierw uważnie przestudiowała inne ogłoszenia w dziale „Usługi dla dorosłych. Bibi. Świeża i nowa. 22-letnia blondynka z wymarzonym ciałem. Przyjemność gwarantowana, tylko śmietanka biznesu”. I numer.

Pierwszy raz wyszło w poniedziałek. Telefon zadzwonił zaraz po dziewiątej rano. Celowo nie odebrała natychmiast. Potem powiedziała chłodnym tonem: „Witaj”.

Nie mieszkał w hotelu. Chciał przyjść do niej. Odmówiła, oznajmiła, że tylko na dojazd. Wydawał się rozczarowany. Zanim telefon znów zadzwonił, pomyślała: Czemu nie? Ale uznała, że ma ważne powody. To mieszkanie jej i Sonii - tu jest Christine. Bezpieczna, tylko ona zna adres. Lepiej się tego trzymać.

Po pewnym czasie ustalili się pewien porządek. Rano dzwonili miejscowi, ci chcieli przyjść do niej. Późnym popołudniem i wieczorem dzwonili z hotelu. W pierwszym tygodniu zarobiła dwa tysiące randów, bo odbierała tylko jeden telefon, po czym wyłączała komórkę. W czwartek mała nie czuła się dobrze, postanowiła więc nie pracować. Drugiego tygodnia zdecydowała się na dwóch dniennie, jeden późnym popołudniem i jeden wczesnym wieczorem. Nie powinno być źle, będzie miała dość czasu, żeby się porządnie wykapać, uperfumować... W ten sposób podwoiłyby dochody i zrekompensowała wieczory, kiedy nie miała klientów.

Klienci. To nie było jej słowo. Któregoś popołudnia zadzwoniła kobieta. Vanessa.

- Działamy w tym samym biznesie. Widziałam twoje ogłoszenie. Nie poszłabyś na kawę?

To była jej inicjacja w coś, co Vanessa, a tak naprawdę Truida, nazywała ZDDK: Związek Drogich Dziwek Kapsztadu. „To jak Instytut Kobiet, tyle że spotkania nie zaczynamy od czytania Pisma Świętego i modlitwy”. Vanessa, czyli: „Studentka o rudych włosach, dzielnice północne. Przyjdź i pokaż mi jak. Usługa ekskluzywna”.

W kawiarni centrum handlowego wyrecytowała jej historię swojego życia. Kobieta o ostrych rysach i nieskazitelnej cerze, z blizną na brodzie i włosami zawdzięczającymi swój rudy kolor bardzo drogiej farbie. Pochodziła z Ermelo. Za wszelką cenę chciała uniknąć nacisku rodzinnego miasta i egzystencji na wzór rodziców z klasy średniej. Zrobiła roczny kurs sekretarek w technikum w Johannesburgu i pracowała w Midrand, w firmie serwisującej sprzętarki. Zakochała się w młodym Szwedzie, którego poznała w klubie tanecznym w Sandton. Karl. Nienasycone libido. Zdarzało im się spędzać w łóżku całe weekendy. Uzależniła się

od niego, od intensywnych i wielokrotnych orgazmów, od stałego pobudzenia i wspaniałej energii. Niczego tak nie pragnęła, jak go zaspokoić, chociaż z każdym tygodniem wymagało to czegoś więcej, kolejnego kroku w głąb nieznanego terytorium. Czowała się jak żaba w garnku na ogniu.

Zahipnotyzowana przez jego ciało, członek, życiową mądrość. Alkohol, zabawki, ecstazy, przebieranki. Któregoś popołudnia zamówił prostytutkę i bawili się w trójkę. Miesiąc później zabrał ją do „klubu”: ślicznego dużego domu na małej farmie niedaleko Bryanston. Nie był tam nowy, ale wtedy nie zwróciła na to uwagi. Pierwszego tygodnia musiała patrzeć, jak kocha się z dwiema, drugiego musiała wziąć udział - cztery zwijające się węzowo ciała - a w końcu chciał patrzeć, jak ona uprawia seks z dwoma klientami na olbrzymim łożu w ogromnej sypialni.

Gdy pierwszy raz usłyszała, ile zarabiają dziewczyny z Bryanston, zaśmiała się z niedowierzaniem. Sześć tygodni po tym, jak rzucił ją Karl, pojechała do klubu i poprosiła o pracę. Miała nadzieję, że go tam spotka; potrzebowała pieniędzy, bo kompletnie się pogubiła. Ale nie na tyle, żeby nie zorientować się, jak to działa. Za wiele dziewczyn utrzymywało facetów, którzy na dodatek je bili, zabierali im co niedzielę pieniądze, żeby kupić alkohol albo narkotyki. Za wiele uzależniło się od kokainy, czasami heroiny -na wyciągnięcie ręki. Klub zatrzymywał połowę zarobków. Gdy już na dobre wykreśliła Karla, przyjechała do Kapsztadu, sama, z doświadczeniem i jasno wytyczonym celem.

- Rzecz w tym, że trzeba oszczędzać, aby za dziesięć lat nie skończyć jako uliczna dziwka za pięćdziesiąt randów, która liczy na to, że znajdzie się ktoś, kto będzie miał ochotę na szybkiego lodzika. Trzymaj się z dala od narkotyków i oszczędzaj. W wieku trzydziestu lat przejdź na emeryturę.

I jeszcze:

- Wiesz, że trzeba pytać o imię?
- Nie.
- Gdy dzwonią, pytaj, kto mówi. Proś, żeby podali imię.
- Ale po co? Większość i tak kłamie.

- Jeśli kłamię, to dobrze. Znaczący, że żonaci. Nigdy nie miałam kłopotów z żonatymi. Uważać trzeba na tych wolnych. Należy używać imienia, które facet ci poda. Bez przerwy. Sprzedajesz się przez telefon. Pamiętaj, on tylko ogląda wystawy; reklam i opcji jest mnóstwo, a on nie może zwrócić się do ubezpieczalni o zwrot pięciuset randów. Powtarzaj jego imię, nawet jeśli jest nieprawdziwe. Pokażesz w ten sposób, że mu wierzysz i ufasz. Że jest dla ciebie kimś ważnym. Połechcesz jego ego, dzięki temu poczuje się wyjątkowy. Po to dzwoni. Więc postaraj się, żeby tak się poczuł.

- Dlaczego dajesz mi te wszystkie rady?

- A dlaczego cię to dziwi?

- Nie jesteśmy rywalkami?

- Skarbie, to kwestia podaży i popytu. Tu popyt spragnionych mężczyzn jest nieograniczony, a podaż dziwek, które naprawdę warte są pięciuset randów za godzinę, jest... Rety, niektóre powinny zobaczyć co. A faceci zaczynają się orientować.

- Postaraj się o oddzielne miejsce do pracy. Nie chcesz, żeby klienci nachodzili cię w domu. A to się zdarza, przychodzą pijani w sobotni wieczór, nieumówieni, stoją na wycieraczce i wyją: Kocham cię, kocham cię.

- Raz miałam miesiąc wart pięćdziesiąt pięć tysięcy randów; cholera, prawie nie składałam nóg, było trochę ciężko. Ale wystarczy, że podłóżysz trzem facetom na dzień, a spokojnie zarobisz w dobry miesiąc trzydzieści tysięcy, bez podatku. Wykorzystuj okazje, bo niektóre miesiące są do niczego. Grudzień jest fantastyczny. Zareklamuj się też w „Argusie”, tam znajdą cię turyści. I na Sextrader w Internecie. Jeśli będzie mówił z akcentem, krzyknij sześćset.

- To przez ich żony. Wszyscy mówią to samo. Mamuśka nie chce już tego robić. Mamuśka mi nie pozwoli. Nie spróbuje czegoś nowego. Jesteśmy terapeutkami, mówię ci, wystarczy popatrzeć, jak wyglądają, gdy wchodzi, a jak, gdy wychodzi.

Vanessa opowiedziała jej o członkiniach ZDDK - mówiących po afrykanersku i angielsku, białych, brązowych, czarnych i drobnych delikatnych Tajkach. Christine poznała tylko trzy czy cztery i z paroma rozmawiała przez telefon, ale nie miała ochoty się w to angażować; chciała zachować dystans i anonimowość. Posłuchała jednak rad Vanessy. Znalazła pokój w Gardens Centre i zaczęła przyjmować częściej. Pieniądze napłynęły.

Dni i tygodnie ułożyły się w schemat. Poranki i weekendy należały do Sonii, poza jednym, kiedy zarezerwowano ją na polowanie, lecz pieniądze to wynagrodziły. Pracowała od południa do dziewiątej wieczór, po czym odbierała córkę ze żłobka, w którym myśleli, że jest pielęgniarką.

Co trzy miesiące dzwoniła do matki.

Za gotówkę kupiła samochód: niebieskiego volkswagena city golfa rocznik '98. Przeniosły się do większego mieszkania, przestronnego apartamentu z dwiema sypialniami w tym samym budynku. Meblowała je po kawałku jak układankę. Telewizja satelitarna, pralka automatyczna i kuchenka mikrofalowa, rower górski za sześć tysięcy randów choćby dlatego, że sprzedawca zmierzył ją wzrokiem od góry do dołu i pokazał jej jakiś za osiemset.

W rok po tym, jak umieściła pierwsze ogłoszenie, pojechały z Sonią na dwutygodniowe wakacje do Knysny. Gdy stamtąd wracały, zatrzymała się na światłach i spojrzała na drogowskaz: Kapsztad w lewo, Port Elizabeth w prawo. W tamtej chwili miała wielką ochotę skrócić w prawo, gdziekolwiek, do nowego miasta i życia.

Zwykłego życia.

Jej regularni klienci stęsknili się za nią. Kiedy włączyła telefon, skrzynka wiadomości była pełna. Już prawie dwa lata mieszkała w Kapsztadzie, gdy kolejny raz zadzwoniła do domu. Matka rozplakała się, słysząc córkę.

- Twój ojciec zmarł trzy tygodnie temu.

W głosie matki wyczuła nie tylko ból z powodu straty, ale i wyrzut. Sugerujący, że Christine przyczyniła się do tego ataku serca. Wyrzut, że matka musiała przejść przez to sama. Że nie miała na

kim się wesprzeć. Tak czy inaczej, Christine przeszył niespodziewany ostry i głęboki ból, aż krzyknęła.

- Co to za hałas? - zapytała matka.

Naprawdę nie wiedziała. Było w niej poczucie winy i straty, żal nad sobą i żaloba, ale najbardziej zdumiało ją właśnie poczucie straty. Bo przecież tak bardzo go nienawidziła. Rozpłakała się i dopiero później zaczęła wszystko analizować: swoje postępowanie, nieobecność, rolę w jego śmierci. Samotność matki i jej nagłą wolność. Nieodwołalną niemożność uzyskania aprobaty ojca. I pierwszą refleksję, że ją też czeka śmierć. Ale absolutnie nie mogła wyjaśnić, dlaczego w następnym zdaniu powiedziała o Sonii. - Mam dziecko, mam.

Po prostu wymknęły jej się te słowa, jak zwierzątko, które miesiącami wpatrywało się w drzwiczki klatki. Matka długo nie odpowiadała, wystarczająco długo, żeby pożałowała tego wyznania. Matka jednak zareagowała inaczej, niż Christine się spodziewała:

- Jak ma na imię?

- To dziewczynka, mam. Sonia.

- Ma dwa lata? - Jej matka nie była głupia.

- Tak.

- Moja biedna córeczka. - I zapłakały razem, nad wszystkim. Gdy jednak matka chwilę później zapytała: - Kiedy zobaczę wnuczkę? Na Boże Narodzenie? - Unikała konkretów.

- W święta pracuję, mam. Może po Nowym Roku.

- Mogę przyjechać. I zająć się nią, gdy będziesz w pracy. - Usłyszała rozpacz w jej głosie, głosie kobiety, która po latach kłopotów pragnęła w życiu odrobiny dobra i piękna. Christine natychmiast zapragnęła je ofiarować. Chętnie spłaciłaby długi, ale miała tajemnicę, którą nie mogła się podzielić.

- Przyjedziemy w odwiedziny, mam. W styczniu, obiecuję. Tego wieczoru nie pracowała.

W nocy, po tym jak Sonia zasnęła, pierwszy raz sama siebie skaleczyła. Nie miała pojęcia, dlaczego to zrobiła. Może z powo-

du ojca. Najpierw szukała czegoś odpowiedniego w łazience, ale nie znalazła. Więc poszła do kuchni. W jednej z szuflad zobaczyła nóż, którego używała do obierania warzyw. Zabrała go do salonu, usiadła, popatrzyła na siebie i zrozumiała, że nie może ciąć w widocznym miejscu - nie w jej zawodzie. Dlatego wybrała stopę, miękkie podbicie między piętą a palcami. Przycisnęła nóż i pociągnęła. Krew ją przestraszyła. Pokuśtykała do łazienki i trzymała stopę nad wanną. Czuła ból. Patrzyła na spływające po ściankach czerwone krople. Później zmyła ślady krwi. Bolało. Postanowiła o tym nie myśleć. Wiedziała, że jeszcze to powtórzy.

Następnego dnia też nie pracowała. Był początek grudnia, wyjątkowo dobry miesiąc. Myślała, żeby z tym zerwać. Chciała takiego życia, w którym mogłaby powiedzieć Sonii: babcia Martie przyjeżdża z wizytą. Miała dość okłamywania opiekunki i matek w żłobku. Dość klientów, ich wzruszających próśb, ich potrzeb. Chciała móc powiedzieć „tak”, gdy jakiś uprzejmy, przystojny nieznajomy podejdzie kiedyś do ich stolika w McDonalddie i zapyta, czy może postawić im lody. Choć raz. Ale był okres wakacyjny, miesiąc wielkich zarobków.

Wynegocjowała ze sobą ugodę. Będzie pracowała w grudniu jak najwięcej. Żeby móc sobie pozwolić na spędzenie stycznia u matki w Upington. A po powrocie poszuka innej pracy.

Dotrzymała zobowiązania. Podczas dwóch tygodni w Upington Martie van Rooyen mogła nacieszyć się wnuczką. Wyczuła też zmianę w córce.

- Jesteś inna, Christine. Stwardniałaś.

Okłamała matkę w sprawie pracy, poinformowała, że pracuje tu i tam, robi to i owo. W łazience matki pocięła sobie drugą stopę. Tym razem widok krwi powiedział jej, że musi z tym skończyć. Skończyć z tym wszystkim.

Następnego dnia zasugerowała matce, że ma nadzieję dostać pracę na etat. I dostała.

Zatrudniono ją jako przedstawicielkę handlową w małej firmie produkującej lecznicze kremy do twarzy z ekstraktem z kelpu.

Objeżdżała apteki w centrum i na południowych przedmieściach. Trwało to dwa miesiące. Pierwsza komplikacja nastąpiła, gdy weszła do apteki Link w Noordhoek i w aptekarzu rozpoznała jednego ze swoich dawnych klientów. Druga, gdy jej nowy szef położył rękę na jej nodze, gdy jechali samochodem. Czarę goryczy przepełnił pasek z wypłatą na koniec miesiąca. Dochód brutto: dziewięć tysięcy coś tam, dochód netto: sześć tysięcy czterysta randów, z włączeniem prowizji od sprzedaży, po opodatkowaniu i ubezpieczeniu od ryzyka utraty pracy i kto tam wie, czego jeszcze.

Przemyślała na nowo swoje plany. Miała dwadzieścia jeden lat. Jako pani do towarzystwa zarabiała ponad trzydzieści tysięcy randów miesięcznie i oszczędzała z tego dwadzieścia tysięcy. Po zakupie samochodu i paru innych poważniejszych wydatkach nadal miała odłożone prawie dwieście tysięcy. Gdyby popracowała jeszcze ze cztery lata... dopóki Sonia nie pójdzie do szkoły. Tylko cztery lata. Zaoszczędzi rocznie dwieście, dwieście pięćdziesiąt tysięcy, może więcej. Wtedy będzie mogła sobie pozwolić na normalną pracę. Tylko cztery lata.

Prawie się udało. Tyle tylko, że pewnego dnia odebrała telefon i usłyszała głos Carlosa Sangrenegry:
- Conchita?

19

Wymeldował się z hotelu w Parów. Potrzebował teraz czegoś innego. Większej anonimowości, mniej świadków wyjść i powrotów. Pojechał do centrum, gdzie mógł spędzić czas, nie wzbudzając zainteresowania. Z aparatu w Golden Acre zadzwonił do detektywa z Umtaty, żeby zapytać o Khozę i Ramphele.

- Sądziłem, że ma pan zamiar ich złapać.
- Nie mogę wpaść na żaden ślad.
- Nie jest łatwo, co?

- Nie jest.
- Właśnie - powiedział detektyw, ułagodzony jego kapitulacją. - My też nic nie mamy.
- Nic a nic?
- Nic.

Na Adderley Street kupił „Die Burger” i poszedł na śniadanie do Spur na Strand Street. Złożył zamówienie i rozpostarł gazetę. Najważniejsze wiadomości dotyczyły organizacji Soccer World Cup 2010. U dołu pierwszej strony znalazł artykuł zatytułowany *Para lesbijek aresztowana pod zarzutem doprowadzenia do śmierci dziecka*. Przeczytał: Aresztowano kobietę podejrzaną o zabójstwo pięcioletniej córki jej partnerki. Dziecko otrzymało cios w głowę kijem bilardowym, prawdopodobnie wskutek ataku wściekłości.

Kelnerka podała mu kawę. Rozerwał papierową tutkę, wsypał cukier do filiżanki i zamieszał. Na co on się porywa?

Skoro dzieci nie chroni aparat sprawiedliwości, do kogo mają się zwrócić?

Co robić? Jak ma chronić dzieci własnym działaniem? Jak przekazać ludziom, że nie wolno tknąć dziecka? Sprawa jest jasna: trzeba przywrócić wyrok śmierci.

Ostrożnie pociągnął łyżeczek kawy, sprawdzając jej temperaturę.

Za bardzo mu się śpieszyło. To się stanie. Chwilę potrwa, nim wiadomość się rozejdzie, ale się stanie.

Musi tylko wytrwale dążyć do celu.

- Nie ma mowy - powiedziała szefowa działu komunikacji spółki Woolworths, biała czterdziestolatka siedząca obok André Marais w sali konferencyjnej centrali sieci sklepów przy Long-market Street. Kontrast między kobietami był uderzający. To tylko kwestia pieniędzy, pomyślał Griessel, i środowiska. Gdyby tak tę wymanikiurowaną cizję w obcisłym szarym kostiumiku posadzić na trzy miesiące przy kontuarze w Claremont za policyjną pensję, wtedy byśmy zobaczyli.

Siedzieli w piątkę wokół okrągłego stołu: January, kierownik sklepu, Kleyn, kobieta od komunikacji, Marais, Griessel i jego partner w tym miesiącu, komisarz Cliffy Mketsu.

- Owszem jest - powiedział Griessel drwiąco, nieźle się bawiąc. - Bo alternatywa raczej się pani nie spodoba, panno Kleyn. -Postanowili z Mketsu, że on zagra tego złego, a pokojowo nastawionym policjantem o dobrym sercu będzie Cliffy.

- Jaka niby alternatywa? - Kobieta wydeła jaskrawoczerwone usta. Zanim Griessel zdążył odpowiedzieć, dodała: - Poza tym jestem panią Kleyn.

- Panią Kleyn? - zapytał Cliffy zdziwiony i przysunął do siebie jej wizytówkę. - Ale tu jest napisane...

- Panią - powtórzyła. - Pani to ani panna, ani mężatka. Ten współczesny sposób zwracania się do kobiet do policji jeszcze najwyraźniej nie dotarł.

- Powiem pani, co dotarło do policji, pani Kleyn - burknął Griessel, nabierając pewności, że z tą babą sobie poradzi. - Otóż dziś po południu organizujemy konferencję prasową; poinformujemy media, że w sklepie Woolworths grasuje seryjny morderca. Poprosimy prasę i telewizję, żeby łaskawie ostrzegły niczego niepodejrzewających ludzi, aby trzymali się z daleka od sklepu, zanim kolejna niewinna klientka zostanie uduszona sznurem od czajnika. Tyle dotarło do policji, pani Kleyn. Więc proszę mi nie mówić, nie ma mowy, jakbym przyszedł zapytać, czy możemy w waszym sklepie urządzić sobie wyścig wózkami.

Mimo warstw tapety zobaczył, że poczerwieniała jak burak.

- Benny, Benny - uspokajał go Cliffy. - Chyba nie powinniśmy uciekać się do pogrózek; musimy zrozumieć punkt widzenia pani Kleyn. Ma na względzie interes klientów.

- Ma na względzie tylko interes swojej firmy. Powtarzam, że porozmawiamy z prasą.

- To szantaż - stwierdziła Kleyn, tracąc pewność siebie.

- To nie będzie konieczne - łagodził Cliffy. - Wierzę, że jakoś się dogadamy, panno Kleyn.

- Nie mamy wyjścia - uznał January, kierownik sklepu.

- Powiedziałem „panno”? Och, przepraszam najmocniej -zreflektował się Cliffy.
 - Nie możemy sobie pozwolić na taki rozgłos - oświadczył January.
 - To z przyzwyczajenia - dodał Cliffy.
 - Nie dam się zaszantażować - oznajmiła Kleyn.
 - Oczywiście, że nie, pani Kleyn.
 - Wychodzę. - Griessel wstał.
 - Mogę coś powiedzieć? - zapytała cicho sierżant Marais.
 - Ależ oczywiście, pani Marais - zezwolił Cliffy.
 - Boi się pani, że coś złego może przytrafić się klientom? -zapytała.
 - Oczywiście, że się boję. Chyba nietrudno sobie wyobrazić, co by to dla nas oznaczało?
 - Jasne - odparła Marais. - Ale jest sposób na uniknięcie ryzyka.
 - Mianowicie? - spytała Kleyn. Griessel usiadł ponownie.
 - Chcemy jedynie skłonić podejrzanego, żeby nawiązał ze mną kontakt, mamy nadzieję, że zapoczątkuje rozmowę i wprosi się na wizytę. Nie zamierzamy wszczynać niczego w sklepie ani go aresztować: nie mamy podstaw. Tak naprawdę nie istnieje żadne ryzyko konfrontacji.
 - No nie wiem... - Kleyn spojrzała z powątpiewaniem na swoje długie czerwone paznokcie.
 - A gdybym była jedynym policjantem w supermarkecie?
 - Wolnego, pani sierżant - interweniował Griessel.
 - Komisarzu, będę miała przy sobie krótkofalówkę, poza tym przecież wiemy, że supermarket jest monitorowany. W końcu możecie być na zewnątrz.
 - Myślę, że to dobry pomysł - pochwalił Cliffy.
 - Nie widzę powodu, żeby odstępować od sprawdzonych procedur tylko dlatego, że nie zgadza się na nie gestapo - oburzył się Griessel i znów wstał.
- Kleyn wessała z sykiem powietrze, jakby zamierzała zareagować, ale nie dał jej sposobności.

- Wychodzę. Jeśli chcecie się poddać, to beze mnie.
- Podoba mi się pani propozycja - powiedziała szybko Kleyn, żeby Griessel zdążył usłyszeć, zanim zniknie za drzwiami.

Thobela meldował się właśnie w Waterfront City Lodge, gdy do recepcji dostarczono prasę. Doręczyciel rzucił z hukiem paczkę gazet na drewniany kontuar. Nagłówek znalazł się tuż pod jego nosem, ale wypełniał jeszcze książkę meldunkową i tylko kątem oka zerknął na wielkie litery:

Zabójca mściciel dzieci.

Długopis zastygł nad książką. Skąd wiedzieli? Recepcjonista za kontuarem stuknął na klawiaturze komputera. Thobela zmusił się, żeby wypełnić do końca kartę, i podał mu ją. W zamian otrzymał elektroniczną kartę do pokoju i wyjaśnienie, jak do niego trafić.

- Mogę wziąć gazetę?
- Oczywiście, zapiszę ją na pańskie konto.

Chwycił gazetę i torbę i ruszył ku schodom. Zaczął czytać.

„Wszystko wskazuje na to, że właściciel żłobka Colin Pretorius (34 l.) na dzień przed tym, jak miał oficjalnie otrzymać wyrok w sprawie gwałtu i molestowania seksualnego, stał się drugą ofiarą mściciela z sagajem; mściciel za cel obrał sobie przestępców, których ofiarami są dzieci”.

Zdał sobie sprawę, że stoi jak skamieniały, i serce mocniej zabiło mu w piersi. Rozejrzał się, wszedł na pierwsze piętro i dopiero tam czytał dalej.

„Prowadzący śledztwo policjant, komisarz Bushy Bezuiden-hout z wydziału przestępstw ciężkich i bandytyzmu (SVC), nie wyklucza możliwości, że użyto dokładnie tej samej broni jak trzy dni temu w napaści na Envera Davidsa. W opublikowanym na prawach wyłączności raporcie, napisanym po wczorajszym anonimowym telefonie do naszej redakcji, »Argus« wyjawiał, że ostre narzędzie to najprawdopodobniej sagaj...” Jak dużo wiedzą? Przebiegł wzrokiem kolumny.

„Komisarz Bezuidenhout przyznał, że policja nie ma na razie podejrzanego. Zapytany, czy zabójcą może być kobieta, powie-

dział, że nie skomentuje tej możliwości (patrz strona 16: Sprawa Artemidy)

Otworzył drzwi do pokoju, postawił torbę na podłodze i rozłożył gazetę na łóżku. Przekartkował do strony 16.

W mitologii greckiej istniała opiekunka dzieci, groźna boska łowczym o imieniu Artemida, która karała za niesprawiedliwość gwałtownie i ze śmiertelną celnością - godząc nieszczęśników srebrną strzałą. Ale czy to możliwe, żeby mścicielem dzieci była kobieta?

- Niewykluczone, że zabójca jest kobietą - mówi kryminolog doktor Rita Payne. - Kiedy chodzi o ochronę naszych dzieci, stajemy się bezwzględni; znamy wiele analogicznych przypadków, gdy matka popełniła poważne przestępstwo, nawet morderstwo, żeby zemścić się za akt wymierzony w jej dziecko.

Ale istnieje jeden powód przemawiający za tym, że domniemana współczesna Artemida nie jest kobietą: sagaj to bardzo mało prawdopodobny wybór kobiety. Jeśli kobiety używają ostrego narzędzia, żeby zadźgać czy pokaleczyć ofiarę, wybór dyktują im okoliczności, nie jest to broń wybrana z premedytacją - stwierdziła doktor Payne.

Mimo to nie możemy wykluczyć, że mamy do czynienia z mścicielką..."

Nie podobał mu się ten rozgłos. Odłożył gazetę i wstał, żeby odsunąć firankę. Miał stąd widok na kanał i drogę dojazdową do Waterfront. Wpatrywał się w niekończący się strumień samochodów i pieszych i zastanawiał, co go dręczy, co kryje się za tym nowym napięciem. To, że policja prowadzi śledztwo, jakby był pospolitym przestępcą? Przecież wiedział, że to nastąpi, nie miał co do tego złudzeń. Czy może chodzi o to, że gazeta tak płytko to przedstawiła? Co za różnica, czy to kobieta, czy mężczyzna? Dlaczego nie skupią się na powodach? Ktoś coś robił. Podjął walkę. - Artemida.

Wypluł to słowo, ale pozostawiło nieprzyjemny posmak.

Po tym, jak powiedziała mu o Soni, pastor wydawał się jeszcze bardziej znużony. Przerzedzające się włosy przylegały do jego

głowy, przyklapywane dużą dłonią, która co chwila ich dotykała. W świetle lampy na biurku widziała ocieniający policzki popołudniowy zarost, jasnoniebieska koszula była zmięta, podwinięte rękawy zwisały nierówno. Oczy patrzyły na nią z niesłabnącym natężeniem i niepodzielną uwagą, ale teraz pojawiło się w nich coś jeszcze. Pomyślała, że dostrzega w nich ślad przecucia tragedii.

- Byłeś dziś niezwykle przekonujący, Benny - powiedział Cliffy Mketsu, gdy szli za André Marais do samochodu.

- Wkurzyła mnie okropnie, pieprzona paniusia - burknął i zobaczył, że plecy Marais sztywnieją. - Pewnie myśli pani, że mam coś przeciwko kobietom, sierzancie - zaatakował. Wiedział, co jest z nim nie tak. Stał po krawędzi. Jezu, te tabletki na nic się nie zdawały - musiał się napić, całe ciało błagało o alkohol.

- Nie, komisarzu - odparła Marais z denerwującą potulnością.

- Bo jeśli tak, to jest pani w błędzie. Nie cierpię tylko takich jak ona. „Współczesny sposób zwracania się do kobiet, który do policji jeszcze najwyraźniej nie dotarł” - zacytował falsetem. -Dlaczego wszyscy zawsze mają coś do powiedzenia na temat pieprzonej policji? No dlaczego?

Mijali ich właśnie dwaj kolorowi mężczyźni. Popatrzyli na Griessela.

- Benny... - Cliffy położył mu rękę na ramieniu.

- No dobra, dobra. - Griessel wyjął klucze z kieszeni marynarki. Otworzył samochód, wsiadł i sięgnął ręką za siebie, żeby otworzyć tylne drzwi i wpuścić Mketsu i Marais. Przekręcił klucz w stacyjce.

- Po jakie licho tak jej zależy na tej „pani”? Po kiego grzyba? Co jest nie tak z „panną”? Setki lat funkcjonuje „pani” i „panna” i nagle jej to, do cholery, przeszkadza.

- Benny.

- No po kiego grzyba, Cliffy? - Dłużej nie da rady. Musi się napić. Szukał po kieszeniach wizytówki, nie pamiętał, gdzie ją włożył.

- Nie wiem, Benny - odparł Cliffy. - Jedźmy już.
- Zaczekaj sekundkę.
- Na jej miejscu też wolałabym być panią - powiedziała cicho André Marais z tylnego siedzenia. Znalazł kartkę, odpiął pasy, przeprosił i wysiadł z samochodu. Odczytał numer i wystukał go na komórce.
- Barkhuizen - rozległo się w słuchawce. Odszedł kawałek od samochodu.
- Doktorze, te pańskie tabletki w ogóle, do diabła, nie działają. Nie dam rady. Nie jestem w stanie pracować. Zrobiło się ze mnie chamskie bydlę. Mam ochotę sprać kogoś po pysku. Dosyć tego, doktorze, zamierzam kupić litr cholernej brandy i wypić ją duszkiem, słyszy pan, doktorze?
- Słyszę, Benny.
- To świetnie, doktorze, chciałem tylko, żeby pan wiedział.
- Dziękuję, Benny.
- Dziękuję, Benny?
- To twój wybór. Mam tylko jedną prośbę, zanim się napijesz.
- Mianowicie jaką, doktorze?
- Zadzwoń do żony. I dzieci. I im też to powiedz.

20

Siedziała i patrzyła na Sonię. Dziewczynka leżała na dużym łóżku, z jedną ręką pod brzuszkiem, a drugą przy otwartej buzi. Jej jasne włosy lśniły we wpadającym przez okno późnopołudniowym słońcu.

Siedziała bez ruchu i wpatrywała się w swoją córkę. Nie szukała w niej cech, które przypominałyby Viljoena, ani nie upajała się doskonałością jej ciała.

Ciało jej dziecka. Nieskalane. Nietknięte. Święte, bez skazy, czyste.

Nauczy ją, że jej ciało jest cudowne. Że jest piękna. Że wolno jej być piękną. Atrakcyjną i pożądaną - to nie grzech ani przekleństwo, tylko błogosławieństwo. Coś, co należy lubić i być z tego dumnym. Nauczy Sonię, że wolno się umalować, włożyć ładne ubranie i iść ulicą, przyciągając uwagę mężczyzn. I że to dobre. Naturalne. I że będą przypuszczali do niej szturm jak żołnierze w niekończącym się wojennym szeregu. Ale będzie miała broń, która pozwoli podbić ją tylko wybranemu - miłość do siebie.

Taki dar ofiaruje córce.

Wstała i wzięła nowy nóż, który kupiła na Home. Poszła z nim do łazienki i zamknęła za sobą drzwi na klucz. Stała przed lustrem, lekko i powoli przeciągnęła ostrzem po twarzy, od czoła do brody.

Czuła nieprzewartą chęć, żeby nacisnąć mocniej. Rozciąć skórę i poczuć piekący ból.

Zdjęła koszulkę, rozpięła stanik i pozwoliła mu opaść na podłogę. Czubkiem noża dotknęła piersi.

Zatoczyła kółko wokół sutka. Wyobraziła sobie błysk ostrza znaczącego na jej piersi długie kreski.

Krzyżujące się linie.

Jeszcze dwa lata.

Usiadła na brzegu wanny, nogami do środka. Oparła lewą stopę na prawym kolanie. Przyłożyła nóż do poduszki wielkiego palca. Ciachnęła szybko i głęboko, do samej pięty.

Gdy poczuła gwałtowny ból i zobaczyła zbierającą się na dnie wanny krew, pomyślała: Jesteś chora, Christine. Chora, bardzo chora.

- Z początku Carlos stanowił miłą odmianę. Był inny. Ze mną. Myślę, że w Kolumbii odwiedzania prostytutek chyba nie potępia się tak jak tu. Nigdy nie zauważyłam u niego tej obawy: Co będzie, gdy ktoś mnie zobaczy, typowej dla większości moich klientów. Był małym, żyłastym mężczyzną, bez grama zbytecznego tłuszczu. I ciągle się śmiał. Niezmiennie cieszył się na mój widok. Powiedział, że jestem najpiękniejszą *conchitą* na świecie. „Jesteś blond seksbombą Carlosa”. Zawsze mówił o sobie w trze-

ciej osobie. Nigdy nie powiedział „ja”. „Carlos cię sklonuje i wyeksportuje do Kolumbii. Bardzo się Carlosowi podobasz”. Miał miłe dłonie, dobrze je pamiętam. Delikatne jak u kobiety. Gdy się kochaliśmy, robił mnóstwo hałasu, wykrzykiwał jakieś hiszpańskie słowa. Był taki głośny, że raz nawet ktoś zapukał i zapytał, czy wszystko w porządku.

Za pierwszym razem dał mi dodatkowe pieniądze, dwieście randów. „Bo jesteś najlepsza”. Kilka dni później znów zadzwonił. „Pamiętasz Carlosa? On już nie może bez ciebie żyć”. Rozśmieszał mnie. Gdy przychodził do mnie, do Gardens Center. Zanim ja zaczęłam chodzić do niego, zanim dowiedziałam się, czym się zajmuje. Zanim zrobił się zazdrosny.

Jeszcze w czasach przed Carlosem napisała list.

„Byłaś bardzo dobrą matką. To tata namieszał. I ja. Dlatego zostawiam ci Sonię”.

Chciała coś dodać, jakieś wyjaśnienie, że matka zasłużyła na drugą szansę z córką, ale za każdym razem, gdy coś napisała, miała kartkę i zaczynała od początku.

Później wieczorem usiadła na brzegu wanny i wodziła ostrzem po nadgarstkach. Między pierwszą a trzecią, sama. Sonia spała w swojej wesołej sypialni z mewami na suficie i Myszka Miki na ścianie. Wiedziała, że nie może ciąć za głęboko, bo nie wolno jej tak po prostu zostawić dziecka. Musi przyjąć inny plan, nie tak drastyczny.

Zastanawiała się, ile krwi popłynie do wanny.

Czy poczułaby ulgę, gdyby wypłynęła cała ta zła?

Carlos Sangrenegra ze swoim dziwnym angielskim, okraszonym hiszpańskim akcentem, w obcisłych dżinsach i pieczołowicie zapuszczanymi wąsami. Na szyi mały krzyżyk na cienkim złotym łańcuszku, jedyna rzecz, której nie zdejmował nawet do łóżka, choć prawdę mówiąc nieczęsto robili to w łóżku. „Na pieska, *conchita*, Carlos lubi na pieska”. Stał z rozstawionymi szeroko stopami, ona pochylała się nad krawędzią łóżka. Od początku był inny niż wszyscy. Przypominał jej dziecko.

Wszystko go podniecało. Piersi, kolor włosów, oczy, ciało, wygolone włosy łonowe.

Wchodził i rozbierał się gotowy do seksu; nie potrzebował żadnych wstępnych pogaduszek. I zawsze był zadowolony.

- Nie chcesz najpierw porozmawiać?

- Carlos nie płaci pięciuset randów za gadanie. To może dostać za darmo wszędzie.

Lubiła go, przez tych parę pierwszych spotkań, może dlatego, że tak bardzo mu się podobała i tak dużo o tym mówił. Poza tym przynosił kwiaty, czasami drobny upominek, i wychodząc, zostawiał zawsze jakiś napiwek. Odbierała to jako zwyczaj południowoamerykański, tę hojność, gdyż był jej pierwszym latynoskim klientem. Do tej pory miewała tylko Niemców i Anglików, Irlandczyków (zwykle pijanych), Amerykanów, Holendrów (zawsze znaleźli coś, na co mogli ponarzekać) i Skandynawów (byli chyba najlepszymi kochankami z nich wszystkich). A Carlos był Kolumbijczykiem.

Jego pochodzenie nic jej nie mówiło, poza prawie już zapomnianą pomarańczową plamą na mapie szkolnego atlasu. - Co robisz?

Po teatralnym orgazmie leżał z głową między jej piersiami.

- Co Carlos robi? Nie wiesz?

- Nie.

- Wszyscy wiedzą, co robi Carlos.

- Ale ja nie.

- Carlos jest zawodowym kochankiem. Mistrzem miłości wagi ciężkiej. Każde pieprzenie to nokaut.

Powinnaś to wiedzieć, *con-chita*.

Mogła się tylko roześmiać.

Wziął prysznic, ubrał się, wyjął z portfela kilka dodatkowych banknotów i położył na nocnej szafce.

- Carlos daje ci coś ekstra - powiedział z tą wznoszącą się intonacją, jakby zadawał pytanie, ale już do niej przywykła. Potem wsunął rękę do kieszeni dżinsów i zapytał: - Nie wiesz, co Carlos robi?

- Nie.

- Nie wiesz, co jest towarem eksportowym numer jeden Kolumbii?

- Nie.

- Ach, *conchita*, jesteś taka niewinna. - Wyjął z kieszeni małą przezroczystą plastikową paczuszkę wypełnioną drobnym białym proszkiem. - Wiesz, co to jest? Zrobiła dłonią gest oznaczający, że zgaduje. - Kokaina?

- Tak, to kokaina, oczywiście, że to kokaina. Kolumbia jest największym światowym producentem kokainy. - No proszę!

- Chcesz? - Podał jej paczuszkę.

- Nie, dziękuję.

Na te słowa skrzywiło go ze śmiechu.

- Nie chcesz porcyjki kolumbijskiego śniegu super hiper pierwsza klasa?

- Nie zażywam narkotyków - powiedziała, czym wprowadziła go w lekkie zmieszanie, jakby uraziła jego dumę narodową. Nagle spoważniała.

- Tak, *conchita* Carlosa jest czysta.

Wczesne sygnały ostrzegawcze tłumaczyła jego latynoską krwią i uznawała za jeszcze jedną z tych miłych różnic. Dzwonił i mówił:- Carlos zaraz wpadnie.

- Teraz?

- Oczywiście, że teraz. Carlos tęskni za swoją *conchitą*.

- Ja też za tobą tęsknię, ale mogę dopiero o trzeciej.

- O trzeciej?

- Mam klientów, chyba rozumiesz. Powiedział coś po hiszpańsku, dwie krótkie sylaby.

- Carlo-o-o-o-s - przeciągnęła łagodząco jego imię.

- Ile oni ci płacą? - Tyle samo.

- Przynoszą ci kwiaty?

- Nie, Carlos...

- Dają ci napiwki?

- Nie.
- To dlaczego się z nimi spotykasz?
- Muszę zarabiać na życie.

Milczał, a gdy w końcu wymówiła jego imię, oświadczył:

- Carlos przyjdzie jutro. Carlos chce być pierwszy, rozumiesz? Chce być pierwszą miłością dnia. Pewnego dnia zadzwonił i powiedział, że wyśle po mnie kogoś. Przyjechało dwóch nieznanych mi facetów w wielkim bmw, takim, które mają GPS na małym monitorku na desce rozdzielczej, i zabrali mnie do Camps Bay. Wysiedliśmy z samochodu, ale nie widziałam domu, stał wysoko na stoku. W górę jechało się windą. Dom był cały ze szkła, praktycznie bez mebli, a widoki z niego niezwykłe. Carlos wyjaśnił, że właśnie go kupił i muszę mu pomóc, bo nie jest najlepszy w urządzeniu wnętrza. Może tamtego wieczoru pierwszy raz coś do mnie dotarło. Po jakiejś półgodzinie spojrzałam na zegarek, wtedy Carlos rozzłościł się i burknął: „Przestań patrzeć na ten zegarek”. Gdy chciałam za-protestować, dodał: „Carlos się tobą zaopiekuje, okay?”

Siedzieliśmy i jedliśmy na balkonie, na kocu, a Carlos rozmawiał ze mną, jakbyśmy byli parą zakochanych. Ci dwaj, którzy mnie przywieźli, kręcili się cały czas w pobliżu; Carlos uspokoił mnie, że to ochroniarze i że nie ma się czego bać.

Potem zapytał mnie: „Ile zarabiasz miesięcznie, *conchita*?” Nie chciałam mu powiedzieć. Często o to pytają, ale nigdy nie mówię, nic im do tego. Więc odparłam, że to moja sprawa.

Na to wypalił: „Carlos nie chce, żeby jego dziewczyna widywała się z innymi facetami. Ale rozumie, że ona musi zarabiać na życie, więc zapłaci jej tyle, ile zarabia. Więcej. Podwójnie”.

Odpowiedziałam na to: Nie, Carlos, nie mogę, i to go rozgniewało, pierwszy raz był zły. Rzucił jedzenie na koc i krzyczał na mnie po hiszpańsku; pomyślałam, że mnie uderzy. Chwyciłam torebkę i zawołałam, że lepiej sobie pójdę. Bałam się; zmienił się, miał taką dziwną twarz... Podeszli ochroniarze, porozmawiali z nim i się uspokoił; powiedział: Przepraszam, *conchita*, Carloso-

wi jest bardzo przykro. Ale zapytałam go, właściwie poprosiłam, czy jednak nie mogliby mnie odwieźć do domu, na co oświadczył, że sam mnie odwiezie. Przez całą drogę mnie przeproszał i żartował, a kiedy wysiadałam z samochodu, dał mi dwa tysiące. Wzięłam pieniądze, bo po namyśle stwierdziłam, że jeśli odmówię, to znów się rozżłości.

Następnego ranka zadzwoniłam do Vanessy i zapytałam ją, co powinnam zrobić: facet myśli, że jestem jego dziewczyną, i chce mi płacić, żebym była tylko z nim. Powiedziała, że to niedobrze, muszę się go pozbyć, takie rzeczy mogą rozwalić mój biznes. Podziękowałam jej i pożegnałam się, bo nie chciałam jej mówić, że on siedzi w narkotykach, jest okropnie porywczy i nie mam pojęcia, jak się go pozbyć.

Zadzwoniłam do Carlosa, a on przeproszał, jest mu szalenie przykro, to przez tę pracę taki się zrobił. Wysłał mi kwiaty i zaczęłam myśleć, że może to nie najgorsze rozwiązanie. Ale potem ktoś napadł na jednego z moich klientów, tuż pod drzwiami mojego pokoju w Gardens Center.

Główna sypialnia domu w Camps Bay miała teraz łóżko z baldachimem. Zatrudnił znanego i drogiego dekoratora wewnątrz, który zaczął od sypialni i wszystko urządził na biało: kotary, pościel, baldachim i zasłony przy łóżku jak żagle statku. Był dumny jak chłopiec, zakrył jej rękoma oczy, a potem w drzwiach sypialni krzyknął:

- Ta dam!

I obserwował jej reakcję. Dopytywał się kilka razy: „Podoba ci się?”

A ona zapewniała, że jest piękna, bo rzeczywiście była.

Rzucił się na łóżko i zawołał: „Chodź do Carlosa”.

Był taki podniecony, jeszcze hałaśliwszy niż zwykle; próbowała zapomnieć o snujących się po domu ochroniarzach.

Później położył się przy niej i krzyżykiem zakreślał delikatnie małe kółka wokół jej sutka.

- Gdzie mieszkasz, *conchita*?

- Przecież wiesz...
- Nie, gdzie naprawdę mieszkasz?
- W Gardens Centre - odparła z nadzieją, że zmieni temat.
- Uważasz, że Carlos jest głupi, bo na takiego wygląda? Tam pracujesz, ale gdzie jest twój dom, gdzie jest twoje mieszkanie ze zdjęciami na lodówce?
- Nie stać mnie na mieszkanie, za mało mi płacisz.
- Carlos za mało ci płaci? Carlos płaci ci za dużo. Carlosa facet od finansów cały czas powtarza: Carlos, pamiętaj, że mamy tu osiągnąć zysk.
- Masz księgowego?
- Oczywiście. Myślisz, że Carlos to płotka? Kokaina to wielki biznes, *conchita*, bardzo wielki biznes.
- No tak.
- Więc zabierzesz Carlosa do swojego domu? Nigdy, pomyślała, nigdy, ale powiedziała:
- Może któregoś dnia...
- Nie ufasz Carlosowi?
- Mogę cię o coś zapytać?
- Conchita może pytać Carlosa o wszystko.
- To ty kazałeś pobić mojego klienta?
- Jakiego znów klienta? - Nie umiał jednak ukryć kłamstwa, jego oczy przybrały chytry, lisi wyraz. Jest jak dziecko, stwierdziła, i przeraziło ją to. - Po prostu klienta. Ma pięćdziesiąt trzy lata.
- Dlaczego myślisz, że Carlos go pobił?
- Nie ty. Ale może ochroniarze?
- Kupił narkotyki?
- Nie.
- Oni biją tylko tych, którzy nie płacą za narkotyki, okay?
- Okay. - Wiedziała, co chciała wiedzieć. Lecz wcale nie poczuła się dzięki temu lepiej.

21

Griessel i Cliffy siedzieli w restauracji rybnej sto metrów od wejścia do Woolworthsa, obaj z małymi słuchawkami w uszach. Słyszeli jak André Marais mówi: „Test, test”, nie wiadomo który już raz, z tym że teraz usłyszeli w tle dźwięczny głos: „Następny klient, proszę”.

Cliffy Mketsu kiwnął głową, jak zawsze, czym strasznie rozdrażnił Griessela. Przecież Marais, do cholery, nie mogła zobaczyć tego kiwania, była w dziale spożywczym Woolworthsa, a oni siedzieli w knajpie. Miała tylko mikrofon, bez słuchawek. Komunikacja w jedną stronę, ale Cliffy oczywiście musiał kiwać tą cholerną głową.

Przy stole naprzeciwko jakaś para piła czerwone wino. Kobieta w średnim wieku przypominała mu Farrah Fawcett z tym wielkimi złotymi kołami w uszach i mnóstwem pierścionków na palcach. Mężczyzna wyglądał tak młodo, że mógł być jej synem, lecz co chwilę brał ją za rękę. Wkurzali Griessela. Bo pili wino. Bo niemal czuł na języku jego bogaty smak. Bo byli bogaci. Bo byli razem. Bo mogli pić i byli razem, a on? On siedział tu z Kiwonem Cliffym Mketsu, mądrym Cliffym, co to robił magisterkę w szkole policyjnej, dobrym policjantem, ale zdezorientowanym, beznadziejnie roztargnionym, jakby myślami cały czas tonął w podręcznikach.

Czy on usiądzie jeszcze tak kiedyś z Anną i też będą tak się sobą cieszyli? Będą, trzymając się za ręce, sączyli wino i patrzyli sobie w oczy? Jak ludzie to robią? Jak można się zakochać na nowo po dwudziestu latach małżeńskiego życia? Zresztą nieważne, do cholery, bo i tak już nigdy nie napije się wina. Alkoholikom nie wolno. Nie wolno im pić. Niczego. Ani pieprzonej kropelki. Nawet nie wolno im powąchać czerwonego wina.

Powiedział doktorowi Barkhuizenowi, że ma się zamiar upić, a ten na to: „Zadzwoń do żony i dzieci i im też to powiedz” - bo wiedział, że Griessel tego nie zrobi. Miał chęć roztrzaskać komórkę o pieprzony chodnik, rozwalić cokolwiek, ale tylko krzyczał,

sam nie wiedząc co. Gdy się odwrócił, Cliffy i André Marais siedzieli w samochodzie jak zamurowani, udając, że nic się nie stało.

- Vaughn, dobry masz odbiór? - zapytał Cliffy drugi zespół przez mikrofon. Obserwowali dział odzieżowy na drugim piętrze Woolworthsa, nad działem spożywczym.

- Dziesiąta cztery, w porządku, kolego - zameldował komisarz Vaughn Cupido, jakby się bawili. Razem z Jamiem Keyterem stanowili zespół wsparcia. Miejscowi wymawiali to Yaimie, on - Jaamie. Ostatnio weszły w modę zagraniczne imiona. Czego brakowało dobrym prostym imionom afrykanerskim? Zresztą, ta dwójka nie znalazła się tu bynajmniej z wyboru Griessela, bo Cupido był niedbalcem, a Keyter - samochwałą, przeniesionym niedawno z posterunku w Table View, po tym jak pozyskał gazety jedną z tych historyjek, w których fakty niekoniecznie odpowiadają prawdzie. „Detektyw rozbił w pojedynkę gang złodziei samochodów”. Z tymi swoimi bułowatymi, upasionymi na virgin active bicepsami i twarzą zdobywcy podfruwajek był jednym z niewielu białych w wydziale ciężkich przestępstw i bandytyzmu. I w tej to kompanii mieli chronić André Marais i złapać pieprzonego seryjnego mordercę: alkoholik, samochwałą i luzak.

Ale to nie koniec jego strapiień; nagle zmartwiło go coś jeszcze: czy ta starsza kobieta i młodzieniec są małżeństwem? A jeśli Anna też ma takiego młodzika, który trzyma ją za rękę w każdy piątkowy wieczór? Nie mógł uwierzyć, że ona już tego nie potrzebuje, wykluczone. Przecież nie wyłączyła tego żaru jak płytki kuchenki tylko dlatego, że mąż jest pieprzonym alkoholikiem. Spotyka mężczyzn w pracy - co robi, jeśli znajdzie się młody, zainteresowany nią i abstynent? Jest wciąż atrakcyjna pomimo kurzych łapek w kącikach oczu, których nabawiła się przez pijaństwo męża. Ciało ma wspaniałe. Znał facetów; wiedział, że będą próbować. A ona jak długo będzie odmawiała? Jak długo? Wyjął telefon, bo postanowił koniecznie się dowiedzieć, gdzie spędza piątkowy wieczór. Wybrał numer i przyłożył komórkę do ucha bez słuchawki.

Telefon dzwonił i dzwonił.

Obserwował Farrah Fawcett i jej młodego kochanka. Patrzyli sobie pożądliwie w oczy. Przysięgłby, że są napaleni jak nic. - Myśl... że to t... n - usłyszał w słuchawce głos André Marais.

- Co? - zapytał, wbijając wzrok w Cliffy'ego, który tylko wzruszył ramionami i postukał w radio czubkiem wskazującego palca.

- Cześć - powiedział jego syn.

- Cześć, Fritz.

- Cześć, tata. - W jego głosie nie było ani odrobiny radości.

- Jak się macie?

Ale nie usłyszał odpowiedzi, gdyż słuchawka zabrzęczała mu w ucho i zarejestrował fragment tego, co mówiła sierżant André Marais: - ..nie mogę sobie pozwolić...

- Co porabiasz, Fritz?

- Nic. Jestem sam w domu z Carlą. - Wydawał się przygnębiony i mówił jakoś smutno.

- Jaki macie odbiór, Vaughn? - zapytał Cupida. - Coś jest nie tak z jej mikrofonem.

- Sam z Carlą? - Mama wyszła.

- Zwykle kupuję rozpuszczalną - powiedziała wyraźnie André Marais.

- Rozmawia z kimś - stwierdził Cliffy. Wtedy usłyszeli w eterze cichy głos mężczyzny:

- Nie wyobrażam sobie ranka bez filiżanki dobrej kawy.

- Tata? Jesteś tam? - Zadzwoń później, Fritz, jestem w pracy.

- Dobra. - Jakby tego się spodziewał. - Jak... imię?

- ...dré.

- Cholera - zaklął Cupido - pieprzony mikrofon.

- Do widzenia, Fritz.

- Pa, tato.

- Możemy być za daleko - zauważył Jamie Keyter.
- Zostańcie na miejscu - polecił Griessel.
- Miło mi pana poznać - powiedziała policjantka w dziale spożywczym Woolworthsa.
- Rybka złapała haczyk - ucieszył się Cupido. Cliffy skinął głową.

Mama wyszła.

- Zachowajcie spokój - powiedział Griessel, ale miał na myśli siebie.

Thobela prychnął sfrustrowany i poderwał się gwałtownie z hotelowego łóżka. Położył się o trzeciej, zaciągając najpierw zasłony przed słońcem, zamknął oczy i leżał, słuchając stukotu własnego serca. Głowa pękała mu od niewyspania, a nogi i ręce miał jak z ołowiu. Był wykończony. Za pomocą świadomego oddychania próbował pozbyć się napięcia. Oderwał myśli od terażniejszości i wysłał je nad spokojne wody Cata River, osnutej mgłą napływającą jak zjawy znad otaczających farmę okrągłych wzgórz... żeby niecałą chwilę później zdać sobie sprawę, że jego myśli powróciły i w rytm pulsującego w skroniach tętna pompowały do jego świadomości zupełnie inne obrazy.

Pretorius sięgający do szafy po broń.

Nieskończenie długie chwile, zanim go dopadł, zawodzenie alarmu w rytm bicia jego serca.

Nad małą dziewczynką pochyla się duża kobieta, kij bilardowy wznosi się i opada, wznosi się i opada w strasliwym zamiarze, z głowy dziecka leje się krew - i wtedy zrozumiał, że na tym polega jego problem - że to kobieta. Kobieta. Nigdy nie zabił kobiety. Prowadził wojnę przeciw mężczyznom, zawsze bez wyjątku. W imię walki, siedemnaście razy. Szesnaście w miastach Europy, raz w Chicago: mężczyźni, zdrajcy, zabójcy, wrogowie, skazani na śmierć w pokojach narad zimnej wojny, a on był tym, którego wysyłano, żeby wykonał wyrok. Teraz dwa razy w imię nowej wojny. Zwierzęta. Ale samce.

Czy to honorowe zabić kobietę?

Im bardziej starał się skierować myśli na inny tor, tym szybciej wracały. Aż w końcu zerwał się z łóżka z prychnięciem i gwałtownie rozsunął zasłony. Na zewnątrz był ruch, słońce i barwny świat. Spojrzał na kanał i wejście na Waterfront. Pracownicy podążali w stronę centrum, do postojów taksówek na Adderley Street. Czarni i kolorowi, w jaskrawych kombinezonach robotników fizycznych. Szli zdecydowanie, śpieszyli się, żeby rozpocząć weekend, gdzieś w domu albo w jakiejś spelunce. Z rodziną. Lub przyjaciółmi.

Jego najbliżsi nie żyli. Miał ochotę otworzyć okno i wrzasnąć: Pieprzyć was, moi najbliżsi nie żyją! Zrobił głęboki wdech, położył dłonie na chłodnym parapecie i zwiesił głowę. Musi się przespać, dłużej tak się nie da. Odwrócił się do pokoju. Narzuta na łóżku była zmięta. Wygładził ją, wyrównując dużymi dłońmi, pociągając i rozciągając. Strzepnął poduszki i położył je jedna przy drugiej. Potem usiadł na łóżku, wyjął z szuflady nocnej szafki książkę telefoniczną, znalazł numer i zadzwonił do Boss Mana Madikiza z Yellow Rose. - Tu Maleńki. Facet, który szukał Johna Khozę, pamiętasz?

- Pamiętam, bracie. - W tle, w nocnym klubie, mimo wczesnego popołudnia było już gwarno.

- Dowiedziałeś się czegoś?

- *Haiziko*. Niczego.

- Miej uszy otwarte.

- Cały czas mam.

Wstał i otworzył szafę. Stos czystych ubrań na górnej półce niepokojąco zmałał, sterta rzeczy do prania urosła - skarpety, bielizna, spodnie i koszule, wszystko na oddzielnych kupkach.

Wyjął z walizki dwa małe opakowania środka do prania i zmiękczenia tkanin i posortował brudy. Rytuał miał dwadzieścia lat, pamiętał jeszcze czasy Europy, gdzie Thobela nauczył się, jak przetrwać z jedną walizką. Jak nad wszystkim zapanować, być uporządkowanym i zorganizowanym. Bo w każdej chwili mógł zadzwonić telefon. W tamtych czasach zrobił z tego zabawę, sortowanie ubrań według koloru śmieszyło go, bo przypominało apartheid - białe tu, czarne tam, kolory mieszane jeszcze gdzie indziej;

żeby niczego nie zafarbować. Zawsze najpierw prał czarne rzeczy, bo „tutaj czarni mają pierwszeństwo”.

Tak samo zrobił teraz, z przyzwyczajenia. Miętosił i pocierał materiał w mydlinach; jedno płukanie, potem drugie, skrzył ubranie w długi wąż i wyżywał, póki mimo naprzężonych mięśni nie pociekła już ani kropelka. Rozwiesił je na zewnątrz. Potem zabrał się do ubrań kolorowych, a do białych na końcu. Następnego rana zadzwonił do recepcji i poprosił o deskę do prasowania i żelazko i zabrał się do tego, co lubił najbardziej - prasowania koszul i spodni syczącym gorącym żelazkiem, tak długo, aż bez jednej zmarszczki i z ostrymi kantami mógł je powiesić na wieszakach w szafie.

Zawiesił starannie ostatnią białą koszulę na oparciu krzesła, po czym stanął niezdecydowany na środku pokoju.

Nie może tu zostać.

Dopóki znów nie spróbuje usnąć, musi jakoś spędzić czas. I dobrze zastanowił nad tą kobietą. Podniósł portfel, wepchnął go do kieszeni spodni, wziął magnetyczną kartę do pokoju i wyszedł na ulicę. Za rogiem skrzył w Dock Road, którą ludzie zmierzali do miejsc weekendowej rozrywki. Przyłączył się do grupy pięciu kolorowych i szedł za nimi aż do Coen Steytler. Przez całą drogę do Adderley słuchał ich rozmowy, luźnej, czezej paplaniny.

To nie była wina André Marais, że Operacja Woollies przeistoczyła się w kompletny chaos. Gdy między stelażami z butelkami wina a ladami z przekąskami mężczyzna nawiązał z nią rozmowę, odegrała swoją rolę samotnej kobiety w średnim wieku umiejętnie i z ostrożnym zainteresowaniem. Później uznała, że spodziewała się kogoś starszego. Ten facet miał zaledwie trzydziestkę: wysoki, przy kości, z ciemnym, popołudniowym zarostem. Ubrany był trochę dziwnie - fason marynarki w kratkę przestarzały, zielona koszula o odcień za jaskrawa, brązowe buty niewypastowane. „Nieszkodliwy”, takie słowo cisnęło jej się na usta, ale wiedziała, że w ocenie, czy ktoś jest przestępcą, nie można się kierować wyglądem.

Zapytał ją, po angielsku z akcentem afrykanerskim, czy wie, gdzie można znaleźć mieloną kawę do zaparacza z filtrem, więc mu podpowiedziała.

Z nieśmiałym uśmiechem wyjawiał, że jest uzależniony od porządnie parzonej kawy, a ona na to, że sama zwykle kupuje rozpuszczalną, bo nie stać jej na zbytki. Powiedział, że nie wyobraża sobie ranka bez filiżanki dobrej kawy, *Italian blend*, z uroczą przeproszającą miną, jakby wyznawał grzech.

Dziwne, wyjaśniała później Griesselowi, ale w tym momencie nawet go lubiła. Była w nim jakaś wrażliwość, człowieczeństwo, które coś w niej poruszyło.

Ich wózki stały obok siebie, w jej było z dziesięć czy dwanaście rzeczy, jego był pusty.

- Ach tak? - zapytała prawie pewna, że to nie jego szukają. Chciała się go pozbyć.

- Tak, jest bardzo mocna. Trzyma mnie na nogach, gdy mam dyżur w lotnej brygadzie. - Poczowała, jak kiszki się jej skręcają, bo wiedziała, że on kłamie. Znała policjantów, rozpoznawała ich na kilometr, gdyby nim był, wiedziałaby.

- Jest pan policjantem? - udawała, że zrobił na niej wrażenie.

- Kapitan Johan Reyneke - przedstawił się, wyciągając raczej kobiecą niż męską dłoń i błyskając wystającymi przednimi zębami. - Jak pani na imię?

- André - odparła, czując, że serce jej przyspiesza. Kapitanowie nie pracują w lotnej brygadzie; to kłamstwo musi mieć jakiś powód.

- André - powtórzył, jakby uczył się jej imienia na pamięć.

- Moja matka chciała nadać komuś imię swojego ojca, ale miała tylko córki. - Skorzystała ze swojego zwykłego wyjaśnienia, choć w jego tonie nie brzmiało pytanie. Z trudem panowała nad głosem.

- Och, coś podobnego. Takie nietypowe imię. Czym się pani zajmuje, André?

- Och, siedzę w papierkach, nic pasjonującego.

- A pani mąż? Spojrzała mu w oczy.

- Jestem rozwódką - skłamała i spuściła wzrok, jakby się wstydziła.

- Mniejsza o to, też jestem rozwiedziony. Moje dzieci mieszkają w Johannesburgu.

Zamierzała powiedzieć, że jej dzieci wyfrunęły już z domu, była to część historyjki, którą uzgodnili z Griessellem, ale w tym momencie za jej plecami rozległ się przenikliwy kobiecy głos.

- André?

Obejrzała się i rozpoznała kobietę, Molly, nie mogła sobie przypomnieć nazwiska. Była matką szkolnego kolegi jej syna, jedną z tych nadgorliwych, szalenie angażujących się emocjonalnie rodziców. Boże, pomyślała, tylko nie teraz.

- Cześć - powiedziała, zerkając na mężczyznę. Zauważyła, że zwęziły mu się oczy, i skrzywiła się, próbując dać mu znać, że żałuje, iż im przerwano.

- Co u ciebie, André? Co tu robisz? Co za zbieg okoliczności. - Molly podeszła do niej z koszykiem w ręce i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że dwa wózki obok siebie coś znaczą. Odczytała właściwie mowę ciała obojga i skojarzyła fakty. - Och, przepraszam, mam nadzieję, że nie przeszkodziłam.

André wiedziała, że musi się jej pozbyć, bo po zaciśniętych dłoniach Reyneke odgadła, że jest spięty. Sytuacja stawała się nieciekawa i André miała wielką ochotę powiedzieć: „Owszem, przeszkadzasz” albo „Odejdź, proszę”. Ale zanim znalazła właściwe słowa, twarz Molly się rozjaśniła.

- Och, pewnie razem pracujecie: pan też jest z policji? - i podała mężczyźnie dłoń. - Jestem Molly Green. Prowadzicie tu jakąś operację czy coś?

Dla André Marais czas stanął w miejscu. Widziała wyciągniętą rękę, którą Reyneke zignorował, jego oczy bardzo wolno przenosiły się z jednej kobiety na drugą; niemal widziała, jak obracają się kółeczka w jego głowie. Po czym pchnął wózek w jej stronę, coś przy tym wykrzykując, wózek wpadł na nią i straciła równowagę.

Molly wrzasnęła.

André zatoczyła się na stelaż z winem, butelki spadły i rozbiły się na podłodze. Runęła na plecy; młóćąc ramionami powietrze, usiłowała odzyskać równowagę; szybko chwyciła torebkę, zaczęła macać w niej, szukając służbowego pistoletu. Rozum kazał jej ostrzec Griessela. Drugą ręką złapała mały mikrofon, podniosła go do ust i krzyknęła:

- To on, to on!

Reyneke doskoczył do niej i wyszarpnął pistolet z jej dłoni. Próbowwała wstać, ale sandały pośliznęły się na winie i znów upadła, wbijając łokieć w potłuczone szkło. Poczuła ostry ból. Przekręciła się na bok, żeby zobaczyć, którądy ucieka mężczyzna.

- Wejście główne! - krzyknęła, ale zdała sobie sprawę, że odwróciła głowę od mikrofonu, więc przyłożyła go do ust. - Wejście główne, zatrzymajcie go! Jest uzbrojony! - Zauważyła, że z jej ramienia płynnie strumieniem krew. Było rozcięte do kości.

Gdy Griessel i Cliffy usłyszeli przez radio wrzaski Molly, poderwali się i puścili pędem. Do sklepu. Cliffy skręcił niezdarnie i rąbnął w stół, przy którym jakaś para raczyła się sushi.

- Przepraszam, przepraszam - rzucił i zobaczył, że Griessel wyciągnął Z 88. ludzie patrzyli na nich przerażeni, niektórzy krzyczeli.

Biegli szybko, łomocząc butami w trotuar. W mikrofonie usłyszał głos Marais:

- Wejście główne, zatrzymajcie go!

Griessel dopadł szerokich drzwi Woolworthsa i trzymając oburącz pistolet, wycelował w coś wewnątrz sklepu. Cliffy próbował się zatrzymać, ale pośliznął się na gładkiej posadzce. Na moment przed tym, nim zderzył się z Griesselem, też spostrzegł podejrzanego - w rozwianej marynarce, z dużym pistoletem w dłoni - który zatrzymał się dziesięć kroków przed nimi, walcząc, żeby nie wywinąć koziołka.

Ale wtedy Cliffy i Griessel leżeli już jeden na drugim na podłodze. Padł strzał i świsnęła kula.

Cliffy usłyszał przekleństwa Griessela i wysokie, przenikliwe krzyki dookoła.

- Przepraszam, Benny, przepraszam - wyjąkał, obejrzał się i zobaczył, że podejrzany zawrócił i biegnie w stronę ruchomych schodów. Cupido i Keyter, z pistoletami w dłoniach, zbiegali innymi, ale one sunęły w górę. Przez chwilę strasznie go to rozśmieszyło, scena jako żywo przypominała film z Charliem Chaplinem: policjanci sadzili wściekłe susy na dół, lecz prawie stali w miejscu. I jeszcze ten wyraz ich twarzy: niezwykła mieszanka frustracji, powagi, poczucia misji i pewności, że robią z siebie kompletnych głupców.

Griessel poderwał się i pognął za podejrzanym, a Cliffy za nim. Griessel skręcił w prawo i dostrzegł uciekiniera zmierzającego do wyjścia na drugim poziomie. Mężczyzna usłyszał okrzyk Griessela i się obejrzał. Griessel widział strach na jego twarzy; uciekający zatrzymał się i wycelował w niego.

Rozległ się strzał i coś szarpnęło Cliffym, zbiło go z nóg i rzuciło nim do działu męskich garniturów. Wiedział, że oberwał w pierś, zaplątany w spodnie i marynarki spuścił wzrok i zobaczył dziurę koło serca. Umrę, pomyślał, trafił mnie w serce. Nie chcę umierać. Niech Griessel mi pomoże. Przewrócił się. Poczul się ciężki. I beztroski. Prawym ramieniem odsunął garnitury; w lewej stronie ciała stracił czucie. Spostrzegł, że Griessel walczy z uciekinierem. Męski manekin w stroju plażowym zachwiał się i upadł. W powietrze wyleciał eleganckim łukiem jaskrawy kapelusz przeciwsłoneczny. Złożył się stojak z koszulkami. Cliffy zobaczył, jak prawa ręka Griessela podnosi się i opada. Griessel bił faceta pistoletem. Trysnęła krew. Ręka Griessela podnosiła się i opadała. Benny poczuje się lepiej; musiał rozładować wściekłość. Lej go, Benny, lej - ten łajdak mnie postrzelił.

Thobela Mpayipheli czekał na zmianę świateł na rogu Adderley i Riebeeck Street, gdy usłyszał głos.

- Czym się tak martwisz?

Obok niego, opierając ręce na szczupłych biodrach, stał mały ulicznik. Miał może dziesięć, jedenaście lat.

- Wyglądam na smutnego?

- Jakby ci kot podwędził śniadanie. Daj parę groszy na chleb. - Jak ci na imię?
- A tobie?
- Thobela.
- Daj mi trochę pieniędzy na chleb, Thobela.
- Najpierw mi powiedz, jak masz na imię.
- Moses.
- Co zrobisz z pieniędzmi?
- A co powiedziałem?

Za chwilę pojawił się drugi, mniejszy, chudszy, w za dużym ubraniu, z zasmarkanym nosem. Thobela bez namysłu wyjął chusteczkę.

- Pięć randów - powiedział szkrab, wyciągając rękę.
- Spieprzaj, Randall, ja go zobaczyłem pierwszy. Chciał wytrzeć nos Randallowi, ale chłopiec odskoczył. - Nie dotykaj mnie - warknął.
- Chcę ci wytrzeć nos.
- Po co? Dobre pytanie.
- Dasz nam pieniądze? - zapytał Moses.
- Kiedy ostatnio jadłeś?
- Zaraz, zaraz, a jaki mamy miesiąc?

Z półmroku późnego popołudnia wychynęła następna chuda postać, dziewczynka z gęstwiną splątanych, mocno kręconych włosów. Nie powiedziała nic, stanęła tylko z wyciągniętą ręką, drugą przytrzymując razem poły dużej, obszarpanej męskiej marynarki.

- Spierdalaj, Agh- rzucił do niej Moses. - Panuję nad sytuacją. - Jesteście krewnymi? - zapytał Thobela. - A skąd mamy wiedzieć? - odpowiedział pytaniem na pytanie Moses i pozostała dwójka zachichotała. - Chcecie jeść?
- Jeezu - zawył Moses. - Też mi się trafiło. Pieprzony głupi czarnuch.

- Ciagle przeklinasz.
- Przecież jestem dzieckiem ulicy, do cholery. Popatrzył na tercet. Brudni, bosy. Lśniące, żywe oczy.
- Idę do Spur. Chcecie iść ze mną? Osłupieli.
- To jak?
- Jesteś zbokiem? - zapytał Moses, mrużąc oczy.
- Nie, jestem głodny.

Dziewczynka wbiła łokieć w żebra Mosesa i popatrzyła na niego znacząco.

- Wyrzucą nas ze Spur - stwierdził Randall.
- Powiem, że jesteście moimi dziećmi.

Przez chwilę cała trójka milczała, po czym Moses roześmiał się; chichotał coraz głośniej.

- Nasz tatuńcio. Thobela ruszył.
- Idziecie?

Po jakichś dwunastu krokach mała łapka dziewczynki chwyciła palec jego prawej ręki i nie puściła go aż do Spur Steak Ranch przy Strand Street.

22

Siedziała i niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w okno.

- Z początku myślałam, że kaleczę się przez ojca - powiedziała cicho i westchnęła głęboko na jego wspomnienie. - Albo przez Viljoena. Myślałam, że dam sobie radę z pracą i wszystko jest w porządku. Odwróciła się i popatrzyła na niego, z powrotem w terażniejszości.
- Nie połapałam się, że to praca ma na mnie taki wpływ. Nie wówczas. Nie, dopóki się z niej nie wyrwałam.

Skinął głową, powoli, ale nic nie powiedział.

- A potem wszystko się zmieniło z Carlosem.

Carlos zadzwonił wcześniej, tuż po dziewiątej, oświadczył, że chce ją zarezerwować na całą noc.

- Carlos nie chce kłótni o pieniądze. Trzy tysiące, okay? Ale musisz wyglądać ponętnie, *conchita*.

Bardzo erotycznie, wydajemy formalne przyjęcie. Czarna sukienka, ale pokaż cycuszki, Carlos chce się tobą pochwalić. Moi chłopcy cię przywiozą. O siódmej. - Odłożył słuchawkę.

Poczekala, aż gniew wzbierze i opadnie. Siedziała na krawędzi łóżka, wciąż z telefonem przy uchu.

Czuła, że to na nic, wiedziała, że jej gniew jest bez znaczenia.

Podeszła do niej Sonia, z lalką w ręku.

- Pójdziemy pojeździć na rowerku, mamusiu?

- Nie, moje kochanie, idziemy na zakupy.

Dziewczynka pobiegła w podskokach do swojego pokoju, jakby zakupy były jej ulubioną rozrywką.

- Hej, ty.

Sonia zatrzymała się w drzwiach i zerknęła przebiegle znad ramienia.

- Ja? - Znała swoją rolę w tym rytuale.

- Tak, ty. Chodź tutaj.

Przebiegła przez dywan, wciąż w zielonej piżamce, w ramiona matki.

- Jesteś mą miłością. - Christine zaczęła wierszyk i pocałowała ją w szyję.

- Jesteś moim życiem - zachichotała Sonia.

- Widząc twą urodę, drzę w zachwycie.

- Jesteś moim domem, jesteś moim krajem. - Przytuliła głowę do piersi Christine.

- I jedynym rajem - dokończyła i mocno objęła córkę. - Idź się ubrać. Czas na nas.

Trzy lata i cztery miesiące. Jeszcze dwa lata i do szkoły. Jeszcze dwa lata i jej matka przestanie być dziwką.

Zadzwoiła do Carlton Hair, żeby na niezbyt późne popołudnie umówić się na wizytę u fryzjera i makijażystki, po czym zabrała Sonię do Hip Hop na Cavendish Square. Sprzedawcy więcej znacznie uwagi poświęcali ładnej dziewczynce z jasnymi loczkami niż jej samej.

Stała przed lustrem w czarnej sukience. Dekolt był duży, nogi odsłonięte, nagie plecy.

- Bardzo seksowna - powiedziała kolorowa ekspedientka.

- Nieprawda - zaprotestowała Sonia. - Mamusia wygląda bardzo ładnie.

Roześmiały się.

- Biorę ją.

Było jeszcze za wcześnie na fryzjera. Zabrała córkę do Naar-tjie w Cavendish Centre.

- Teraz ty możesz sobie wybrać sukienkę.

- Też chcę czarną.

- Tutaj nie mają czarnych.

- Chcę czarną.

- Czarne są tylko dla dorosłych, maleńka.

- Chcę też być dorosła.

- Nie chcesz. Uwierz mi.

Gdy przywiozła do niej Sonię, opiekunka z dezaprobatą zmierzyła ją wzrokiem.

- Nie wiem, jak późno skończy się to przyjęcie. Najlepiej byłoby, gdyby została tu na noc.

- W tej sukience skończy się bardzo późno. Zignorowała uwagę i mocno przytuliła córkę.

- Bądź grzeczna. Mamusia przyjedzie po ciebie rano.

- Tatta, mamma.

Zanim zamknęły się za nią drzwi, usłyszała jeszcze, jak Sonia mówi:

- Moja mamusia wygląda ślicznie.

- Tak uważasz? - zapytała kwaśno opiekunka.

To był dziwny wieczór. Po gościnnej części domu w Camps Bay, w środku i na dworze, nad basenem kąpielowym, kręciło się z sześćdziesiąt osób, głównie wystrojoni wieczorowo mężczyźni. Tu i tam można było zobaczyć blondynkę wystawiającą na pokaz piersi albo w rozcięciu sukni długie nogi na niebotycznych obcasach. Element dekoracyjny, pomyślała, jak ładne meble. Wieszają się na męskich ramionach, uśmiechnięte, milczące.

Szybko zrozumiała, że tego właśnie Carlos oczekuje też od niej. Był zachwycony.

- Ach, *conchita*, wyglądasz idealnie - powiedział na jej widok. Na spotkaniu było jak w ONZ: słyszało się hiszpański, byli

Chińczycy, w każdym razie jacyś Azjaci, niewysocy, co wodzili za nią głodnym wzrokiem, wąsaci Arabowie w togach - czy jak to się nazywało - którzy ją ignorowali. Dwóch Niemców. Anglicy. Jeden Amerykanin.

Carlos, gospodarz. Wesoły, uśmiechnięty, dowcipny, ale była pewna, że jest spięty, nawet zdenerwowany. Za jego przykładem wzięła do ręki lampkę wina, lecz nie piła.

- Wiesz, kim są ci ludzie? - zapytał ją później, szepcząc jej do ucha.

- Nie.

- Carlos ci potem powie.

Wniesiono dania i napitki. Zauważyła, że wszyscy są już podchmieleni, poznała to jednak tylko po tym, że rozmawiali i śmiali się trochę głośniejszym głosem. Dziesiąta, jedenasta, dwunasta.

Stała samotnie pod filarem. Carlos zniknął w kuchni, żeby wydać polecenia. Poczowała rękę wsuwającą się między jej nogi pod sukienką, poszukującą palce. Zamarła. Ręka cofnęła się. Obejrzała się przez ramię. Za nią stał Chińczyk, mały, elegancko ubrany człowieczek, obwąchujący swoje palce. Uśmiechnął się do niej i odszedł. Pomyślała, że Carlos nie może się o tym dowiedzieć.

Dwaj Arabowie usiedli przy szklanym stoliku, kartami kredytowymi rozdrobnili kokainę, dzieląc ją z towarzyszką, z której dekoltu wylewała się pierś. Jeden z nich zaciągnął się głęboko nad

stołem, odchylił na oparcie fotela i wolno otworzył oczy. Leniwie sięgnął po sutek i wziął go między palce. Ścisnął. Kobieta skrzywiła się. Zadaje jej ból, pomyślała Christine i zamarła.

Później w nocy poczuła, że ma pełny pęcherz. Poszła na górę, szukając prywatności w łazience apartamentu Carlosa. Otworzyła drzwi do sypialni. Za jedną nogę łóżka trzymała się blondynka w krwawoczerwonej sukience, zadartej i obnażającej pośladki. Za nią, ze spodniami wokół kostek stał jeden z Hiszpanów. - Chcesz popatrzeć?

- Nie.

- Chcesz się pieprzyć?

- Jestem z Carlosem.

- Carlos jest nikim. Pocałujesz moją dziewczynę? Cicho zamknęła drzwi, słysząc śmiech mężczyzny. I jeszcze później. W basenie zostało tylko kilkoro gości - dwie kobiety i sześciu albo siedmiu mężczyzn. Pijanych w pestkę. Nigdy wcześniej nie widziała grupowego seksu i widok ją zafascynował. Z jedną z kobiet było ich czterech.

Carlos przyszedł i stanął za nią.

- I jak ci się podoba?

- Dziwne - skłamała.

- Carlos nie lubi grupowego. Carlos chce tylko *conchity*. - Objął ją, ale patrzył dalej. O brzeg basenu chlupotały drobne, rytmiczne fałki.

- Wygląda podniecająco - powiedział.

Położyła dłoń na jego kroczu i poczuła twardość. Czas sobie zasłużyć na zapłatę.

- Carlos najpierw się napije. - I poszedł po butelkę.

Nie wiedziała, czy obwiniać o to alkohol, ale tym razem Carlos był w łóżku inny - zdesperowany, niecierpliwy, jakby chciał się sprawdzić.

- Chcę, żebyś sprawił mi ból - powiedziała.

Może nie usłyszał. A może nie chciał. Robił dalej swoje.

Gdy skończył i leżał przy niej cały spocony, z głową między jej piersiami, zapytał:

- Carlos był dobry dla ciebie?

- Wspaniały.

- Tak. Carlos jest wspaniałym kochankiem - stwierdził poważnie. Potem ucichł, myślała, że zasnął.

Nagle zerwał się, podszedł do rzuconych na podłogę spodni i wyjął papierosy. Przypalił dwa i podał jej jednego, po czym usiadł przy niej na piętach. Oczy miał nabiegłe krwią.

- Ci ludzie... - syknął jadownicę, z głęboką bruzdą odrazy na czole.

Znała go na tyle, aby wiedzieć, że nie jest trzeźwy. Zaciągnęła się dymem.

- Nawet nie podziękowali Carlosowi za przyjęcie. Przychodzą, piją, ćpają, jedzą i pieprzą się, a potem wychodzą bez pożegnania, bez jednego: dziękuję, Carlos, za gościnność.

- To było udane przyjęcie, Carlos.

- *Si, conchita*. Drogo kosztowało, znany szef kuchni, najlepsze *licores*, najlepsze *putatas*. Ale nie szanują Carlosa.

Carlos jest nikim, powiedział tamten facet w sypialni.

- Wiesz, co to za jedni, *conchita*? Wiesz? To *banditos*. Gówno tej ziemi. Zarabiają na narkotykach. Meksykanie!

Wypluł to słowo.

- Są nikim. *Burros*, jankeskie osły. Kubańczycy. Kim oni są? A Afgańczycy. Wiejskie barany.

- Afgańczycy?

- *Si*. Te dupki w kieckach. *Conchas!* Więc Arabowie byli z Afganistanu.

- Ach tak.

- A Chińczycy, Tajowie, Wietnamczycy, kim niby są? Takie samo *mierda*, uwierz Carlosowi, znają tylko kurczaki, banany i heroinę. Pieprzą swoje matki. Ale przychodzą do Carlosa, do tego pięknego domu, i nie mają żadnych manier. Wiesz, kim oni są, *conchita*? To handlarze narkotyków.

Afgańczycy, Wietnamczycy i Tajowie przywożą tu heroinę, bo tu jest bezpiecznie, nie ma

policji. A wywożą kokainę. A potem bracia Sangrenegra eksportują heroinę do Ameryki i Europy. Ludzie z Ameryki Południowej też ją tam sprowadzają, ale mało, bo to bracia Sangrenegra kontrolują rynek. Carlos i Javier. Javier to mój starszy brat. Jest narkotykowym superbossem. Wszyscy go znają. Bierzymy heroinę, dajemy kokainę, dajemy pieniądze, my... my *distribuya*. Podbijemy świat. Carlos powie Javierowi o braku szacunku. Wiedzą, że Carlos jest młodszym bratem, Javiern tu nie ma, więc mogą na mnie srać. Nie mogą na mnie srać, *conchita*. To ja na nich nasram. -Z wyrazem pogardy zgniół w popielniczce papierosa. - Chodź, *conchita*, Carlos ci coś pokaże.

Ujął jej ramię i pociągnął za sobą. Podniósł spodnie, wyjął pęk kluczy, wziął ją za rękę i zaprowadził korytarzem, potem schodami w dół, przez kuchnię, i znów niżej, do spiżarni. Dom był już całkiem pusty. Otworzył ukryte drzwi z tyłu spiżarni. Miały trzy zamki, do każdego inny klucz.

- Carlos ci pokaże. Sangrenegra to nie byle kto.

Włączył światło. Kolejne drzwi. Na ścianie mała elektroniczna podkładka z cyferkami. Wpisał szyfr.

- Zero, osiem, dwa, cztery, cztery, dziewięć, znasz ten numer, *conchita*?

- Tak. - To było sześć pierwszych cyfr numeru jej komórki.

- Tak cię Carlos kocha.

Stalowe drzwi otworzyły się automatycznie. Wewnątrz migotała jarzeniówka. Pociągnął Christine do środka. Pomieszczenie było duże, jak garaż na dwa samochody. Po sam sufit stały półki. Na nich plastikowe woreczki, od ściany do ściany, wszystkie z białym proszkiem.

Potem zobaczyła pieniądze.

- Widzisz, *conchita*? Widzisz?

- Widzę - wyszeptała, bo odjęło jej mowę.

Byli nad basenem, tylko Carlos i ona. Siedziała na schodku, z dolną połową ciała w wodzie. Carlos stał przed nią zanurzony, obejmując ją ramionami, z twarzą przyciśniętą do jej brzucha.

- Conchita, powiesz Carlosowi, dlaczego zostałam... no wiesz.
 - Dziwką.
 - Nie jesteś dziwką - oburzył się. - Tylko panią do towarzystwa. Dlaczego nią zostałam?
 - Nie chciałbyś poznać prawdy, Carlos.
 - Nie, *conchita*. Chcę. Prawdziwą prawdę.
 - Czasami myślę, że chcesz, żebym była grzeczną dziewczynką. Nie jestem grzeczną dziewczynką.
 - Jesteś. Masz dobre serce. - Zrozum, jeśli powiem ci prawdę, pożałujesz, że ją usłyszałeś.
- Odsunął się na odległość ramion, żeby na nią spojrzeć.
- Wiesz co? Carlos nie myśli w ten sposób. Popatrz na mnie, *conchita*. Siedzę w narkotykach. Zabiłem paru facetów. Ale nie jestem najgorszy. Mam dobre serce. Widzisz? Można być dobrym i jednocześnie robić rzeczy, które wcale nie są dobre. Więc powiedz mi.
 - Bo lubię się pieprzyć, Carlos. - **Si**
 - **Si**. To mój narkotyk.
 - Ile miałaś lat? Kiedy pierwszy raz się pieprzyłaś?
 - Piętnaście.
 - Opowiedz Carlosowi.
 - Chodziłam do szkoły. A ten chłopak miał szesnaście. Był taki przystojny. Każdego popołudnia wracaliśmy razem na piechotę do domu. I pewnego dnia zaproponował, żebym poszła do niego. Byłam bardzo ciekawa. Więc poszłam. Powiedział, że mam piękne piersi. Zapytał, czy może je zobaczyć. Pokazałam mu. Potem zapytał, czy może ich dotknąć. Pozwoliłam. A potem zaczął mnie całować. Moje sutki. Zaczął je ssać. A potem zdarzyło się to, Carlos. Narkotyk. To było... niepodobne do niczego, co przeżyłam wcześniej. Takie intensywne. Bardzo mi się podobało.
 - Wypieprzył cię?
 - Tak. Ale nie miał doświadczenia. Szybko doszedł. Był taki podniecony. Nie miałam orgazmu. Po tym chciałam więcej. Ale

nie z chłopcami. Z mężczyznami. Więc uwiodłam swojego nauczyciela...

- Wypieprzyłaś swojego nauczyciela?

- Tak.

- I kogo jeszcze?

- Przyjaciela mojego ojca. Poszłam do jego domu, gdy nie było żony. Powiedziałam, że chcę z nim pogadać, że jestem bardzo ciekawa seksu, ale nie mogę rozmawiać o tym z rodzicami, bo są bardzo konserwatywni. I że wiem, że on jest inny. Zapytał, czy chciałabym, żeby mi to pokazał.

Przytaknęłam. Ale wiesz co, Carlos? Był tak samo podniecony jak chłopiec. Nie umiał nad sobą zapanować.

- I kto jeszcze?

- Pieprzyłam się z wieloma facetami na uniwersytecie. Za darmo. A potem pewnego dnia pomyślałam, dlaczego za darmo? I tak to się stało.

- Tylko popatrz - powiedział Carlosa i wskazał swój nabrzmiąły członek. - Carlosowi podoba się twoja historia.

- To wypieprz mnie, Carlos. Bardzo to lubię.

Wasserman, uznany dramaturg, profesor afrykanistyki i ni-derlandystyki. Pięćdziesiąt trzy lata, wiotkie ciało, gęsta broda i piękny, przepiękny głos. Na początku każdego aktu musiała leżeć w wannie, żeby mógł oddać na nią mocz, bo inaczej nie miał erekcji. Ale od tego momentu był normalny, jeśli pominąć okulary do czytania - żeby lepiej widzieć jej piersi. Przychodził raz na dwa tygodnie o trzeciej po południu, bo miał młodszą żonę, która „też może czegoś chcieć”. Chciał doładować się przed wieczorem. Ale jego młoda żona zapewne nie pozwalała mu na siebie sikać i dlatego przychodził do Christine. Czekali na niego dokładnie o czwartej. Kiedy otworzył drzwi, żeby wyjść z jej mieszkania przy Gardens Center, uderzyli go pałąką, łamiąc mu zęby i szczękę.

Usłyszała hałas i złapała szlafrok.

- Nie! - krzyczała.

Mieli kominiarki, ale wiedziała, że to ochroniarze. Jeden spojrzał jej w oczy i kopnął leżącego Wassermana. Potem kopali go już obaj. Siedem pękniętych żeber.

- Zadzwoń po policję!

Któryś się zaśmiał. Potem ściągnęli go za stopy po schodach dwa piętra niżej i zostawili tam, zakrwawionego i jęczącego.

Chwyciła telefon i zbiegła do niego. Pochyliła się nad nim. Widok ran przyprawił ją o mdłości.

Dotknęła pokiereszowanej twarzy koniuszkami palców. Otworzył oczy i popatrzył na nią. Przez ból przedzierało się pytanie.

- Zadzwoń po karetkę - powiedziała, trzymając go za rękę. Jęknął coś niewyraźnie.

- Nie mogę tu zostać. Nie mogę tu zostać - powtarzała. Przyjedzie policja. Będą zadawać pytania. Aresztują ją. Ona i Sonia nie mogą sobie na to pozwolić.

Tylko jęczał, leżąc na boku z twarzą w kałuży krwi. Usłyszała otwierające się drzwi.

- Ambulans już jedzie. - Uścisnęła rękę Wassermana, po czym pobiegła do swojego mieszkania i zamknęła za sobą drzwi na klucz. Ubrała się szybko. Carlos. Co ona ma zrobić?

Wyszła i najpierw po cichutku zeszła na dół. Zobaczyła, że obok leżącego Wassermana pojawili się ludzie z ochrony budynku. Nie zauważyli jej. Próbując zachować spokój, weszła piętro wyżej. Szła wolno, żeby nie wzbudzić zainteresowania. Nacisnęła guzik windy i czekała. Słyszała głosy. Winda długo nie przyjeżdżała.

Carlos.

Zadzwoiła do niego, kiedy tylko znalazła się na ulicy. Nie odebrał.

Poszła do swojego mieszkania i usiadła w fotelu w salonie z telefonem w ręce. Co ona ma zrobić?

Później zadzwoniła na pogotowie. Zabrali Wassermana do City Park. Zadzwoiła do szpitala.

- Nie możemy udzielić informacji.

- Jestem jego siostrą.

- Proszę zaczekać.

Z niechęcią słuchała syntetyzowanej brzękliwej muzyki. W końcu padła odpowiedź:

- Jest na oddziale intensywnej opieki medycznej, ale powinien z tego wyjść.

Carlos. Zadzwoiła kolejny raz. Nie odbierał. Najchętniej wsiadłaby w samochód i pojechała do jego domu. Uderzyła go, rozbiła mu czaszkę pałką. Nie miał prawa. Jak mógł coś takiego zrobić! Chciała pójść na policję, najchętniej wykopałaby go w kosmos. Roznosiła ją wściekłość. Poszukała książki telefonicznej i znalazła numer posterunku.

Nie. Za dużo problemów.

Płakała. Z frustracji. I nienawiści.

Gdy się uspokoiła, poszła po Sonię. Gdy przechodziła przez ulicę, trzymając córkę za rękę, zobaczyła po drugiej stronie bmw z opuszczoną tylną szybą. Siedział tam i patrzył, ale nie na nią. Wlepił oczy w dziewczynkę, a na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz. Poczuli się, jakby ktoś chwycił ją za serce i zamknął je w śmiertelnym uścisku.

Gdy pomagała Sonii wsiąść do swojego samochodu, bmw zatrzymało się obok.

- Teraz już wiem wszystko, *conchita*. - Spojrzał na Sonię, na jej dziecko. Gdyby miała pod ręką pistolet, wypaliłaby mu w twarz.

Część II
Benny

23

Griessel nigdy nie przejmował się nazbyt szefami, głównie dlatego, że mógł opić ich pod stołem czy to pojedynczo, czy też hurtem. Albo przed nimi uciec. Alkoholik czy nie, wykazywał się nieodmiennie wyższą stopą rozwiązywalności przestępstw niż ta, którą mogli się poszczycić w czasach, gdy sami byli detektywami. Ale tego wieczoru był niespokojny. Stali w pokoiku obok oddziału intensywnej opieki medycznej szpitala City Park, choć miejsc do siedzenia nie brakowało: nadinspektor Esau Mtimkulu i Matt Joubert, pierwszy i drugi dowódca SVC, komendant John Afrika, szef detektywów na prowincję, oraz Griessel. Cupido i Keyter siedzieli z boku. Nadstawiali uszu, ale daremnie. Na oddziale leżał ich człowiek i wysokie szychy rozmawiały stłumionym głosem.

- Daj mi numer tego faceta z Woolworths, Matt - powiedział komendant Afrika, kolorowy weteran, który dostał się na szczyty dzięki pracy w Khayelitsha, Flats oraz wydziale morderstw i kradzieży. - Słyszałem, że zamierzają polecieć z tym do ministra, ale do diabła z nimi. Jakoś się z nim ułożę. To teraz najmniejszy problem...

No to po mnie, pomyślał Griessel. Nie powinien uderzyć tego łajdaka, dobrze wiedział; nigdy w całej swojej karierze tak się nie zachował. Jeśli odrzucą sprawę dlatego, że stracił nad sobą panowanie, jeśli pieprzony seryjny morderca wyjdzie na wolność, bo Benny Griessel był zły na cały świat...

- Benny - zapytał komendant Afrika - mówisz, że to przez wyposażenie działu ma taką pokierszowaną twarz?

- Tak, komendancie. - Spojrzał mu w oczy. - Manekin sklepowy stał w niewłaściwym miejscu. Reyneke zderzył się z nim twarzą w twarz. Stąd te rany.
 - Musiał rąbnąć jak cholera - zauważył nadinspektor Mtim-kulu.
 - Gdy go dopadłem, chwyciłem go za ręce i przytrzymałem je, bo miał broń. Więc nie mógł zasłonić twarzy. Dlatego tak mocno się uderzył.
 - A potem się przyznał?
 - Leżał tam, krwawił i krzyczał: „Nic na to nie poradzę, nic nie poradzę”, ale ponieważ Cliffy był ranny, moja uwaga była... hm... podzielona. Dopiero podczas przesłuchania zapytałem go, co miał na myśli. Na co nie może nic poradzić.
 - I co powiedział?
 - Z początku w ogóle nie chciał mówić. Więc... poprosiłem Cupido i Keytera, żeby nas zostawili samych, żebym mógł porozmawiać z nim w cztery oczy.
 - I wtedy się przyznał?
 - Przyznał się, komendancie.
 - To się obroni w sądzie?
 - Przebieg zdarzeń w pokoju przesłuchań jest nagrany na wideo, komendancie. Poprosiłem tylko, żeby mnie zostawili samego z podejrzanym, i gdy wyszli, tylko na niego patrzyłem. Długo. Potem powiedziałem: wiem, że nic nie możesz na to poradzić. Rozumiem. I wtedy zaczął mówić.
 - Przyznał się do wszystkiego.
 - Tak, komendancie. Do napadu na wszystkie trzy kobiety. Znał szczegóły, których nie było w prasie. Mamy go, nieważne, jak dobrego prawnika zdobędzie. I był już skazany za gwałt. Cztery lata temu w Montagu.
 - I jedynym świadkiem incydentu z manekinem jest Cliffy Mketsu?
 - Zgadza się, Matt.
- Cała czwórka popatrzyła na wiodące na OIOM dwuskrzydłowe drzwi.

- Okej - powiedział szef detektywów. - Dobra robota, Benny. Naprawdę dobra robota...
Drzwi się otworzyły. Podszedł do nich lekarz; był tak młody, że wyglądał na studenta. Na zielonym fartuchu widniały plamy krwi.

- Wyjdzie z tego - oznajmił.

- Jest pan pewien? - zapytał Griessel. Lekarz skinął głową.

- Miał dużo, bardzo dużo szczęścia. Kula ominęła prawie wszystkie narządy, bardzo jednak uszkodziła obszar S4 lewego płuca. To szczyt górnego płatu, przedni segment. Istnieje obawa, że będziemy musieć go usunąć, tylko ten kawałek, ale decyzję podejmiemy, gdy jego stan się ustabilizuje. My, pomyślał Griessel. Dlaczego oni zawsze mówią „my”, jakby byli członkami jakiejś tajnej organizacji?

- Dobre wieści - powiedział bez przekonania nadinspektor.

- Mam też wiadomość dla Benny'ego.

- To ja.

- Pacjent mówi, że facet przewrócił się na kasę fiskalną. Cała czwórka popatrzyła na lekarza z wielkim zainteresowaniem.

- Kasę? - zapytał Griessel.

- Tak.

- Mam do pana prośbę, doktorze. Proszę mu powiedzieć, że to był manekin.

- Manekin.

- Tak. Proszę mu powiedzieć, że wpadł na manekin, a manekin przewrócił się na kasę.

- Przekażę mu.

- Dziękuję, doktorze. - Griessel spojrzał na nadinspektora, który skinął głową i się odwrócił.

W KFC kupił hamburgera zinger i puszkę fanty orange i pojechał do domu. Usiadł na podłodze swego „salonu” i bez przyjemności przeżuwał jedzenie. Dopadło go znużenie, efekt następczy. I zepchnięte na obrzeża świadomości problemy, o których wolał

nie myśleć. Skupił się na hamburgerze. Nie zaspokoił jego głodu, powinien zamówić też frytki, ale nie lubił frytek z KFC. Dzieci pochłaniały je z entuzjazmem. Lubiły nawet cienkie frytki z McDo-nalda, o smaku tektury, on jednak nie mógł ich przełknąć. Co innego frytki od Steersa. Duże i grube, o smaku barbeque. Hamburgery Steersa też były lepsze od innych. Całkiem dobre jedzenie. Ale nie wiedział, gdzie mieści się najbliższy lokal Steersa, i wątpił, by o tej godzinie był jeszcze otwarty. Skończył jeść zingera i oblizał palce z sosu.

Chciał wyrzucić plastikową torebkę i puste opakowanie do pojemnika, lecz przypomniał sobie, że nie ma kosza na śmieci. Westchnął. Musi wziąć prysznic - był ubrudzony krwią Reyneke i Clif-fy'ego. „Dajemy ci pół roku, Benny - i ani dnia dłużej. Sześć miesięcy na decyzję, wolisz nas czy alkohol”. Warto kupować meble na sześć miesięcy? Nie może przecież jeść na podłodze przez pół cholernego roku. Ani wracać do pustego, nijakiego domu. Jasne, że ma prawo kupić sobie fotel czy dwa. Mały telewizor. Ale najpierw trzeba zrzucić łachy i wziąć prysznic, potem usiądzie na łóżku i spisze listę rzeczy do zrobienia. Jutro sobota. Ten weekend miał wolny.

Przerażające. Całe dwa dni. Żadnych planów. Może powinien pójść do biura i podgonić papierkową robotę.

Umył ręce pod kuchennym kranem, opakowanie po hamburgerze, puszkę i zużyta papierową serwetkę wsunął do czerwono-białej plastikowej torebki i położył w kącie kuchni. Rozpinając koszulę, ruszył schodami na górę. Dzięki Bogu, że nie muszą już chodzić w marynarce i krawacie. Gdy zaczął pracę w ówczesnym wydziale morderstw i kradzieży, trzeba było nosić garnitur.

Jak dzisiejszy wieczór spędziła Anna?

Plastikowa zasłona kabiny prysznicowej w wyblakłe rybki była rozdarta z jednej strony i woda lała się na podłogę. Musi kupić matę łazienkową. I nową zasłonę do kabiny. Umył włosy i namydlił ciało. Splukał się przyjemnie gorącym, silnym strumieniem wody.

Gdy zakręcił kran, usłyszał, że dzwoni telefon komórkowy. Złapał ręcznik, wytarł szybko głowę, dopadł w trzech krokach łóżka i odebrał. - Griessel.

- Jesteś trzeźwy, Benny? - Anna.

- Tak. - Chciał zaprotestować przeciwko temu pytaniu, rozzłościć się, ale wiedział, że nie ma prawa.

- Chcesz zobaczyć dzieci? - Tak, bardzo chcę...

- Możesz je zabrać w niedzielę. Na dzień.

- Dobrze, dziękuję. A ty? Mogę też...

- Trzymajmy się dzieci, na razie. Dziesiąta? Od dziesiątej do szóstej?

- W porządku.

- Do widzenia, Benny.

- Anno!

Nie odpowiedziała, ale się nie rozłączyła.

- Gdzie byłaś dziś wieczorem?

- A ty, Benny?

- Pracowałem. Złapałem seryjnego mordercę. Cliffy Mketsu dostał postrzał w płuco. Tak spędziłem wieczór - oznajmił z wyżyn moralnych, małej mułdy, kretowiska, lecz lepsze to niż nic. -A ty gdzie byłaś? - Wysłałam. - Wyszłaś?

- Benny, przez pięć lat siedziałam w domu, gdy ty byłeś pijany lub poza domem. Albo pijany, albo nieobecny. Nie uważasz, że należy mi się wyjście w piątkowy wieczór? Że zasługuję, by obejrzeć film, po raz pierwszy od pięciu lat?

- Owszem. Zasługujesz.

- Do widzenia, Benny.

Byłaś w kinie sama? O to chciał zapytać; wyżyny moralne nagle się spłaszczyły i usłyszał, że się rozłączyła. Rzucił ręcznik na podłogę, wyjął z szafy i włożył czarne spodnie. Wziął z teczki długopis i kartkę i usiadł na łóżku. Wpatrywał się w ręcznik. Jutro

rano nadal będzie leżał na podłodze, wilgotny i śmierdzący. Wstał i zawiesił go na poręczy w łazience, wrócił do łóżka i postawił poduszkę, żeby się o nią oprzeć. Zaczął sporządzać listę. Pralnia.

W Gardens Centre była pralnia samoobsługowa. Jutro z samego rana.

Pojemnik na śmieci. Żelazko.

Deska do prasowania. Lodówka?

Poradzi sobie bez lodówki? Co będzie w niej trzymał? Nie mleko - kawę pił czarną. W niedzielę będą tu jego dzieci, Carla uwielbia kawę; zawsze, gdy odrabiała pracę domową, widział ją z kubkiem w ręce. Wystarczy jej mleko w proszku? Lodówka może okazać się niezbędna.

Lodówka?

Zasłona do kabiny prysznicowej. Mata łazienkowa. Fotele/kanapa. Do salonu. Stołki barowe. Do wnęki jadalnej.

Jak u licha ma utrzymać z policyjnej pensji dwa gospodarstwa? Anna wzięła to pod uwagę? Ale już słyszał jej odpowiedź: Na picie starczało ci policyjnej pensji, Benny. Na picie zawsze znajdowały się pieniądze.

Musi kupić kubki do kawy dla dzieci. Więcej talerzy i sztućców. Coś do mycia naczyń, odkurzania, sprzątania łazienki i toalety.

Zaczął na kartce drugą kolumnę, zanotował wszystko, ale jego myśli krążyły wokół czegoś innego i nie mógł ich powstrzymać.

Dokonał dziś odkrycia. Musi opowiedzieć o tym Barkhuizenowi. Ten strach przed śmiercią nie całkiem był prawdziwy. Dzisiaj, gdy na ostatnim piętrze Woolworthsa mierzył do Reyneke, a ten wycelował w niego i padł strzał, ale kula trafiła Cliffy'ego Mketsu, bo Reyneke nie umiał zrobić tego porządnie... odkrył, że nie boi się umrzeć. Odkrył, że chce umrzeć.

Obudził się wcześniej, tuż przed piątą. Jego myśli od razu pobiegły do Anny. Poszła do kina sama? Wolał tego nie drażnić. Nie tak rano, nie dzisiaj. Wstał, włożył spodnie, koszulę i sportowe buty i, nie myjąc się, wyszedł z domu. Wybrał kierunek; po trzystu metrach zobaczył brzask, poczuł rozleniwienie wczesnego lata, usłyszał ptaki i niewiarygodną ciszę miasta. Kolory, faktury i kryształiczne światło.

Góra Stołowa pochylała się ku niemu, grzebień lśnił pomarańczowo i złoto, w padających ukośnie promieniach wschodzącego słońca szczeliny i żeby były czarne jak smoła.

Poszedł Upper Orange Street, skręcił do parku i usiadł na wysokim murze zbiornika retencyjnego, żeby popatrzeć. Z lewej strony Głowa Lwa zlewała się ze Wzgórzem Sygnałowym, poniżej lśniły słoneczną mozaiką tysiące okien miasta. Morze, widoczne stąd od Robben Island aż po Melkbos Stand, było ciemnoniebieskie. Na lewo od Diabelskiego Szczytu leżały dzielnice podmiejskie. Znad Tygerbergu nadleciał 747 i Benny na chwilę znalazł się w rzucanym przez samolot cieniu.

Do cholery, pomyślał, kiedy ostatnio widziałem coś takiego?

Jak mogłem to przegapić?

Nic dziwnego, skrzywił się, jeśli rankami odsypia się kaca, trudno oglądać wschód słońca nad Kapsztadem. Musi sobie to zapamiętać, tę niespodziewaną zaletę abstynencji.

Niedaleko usiadła pliszka, machając ogonkiem w górę i w dół, kroczyła dumnie jak zadufany w sobie sierżant.

- Co powiesz? - zapytał ją. - Ciebie też rzuciła żona? - Nie otrzymał odpowiedzi.

Siedział, póki ptaszek nie poderwał się za jakimś niewidocznym owadem, a potem wstał, znów popatrzył na górę i poczuł dziwną przyjemność. Tylko on widział ją dziś rano, nikt poza nim.

Wrócił do domu, wziął prysznic, przebrał się i pojechał do szpitala. Cliffy odpoczywa, powiedzieli mu. Stan stabilny, jego życiu nic nie grozi. Poprosił, żeby przekazali mu, że u niego był.

Dochodziła siódma. Mknął na północ N13, pustą jeszcze autostradą - w sobotę Prowincja Przylądkowa budzi się o dziesiątej.

Wjechał na Brackenfell Boulevard, po czym skręcił w dobrze znany zjazd do swojego domu. Przejechał obok niego tylko raz, wolno. Żadnych oznak życia. Trawnik przyszyżony, skrzynka pocztowa pusta, drzwi od garażu zamknięte. Policyjna inwentaryzacja. Odjechał szybko, obawiając się, że jego myśli przebiją zaraz drzwi wejściowe.

Nie należał do tych, co jadają śniadania, więc w Wimpy w Panoramie wypił tylko kawę i czekał na otwarcie sklepów. W lombardzie Mohammeda „Love Lips” Faizala w Maitland znalazł dwuosobową kanapę i dwa fotele. Kwieciste obicia były lekko spłowiałe. Na podłokietniku fotela dostrzegł blade plamki po kawie.

- To zdzierstwo, L.L. - powiedział znad wywieszki z ceną: 600 randów.

- Dla pana, sierżancie, pięćset.

Faizal odsiedział już raz w Pollsmoor półtora roku za paserstwo i Griessei był absolutnie pewny, że trzy czwarte znajdujących się tu odbiorników samochodowych przynieśli narkomani z Obserwatory.

- Czteryście, L.L. Spójrz na te skazy.

- Jedno czyszczenie parą i będą jak nowe, sierżancie. Pięćset, po kosztach.

Faizal wiedział, że Griessei już nie jest sierżantem, ale bywają sprawy ustalone raz na zawsze.

- Czteryście pięćdziesiąt.

- Jezu, sierżancie, mam żonę i dzieci.

Przez przypadek zobaczył gitarę basową, sam gryf wystający z za stalowej szafki z nowiutkimi narzędziami.

- Ile ta gitara?

- Gra pan, sierżancie?

- Liznąłem za młodu co nieco.

- A niech mnie! To fender, sierżancie, zastawił ją początkujący raper z Blackheath, ale kwit traci ważność dopiero w przyszły piątek. Do kompletu z nowym wzmacniaczem Dr. Bass x 210 z rakiem 3U, dwoma głośnikami Eminence i tweeterem LeSon.

- Cholera, nie mam pojęcia, o czym pan mówi.
- To piekielnie mocny wzmacniacz, sierzancie. Ściany panu popękają.
- Ile za nią?
- Poważnie pan pyta, sierzancie?
- Może.
- To najprawdziwszy zastaw, sierzancie. Czysty.
- Wierzę ci, L.L. Wyluzuj.
- Chce pan założyć zespół? - Z jego tonu nie zniknęła podejrzliwość.

Griessel się uśmiechnął.

- I nazwać go Violent Crimes?
- Więc co?
- Ile chcesz za gitarę i wzmacniacz, L.L.?
- Dwa tysiące i ani grosza mniej. Jeśli tamten raper jej nie wykupi.
- Och. - Za drogo dla niego. Nawet sobie nie wyobrażał, że te rzeczy tyle kosztują.
- Czterysta pięćdziesiąt za komplet do salonu? Faizal westchnął.
- Czterysta siedemdziesiąt pięć i dorzucę darmowy transport i sześć podkładek na stół z gołymi laluniami.

Stołki barowe kupił w sklepie w Parów, który specjalizował się w meblach z sosnowego drewna. Kupił trzy i zapłacił sto siedemdziesiąt pięć randów za sztukę, przerażająca cena, załadował je do samochodu, dwa na tylne siedzenie, jeden z przodu, i zawiózł do domu, bo jutro przyjdą jego dzieci i niech przynajmniej mają na czym usiąść. O jedenastej zasiadł z gazetą w samoobsługowej pralni, czekając, aż ubrania staną się czyste i suche, a wtedy włoży je do właśnie nabytego plastikowego kosza na brudną bieliznę i wyprasuje nowym żelazkiem na nowej desce do prasowania.

Wtedy zadzwonił Matt Joubert.

- Wiem, że masz wolne, Benny, ale cię potrzebuję - powiedział.

- Co się dzieje, szefie?

- Chodzi o tego faceta z sagajem, ale wyjaśnię ci na miejscu. Jesteśmy w Fisantekraal. Na malej farmie. Przyjedź przez Dur-banville; na Wellington Avenue trzeba skręcić w prawo na R312 i przy wiadukcie kolejowym w lewo. Zadzwoń do mnie, gdy będziesz blisko, pokieruję cię.

Sprawdził cykl na pralce.

- Daj mi czterdzieści minut - poprosił.

To była stadnina. Szkoła Jazdy Konnej Wysoki Zagajnik. Lekcje jazdy dla dorosłych i dzieci.

Przejażdżki. Po drodze mijał stajnie. W stanie częściowej ruiny, jak w innych podobnych temu miejscach, gdyż nie starczało pieniędzy, żeby naprawić wszystko jednocześnie. Wreszcie zobaczył wozy policyjne, furgonetkę i mikrobus ekipy sądowej. Ambulans widocznie już odjechał.

Joubert stał z czterema innymi detektywami, dwóch było z ich wydziału, dwaj pozostali - zapewne z posterunku w Durbanville. Gdy zatrzymał samochód, dopadły go szczekające i machające ogonami psy, dwa małe i dwa czarne pasterskie. Wysiadł i owionął go zapach gnoju i skoszonej lucerny.

Joubert wyszedł mu naprzeciw, wyciągając rękę.

- Jak się masz, Benny?

- Trzeźwo, dziękuję. Joubert się uśmiechnął.

- Widzę. Bardzo cierpisz?

- Tylko, kiedy nie piję. Szef się roześmiał.

- Szanuję twoją nieustępliwość, Benny. Nie, żebym kiedykolwiek wątpił...

- W takim razie jesteś chyba osamotniony.

- Chodź, pogadamy.

Zaprowadził go do pustej stajni i usiadł na beli siana. Wpadające przez dziurki w przerdzewiałym dachu z falistej blachy słońce rysowało na podłodze perfekcyjnie okrągłe plamki.

- Siadaj, Benny, to zajmie chwilkę.

Usiadł.

- Ofiara nazywa się Bernadette Laurens. W czwartek wypuszczono ją za kaucją pięćdziesięciu tysięcy randów. Oskarżona była o morderstwo pięcioletniej córki swojej partnerki. Mieszkały razem jako para. Jej partnerka nazywa się Elise Bothma. W miniony weekend dziecko dostało w głowę kijem bilardowym, jedno uderzenie...

- Lesbijki? Joubert potaknął.

- Wczoraj wieczorem rozszczękały się psy. Laurens wyszła zobaczyć, co się dzieje. Gdy nie wróciła do łóżka, Bothma poszła jej szukać. Piętnaście metrów od drzwi znalazła ciało. Jedno pchnięcie w samo serce. Czekam na raport z patologii, ale to pewnie ten facet z sagajem.

- Bo zabiła dziecko.

- I ta rana.

- W gazetach piszą, że morduje kobieta.

- W gazetach wypisują bzdury. Wykluczone, żeby dwie poprzednie ofiary zamordowała kobieta.

Enver Davids był kryminalistą, dobrze zbudowanym, silnym chłopem. Badania miejsca zbrodni wskazują, że Colin Pretorius miał dość czasu, żeby się obronić, ale był bez szans. Laurens była silną kobietą, metr osiemdziesiąt wzrostu, osiemdziesiąt kilogramów wagi. Poza tym kobiety strzelają, nie napadają na ludzi z nożem. A już na pewno nie popełniają morderstw seryjnych. Dobrze wiesz, że prawdopodobieństwo takiego zdarzenia wynosi jeden procent.

- Racja.

- Jeden z psów pasterskich kuleje. Bothma sądzi, że przy okazji zarobił kopniaka albo uderzenie.

Oprócz tego mamy niewiele. Przyjadą tu ludzie z Durbanville i pomogą przesłuchać sąsiadów.

Griessei skinął głową.

- Chcę, żebyś wziął to śledztwo, Benny. -Ja?

- Z wielu powodów. Po pierwsze, jesteś najbardziej doświadczonym oficerem w wydziale. Po drugie, moim zdaniem jesteś

najlepszy. Po trzecie, komendant wymienił twoje nazwisko. Był bardzo zadowolony z tego, co zrobiłeś wczoraj, i w porę umie dostrzec poważne kłopoty. Mamy tu cyrk, Benny. Ze środkami przekazu. Mściciel przestępstw na dzieciach wymierza karę śmierci sam wiesz najlepiej.

- A po czwarte, skoro już nie mam żony ani dzieci, mam dużo czasu.

- Tego nie brałem pod uwagę. Ale co innego owszem, pomyślałem, że może to ci dobrze zrobić: nie będziesz miał czasu myśleć o picciu.

- Na to zawsze znajdę czas.

- Co więcej, proszę cię o to, bo wiem, że lubisz takie sprawy

- Fakt.

- Wchodzisz w to?

- Oczywiście, że wchodzę, do cholery. Wszedłem w chwili gdy powiedziałaś „sagaj”. Mogłeś sobie darować resztę. Dobrze wiesz, że te pierdoły z pozytywnym wsparciem na mnie nie działają.

Joubert wstał.

- Wiem. Ale musiałem to powiedzieć. Powinieneś być przekonany, że cię doceniamy. A, zapomniałbym, komendant mówi że da ci tylu ludzi, ilu zażadasz. Tylko musimy mu powiedzieć czego potrzebujemy. Zrobi, co konieczne. Jak na razie, twoim partnerem będzie Keyter. Już tu jedzie...

- Po moim trupie.

- Cliffy leży w szpitalu, Benny, a nikogo więcej na pełnym etacie nie mam...

- Keyter to idiota, Matt. Mały bufon z ambicjami i wielkim mniemaniem o sobie. Gównu umie. Co się stało z ludźmi, których niedawno mi obiecałeś?

- Tylko do roboty pomocniczej, Benny. Nie wygospodaruję ci nikogo z wydziału. Wiesz, że wszyscy są zawaleni robotą. Poza tym Keyter jest nowy. Musi się uczyć. Będziesz mu mentorował

- Mentorował?

- Zrobisz z niego oficera śledczego.
- W takich chwilach - burknął Griessel - zaczynam rozumieć, dlaczego jestem alkoholikiem.

24

Griessel, Keyter i psy siedzieli w salonie Elise Bothmy. Keyter, w luźnej białej koszuli, obcisłych dżinsach i nowych jaskrawonie-bieskich butach Nike, zadawał pytania, jakby to on był szefem.

- Co to za rasa, proszę pani? Chyba to mieszaniec pomeranian, ale czy one przypadkiem nie szczekają wieczorami? Słyszałem, że te pomeranian są okropnie hałaśliwe... wygląda, jakby miał coś z jamnika.

Powiedziała pani, że usłyszała psy, i wtedy panna Laurens wyszła sprawdzić, co się dzieje?

Była drobną kobietą. Oczy miała zaczerwienione, głos cichy; zaskoczyło ją pytanie na koniec tego kynologicznego popisu.

- Tak - odparła. Siedziała zgarbiona, nie podnosząc głowy. W palcach miała chusteczkę. W pokoju unosił się silny zapach psów i herbaty rooibos.

- Wie pani, która to była godzina? - zapytał Keyter. Powiedziała coś, ale nie dosłyszeli.

- Proszę mówić głośniejsze. Nie słyszymy, co pani mówi.

- Musiało być tuż przed drugą - powtórzyła Elise Bothma i znów zapadła się w siebie, jakby to zdanie ją wyczerpało.

- Ale nie jest pani pewna? Tylko pokręciła głową.

- Wiemy, o której godzinie zadzwoniła na posterunek? - Keyter zwrócił się do Griessela.

Benny miał ochotę wstać, wyprowadzić tego gnojka za drzwi i zapytać, co on sobie, do cholery, wyobraża, ale nie pora na to.

- Druga trzydzieści pięć - odparł.

- Dobrze - ciągnął Keyter. - Załóżmy, że psy zaczęły szczekać tuż przed drugą i wtedy Bernadette wstała. Wzięła coś ze sobą? Broń? Kij bilardowy czy coś?
- Bothma zadrżała i Griessel uznał, że więcej chyba nie zniesie. - Rewolwer. - Rewolwer?
- Tak.
- Jaki rewolwer?
- Nie wiem. Należał do niej.
- Gdzie ten rewolwer jest teraz?
- Nie wiem.
- Czy przy ciebie znaleziono rewolwer? Griessel tylko pokręcił głową.
- Więc rewolwer zniknął? Bothma przytaknęła.
- A o której pani wstała, żeby sprawdzić, co się dzieje z przyjaciółką?
- Nie wiem, która to była godzina. - Dlaczego pani wyszła? Co panią do tego skłoniło?
- Za długo. Za długo nie wracała. - I znalazła ją pani na ziemi? - Tak.
- Leżała tak samo jak wtedy, gdy przyjechaliśmy?
- Tak.
- I nic więcej?
- Nie.
- I wtedy zadzwoniła pani na policję?
- Nie.
- Nie?
- Pod numer alarmowy. Jeden zero trzy jedyńki.
- Ach tak. I czekała pani w domu, aż przyjadą?
- Tak.
- W porządku - oznajmił Keyter. - Dobrze. Już wiemy, jak to wyglądało. - Wstał. - Dziękuję bardzo, przykro mi z powodu pani straty.

Bothma kolejny raz lekko kiwnęła głową, nadal unikając kontaktu wzrokowego.

Griessel też się podniósł. Keyter ruszył do drzwi, po czym stanął jak wryty, widząc, że Griessel siada na kanapie obok kobiety. Nie podszedł do nich, stał przy drzwiach i czekał ze zniecierpliwionym wyrazem twarzy.

- Od jak dawna byliście razem? - zapytał Griessel łagodnie i współczująco.

- Siedem lat - odparła Bothma i przycisnęła chusteczkę do policzka.

- Co takiego? - zapytał Keyter od drzwi.

Griessel popatrzył na niego znacząco i przyłożył palec do warg. Keyter wrócił i usiadł.

- Łatwo wpadała w złość. - Stwierdzenie faktu. Bothma skinęła głową.

- Zdarzało jej się panią krzywdzić? Taka sama reakcja.

- I dziecko też? - Bothma potaknęła. Popłynęły łzy.

- Dlaczego pani nie odeszła?

- Bo nie miałam dokąd. Griessel czekał.

- Co miałam zrobić? Dokąd pójść? Jestem bezrobotna. Pracowałam u niej. Zajmowałam się rachunkami. Zaopiekowała się nami. Dała nam jedzenie i ubranie. Nauczyła Cheryl jeździć konno. Przeważnie była bardzo dobra. Nie mogłam inaczej postąpić.

- Była pani zła na nią za to, co zrobiła Cheryl? Wąskie ramiona zadrżały.

- Ale została pani z nią?

Zakryła twarz drobnymi dłońmi i się rozplakała. Griessel wsunął dłoń do kieszeni i wyjął chusteczkę. Podał jej. Nie od razu ją zauważyła.

- Dziękuję.

- Wiem, że pani ciężko - powiedział. Kiwnęła głową.

- Była pani bardzo na nią zła.

- Tak.

- Myślała pani, żeby się zemścić.

Bothma się zawahała. Leżący na dywanie pasterski pies się podrapał.

- Tak.

- Na przykład pchnąć ją nożem? Pokręciła głową.

- Zastrzelić ją? Tak.

- Dlaczego pani tego nie zrobiła?

- Schowała go. Czekał.

- Nie zabiłam jej - powiedziała Elise Bothma i spojrzała na niego. Zobaczył, że ma zielone oczy. - To nie ja.

- Wiem. Była dla pani za silna.

Zaczekał, dopóki Keyter nie wsiadł do samochodu, po czym stanął przy oknie i cicho, bo po podwórzu wciąż kręcili się policjanci, powiedział:

- Radzę ci dobrze zrozumieć kilka pieprzonych spraw. Keyter, zdziwiony, podniósł wzrok.

- Po pierwsze. Już nigdy podczas przesłuchania nie otworzysz jadaczki bez wyraźnego pozwolenia.

Jasne? - Jezu. Co takiego zrobiłem?

- Jasne?

- Dobra, dobra.

- Po drugie. Nie prosiłem się o ciebie. Zostałeś mi przydzielony. Z poleceniem, że mam z ciebie zrobić detektywa. Po trzecie. Zeby się czegoś nauczyć, musisz nauczyć się słuchać. Jasne?

- Jestem pieprzonym detektywem.

- Jesteś pieprzonym detektywem? Powiedz mi, panie pieprzony detektywie, od czego zaczyna się dochodzenie w sprawie morderstwa? Od czego należy wyjść?

- Już dobra - burknął Keyter.

- Co dobra, Jaaa-mie?

- W porządku, kapuję.
- Co kapujesz?
- To, co powiedziałaś.
- Odpowiedz, Jaaa-mie.
- Dlaczego wciąż mówisz do mnie Jaaa-mie? Kapuję, wystarczy? Najpierw trzeba się rozejrzeć po otoczeniu ofiary.
- Rozejrzałeś się?

Keyter milczał, przekreślił tylko kierownicę.

- Nie jesteś nawet przyszczem na tyłku detektywa. Dwa lata na posterunku w Table View o niczym nie świadczą. Włamania i kradzieże pojazdów tu się nie liczą, Jaaamie. Zamknij gębę na kłódkę, słuchaj i się ucz. Albo, jeśli wolisz, idź prosto do Matta Jouberta i powiedz mu, że nie możesz ze mną pracować. - Dobra. - Co dobra? - Dobra, nie będę tyle gadać.

- I będę się uczyć.

- Będę się uczyć.

- To łaskawie rusz dupę z wozu, bo jeszcze tu nie skończyliśmy. - Cofnął się, żeby Keyter mógł otworzyć drzwi.

Keyter wysiadł, zamknął drzwi, skrzyżował ramiona na klatce piersiowej i oparł się o samochód.

- Możemy mieć pewność, że tego nie zrobiła? - zapytał Griessel.

Keyter wzruszył ramionami. Gdy zorientował się, że to za mało, dodał ostrożnie:

- Nie. - Słyszałeś, co powiedziałem w środku? - Tak.

- Uważasz, że to zrobiła? - Nie.

- Ale chciała?

- Tak.

- Teraz postaw się w jej sytuacji.

- Co takiego?

- Postaraj się myśleć tak jak ona. - Griessel omal nie wzniosł oczu do nieba.

Keyter rozłożył ramiona i przycisnął dwa palce do skroni. Griessel czekał.

- Dobra - powiedział Keyter. Griessel nadal czekał.

- Dobra, jest za drobna, żeby mogła dźgnąć Laurens - popatrzył na Benny'ego, szukając aprobaty. Griessel skinął głową.

- I nie mogła użyć rewolweru.

- Zgadza się.

Palce wodziły po skroniach.

- Nie, kurczę, nie wiem - rzucił gniewnie Keyter i odkleił plecy od samochodu.

- Jak ty byś się czuł? - spytał Griessel, starając się nie tracić cierpliwości. - Twoje dziecko nie żyje. Zabiła je twoja kochanka. Jak byś się czuł? Nienawidzisz, Jamie. Siedzisz w tym domu i zżera cię nienawiść. Twoja kochanka kibluje w policyjnym mamrze i wiesz, że lada dzień wyjdzie za kaucją. Marzysz o tym, żeby za to, co zrobiła, zatłuc ją na śmierć. Wyobrażasz sobie, jak do niej strzelasz albo wbijasz w nią nóż. A potem z radia dowiadujesz się o tym facecie, który rozprawia się z ludźmi, którzy krzywdzą dzieci. Albo z gazety. Co robisz, Jamie? Płaczesz i zaczynasz żyć nadzieją. Pragniesz, żeby się zjawiał. Bo jesteś kruchy i słaby i potrzebujesz superbohatera. Myślisz: może tu przyjdzie z tym dużym sagajem? Lubisz to sobie wyobrażać. Ale mija długi tydzień, Jamie. Zaczynasz się zastanawiać: a jeśli on nie przyjdzie? Bothma powiedziała, że rewolwer był schowany. Więc dziesięć do jednego, że go szukała. Dlaczego, Jamie? Na wypadek gdyby facet z sagajem się nie zjawiał. A dalej, jaki jest kolejny logiczny krok? Szukasz faceta z sagajem. A gdzie zaczynasz go szukać? Gdzie szukasz kogoś, kto nienawidzi Laurens tak samo jak ty? Bo ona łatwo wpada w złość. Bo to twarda kobieta. Gdzie szukasz?

- Dobra - powiedział Keyter i kopnął swoim niebieskim butem kępkę trawy. - Dobra, kapuję. Szukasz tu, na farmie.

- Jeszcze nie wszystko stracone, Jamie.
- Pracownicy?
- Zgadza się. Kto czyści stajnie? Kto siecze paszę? Na kogo Laurens wrzeszczała i klęła, gdy spóźnił się do pracy? Kto wyświadczył małą przysługę za pięćset randów?
- Chwytam.
- Idź i pogadaj z ludźmi, Jamie. Zwróć uwagę na mowę ciała, popatrz im w oczy. Nie oskarżaj. Tylko porozmawiaj. Zapytaj, czy coś widzieli. Zapytaj, czy Laurens była trudnym pracodawcą. Bądź pełen współczucia. Zapytaj, czy słyszeli o mężczyźnie z sagajem. Pozwól im się wygadać. Czasem niewiele trzeba, żeby zaczęli mówić, i to za dużo. Słuchaj, Jamie. Słuchaj nie tylko uszami, ale też oczami i głową. Gdy się prowadzi śledztwo w sprawie morderstwa, najpierw najlepiej popatrzeć na wszystko z dystansu. Potem robisz krok bliżej i znów patrzysz. I kolejny krok. Nie oskarżasz... tropisz.
- Kapuję.
- Jadę do biura. Potrzebujemy akt pozostałych spraw. Poproszę śledczych, żeby zrelacjonowali mi sprawy Davidsa i Pretoriu-sa. Jak tu skończysz, zadzwoń, a potem przyjedź.
- Okej, Benny. - Z ulgą.
- Na razie. - Griessel odwrócił się, by pójść do samochodu; pomyślał przy tym: ja pieprzę, zaczynam już nawijać jak on.

25

Naradzał się jeszcze z dwoma detektywami prowadzącymi poprzednie sprawy, gdy zadzwonił Cloete i poinformował, że środki przekazu dowiedziały się o kolejnym morderstwie Artemidy.

- O czym?
- No wiesz, o morderstwie z sagajem.
- Artemidy?

- To „Argus” zaczął te pierdoły, Benny. Jakaś grecka bogini, co to biegała i dźgała wszystkich dzidą czy czymś takim. To prawda?

- Że grecka bogini...

- Nie, człowieku, że ta Laurens, która pobiła na śmierć dziecko, jest jego ostatnią ofiarą?

Środki przekazu. Cholera.

- Na razie mogę powiedzieć tylko tyle, że Laurens znaleziono »dzisiaj martwą pod jej domem. Jeszcze nie skończono *post mortem*.

- To im nie wystarczy.

- Nic więcej nie mam.

- Zadzwońisz do mnie, gdy dowiesz się czegoś więcej?

- Zadzwonię - skłamał. Zdecydowanie nie zamierzał karmić prasy informacjami.

Na chwilę przed tym, nim poszedł do kostnicy, zadzwonił do niego Faizal z pytaniem, czy może dostarczyć komplet do salonu. Pojechał otworzyć mu mieszkanie, po czym pognął do Salt River, gdzie czekał na niego profesor Pagel.

Gdy zamknął za sobą drzwi państwowej kostnicy i usłyszał muzykę, uśmiechnął się. Po tym poznawało się, że profesor Phil Pagel, główny patolog, pracuje. Bo jedyne, co Pagel puszczał na swoim wartym dziesięć tysięcy randów sprzęcie hi-fi, to Beethoven, tak głośno, jak mu akurat pasowało.

- Ach, Nikita - ucieszył się Pagel, gdy Griessei pojawił się w drzwiach. Siedział przed komputerem i wstał, żeby ściszyć muzykę. - Jak się masz, przyjacielu?

Pagel od dwunastu lat nazywał go Nikitą. Gdy pierwszy raz się spotkali, zauważył:

- Jestem pewny, że tak właśnie wyglądał młody Chruszczow. Griessei musiał się nieźle nagłowić, kto taki ten Chruszczow. Bardzo szanował wykształconych i kulturalnych ludzi, gdyż sam miał tylko maturę i egzaminy policyjne. Kiedyś powiedział do Pagela:

- Cholera, profesorze, chciałbym być taki mądry jak pan.

A Pagel obejrzał się na niego i oświadczył:

- Według mnie jesteś mądry, Nikita, i na dodatek sprytny.

Spodobało mu się to. No i że Pagel, którego wypowiedzi często zamieszczały pisma takich towarzystw, jak Przyjaciele Opery, Ratujmy Orkiestrę Symfoniczną, Kampania przeciw AIDS, traktował go jak równego sobie. Zawsze. Pagel nie wyglądał na swój wiek - wysoki, szczupły i niesamowicie przystojny. Ludzie twierdzili, że przypomina gwiazdora jakiejś opery mydlanej, ale Gries-sel jej nigdy nie oglądał.

- Dobrze, dziękuję, profesorze. A pan?

- Wspaniale, mój drogi. Właśnie skończyłem z nieszczęsną panną Laurens.

- Profesorze, właśnie naświetlono mi poprzednie sprawy: Davidsa i Pretoriusa. Bushy powiedział mi, że tym razem też podejrzewa pan sagaj.

- Nie podejrzewam. Jestem absolutnie pewny. Wyglądasz jakoś inaczej, Nikita. Obciąłeś włosy? Chodź, pokażę ci. - Ruszył korytarzem i głuchym plaśnięciem dłoni pchnął wahadłowe drzwi do laboratorium kostnicy. - Już dawno nie mieliśmy do czynienia z ofiarą sagaju; to mało popularna broń. Dwadzieścia lat temu była bardziej powszechna.

W pomieszczeniu unosił się zapach śmierci, formaliny i taniego odświeżacza powietrza. Klimatyzacja była ustawiona na minimum Pagel rozsunął czarny worek. W środku, jak w kokonie, leżało nagie ciało Laurens, z tylko jedną raną, w tułowiu, między małymi piersiami.

- W przypadku Davidsa - powiedział Pagel, wsuwając dłonie w gumowe rękawiczki - nie mieliśmy wylotu. Wlot rany miał jakieś sześć centymetrów, ale na plecach nie było ani śladu. Wynioskowałem z tego, że ostrze było bardzo szerokie albo dokonano dwóch dźgnięć jednym, węższym, co wydawało mi się jednak niezwykle mało prawdopodobne. Ale nie pomyślałem „sagaj”. U Pretoriusa mieliśmy wlot rany, na dwa koma siedem centymetrów szeroki, a wlot na sześć koma dwa. I wtedy mi zaświtało.

Obrócił ciało Laurens na bok.

- Popatrz tutaj, Nikita. Wylot rany dokładnie po drugiej stronie, tuż obok kręgosłupa. Wlot musiałem nieco rozciąć, żeby pobrać próbkę do analizy chemicznej, więc już tego nie zobaczysz, ale był jeszcze szerszy: sześć koma siedem, sześć koma siedem pięć. - Ostrożnie opuścił ciało na plecy i zasunął worek. - Z tego można wyciągnąć kilka wniosków, które pewnie cię zainteresują, Nikita. Ostrze jest długie; oceniam je na jakieś sześćdziesiąt centymetrów. Mamy tu często do czynienia z ranami kłutymi zadanymi rzeźnickim nożem, wiesz, takim, jaki można kupić w Pick and Pay, z ostrzem mniej więcej długości dwudziestu pięciu centymetrów. W takich ranach widać wyraźnie jedną krawędź tnącą. Zdarza się wylot rany, ale nigdy szerszy niż na centymetr. Wlot rany ma zazwyczaj trzy, góra cztery centymetry. Tu mamy dwie krawędzie tnące, bardzo podobne jak w bagnecie, ale rana jest dłuższa a węższa. Znacznie dłuższa. Poza tym bagnet uszkadza więcej narządów wewnętrznych; specjalnie został tak zaprojektowany, wiedziałeś? Zatem mamy ostrze długie na sześćdziesiąt centymetrów, wąskie, rozszerzające się do niecałych siedmiu centymetrów na końcu. Wszystko jasne, Nikita?

- Nadażam, profesorze.

- To dowodzi użycia klasycznego sagaju, nic innego do tego opisu nie pasuje. Nawet rana zadana mieczem. Rany od miecza są naturalnie bardzo rzadkie, myślę, że przez całe życie widziałem może ze dwie. Rana od miecza ma znacznie szerszy wylot i bardziej równomierną szerokość. Ale to niejedyna różnica. Wyniki analizy chemicznej przyniosły parę niespodzianek. Mikroskopijne ilości popiołu, tłuszczów zwierzęcych i kilku związków chemicznych, których nie mogliśmy początkowo zidentyfikować, musieliśmy szukać w tablicach. Okazało się, że to cobra, środek do polerowania podłóg. Tłuszcze zwierzęce są pochodzenia bydłęcego. Na mieczach raczej niespotykane. Zacząłem drażnić, Nikita, bo kawał czasu minął, od kiedy ostatnio mieliśmy do czynienia z sa-gajem, a człowiek prędko zapomina. Chodźmy do mojego biura, mam tam notatki. Coś się w tobie zmieniło. Czekaaj, niech zgadnę... - Pagel poszedł przodem.

Griessel spojrział na swoje ubranie. Wyglądał jak zwykle, żadnej zmiany nie dostrzegął.

- Siadaj, przyjacielu, zaraz ci wszystko przedstawię dokładnie. - Zdjął z półki czarny segregator i zaczął go przerzucać. - Popiół. Kowale używają go do polerowania ostrza. Przypuszczam, że są tacy, którzy zajmują się tylko sagajami. Pradawna metoda, w dawnych czasach popiołem polerowano srebro, można zobaczyć takie przedmioty w sklepach z antykami, mają charakterystyczną powierzchnię. Z tego wnioskujemy, że sagaj zrobiono metodą tradycyjną. Ale wrócimy jeszcze do tego. Na to samo wskazuje łój wołowy i cobra. Stosuje się je do drzewca, nie do ostrza. Zulusi używają tych środków do konserwacji drewna, jest wtedy gładkie i błyszczące. Konserwują i zapobiegają wypaczaniu.

Wszystko świetnie, zauważysz zapewne, ale jak ma to pomóc w złapaniu faceta? Wykonałem kilka telefonów, Nikita, mam paru przyjaciół handlujących takimi rzeczami. Powiedzieli mi, że obecnie dostępne są trzy rodzaje sagajów. Te, sprzedawane na pchlim targu Greenmarket Square, możemy sobie odpuścić. Sprowadzane są z północy, niektóre nawet z Malawi czy Zambii; kiepskie rzemiosło, krótkie, wąskie ostrza, metalowe drzewce i barokowe wzornictwo. Robi się je pod turystów i są replikami rytualnych sagajów różnych afrykańskich kultur. Drugi rodzaj to tak zwana zabytkowa czy historyczna włócznia lub sagaj; albo krótki sagaj do dźgania, albo długa włócznia do rzucania. Oba typy mają ostrza, które pasują do profilu naszej rany, ale z jedną istotną różnicą: ostrze sagaju historycznego będzie czarne jak smoła od krwi wołu, owcy czy kozy, bo Zulusi używają go do uboju. Do zabijania zwierząt. Poza tym pod mikroskopem byłoby widać znacznie więcej popiołu. Wiesz, Nikita, że stare sagaje idą po pięć, sześć tysięcy za sztukę? Nawet do dziesięciu, jeśli wiek jest wiarygodnie udokumentowany. Ale u żadnej z ofiar nie stwierdziliśmy śladów zwierzęcej krwi, co oznacza, że twój sagaj jest albo zabytkowy, ale doskonale wyczyszczony, albo dokładnie to ta sama jego forma, co w zabytkowych, ale został wykonany współcześnie. Brak rdzy wskazuje na ten drugi. Poprosiłem

o spektrometrycznie zbadanie obecności tlenków. Praktycznie niczego nie wykazało. Nie ma rdzy, więc jest właściwie nowy. Twój sagaj zrobiono maksymalnie trzy, może cztery lata temu, a najprawdopodobniej w ostatnim półroczu. I jeszcze jedno: podejrzewam, że sagaj nie jest dokładnie czyszczony po każdym morderstwie. W ranie Laurens odnaleźliśmy ślady krwi i DNA dwóch pierwszych ofiar. Co oznacza, że to ta sama broń i zapewne ten sam zabójca.

Co potwierdzało jego teorię, że Bothma chciała śmierci Laurens. Skinął głową.

- Problem w tym, Nikita, że już niewielu ludzi robi tradycyjne sagaje. Popyt jest niewielki. Warsztaty przetrwały głównie na wsiach KwaZulu, gdzie tradycje nadal są zachowywane i gdzie woły wciąż zabija się po dawnemu. Nadal używa się tam łożu wołowego do konserwacji drzewca i kupuje do pastowania cobrę. Sądzę również, że nie mamy do czynienia z długą włócznią. Kąt wejścia rany jest stosunkowo nieduży. Podsumowując, uważam, że to sagaj do dźgania zrobiony w ostatnim roku przez jakiegoś kowala z równin Makathini. Naturalnie rodzi się pytanie, jak u licha przybył stamtąd do nas i znalazł się w rękach tego człowieka, który postanowił rozprawić się z ludźmi krzywdzącymi dzieci? Dziwny wybór broni.

- Mężczyzna, profesorze?

- Według mnie tak. Z racji głębokości rany. Przeciąć sagajem mostek nie jest bardzo trudno, ale pchnąć tak, żeby przeszył ciało, łamiąc żebra, i wyszedł na kilka centymetrów plecami, wymaga dużej siły, Nikita. Albo ogromnej wściekłości czy adrenaliny. Jeśli to kobieta, to silna jak Amazonka.

- To dobry wybór broni, profesorze. Cicha. Skuteczna. Nie można jej wyśledzić jak palnej.

- Ale sagaj nie jest mały, Nikita. Półtora metra, może dłuższy. Griessel skinął głową.

- Pytanie: dlaczego sagaj? Czemu nie duży nóż myśliwski czy bagniet? Jeśli chce się kogoś zakłuć, ma się mnóstwo narzędzi.

- Chyba że to oświadczenie.

- Też się nad tym zastanawiam, ale jakie pieprzone oświadczenie? Co niby oświadcza? Jestem Zulusem i kocham dzieci?
- Albo chce, żeby policja myślała, że jest Zulusem, podczas gdy jest Afrykanerem z Brackenfell.
- Albo chce przyciągnąć uwagę.
- Nie możesz zaprzeczyć, Nikita, że ma bardzo dobry powód. W pierwszym odruchu pomyślałem, że powinno mu się pozwolić działać.
- Nie, do diabła, profesorze, nie mogę się z tym zgodzić.
- Ale przecież musisz przyznać, że jego działanie nie jest pozbawione zalet.
- Zalet, profesorze? Jakich zalet?
- Choć wierzę w aparat sprawiedliwości, nie jest doskonały, Nikita. A ten facet wypełnia interesującą lukę. Albo luki. Nie wydaje ci się, że niektórzy pomyślą teraz dwa razy, zanim skrzywdzą dziecko? . . .
- Profesorze, ludzie krzywdzący dzieci są warci mniej niż gówno homara. Za każdym razem przy aresztowaniu takiego sam miałem ochotę rozwalić mu łeb. Ale nie o to chodzi. Chodzi o to, gdzie przeprowadzić granicę. Zabijając każdego nierokującego nadziei na rehabilitację? Psychopatów? Narkomanów kradnących telefony komórkowe? Właściciela Seven-Eleven, który łapie swoje magnum czterdzieści cztery, bo jakiś maniakalny kleptomaniak kradnie puszkę sardynek? Takie postępowanie też ma zalety? Cholera, profesorze, nawet psychiatrzy nie umieją zgodnie określić, czy rehabilitacja się powiedzie, czy nie; co ekspert, to opinia. Mamy pozwolić na to, żeby każdy Tom czy Harry łapał sagaj i sam dochodził sprawiedliwości? I to gadanie o karze śmierci. Nagle wszyscy chcą jej przywrócenia. Między nami, nie jestem z definicji przeciwko niej. Odstrzeliłem niejednego sukinsyna, który zasłużył na nią z nawiązką. Ale jedno jest bezsprzeczne, kara śmierci nigdy nikogo nie powstrzymała. W dawnych czasach, gdy wieszano czy smażono na krześle, wcale nie mordowano rzadziej niż dziś. Więc nie widzę w niej żadnej wartości.
- Mocny argument.

- Chaos, profesorze. Zgoda na samosąd to pierwszy krok do chaosu.
- Jesteś trzeźwy, Benny.
- Co takiego, profesorze?
- To się w tobie zmieniło. Jesteś trzeźwy. Od jak dawna?
- Od kilku dni, profesorze.
- Wielkie nieba, Nikita, jakbym to już kiedyś słyszał.

26

Gdy stał przy samochodzie, zadzwonił Jamie Keyter, żeby złożyć raport. Gnessel bez zastanowienia powiedział: - Spotkajmy się w Fireman's.

Jadąc Albert Street w stronę miasta, myślał o sagajach, morderstwach i zaletach samosądów.

Profesor powiedział: mocny argument. Ale skąd się to wszystko wzięło? Nad tym się nie zastanowił.

Tylko gadał. Mógłby przysiąc, że sam zdumiony słuchał własnych wywodów i myślał- Co u diabła?

Nagle stał się wielkim filozofem kryminalistyki. Od kiedy? Odkąd rzucił picie. Od wtedy.

Zupełnie jakby ktoś wyostrzył obraz i on mógł wyraźniej zobaczyć minionych pięć czy sześć lat.

Czyżby przez cały ten czas nie myślał? Nie analizował? Mechanicznie odbębniał robotę, na pamięć pod dyktando procedur i prawa? Scena kryminalna, akta, dreptani-na i zbieranie informacji, zeznanie, gotowe. Wszystko spowite powstrzymującą od refleksji złotą mgiełką alkoholowych oparów.

Teraz i wtedy, na początku. Na początku działał, odwołując się do kategorii „my” i „oni”, stanowiących dwa przeciwieństwa dwie grupy stojące po przeciwnej stronie prawa, przekonany, że istnieje między nimi różnica, wyraźna linia podziału. Z jakichś powodów. Może genetycznych, może psychologicznych, ale właśnie

tak; jedni byli przestępcami, inni nie, i do niego należało oczyścić społeczeństwo z tych pierwszych. Zadanie nie niewykonalne, tylko olbrzymie. Przeważnie jednak nieskomplikowane. Zidentyfikować, aresztować, usunąć.

Teraz, na tym końcu alkoholowego tunelu, zza odzyskanej trzeźwości, zdał sobie sprawę, że już w to nie wierzy.

Teraz wiedział, że każdy je w sobie nosi. Przestępstwo tkwi w każdym, zagrzebane w podświadomości jak śpiąca zimowym snem żmija. Podrażniona żarem chciwości, zazdrości, nienawiści, zemsty czy strachu budzi się i uderza. Ludzie, którym się to nigdy nie przytrafiło, powinni uważać się za szczęśliwców. Szczęśliwców, jeśli droga ich życia omija kłopoty i na końcu będą mieli na sumieniu najwyżej kradzież biurowych spinaczy.

Dlatego powiedział Pagelowi, że istnieje potrzeba wspólnego wytyczenia granicy. Musi istnieć system. Porządek, nie chaos. Nie można powierzyć jednostce stanowienia i egzekwowania sprawiedliwości. Nie ma ludzi niepokalanych, obiektywnych, odpornych.

Albert Street przeszła w New Market, potem w Strand, a on dalej zastanawiał się, od kiedy tak uważa. Kiedy przekroczył punkt zwrotny? Rozczarowywał się stopniowo? Obserwując ulegających pokusie kolegów czy wyprowadzane w kajdankach filary społeczeństwa? Czy zaczął tak myśleć z powodu własnego upadku? Odkrycia własnych słabości? A może stało się to wtedy, kiedy pierwszy raz bezkarnie upił się w pracy? Albo wówczas, gdy podniósł rękę na Annę?

Nieważne.

Jak złapać tego samozwańczego egzekutora? To teraz ważne.

Morderstwo równa się motyw. Kim jest ten facet z sagajem? Dlaczego to robi?

Kierują nim jakieś zrozumiałe pobudki? Czy może, jak w przypadku seryjnych morderców, motyw kryje się gdzieś w zwarcjach wadliwej sieci neuronowej? Nie miał nic, żadnego prowadzącego do źródła tropu, żadnej nici, którą można by chwycić i szarpnąć, żeby się troszkę rozsypała i węzeł zaczął się rozplątywać.

Seryjne morderstwa to twardy orzech do zgryzienia. Trzeba zbadać dokładnie wszystkie ofiary i miejsca zbrodni. Zbudować profil i po kawałku składać dowody, dopóki nie wyłoni się z nich obraz, oby sensowny, który odzwierciedli rzeczywistość. Czekać, aż morderca popełni błąd. Aż jego wiara w siebie rozkwitnie, stanie się nieostrożny i zostawi na drodze ślad opony, plamkę nasienia albo odcisk palca. Można też mieć po prostu szczęście i przypadkiem usłyszeć pogawędkę dwóch pielęgniarek o supermarketach. Postawić wszystko na jedną kartę, zarzucić w piątek przynętę i od razu zgarnąć całą pulę.

Dawniej koledzy często rozprawiali o szczęściu Benny'ego kręcąc z niedowierzaniem głowami: „Kurczę, Benny, ale z ciebie larciarz, chłopie”. Co go zawsze irytowało. Nie był żadnym farciarzem - miał instynkt. I odwagę, by się nim posłużyć. Poza tym wtedy nic nie ograniczało jego działania.

„Tylko tak dalej Benny - mówił jego pierwszy szef, pułkownik Willie Theal - Liczą się rezultaty”. Chudzielec Willie Theal, o którym zmarły gruby sierżant Nugat O'Grady powiedział: „Oto w chwale chodzi Anoreksja”. W tamtych czasach procedura była jedynie ogólnym zarysem postępowania, korzystali z niej, jak im pasowało. Teraz O'Grady leżał w ziemi, a Willie Theal w Prince Albert z rakiem płuc i policyjną emeryturą, a jeśli przed aresztowaniem nie przeczytało się kanalii jej praw, sąd odrzucał pieprzoną sprawę.

Ale stanowiło to część systemu, a system tworzył porządek i nie ma na co narzekać; gdyby jeszcze tylko w swoje życie też udało mu się wprowadzić ład. Nie powinno być trudno, gdyż procedura alkoholika zawiera raptem dwanaście kroków.

Cholera. Czemu nie potrafi się jej ślepo trzymać? Czemu nie może być potulnym uczniem, bez tego uczucia rozpaczki w żołądku, gdy rozważał krok drugi: wierzymy, że siła większa od nas samych może uzdrowić nas z alkoholowego obłądzenia?

Skreślił w prawo, w Buitengracht, znalazł miejsce do zaparkowania, wysiadł i pod niebem wczesnego wieczoru ruszył w stronę neonu: Firemans Arms. Południowo-wschodni wiatr szarpał na jego ubranie, jakby chciał go powstrzymać, ale stanął w drzwiach.

i tawerna otworzyła przed nim swe bezpieczne, ciepłe wnętrze wypełnione papierosowym dymem i zapaszkiem piwa, którym kropla po kropli przez lata nasiąknęła wykładzina. Zgarbione koleżeńsko nad kuflami plecy, w kącie telewizor i migawki z meczów krykie-ta. Stał przez chwilę w progu, wchłaniając atmosferę tego miejsca. Jego dom. Naszła go chęć, by usiąść przy drewnianym brudnym barze. I zamówić brandy z colą. Wypić z namaszczeniem pierwszy haust i poczuć rozlewające się po ciele ciepło i mrowienie zaspokojonych synaps mózgowych. Tylko jeden drink, podpowiedziała mu głowa, i wtedy zwiął, trzaskając drzwiami. Z drżeniem, bo dobrze znał pieśń tego chóru: tylko jeden drink. Pognał do samochodu. Jak najszybciej wsiąść, zamknąć drzwi i odjechać. Natychmiast. Zadzwoił telefon. Chwycił drżącymi rękoma.

- Griessel.

- Benny, tu Matt.

- Jezusie. - Zatkało go.

- Co?

- Ale się wstrześliś.

- Co takiego?

- Właśnie... ee... Właśnie wracam do domu.

- Jestem w biurze komendanta prowincji. Mógłbyś tu wpaść? - Ton jego głosu mówił: Nie pytaj, nie mogę teraz rozmawiać. - Caledon Square? - Tak.

- Zaraz będę.

Zadzwoił! do Keytera i powiedział, że coś mu wypadło.

- Nie ma sprawy.

- Pogadamy jutro.

- W porządku, Benny.

W biurze komendanta zastał czterech mężczyzn. Znał trzech -komendanta prowincji, szefa wydziału śledczego, Johna Afrikę i Matta Jouberta.

- Komisarzu, nazywam się Lenny le Grange i jestem parlamentarzystą - przedstawił się czwarty, wyciągając do niego suchą, kościstą dłoń. Miał na sobie ciemnoniebieski garnitur i jaskrawo-czerwony krawat. - Naprawdę przykro mi, że przeszkadzam panu tak późno wieczorem; słyszałem, że ma pan za sobą ciężki dzień. Proszę siadać; nie zatrzymamy pana długo. Jak postępuje śledztwo?

- Powolutku - odparł, szukając wzrokiem pomocy u Jouberta.

- Komisarz Griessel zapoznaje się jeszcze ze sprawą - poinformował Joubert, gdy siadali przy okrągłym konferencyjnym stole komendanta.

- Naturalnie. Komisarzu, pozwoli pan, że przejdę od razu do rzeczy. Mam wątpliwy przywilej bycia przewodniczącym Parlamentarnego Komitetu Sprawiedliwości i Rozwoju Politycznego. Jak może wie pan z mediów, prowadzimy właśnie prace nad nową ustawą dotyczącą przestępstw seksualnych. Griessel nic z mediów nie wiedział. Ale kiwnął głową.

- Świetnie. W ustawie zaproponowano stworzenie rejestru przestępców seksualnych, listy osób uznanych za winne przestępstwa seksualnego: gwałcicieli, pedofilów... Komitet stoi na stanowisku, że rejestr powinien być publiczny. Choćby po to, żeby ostrzec rodziców przed przekazaniem dziecka w ręce pedofila, gdy zapisują je do przedszkola. Szczerze mówiąc, ten aspekt ustawy jest kontrowersyjny. Podnoszą się głosy, że to naruszenie konstytucyjnego prawa do prywatności. To jedna z tych spraw, które wywołują podziały międzypartyjne. Na razie wszystko wskazuje na to, że uda nam się przeprowadzić ustawę, ale niewielką większością. Na pewno zaczyna pan rozumieć, po co przyszedłem. - Rozumiem - przytaknął Griessel.

Poseł wyjął z kieszeni marynarki białą kartkę.

- Żeby było ciekawiej, chciałbym przeczytać urywek z „Die Burger” sprzed dwóch tygodni. Miałem konferencję prasową i oto, jak mnie zacytowali: „Jeśli przestępca seksualny poniesie konsekwencje, na przykład dozna reakcji obywateli czy trudności ze znalezieniem pracy, to trudno. Przestępca seksualny traci prawo

do prywatności. Prawo do prywatności nie może stać wyżej od prawa kobiety czy dziecka do nietykalności fizycznej". - Popatrzył znacząco na Griessela. - Ja i mój niewyparzony język, komisarzu. Wymykają mi się takie słowa, gdyż gorąco wierzę, że powinniśmy chronić kobiety i dzieci. W reakcji na to, co postrzegam jako wyssane z palca, panikarskie wymysły wyciągnięte przez opozycję z kapelusza. Chodzi o to, co robi ten samozwańczy mściciel... Może myślałem, że nic takiego nigdy się nie zdarzy. A jak już się zdarzy, to jakiś odosobniony incydent, z którym policja szybko sobie poradzi. Człowiek nigdy nie przewidzi... nie coś takiego, co dzieje się teraz.

Le Grange pochylił się nad stołem.

- Wepchną mi te słowa do gardła. Cóż, taka to już praca. Muszę ponosić ryzyko. Trudno. Ale ta ustawa leży mi na sercu. Dlatego proszę pana o powstrzymanie tego zabójcy. Żebyśmy mogli ochronić nasze kobiety i dzieci.

- Rozumiem - powtórzył.

- Czego ci trzeba, Benny? - zapytał komendant, jakby byli starymi kumplami.

Zawahał się. Obrzucił wzrokiem obecnych, po czym odparł:

- Tej jednej rzeczy, której już nie mamy, komendancie. Czasu.

- A poza tym? - Ton komendanta świadczył o tym, że nie takiej odpowiedzi oczekiwał.

- Benny chce powiedzieć, że to skomplikowany przypadek. Problem leży w braku jasnego motywu - wtrącił się Matt Joubert.

- Właśnie - potwierdził Griessel. - Nie wiemy, dlaczego to robi.

- A jaki tu może być motyw? - zapytał le Grange. - Na pewno chodzi o ochronę dzieci. To oczywiste.

- Motyw - wyjaśnił John Afrika - zazwyczaj identyfikuje sprawcę, panie le Grange. Jeśli motywem faceta z sagajem jest wyłącznie ochrona dzieci, to ten motyw identyfikuje go jako jednego z mniej więcej dziesięciu milionów zatroskanych mężczyzn w tym kraju. Wszyscy chcą chronić dzieci, ale tylko jeden z tego powodu zabija. Czym różni się od innych? Dlaczego wybrał taki sposób? Tego chcemy się dowiedzieć.

- Coś jednak by pomogło - oznajmił Griessei. Wszyscy spojrzeli na niego.
 - Musimy się dowiedzieć, czy Enver Davids był pierwszy. Z tego, co wiemy, był pierwszy w Zachodniej Prowincji Przylądkowej. Ale przestępstwa przeciw dzieciom zdarzają się wszędzie. Mściciel mógł zacząć gdzieś indziej.
 - Co by nam to dało? - zapytał le Grange.
 - Pierwszy przypadek może być znaczący. Osobisty. Prywatna zemsta. A potem mu się to spodobało. Niewykluczone. Musimy rozważyć taką ewentualność. Mogłaby także pomóc lista morderstw czy napaści z użyciem sagaju. To wyjątkowa broń. Państwowy patolog twierdzi, że już niespotykana. Nie kupi się nowego sagaju w Seven-Eleven. Dlaczego zadał sobie trud jego zdobycia? No i gdzie go dostał? Profesor Pagel odpowiada: w Zululandzie. Może nasi koledzy z Durbanu mogliby pomóc? Może wiedzą, kto ją robi i sprzedaje? Albo zdobyliby takie informacje? I ostatnia rzecz, którą możemy zrobić, to sporządzić listę wszystkich zgłoszonych przestępstw na dzieciach z ostatnich osiemnastu miesięcy. Zwłaszcza tych, kiedy nie aresztowano podejrzanych.
 - Sądzi pan, że bierze odwet? - zapytał le Grange.
 - To jedna z możliwości - odparł Griessei. - Musimy rozważyć wszystkie.
 - To setki spraw - zauważył komendant.
 - Dlatego właśnie Benny powiedział, że potrzebuje czasu - przypomniał Matt Joubert.
 - Cholera - zaklął le Grange.
 - Amen - podsumował John Afrika.
- Wiatr z południowego wschodu duł z taką siłą, że do samochodów biegli zgięci w pół.
- Dobrze sobie poradziłeś, Benny - krzyknął Joubert poprzez wycie wiatru.
 - Ty też. - Po czym dodał: - Widzisz, gdybyś więcej pił, też mógłbyś być teraz komisarzem.

- Zamiast nadinspektorem, który musi babrać się w tym politycznym szambie?

- Właśnie.

Joubert się roześmiał.

- Przemyślę to.

Dopadli samochodu Griessela.

- Zamierzam odwiedzić Cliffy'ego - oznajmił Benny.

- Też tam będę. Do zobaczenia.

Popchnął lekko drzwi szpitalnej sali i zobaczył ich - siedzieli wokół łóżka: kobieta i dwoje dzieci, skąpani żółtym światłem nocnej lampki. Żona Mketsu trzymała go za rękę, dzieci po obu stronach łóżka wpatrywały się w rannego ojca. Cliffy leżał, uśmiechając się łagodnie, zajęty rozmową.

Griessel przystanął, nie chciał im przeszkadzać. Poza tym boleśnie odczuł swoją stratę i zazdrość, ale Cliffy zauważył go, uśmiechnął się szerzej i powiedział:

- Wchodź, Benny.

Przy progu mieszkania stał mały szklany wazonik z jednym, nieznanym mu czerwonym kwiatem. Pod wazonik wsunięto złożony na pół liścik.

Podniósł go i otworzył z nagłym przyływem nadziei. Anna?

Witamy w naszym budynku. W wolnej chwili zapraszam na herbatę.

U dołu. Charmaine, numer 106.

Cholera. Spojrzał w korytarz, w stronę 106. Cisza i spokój. Skądś dobiegały odgłosy włączonego telewizora. Szybko otworzył drzwi i wszedł, zamykając je cicho. Postawił wazonik na barze śniadaniowym. Przeczytał jeszcze raz kartkę, zmiął i wrzucił do nowego pojemnika na śmieci. Nie chciał, żeby jutro znalazły ją dzieci.

Jego salon. Cofnął się i mu się przyjrzał. Próbował zobaczyć go oczami swoich dzieci. Przynajmniej wyglądał teraz mniej bezosobowo, przytulniej. Usiadł w fotelu. Nie jest źle. Wstał i z nieudawaną

przyjemnością wyciągnął się na kanapie. Czuł się znużony, miał ochotę na drzemkę.

Długi dzień. Siódmy od ostatniego drinka.

Siedem dni. Jeszcze tylko sto siedemdziesiąt trzy.

Pomyślał o Fireman's Arms i przymilnie kuszącej go myśli: tylko jeden drink. Potem o rodzinie Cliffy'ego. Najgorsze w tym było to, że nie miał żadnej pewności, czy jego własna będzie jeszcze kiedykolwiek wyglądać podobnie. Anna, on, Carla i Fritz. Jak ją odzyskać? Jak zbudować taką więź? Te rozważania przypomniały mu o zdjęciu i wiedziony impulsem wstał, żeby go poszukać. Znalazł je w teczce i znów się położył, włączając wcześniej światło. Przyjrzał się zdjęciu. Benny, Anna, Carla i Fritz. W końcu wstał, poszedł na górę do sypialni i postawił fotografię na parapecie przy łóżku. Potem wziął prysznic. Kiedy się namydlił, zadzwoniła komórka. Podbiegł do łóżka, zostawiając mokrą smugę na podłodze, i odebrał. Może to Anna. - Griessel.

- Tu Cloete, Benny. Te niedzielne gazety doprowadzą mnie do szału - powiedział rzecznik prasowy.

- Każ im się odpieprzyć. - Nie mogę. To moja praca.

- Czego chcą te sępy?

- Wiedzieć, czy Laurens to Artemida.

- Czy ona jest Artemidą?

- Czy zamordowała ją Artemida.

- Nie wiemy, jak się nazywa ten popapraniec. Cloete się zdenerwował.

- Takie samo narzędzie zbrodni, Benny?

- Tak, takie samo.

- I takie samo MO?

- Tak.

- Mogę im to powiedzieć?

- Nie robi mi to różnicy.

- Ale mnie robi, i to cholerną - powiedział Cloete. - Bo wreszcie przestaną do mnie wydzwaniać. -
Odłożył słuchawkę.

27

Trzy minuty przed dziesiątą zapukał do drzwi własnego domu jak jakiś obcy. Otworzyła Anna i spytała:

- Jesteś trzeźwy, Benny?

- Tak.

- Na pewno?

Spojrzał jej w oczy, dając do zrozumienia, że wystarczy pierwsze „tak”. Wyglądała ślicznie. Zrobiła coś z włosami. Skróciła je. Była umalowana, wargi miała czerwone i błyszczące.

- Pójdę po dzieci.

Kiedy chciał wejść, zamknęła mu drzwi przed nosem. Osłupiał, po czym powaliło go upokorzenie. Spuścił głowę, na wypadek gdyby napatoczył się jakiś sąsiad i zobaczył go w takiej sytuacji. Od razu wszyscy wiedzieliby, że go wyrzuciła. Na tej ulicy żyło się jak na wsi.

Drzwi otworzyły się, wypadła z nich Carla, zarzuciła mu ramiona na szyję, uściskała go i zawołała:

- Tatusiu.

Tak zachowywała się, gdy była malutka. Jej włosy pachniały truskawkami. Objął ją i szepnął:

- Moja córeczka.

W drzwiach stanął Fritz z plecakiem w ręku.

- Cześć, tata - rzucił zakłopotany.

- Cześć, Fritz.

- Odwieź ich o szóstej - powiedziała stojąca za synem Anna.

- Dobrze. Zamknęła drzwi.

Dlaczego tak ślicznie wygląda? Co takiego na dziś planuje?

Carla mówiła podejrzanie dużo i podejrzanie radośnie, za to siedzący z tyłu Fritz nie odzywał się ani słowem. W lusterku wstecznym Benny zobaczył, że chłopiec gapi się w okno z nieodgadnionym wyrazem twarzy. W profilu Fritza dostrzegł echo rysów Anny. Ciekawe, o czym dzieciak myśli. Czyżby o tamtym wieczorze, gdy on uderzył matkę? Jak ma zatrzeć to wspomnienie? Carla paplała o zbliżającym się balu maturalnym, intrygach, kto kogo zaprosił, jakby wierzyła, że sama jakoś uratuje ten dzień.

- Pomyślałem sobie, że na obiad pójdziemy do Spur - powiedział, gdy umilkła, żeby złapać oddech.
- Może być - zgodziła się.
- Nie jesteśmy już dzieciakami - zaprotestował Fritz.
- Spur to knajpa rodzinna, głuptasie - zbeształa go Carla.
- Spur jest dla dzieciaków - uparł się Fritz.
- No to ty wybierz, Fritz - zaproponował Griessel. - Co chcesz.
- Wszystko jedno.

Gdy wchodzili po schodach do jego mieszkania, pomyślał, że wyda im się okropne. Ciasna, naga przestrzeń: miejsce karnego zesłania ojca. Otworzył drzwi i odsunął się, żeby przepuścić dzieci. Carla od razu zniknęła na schodach prowadzących na górę. Fritz stanął w drzwiach i lustrował wzrokiem pomieszczenie.

- Fajnie - stwierdził.
 - Podoba ci się?
 - W kawalerskim stylu - rzucił jego syn i wszedł. - Nie masz telewizora, tato?
 - Nie, ja...
 - Urocze mieszkanko, tato - zawołała ze szczytu schodów Carla.
- Wtedy zadzwoniła jego komórka, odczepił ją od paska i odebrał:
- Griessel.
 - Sądzę, że powinienem wpaść i złożyć ci raport. Gdzie mieszkasz? - usłyszał głos Jamiego Keytera.

Musiał pogadać z Keyterem, chociaż wcale go tu nie chciał. Wy tłumaczył mu, jak dojechać, i się pożegnał.

- Będę musiał chwilkę popracować - wyjaśnił dzieciom.

- Co będziesz robił?

- Chodzi o śledztwo. Wpadnie tu mój partner.

- Jakie śledztwo, tato? - zapytała Carla.

- W sprawie faceta, który sagajem wysyła ludzi na tamten świat.

- Ale numer - powiedział Fritz.

- Artemida? Pracujesz nad sprawą Artemidy? - Carla była pod wrażeniem.

- Tak - odparł i zaczął się zastanawiać, czy kiedykolwiek wcześniej rozmawiał z dziećmi o swojej pracy. Po trzeźwemu.

Carla usiadła na poznaczonej plamami kanapie i oznajmiła:

- Ale to nie facet. W telewizji mówili, że kobieta. Artemida. Bierze odwet na tych, którzy krzywdzą dzieci. - To facet - zapewnił Griessel i usiadł naprzeciwko syna na jednym ze swoich nowych foteli.

Fritz przerzucił nogi przez podłokietnik. Wyjął z plecaka czasopismo. Gry „New Age”.

Przekartkował je. - Och! - Carla wypuściła z płuc powietrze. - Wiesz, kto to jest?

- Nie.

- Więc skąd wiesz, że to facet?

- Bo to bardzo mało prawdopodobne, żeby to była kobieta. Seryjni mordercy to zazwyczaj faceci.

Właściwie nie zdarza się, żeby kobiety używały...

- Charlize Theron była seryjną morderczynią - upierała się Carla.

- Kto?

- Dostała za to Oscara.

- Za morderstwa?

- Tata nie wie, kto to Charlize Theron - oznajmił Fritz z za czasopisma.

- Wie - stwierdziła Carla i oboje spojrzeli na niego, żeby rozsądził, kto ma rację, ale on uznał, że przyszedł czas na powiedzenie tego, co musi powiedzieć, co układał sobie w głowie rano przez całą drogę do Brackenfell.
- Jestem alkohikiem - zaczął.
- Tato...
- Pozwól mi skończyć, Carla. Są sprawy, o których musimy porozmawiać. Wcześniej czy później. Udawanie na nic się nie zda.
- Wiemy, że jesteś alkohikiem - oznajmił Fritz. - Nawet dość dobrze.
- Zamknij się - warknęła Carla.
- Bo co? Cały czas się zamykaliśmy i co z tego wynikło dobrego? Teraz się rozwiodą, a tata pije jak gąbka. - Kto mówi, że się rozwiedziemy?
- Tato, on plecie bzdury...
- Mama powiedziała, że się rozwiedziemy?
- Powiedziała, że możesz wrócić, jeśli przestaniesz pić. Ale przecież nie przestaniesz. - Fritz nadal chował twarz za czasopismem, ale w jego głosie usłyszał gniew. I bezsilność. - Przestałem.
- To już osiem dni - oświadczyła Carla. Fritz siedział nieruchomo.
- Uważasz, że nie mogę przestać? Fritz zwinął ze złością gazetę.
- Skoro możesz, czemu już dawno tego nie zrobiłeś? No czemu? - Zbierało mu się na płacz. - Dlaczego tak się zachowywałeś, tato? Dlaczego uderzyłeś mamę? Wyzywałeś nas. Myślisz, że to zabawne widzieć, jak ojciec tak postępuje?
- Fritz! - Ale nie mogła go uciszyć.
- Co noc kłaść cię nieprzytomnego do łóżka? Albo rano znajdować cię w fotelu, śmierdzącego i nawet niepamiętającego, co nawyprawiałeś? My nie mieliśmy ojca. Tylko jakiegoś pijaka, który z nami mieszkał. Wcale nas nie znasz, tato. Nic o nas nie wiesz. Nie wiesz, że chowamy przed tobą alkohol, że wyciągamy ci z portfela pieniądze, żebyś nie miał za co kupić swojej brandy.

Nie wiesz, że nie możemy zaprosić do domu kolegów, bo wstydzimy się własnego ojca. Że nie możemy u nich spędzić nocy, bo boimy się, że kiedy nas nie będzie, uderzysz mamę. Nadal uważasz, że chcemy pójść do Spur, tato? Myślisz, że Charlize Theron jest przestępcą. Ty nic nie wiesz, tato, tylko pijesz. - Nie mógł dłużej powstrzymać łez, poderwał się i popędził schodami na górę. Griessel unikał wzroku Carli. Siedział w fotelu i się wstydził. Zobaczył, jaki bajzel zrobił ze swojego życia. Nieodwołalny bajzel.

- Przestałeś, tato. Nic nie powiedział.

- Wiem, że przestałeś.

Niedzielnego ranka niepokój pognał Thobelę na Górę Stołową. Pojechał do Kirstenbosch i wspiał się na nią od północy, Wąwozem Szkieletu. Stanął na grzbiecie i obrzucił spojrzeniem okolicę. Ale na niewiele się to zdało.

Analizował swoje emocje, szukając powodów, ale nic nie znalazł.

Nie chodziło tylko o kobietę.

- Boże - wydusiła.

Wyszedł w mroku z zarośli, chwycił strzelbę i wyrwał z jej rąk. Wokół nich skakały ujadające psy, jeden wbił mu w piętę ostre zęby. Musiał go kopnąć i wtedy Laurens wypowiedziała swoje ostatnie słowo.

- Nie.

Gdy podniósł sagaj, zasłoniła się rękami. Długie ostrze zagłębiło się w jej ciele i ogarnął ją spokój. Jak Colina Pretoriusa. Wyzwolenie. Tego właśnie pragnęli. Ale w nim wezbrał krzyk, że nie walczy się z kobietami. Wciąż jeszcze go słyszał, ale towarzyszyło mu coś więcej. Czuł ucisk. Jakby przytłaczały go ściany. Jakby znalazł się w ciasnym korytarzu. Musi się wydostać. Na otwartą przestrzeń. Musi się ruszyć. Coś zrobić.

Podążył grzbietem w stronę Camp's Bay. Wdrapywał się po głazach, dopóki u stóp nie ujrzał Oceanu Atlantyckiego.

Dlaczego tak bardzo tego pragnął? Żeby wsiąść na motocykl i zobaczyć przed sobą długą niekończącą się drogę? Przecież postępował właściwie. Już w to nie wątpił. Siedząc z małymi ulicznikami w Spur, niespodziewanie znalazł odpowiedź. Przyszła sama, jakby ją ktoś zesłał. Ludzie robią dzieciom takie straszne rzeczy. Tylko dlatego że są łatwym celem.

Szedł dalej. Grzbiet ciągnął się na południe, wyrzuszając się tu i ówdzie nieoczekiwanymi garbami. Ciekawe, dokąd można nim dotrzeć? Do samego Cape Point?

Czynił dobrze, ale pragnął się stąd wyrwać.

Doskwierala mu klaustrofobia.

Dlaczego? Jeszcze nie popełnił błędu. Wiedział, że nie. Ale coś było nie tak. Dusił się tu. Przystanął. To instynkt, uświadomił sobie. Instynkt kazał mu się stąd wynieść. Uderzyć i zniknąć. Jak za dawnych czasów. Dwa, trzy tygodnie przygotowań, potem zadanie, samolot i już go nie ma. Nigdy nie uderzał dwa razy z rzędu w tym samym miejscu: to oznaczałoby szukanie kłopotów. Tak zostawia się ślady, zwraca na siebie uwagę. To zła strategia. Ale było za późno, ponieważ już zwrócił na siebie uwagę. Powszechną uwagę. Dlatego musi się wyrwać. Wsiąść w samochód i odjechać.

28

Wstawił wodę.

- **Ja** zrobię kawę, tato - powiedziała Carla.
- Ja chcę zrobić - oznajmił. I dodał: - Nawet nie wiem, jaką pijesz.
- Z mlekiem i bez cukru, a Fritz z mlekiem i trzema łyżeczkami.
- Trzema?
- Faceci. - Wzruszyła ramionami.
- Masz chłopaka?

- Coś w tym rodzaju.
 - Tak?
 - Jest taki jeden...
 - Może być mleko w proszku? Skinęła głową.
 - Nazywa się Sarel i wiem, że mnie lubi. Całkiem fajny z niego gość. Ale nie chcę się teraz angażować, mam egzaminy i tyle innych spraw.
- W jej głosie słyszał Annę, jej intonację i mądrość.
- Słusznie - pochwalił.
 - W przyszłym roku chcę iść na studia, tato.
 - Świetnie.
 - Na psychologię.
- Żeby rozgryźć psychikę ojca?
- Może dostanę stypendium za dobre wyniki, dlatego nie chcę się teraz wiązać emocjonalnie. Chociaż mama mówi, że odłożyła trochę pieniędzy na naszą naukę.
- Nic o tym nie wiedział. Nalał do kubków wody, po czym dla Fritza dodał mleko w proszku i cukier.
- Zaniosę mu. - Nie martw się o niego, tato. Jest jak wszystkie dzieciaki w jego wieku.
 - Jeśli pominąć alkoholizm ojca - mruknął, wchodząc po schodach.
- Fritz leżał na łóżku ze zdjęciem w dłoni, ich rodzinnym wspólnym zdjęciem.
- Trzy łyżeczki - oznajmił. Chłopiec się nie odezwał. Griessel usiadł w nogach łóżka.
 - Tak mi przykro - powiedział.
- Fritz odłożył zdjęcie na okienny parapet.
- Nieważne. - Usiadł i wziął kawę.
 - Przepraszam, za wszystko, co ci zrobiłem. I twojej mamie, i Carli.
- Fritz wpatrywał się w unoszącą się znad kubka parę.
- Dlaczego, tato? Dlaczego pijesz?

- Pracuję nad tym, Fritz.

- Podobno to genetyczne - powiedział jego syn i ostrożnie upił łyk gorącego napoju.

Jamie Keyter miał na sobie sportową koszulę i obcisłe spodnie w kolorze khaki. Krótkie rękawki koszuli były za ciasne i przesuwały się do góry z napęczniałych jak buty bicepsów. Usiadł na wysokim stołku przy barze śniadaniowym, popijał kawę z dwoma łyżeczkami cukru i mlekiem i, opowiadając, zerkął co chwila na Carlę, czym wkurzał Griessela.

- Poszedłem do tego domku, wyglądał trochę jak *kaia*, nic nie widać, nic nie słyhać, tylko telewizor, leciał akurat któryś z tych zwariowanych programów z czarnuchami. Facet jak małpa rozdawał nagrody w ich małpim języku, zapukałem, ale mnie nie usłyszeli. Więc otworzyłem drzwi i okazało się, że piją. Wszyscy czworo siedzieli ze szklą w rękach. Na zdrowie! Szkoda, że nie widziałeś ich min, kiedy mnie zobaczyli, jak podskoczyli, i pan to, a pan tamto. Brud i prawie żadnych mebli. Jak to u głupich czarnuchów: choćby byli goli jak święty turecki, muszą mieć telewizor z ekranem na pół ściany; mieszkają tam we czworo, dwóch starych i dwójka młodych. Nie mam pojęcia, jak można tak żyć. Nie chcieli rozmawiać; siedzieli tylko i gapili się na mnie. A jak już otworzyli gębę, to po to, żeby skłamać. Dziewczyna, która pracowała w domu, powtarzała tylko: „Panienka Laurens była dobra, była dobra dla nas wszystkich”. Kłamię, Benny, mówię ci. - Popatrzył znacząco na wyciągniętą na kanapie Carlę.

- Zapytałeś ich o te ataki furii?

- Zapytałem, ale twierdzili, że wcale tak nie było, była dobrą panią, po czym odwracali się do telewizora i zerkali na karton wina. Nie wyglądali na takich, co wylewają za kołnierz, jakbyś mnie pytał. - Nie przestawał gapić się na Carlę.

- I nic nie widzieli? - Z góry znał odpowiedź.

- Nie widzieli, nie słyszeli.

- Patolog uważa, że użyto tej samej broni. Tego samego sagaju jak w poprzednich morderstwach.

- Aha - mruknął Keyter.
- Spytałeś o Bothmę? Jaka ona jest?
- Nie. I tak już wiemy.
Odpuścił mu tym razem. Nie chciał urządzać scen przed dziećmi.

- Hej, co porabiasz? - Keyter zagadnął Carłę.
- Piszę pracę maturalną.
- Super. Kapuję.
- Co? - zapytała.
- Dam ci randa, zadzwonisz do mnie, gdy skończysz?
- Wolne żarty - obruszyła się. - A poza tym masz jakiś problem?
- Ja mam problem?
- Małpy? Tylko rasiści tak się wyrażają.
- Ja rasista? Nawet nie przyszłoby mi to do głowy.
- Tak, akurat.

Zajęty myślami Griessel nie słyszał tej wymiany zdań.

- Mogę cię prosić o przysługę, Jamie?
- Jasne, Benny.
- Chodzi o akta Cheryl Bothmy, córki. Dowiedz się, kto prowadzi tę sprawę.
- Wydawało mi się, że wczoraj z nimi rozmawiałeś?
- Rozmawiałem tylko z facetami, którzy zajmują się morderstwami z sagajem. Teraz mówię o sprawie dziecka i aresztowaniu Laurens.
- Kapuję.
- Będę wdzięczny.
- Nie, chciałem powiedzieć, że wiem, o co ci chodzi. Ale po co to?
- Coś tu jest nie tak. Nie wiem co. Wczoraj Bothma...

- Przecież patolog powiedział, że to ten sam facet?
- Nie mówię o morderstwie Laurens. Tylko o morderstwie dziecka.
- To nie jest nasza sprawa.
- Ale nasza praca.

- A to oryginał - powiedziała Carla, gdy Keyter w końcu sobie poszedł.

- Kupa gówna! - krzyknął ze schodów Fritz.

- Fritz! - zawołał Griessel.

- I tak łagodnie się wyraziłem, tato.

- Ciekawe, skąd bierze kasę? - zastanawiała się Carla.

- Jaką kasę?

- Nie zauważyłeś, tato? Ubranie. Koszulka polo, spodnie od Daniela Hechtera. Buty Nike.

- A co to za jeden, ten Daniel Hechter?

- Mąż Charlize Theron, tato! - krzyknął z góry Fritz. - Ale nie jest mordercą.

Carla roześmiała się, pierwszy raz, a Griessel jej zawtórował.

Kiedy w Ocean Basket przy Kloof Street czekali na jedzenie, Carla zapytała go o sprawę Artemidy.

Podejrzewał, że chce w ten sposób uniknąć krępującego milczenia. W trakcie rozmowy zapytała

znieuważa: - Tato, dlaczego zostałeś policjantem?

Nie miał gotowej odpowiedzi. Zawahał się, zauważył, że Fritz patrzy na niego znad czasopisma, i uznał, że musi dobrze to ująć. - Bo jestem właśnie policjantem. Syn uniósł brew.

Griessel wzruszył ramionami.

- Po prostu wiedziałem, że jestem policjantem. Nie pytajcie mnie skąd. Każdy ma jakąś wizję samego siebie. Ja miałem taką. - Ja nie mam żadnej - oznajmił Fritz. - Jesteś jeszcze młody.

- Niedługo skończę szesnaście lat.

- Przyjdzie pora, że będziesz miał.

- Nie jestem policjantem. Poza tym nie będę pić. Policjanci piją.

- Wszyscy piją.

- Policjanci najczęściej.

Po tym stwierdzeniu wrócił do lektury i nie brał udziału w dalszej rozmowie. Dopiero kiedy zjedli i Griessel spytał mimochod-

dem Carle, czy zna afrykanerską piosenkę ze słowami: *n' Bokkie wat vanaand by my kom le, sy kan maar le, ek is 'n loslappie: Dziewczyno, jeśli chcesz dziś wieczór ze mną się położyć, kładź się, jestem wolny*, a ona wycelowała kciukiem w brata. Fritz, nie podnosząc wzroku, zapytał:

- Jakiej wytwórni?

- Nie wiem, niedawno usłyszałem ją wieczorem w radiu.

- Składanka czy cała piosenka?

- Cała piosenka.

- Kurt Darren - oznajmił Fritz.

Griessel nie miał pojęcia, kto to Kurt Darren, lecz postanowił się nie zdradzać. Wolał nie narażać się na kolejne żarty, jak w przypadku Charlize Theron.

- Kurtowi Darrenowi przydałby się przyzwoity basista-stwierdził.

Twarz syna zmieniła się. Jakby nagle wzeszło słońce.

- Zgadza się, tato, całej tej płycie czegoś brak. To stary utwór, ale potrzebuje kopa. Theuns Jordaan śpiewa go lepiej. To facet, który wykonuje składankę z *Loslappie*, ale też boi się porządnego basu.

Tylko jeden afrykanerski oke, po co jest bas, ale akurat tej piosenki nie wykonuje. Straszna szkoda.

- Kto taki? - Anton Goosen.

- Znam Antona Goosena - powiedział z ulgą Griessel. - To on śpiewał o wozie ciągniętym przez osła?

- Wozie ciągniętym przez osła?

- Tak, zaraz, jaki ta piosenka nosiła tytuł? *Kruidjie-roer-my-nie*?

- Tato, to było sto lat temu - zdumiał się Fritz. - Teraz Goose śpiewa zupełnie co innego. Ostre kawałki. Założył Bushrock Band.

- Nie do wiary.

- Nie, wiesz, tato, co naprawdę jest nie do wiary? W nagraniu składanki *Loslappie* Theunsa Jordana brał udział ten sam gość, który jest basistą w Bushrock Band. A na solowej grał u niego Anton LIAmour, ale Theuns za bardzo boi się wychylić. Nie jest zły,

tylko że pojęcia nie ma, co to porządne brzmienie. Nie umie dać czadu. Za to Diff-olie nieźle...

- Diff-olie?

- Tak. I...

- Zespół nazywa się olej do dyfra?

- Z całym szacunkiem, ile czasu byłeś pijany, tato? Jest Diff--ohe i Kobus, i Akkedis, i Battery 9, i Beeskraal, i Valiant Swart-i wszystkie naprawdę grają z kopem. Teraz afrykanerskiego rocka masz do wyboru do koloru, od heavy metalu do country. Gdybyś jednak chciał posłuchać basu i prawdziwego rocka, musisz się wybrać na koncert Antona. Facet lubi ciężki bas, umie go podkreślić. Jedyne minus to chrzaniona publiczność.

- Chrzaniona publiczność?

- Właśnie. Może to nauczy Goosena grać w State Theatre. Chłopaki dali na scenie czadu, a ludzie zamiast oszaleć, klaskali No sam powiedz. Przecież to nie od czapy koncertik na szkolnej akademii, tylko prawdziwy rock, a oni wykrzesali z siebie raptem mdłe oklaski. Pieprzona Pretoria.

- Pan wielki znawca burskiego rocka. - Carla przewróciła oczami.

- Lepszy rock niż te twoje durne zawodzenia Leonarda Cohena.

Griessel już miał go zganić, lecz nagle się roześmiał. Nie mógł się powstrzymać i nawet wiedział dlaczego: zgadzał się z synem.

Kiedy przestał się śmiać, Fritz powiedział bardziej do siebie niż do ojca:

- Taką widzę dla siebie drogę.

- Jaką?

- Gitarzysty basowego.

- Pewnikiem kryje się za tym Karen Zoid- stwierdziła jego siostra.

Zadarł nos.

- Tylko niedoinformowanie myśla, że ona gra wyłącznie rocka. Za dużo się naczytałaś „You”. Zoid to nie gwiazda rocka a cicha królowa ballady. Ale jest fantastyczna, to fakt.

- A ty się w niej durzysz.
 - Wcale nie, Karen jest zajęta - odparł z zalem chłopak, po czym odwrócił się do ojca. - Też, tato, lubisz bas?
 - Trochę. Troszeczkę.
- Cloete zadzwonił ponownie, gdy byli w drodze do Brackenfell.
- Jeszcze niedawno myślałem, że nie przepadasz za mediami, Benny.
 - Co takiego?
 - Wczoraj wieczorem kazales im się odpieprzyć i wyzwales ich od sępów, ale jak widzę, dziś rano uznales, że możesz z nimi gadać bez mojego pośrednictwa.
 - O czym ty mówisz?
 - O pierwszej stronie „Rapport”, Benny. Pierwszej pieprzonej stronie: „Źródło zbliżone do komisarza Benny'ego Griessela z wydziału do spraw przestępczości poważnej i bandytyzmu (SVC) twierdzi, że zespół nadal rozważa możliwość, iż to nie samozwańcza ręka sprawiedliwości kryje się za morderstwem Laurens”. Ja im, do cholery, tego nie powiedziałem.
 - Ja też nie, ku... - Uświadomił sobie, że dzieci są w samochodzie. - To nie ja.
 - Pewnie duch tej biedaczki z Uniondale.
 - Mówię ci, że to nie ja... - nagle zamilkł, bo wiedział kto to taki. Biceps Keyter. Jak nic, to on.
 - Nieważne. Rzecz w tym, że teraz prasa chce więcej informacji, bo wszyscy zdążyli już sobie wyrobić opinię. Nawet politycy. Demokraci twierdzą, że winny jest Kongres, zwolennicy kary śmierci, że to głos ludu, a „Sunday Times” przeprowadził sondaż opinii publicznej i siedemdziesiąt pięć procent narodu uważa, że facet z sagajem to bohater.
 - Jezu.
 - Wydzwanają do mnie jak szaleni. Więc uznałem, że skoro mnie wyręczasz, to teraz sam odpowiadaj na ich pytania.
 - Powtarzam ci, człowieku, że to nie ja. Cloete milczał przez chwilę, po czym zapytał:

- Co nowego?
 - Od wczoraj?
 - Tak.
 - Nic.
 - Benny, musisz mi coś dać. Prasa chce krwi.
 - Mam coś, Cloete, ale musisz to uzgodnić z Mattem Joubertem.
- Cisza.
- Słyszysz?
 - Słyszę.
 - Wczoraj wieczorem byliśmy u komendanta. Plan jest taki, żeby jutro powołać specjalny zespół. Ściągniemy ludzi z posterunków.
 - Po co?
 - Tego prasie nie powiem.
 - I to już, cholera, wszystko, Benny? Zespół? I co niby z tego wynika?
 - Pogadaj z Joubertem.
 - Wolę rozmawiać ze źródłem zbliżonym do komisarza Ben-ny'ego Griessela - warknął Cloete i trzasnął słuchawką.
 - O co chodzi? - zapytał z tyłu Fritz.
 - O środki przekazu - odparł Benny i westchnął.
 - Stado hien - stwierdził Fritz.
 - I sępów - dodał Griessel.
 - Właśnie. Jak zwąchają padlinę, nie przestają krążyć. Podrzucił ich przed dom za trzy szóstą.
 - Zaczekaj chwileczkę - poprosił Fritz i wyskoczył z samochodu.
 - To był bardzo miły dzień, tatusiu - powiedziała Carla i przytuliła go.
 - Bardzo miły - przyznał.

- Do widzenia, tato. Do przyszłego tygodnia.

- Do widzenia, córeczko.

Wysiadła i weszła do domu, mijając się z Fritzem, który niósł jakiś przedmiot. Podeszedł do okna i wręczył go Griesselowi.

Była to płyta CD. Anton & vrinne & die bushrockband. Anton & przyjaciele & bushrockband.

- Miłego słuchania - powiedział Fritz.

W mieszkaniu panowała cisza. Nagle wydało mu się puste. Usiadł na kanapie w miejscu, w którym siedziała Carla. Obracał w dłoniach płytę. Nie miał jej na czym odtworzyć.

Musi czymś się zająć. Nie może tu tkwić i słuchać tej ciszy. Za dużo niespokojnych myśli chodziło mu po głowie.

Gdzie była dzisiaj Anna? Po co się tak wystroiła? Dla kogo?

Dlaczego Fritz sądzi, że się rozwiodą? Powiedziała coś? Coś jej się wymknęło? „Wasz ojciec i tak nie przestanie pić”. Tak uważa jego żona?

Jasne, że tak. A co ma uważać po jego wyczynach? A skoro wie, jak to się skończy, czemu nie wypełnić powstałej próżni? Czemu jakiś młody, przystojny i trzeźwy dupek nie miałby jej gdzieś zaprosić? Na co jeszcze mu pozwoliła? Ciekawe, zgłodniała? Anna, która zawsze mówiła: Lubię, gdy mnie dotykasz. Kto ją teraz, do cholery, dotykał? Bóg wie, że nie Benny, pieprzony wytrawny komisarz Griessel.

Wstał z kanapy; szukał czegoś, czym mógłby zająć ręce.

Co za dzień. Dzieci. Jego wspaniałe dzieci. Prawie ich nie zna. Jego syn odziedziczył po nim zamiłowanie do gitary i oskarży-cielskich słów. A córka tak rozpaczliwie próbowała udawać, że wszystko jest normalnie, że wszystko dobrze się skończy. Jakby samą swoją wolą mogła powstrzymać go od picia, jeśli wystarczająco mocno uwierzy.

Nigdy nie mieliśmy ojca. Tylko jakiegoś pijaka, który z nami mieszkał.

Cholera. Ależ nawyrządzał szkód. Paliły go od środka, ich rozmiar, przeróżne implikacje. Gryzły go. Zdał sobie sprawę, że szuka butelki, ręce go świerzbią, żeby nalać sobie kielicha i uśmierzyć ból duszy. Tylko jednego, żeby się pokrzepić, uczynić go znośnym, i w tym momencie dotarło do niego, że jest bez szans. Oto siedzi tutaj, przygnieciony przez całe swoje pieprzone życie, spieprzone

przez pijaństwo i chce się napić. Był absolutnie pewny, że gdyby w mieszkaniu znalazła się jakaś butelczyna, toby ją otworzył. Pomyślał nawet o tych otwartych miejscach, dokąd można by pójść na drinka w niedzielny wieczór.

Zacharczał i kopnął swój nowy fotel z komisju. Co takiego, u diabła, w nim tkwi, że tak absolutnie wszystko pieprzy? No co?

Poszukał drżącymi rękami telefonu komórkowego. Wstukał numer, a kiedy Barkhuizen odebrał, wykrztusił:

- Jezu, doktorze. Jezu.

29

0 wpół do siódmej następnego ranka przespacerował się nad sztuczny zbiornik świadom, że czuje się jakoś znajomo, ale jeszcze nie rozpoznawał, o co chodzi. Najpierw popatrzył na górę.

i morze. Słuchał ptaków i myślał o kolejnym dniu bez alkoholu. Nawet jeśli wczorajszy uznać za krytyczny.

- Doktorze, co jest ze mną nie tak? - zapytał zrozpaczony Barkhuizen. Koniecznie chciał poznać powód. Korzeń zła.

Stary doktor prawił o chemii, genach i okolicznościach. Długie, łatwe wyjaśnienia. Wiedział, że Barkhuizen stara się go uspokoić, i rzeczywiście nękające go napięcie i niepokój wolno ustępowały. Pod koniec rozmowy lekarz powiedział, że nieważny jest powód. Liczy się to, co zrobi z tym teraz. Miał rację. Ale gdy w końcu wypruty z sił położył się spać, nadal go szukał, bo nie umiał walczyć z czymś, czego nie rozumiał.

Próbował dotrzeć do źródła, przypomnieć sobie, w jakich okolicznościach zaczął pić. Ale zanim się do tego dogrzebał, zmorzył go sen.

Obudził się o piątej, świeży i wypoczęty, skoncentrowany na sprawie zabójcy z sagajem, z głową pełną pomysłów i planów. Wygoniły go z łóżka; pobiegł w krótkich spodenkach i koszulce do

parku i znów poczuł tę przyjemność: poranek i widok należały tylko do niego.

- Nazywam się Benny Griessei, jestem alkoholikiem i to jest mój dziewiąty dzień bez picia - powiedział głośno do poranka w ogólności.

Ale nie dlatego czuł gorączkę niecierpliwości. Dopiero w drodze do pracy zdał sobie sprawę, co to takiego. Pokręcił głową, bo to uczucie było jak dawno niesłyszany głos, jak zapomniany przyjaciel. Dziś zaczyna się polowanie. Dziś rozpoczną poszukiwania. Przeszył go dreszcz adrenaliny, oczekiwania, smakował ostatnią chwilę ciszy przed burzą. Najbardziej zaskoczyło go to, jak bardzo był tego spragniony.

Na porannej odprawie Matt Joubert oznajmił detektywom, że sprawę z sagajem poprowadzi Griessei. Wśród chłodnych braw usłyszał docinki dowcipnisiów: patrol Klippies & Cola, chyba w takim razie nie bardzo chcemy go złapać.

Joubert uniósł rękę.

- Wspierać go będą Bushy Bezuidenhout, Vaughn Cupido i Jamie Keyter.

Fantastycznie, pomyślał Griessei. Dostał mi się rozmemłaniec, luzak i samochwała. Gdzie, u licha, podziała się dobra stara gwardia? Dokonał szybkiego przeglądu. Z dawnych czasów pozostali tylko Matt Joubert i on. Joubert w końcu dochrapał się rangi nadinspektora i dowódcy. Reszta to sami nowi. I młodzi. Był jedynym komisarzem po czterdziestce.

- Dziś rano komendant ściągnie do pomocy w dochodzeniu czterech ludzi z wydziału przemocy w rodzinie i dziesięciu mundurowych z półwyspu - poinformował Joubert. Tu i tam dało się słyszeć gwizdy. Ciśnienie polityczne musiało przybrać na sile, bo to był duży zespół. - Centrum operacyjne zorganizujemy w starej sali wykładowej w bloku B. Niektórzy z was przechowują tam swoje rzeczy, proszę zabrać je zaraz po odprawie. Liczę też, że udzielicie Benny'emu wszelkiej możliwej pomocy. Benny?

Griessei wstał.

- Ululany, ale trzyma się dzielnie - rzucił ktoś.

Rozległy się stłumione śmiechki. Zapanował nastrój wyczekiwania, jakby byli przekonani, że zaraz zrobi z siebie durnia.

Pieprzyć ich, pomyślał. Rozpracowywał morderstwa, gdy oni martwili się jeszcze, jak nie dając się przyłapać, ściągnąć zadanie domowe.

Stał i czekał, dopóki nie zapadnie całkowita cisza. Potem powiedział:

- Najważniejszy powód, dla którego poruszamy tę sprawę na porannej odprawie, jest taki, że co trzydzieści głów to nie jedna. Opowiem wam, jak zamierzamy podejść do tego śledztwa. Będziecie mogli wytknąć błędy w moim rozumowaniu. I zaproponować lepsze rozwiązania. Wszelkie pomysły są mile widziane.

Zauważył, że przyciągnął ich uwagę. Przez mgnienie oka zastanawiał się, czy to przypadkiem nie zdziwienie, że udało mu się sklecić pięć zdań z rzędu.

- Na początek złe wieści: podobieństwo sprawy z sagajem do morderstw seryjnych. W moim przekonaniu morderca nie zna swoich ofiar. Ich wybór jest raczej nieprzewidywalny. Motyw niekonwencjonalny i, choć można na jego temat spekulować, nadal dość niejasny. Nie wiem, ilu z was pamięta morderstwa czerwonej wstążki sprzed sześciu lat: w ciągu trzech lat zabito jedenaście prostytutek. Większość mieszkała w Sea Point, narzędziem zbrodni był nóż, wszystkie denatki znaleziono z okaleczonymi piersiami i genitaliami oraz czerwoną wstążką zawiązaną na szyi.

Wówczas mieliśmy podobny problem. Wszystkie ofiary należały do jednej kategorii, motyw był natury psychologicznej, seksualnej i był przewidywalny, a narzędzie zbrodni zawsze takie samo. Mogliśmy zbudować profil, ale nie wystarczająco pełny, żeby zidentyfikować podejrzanego.

W tym śledztwie wiemy, że morderca dopada tych, którzy molestują seksualnie czy mordują dzieci. To jest nasza kategoria, niezależna od rasy ani płci. Możemy też mniej więcej określić motyw. Broń to sagaj, którym zadaje jedno śmiertelne pchnięcie. Psycholodzy powiedzą nam, że to wskazuje na mordercę bardzo zorgani-

zowanego, osobę z misją. Ale skupmy się na różnicach między typowym seryjnym mordercą a naszym. Nasz nie okalecza ofiar. Za zabójstwami nie kryje się żaden seksualny podtekst. Jedna głęboka rana. Jedno straszliwe pchnięcie... Zapewne oznacza to gniew, lecz gdzie leży jego źródło? Jedyne sensowny wniosek to taki, że chodzi o zemstę. Może sam był w dzieciństwie molestowany seksualnie? Według mnie to bardzo prawdopodobne. Pasuje. Ale jeśli to jest motyw, to dla nas komplikacja. Jak wytropić takiego podejrzanego? Trzeba wszakże brać również pod uwagę inne opcje. Może stracił dziecko wskutek przestępstwa. Może zawiódł go system. Musimy przyjrzeć się sprawie dziecka zgwałconego przez Envera Davidsa - może to ojciec, który szuka zemsty? Rodzinom dzieci molestowanych przez Pretoriusa. Ale niewykluczone też, że żadne z tych przestępstw nie dotknęło go bezpośrednio.

Jeśli chodzi o rasę, nie wolno nam dać się zwieść sagajowi. To może być celowy wybieg, żeby nas zmylić. Mamy do czynienia z człowiekiem, który bez trudu znalazł Davidsa w dzielnicy kolorowej i równie łatwo dostał się wczesnym wieczorem do domu Pretoriusa w dzielnicy białych. Musimy być otwarci na każdą opcję. Ale dałbym głowę, że ten sagaj coś oznacza. Coś ważnego. Jakieś komentarze?

Słuchali go w absolutnym milczeniu.

- Możemy spojrzeć na tę sprawę z czterech perspektyw. Po pierwsze, trzeba się dowiedzieć, czy da się zidentyfikować podejrzanego w kręgu krewnych dzieci. Po drugie, przyjrzeć się wszystkim niewyjaśnionym przestępstwom dokonanych na dzieciach. Zaczniemy od Zachodniej Prowincji Przylądkowej, bo tam działał nasz przestępca. Jeśli niczego nie znajdziemy, będziemy szukać gdzie indziej. Zdaję sobie sprawę, że to długi proces. Szukanie igły w stogu siana. Ale należy to zrobić. Po trzecie, kwestia narzędzia zbrodni. Wiemy, że to typowy zuluski sagaj. Wykonany ręcznie w sposób tradycyjny, najprawdopodobniej w zeszłym roku lub jakoś tak. Co znaczy, że powinno dać się ustalić, gdzie go zrobiono. Dokąd trafił i kto go sprzedał. Ale czemu morderca wybrał sagaj? Trzeba zapytać psychologów sądowych. Zgadza się do tej pory?

Bushy Bezuidenhout i Matt Joubert potaknęli. Pozostali tylko siedzieli i gapili się na niego.

- Problem z trzema z powyższych strategii jest taki, że opierają się wyłącznie na przypuszczeniach. Musimy je zastosować z nadzieją, że przyniosą rezultat, lecz to nic pewnego. Zajmą nam też trochę czasu, którego nie mamy. Media wariują i nie wolno zapominać o aspektach politycznych... Dlatego chcę spróbować podejścia czwartego. Z waszą pomocą. Problem, nad którym się zastanawiam, to jak wybiera ofiary. Uważam, że możliwe są tylko dwie opcje: albo zabójca jest częścią systemu, albo typuje ofiary na podstawie doniesień mediów. O wszystkich trzech zamordowanych pisano w prasie. O Davidsie, gdy został uniewinniony, o Pretoriusie w trakcie rozprawy sądowej, a o Laurens po jej aresztowaniu. Więc albo jest członkiem aparatu sprawiedliwości, policjantem, prokuratorem, kimś z sądu czy coś w tym stylu - po raz pierwszy, odkąd zaczął mówić, żywo zareagowali - albo po prostu obywatelem, który znajduje czas na czytanie gazet lub oglądanie telewizyjnych wiadomości, co wydaje się bardziej prawdopodobne. Tak czy inaczej, dzięki temu go złapiemy. Przez następny tydzień czy coś koło tego będę czekał na informacje o każdym poważnym przestępstwie na dziecku. Potrzebujemy czegoś, co da się rozdmuchać w mediach. O czym wszyscy będą mówić.

Spod ściany dobiegł go głos Jamiego Keytera:

- Czyli chcesz zastawić na niego pułapkę, Benny?

- Właśnie. Spróbujemy złapać go we wnyki.

- Szefie - odezwał się Bushy Bezuidenhout - chcę od razu jasno coś powiedzieć.

Griessel, Keyter, Bezuidenhout i Cupido siedzieli w biurze Jo-uberta, czekając, aż koledzy pozabierają swoje klamoty z sali wykładowej.

- Słuchamy, Bushy - zachęcił go Joubert.

- Mam problem z tym facetem.

- Chodzi ci o tego z sagajem?

- Zgadza się.
 - Bushy, nie bardzo cię rozumiem.
 - Benny porównuje go do seryjnego mordercy. Ja patrzę na to inaczej. Facet robi to, co sami powinniśmy dawno temu zrobić. Dobrać się do tych popaprańców i powywieszać ich na haku. Chryste, szefie, pracowałem nad sprawą Davidsa. Staliśmy z Lesterem Mtetwa nad ciałem tego dziecka i płakaliśmy. Podczas aresztowania Davidsa musiałem powstrzymać Lestera, bo rozwaliliby łeb temu pieprzonemu bydlakowi, taki był wkurzony.
 - Rozumiem, Bushy. Wszyscy czuliśmy to samo. W tej sytuacji zapytam: Czy to uniemożliwia ci wykonanie zadania?
 - Postaram się nie zawieść.
 - Benny?
- Nie mógł sobie pozwolić na stratę Bezuidenhouta.
- Bushy, mam tylko jedną prośbę: Jeśli uznasz, że czegoś nie chcesz robić, po prostu mi powiedz.
 - W porządku.
 - Nie bardzo rozumiem ten twój problem. - Keyter zaatakował Bezuidenhouta.
 - Jamie - powstrzymał go Griessel.
 - Co? Powiedziałem tylko...
 - Ja też nie rozumiem - dołączył się Cupido. - To morderca i tyle.
 - Słuchajcie, macie jeszcze mleko pod nosem i chcecie...-zdenerwował się Bezuidenhout
 - Bushy! Daj spokój. - Griessel odwrócił się do Cupido i Keytera. - Każdy ma prawo czuć, co czuje. Pod warunkiem że to nie wpływa na śledztwo. Szanujemy siebie, jasne? Nie chcę żadnych kłopotów. Potaknęli, ale bez przekonania. - Skoro mowa o kłopotach - wtrącił się Joubert. Spojrzeli na niego. - Benny, ta pułapka... - Wiem. Ryzykowna sprawa.
 - Nie chcę kolejnego takiego incydentu jak ten w Woolworths, Benny. Ludzi w szpitalu. Narażania cywilów na niebezpieczeństwo.

W przypadku najmniejszego ryzyka porażki wycofacie się. Obiecuj mi to.

- Masz moje słowo.

Keyter powiedział mu, że dochodzenie w sprawie morderstwa Cheryl Bothma prowadził komisarz Tim Ngubane. Griessel znalazł go w barze.

- Tim, potrzebna mi twoja pomoc.

- Sugestywnie dziś rano przemawiałeś, Benny.

- Och, ja tylko...

- Obwąchałeś tę sprawę z każdej strony.

- Mam nadzieję.

- W czym mogę ci pomóc?

- Dziecko Bothmy...

- Tak.

- Prowadziłeś tę sprawę.

- Razem z Anwarem.

- Ciężko było?

- Raczej nie. Gdy się tam zjawiliśmy, Laurens sama wsunęła dłonie w kajdanki. Zalewała się łzami, krzyczała: Nie chciałam tego i takie tam.

- Przyznała się?

- Do wszystkiego. Powiedziała, że była pijana, a dziecko wrzeszczało, było wstrętne, nieposłuszne, jednym słowem koszmar. Nie słuchało matki...

- Bothmy.

- Tak. I w końcu Laurens straciła panowanie nad sobą. Chwyła kij bilardowy, chciała nim trzepnąć dziecko w tyłek, ale ponieważ miała w czubie...

- Znaleźliście na kiju odciski?

- Tak.

- Tylko jej odciski?
- O co chodzi, Benny?
- O nic.
- Sprawa była jasna, Benny. Laurens przyznała się, do cholery. Czego ci więcej trzeba?
- Tim, nie chcę się w to mieszać. Jestem po prostu ciekawy. Pomyślałem, że Bothma...
- Wcale nie jesteś po prostu ciekawy. Co sobie wymyśliłeś?
- Zbadałeś jej krew?
- Na co?
- Na alkohol.
- Po co, do cholery, miałbym ją badać? Czuję odór alkoholu. Przyznała się, do cholery. A potem przyszły wyniki badań i okazało się, że na kiju są odciski jej palców. Chyba wystarczy, do diabła. Uważasz inaczej?
- Nic nie uważam, Tim.
- Pieprzone białasy - wściekł się Ngubane. - Wydaje wam się, że tylko wy umiecie prowadzić śledztwo. - Tim, to nie ma nic do rzeczy. - Pieprz się, Benny. To ma wszystko do rzeczy. - Ngubane odwrócił się i odmaszerował. - Przynajmniej byłem w stanie wyczuć w jej oddechu zapach alkoholu - rzucił jeszcze. - Nie każdy tutaj to potrafi. Zniknął w korytarzu. O jedenastej zespół operacyjny czekał jeszcze na komputery i dodatkowe linie telefoniczne, ale Griessel nie miał ani chwili do stracenia. Wezwał ludzi i zaczął przydzielać zadania. Najstarszym stopniem detektywem z wydziału przemocy w rodzinie była kolorowa kobieta, kapitan Helena Louw. Powierzył jej dowodzenie jednostką do zbadania poprzednich przypadków przestępstw na nieletnich. Bezuidenhoutowi przydzielił pięciu mundurowych i polecił im ponownie przejrzeć sprawy dwóch pierwszych ofiar sagaju. Wziął na stronę Cupida i długo pouczał go, jak ważne jest zbadanie pochodzenia narzędzia zbrodni.
- Vaughn, choćbyś nawet musiał lecieć do Durbanu, chcę wiedzieć, skąd pochodzi ten sagaj. Masz się stać największym znawcą sagajów w dziejach ludzkości. Jasne?

- Jasne.

- W takim razie do roboty. - Podniósł głos, żeby wszyscy go słyszeli. - Będę pracował z wami i sam sprawdzę, co się da. Numer mojej komórki wisi na tablicy. Dzwoncie bez względu na porę dnia i nocy. Wyszedł z sali i ruszył schodami na dół. Zorientował się, że ktoś idzie za nim, wiedział kto.

Keyter zatrzymał go tuż za drzwiami wyjściowymi z budynku.

- Benny... Griessel przystanął.

- A co ze mną, Benny?

- A co ma być, Jamie?

- Nie dostałem przydziału.

- O co ci chodzi?

- Nie wyznaczyłeś mnie do niczego.

- To chyba zbędne. Jesteś już przecież nieoficjalnym rzecznikiem prasowym.

- Ee... nie rozumiem.

- Dobrze rozumiesz, mała gnido. Rozmawiałeś za moimi plecami z prasą. Co oznacza, że nie mogę ci ufać, Jaaa-mie. Jeśli nie umiesz ze mną pracować, porozmawiaj z nadinspektorem. Powiedz mu, dlaczego nie wyznaczyłem ci zadania.

- To przez tą cizię z „Burger”, Benny. Przyczepiła się do mnie podczas dochodzenia w sprawie gangu samochodowego. Bez przerwy do mnie wydzwania, Benny. Od świtu do nocy. Nie wyobrażasz sobie, jak ...

- Tylko mi nie mów, że nie wyobrażam sobie. Od kiedy jestem policjantem?

- Nie mówię, mam tylko na myśli...

- Guzik mnie obchodzi, co masz na myśli, Jaaa-mie. W bam-buko można mnie zrobić tylko raz. -

Odwrócił się na pięcie i poszedł do samochodu. Starał się nie stracić panowania nad sobą. Nie mógł przecież uderzyć kolegi.

Przebił się przez Durbandlle i wyjechał Fisantekraal za miasto. Nigdy nie mógł pojąć, czemu ta część Prowincji Przylądkowej jest taka brzydka i bez winnic. Wszędzie tylko chaszcze akacji, inne drzewa i billboardy reklamujące nowe osiedla. Jak, u licha, przylądek pomieści tych wszystkich przybyszy? Sieć drogowa już jest przeciążona - ostatnio godzina szczytu trwa od rana do wieczora.

Skreślił w prawo na R312, przejechał przez wiadukt kolejowy i zatrzymał się na żwirowej drodze prowadzącej w lewo. Stał przy niej mały, ręcznie malowany drogowy znak, na którym przeczytał: „Szkoła Jazdy Wysoki Zagajnik 4 km”. Facet z sagajem musiał zauważyć go w ciemności i zaczął pewnie szukać miejsca, gdzie mógłby zostawić samochód. Ciekawe, jak daleko gotów był iść na piechotę? Jechał powoli, próbując wyobrazić sobie, co widać tu nocą. Niewiele. W okolicy żadnych świateł. Wszystko zarośnięte, brzydkie, splątane gąszcz akacji. Zatrzymał się na chwilę, wyjął komórkę i zadzwonił do Keytera. - Sierżant Jamie Keyter, wydział przestępstw ciężkich i bandytyzmu.

- Na co ten monolog, Jamie?

- Ach... cześć, Benny - odparł ostrożnie. - Tak na wszelki wypadek.

- Jaki wypadek?

- Och... yy... no wiesz...

Nie wiedział, lecz nie dociekał.

- Chcesz pomóc, Jamie?

- Jasne, Benny.

- Zadzwoni do biura meteorologicznego przy lotnisku. Chcę się dowiedzieć, jaka faza księżyca była podczas piątkowej nocy. Czy było pochmurno, czy nie. Tamtej nocy, zwłaszcza między północą a czwartą.

- Faza księżyca?

- Tak, Jamie. Pełnia, półksiężyc, łapiesz?

- W porządku, Benny, kapuję. Zaraz oddzwonię.

- Dzięki, Jamie.

Od głównej drogi odchodziły boczne; wiodły do małych gospodarstw o śmiesznych nazwach. Gniazdo Orła. W życiu nikt nie widział tu orła. Wzgórza Sussex, choć okolica była płaska jak stół. Piękny Widok. Widok był raczej koszmarny. Ranczo pod Szczęśliwą Podkową. A potem Szkoła Jazdy Konnej Wysoki Zagajnik. Gdyby chodziło o niego, stanąłby dalej. Ujechałby jeszcze spory kawałek, choćby po to, żeby sprawdzić teren. Po czym by zawrócił.

I tak też zrobił. Niemal kilometr za zjazdem do farmy droga kończyła się bramą. Zatrzymał wóz dwadzieścia metrów przed nią i wysiadł. Wiatr zmierzwił mu włosy. Za bramą ujrzał starą żwirownię, opustoszałą, najwyraźniej od dawna nieeksploatowaną. Brama była zamknięta.

Tu by zaparkował. Wolałby nie skręcać na Wysoki Zagajnik. Zwłaszcza gdyby jechał tędy pierwszy raz. Nie wiadomo, czego się spodziewać ani kto człowieka zobaczy. Zadzwoiła komórka.

- Griessel.

- Tu Jamie, Benny. Facet z meteo powiedział, że był półksiężyc, Benny, i zerowe zachmurzenie.

- Zerowe zachmurzenie.

- Tak.

- Dzięki, Jamie.

- Mogę jeszcze w czymś pomóc, Benny? - podlizywał się.

- Bądź w gotowości, Jamie.

Bezchmurna noc, półksiężyc. A więc widoczność niezła. Wystarczająca, żeby wyłączyć światła.

Zaparkowałyby tu. Gdzieś w tej okolicy, bo tą ślepą dróżką nikt nie powinien przejeżdżać. Wcześniej droga była zbyt ubita, żeby zostawił ślady. Ale jeśli tu dojechał, musiał zawrócić. Griessel zaczął krążyć wzdłuż ogrodzenia, szukając śladów na piaszczystym poboczu. Gdzie sam by zaparkował?

Może tam, bo tam przez ogrodzenie przewieszają się krzaki akacji. Zauważył spłowiełe kępki trawy, a tuż przy samym płocie piasek. I właśnie tam dostrzegł dwa ślady, dwa niewyraźne odciski bieżnika. A w jednym miejscu wyraźne wgłębienie po oponie.

Mam cię, łajdaku!

Szukał ostrożnie dalej, wyobrażając sobie przebieg wydarzeń. Facet dojechał do bramy i zawrócił. Skoro tak, to samochód stał przodem do zjazdu na Wysoki Zagajnik. O jedenastej dojrzałby ten gąszcz akacji nawet przy wyłączonych światłach. Zjechał tu z drogi i zatrzymał się przy ogrodzeniu. Otworzył drzwi i postawił stopę na ziemi. Powinien pozostać ślad.

Nie. Za dużo trawy.

Griessel przykucnął. Pragnął tylko znaleźć jeden niedopałek. Odrobinę śliny do testu DNA. Ale nie znalazł nic oprócz grubego czarnego robala, który czmychnął przez splowiałą trawę.

Nie poddając się, zadzwonił do Keytera.

- Mam dla ciebie kolejną robotę.

30

Wiedział, że ekipa medycyny sądowej zjawi się najwcześniej za godzinę albo dwie. Musiał ustalić, którędy dokładnie facet poszedł do domu. Przełazi przez ogrodzenie tutaj, choć nie wiedział, gdzie jest dom. Możliwe, ale mało prawdopodobne. Lepiej byłoby pójść drogą. Już z daleka dostrzegłby światła nadjeżdżającego samochodu i miałby czas dać nura w ciemności.

Griessel podążył wolno wzdłuż drogi. Wiatr dmuchał ukośnie z przodu. Słońce świeciło mu w plecy, żwir chrzęścił pod butami. Przeczesał wzrokiem okolicę. Nagle uświadomił sobie, że bardzo mu przyjemnie. Tylko dlatego, że tu jest. Na tropie mordercy. Sam. Nigdy nie był graczem zespołowym. Najlepsze wyniki osiągał, pracując w pojedynkę.

Teraz był szefem zespołu.

Joubert ukrywał alkoholizm Benny'ego przed komendantami: regionalnym i prowincji. Pewnie nieraz musiał przez niego kłamać, bo mimo ostatnich mianowań na szczytach służba była jak mała wieś.

Wystarczyło kichnąć i wszyscy krzyczeli „na zdrowie”.

Ale czemu to robił? Żał było mu Anny? Czy kierowała nim lojalność wobec kumpla, z którym przeżył niejedną bitwę? Ostatni dwaj starzy wojacy, którzy przetrwali błazeństwa starego reżimu i akcje afirmacyjne nowej ery. I to bez angażowania się w politykę czy robienia z siebie durni.

Nie. Chronił go, bo miał tylko jego. Dziś rano usiadł i popatrzył na kolegów. Byli dobrymi ludźmi, pełni entuzjazmu młodzi detektywi, jedni sprytni, drudzy pracowici, inni ambitni, ale nie-doświadczeni. Nie zaliczyli dwudziestu lat ciężkiej zaprawy na patrolach. Został szefem zespołu, bo choć notorycznie pił, to nieźle się trzymał i był weteranem.

Ale w tej chwili nie to jest ważne. Oby się spisał, bo praca to wszystko, co mu zostało. Ostatni przyczółek przy Wysokim Zagajniku. Doszedł aż do wjazdu na małą farmę. Żadnych śladów. Skręcił w podjazd, wiatr dmuchał mu teraz w plecy. Wiedział, że dom leży o jakieś pół kilometra na północ. Ciekawe, jak daleko dotarł zabójca, zanim w nocnej ciszy usłyszały go psy? Zboczył z drogi i przystanął w miejscu, skąd widział podwórze. Po lewej znajdowały się stajnie. Pracował przy nich jakiś kolorowy z widłami. Nie zauważył Griessela. Benny podążył dalej i w końcu zobaczył dom w odległości około dwustu metrów. Miejsce, gdzie zginęła Laurens.

Psy zaczęły szczekać.

Zatrzymał się. Robotnik spojrzał na niego.

- Dzień dobry.
- Dzień dobry.
- Mogę panu w czymś pomóc?
- Jestem z policji - wyjaśnił. - Chcę się rozejrzeć.
- W porządku.

Tutaj zaczynał się ogród, stare, zachwaszczone klomby, porośnięte drzewami i krzakami. Gdy rozszechkały się psy, zabójca pewnie w nie uskoczył. A potem przedarł się gęstwina w pobliże domu. Kryjówek tu nie brak. Benny ruszył wyobrażoną trasą, szukając śladów. Określił odległości i odtworzył w myśli prze-

bieg zdarzeń. Zza krzaków w ogrodzie widać było całe podwórze. W wyobraźni zobaczył kobietę w nocnej koszuli, ze strzelbą w ręce. Usłyszał nerwowo ujadające w ciemności psy. Skoro tamten był blisko domu, był blisko niej. Ignoruje jej wołania: Kto tam?, lub może nawet groźby: Wychodź, albo strzelam! Czeka, aż ona odwróci się plecami, i wypada z mroku. Chwyta strzelbę. Podnosi sagaj. Pies szarpie go za spodnie. Kopie psa. Tak, jakoś tak to musiało wyglądać. Wciąż szukał śladów.

Nic. Czy to możliwe? Czyżby ten sukinkot był tak rozważny i miał tyle zimnej krwi, żeby wszystkie pozacierać? Robotnik stał i mu się przyglądał. - Jak się nazywasz?

- Willem, proszę pana. Podszedł i wyciągnął do niego rękę.

- Benny Griessel.

- Miło mi.

- Przykra sprawa, Willem.

- Bardzo przykra, proszę pana.

- Najpierw dziecko, a potem panna Laurens.

- Och tak, a co będzie z nami?

- A co ma być, Willem?

- Farma należała do panny Laurens. Teraz ją sprzedadzą.

- Może nowi właściciele okażą się dobrymi ludźmi. - Może.

- Bo słyszałem, że panna Laurens była okropną złością.

- Wcale nie, proszę pana. Była dla nas dobra. - Ach tak?

- Wszyscy wokół płacą minimum, ale panienska Laurens dawała nam tysiąc na rękę i na dodatek mieszkaliśmy za darmo.

- Podobno dużo piła, Willem.

- Ależ, co pan opowiada! To nieprawda.

- I miewała ataki furii...

- Nie, proszę pana, ona...

- Nie?

- Po prostu była wymagająca.

- Nigdy się nie złościła?

Willem pokręcił głową i zerknął na dom. W drzwiach, w szlafroku, stała Elise Bothma.

Do firmy wrócił późnym popołudniem. Matta Jouberta znalazł w jego biurze, za stosem akt na biurku.

- Szeffie, poświęci mi pan dziesięć minut? - Tyle, ile trzeba.

- Chyba mamy ślad bieżnika samochodu mordercy.

- Na farmie?

- Nie, na biegnącej wzdłuż płotu drodze. Ludzie z sądówki zrobią gipsowy odlew. Dadzą nam znać.

Jeśli mógłbyś to trochę przyspieszyć, byłbym wdzięczny.

- Zadzwoń do Ferreiry.

- Matt, dziecko Bothmy...

- Dowiedziałem się, że masz z tym jakiś problem.

- Problem?

- Tim był u mnie, zaraz po lunchu. Zdenerwowany. Mówi, że jesteś rasistą.

- Pieprzenie.

- Nie przejmuj się, Benny. Pogadałem z nim. W czym kłopot?

- To nie była Laurens, szefie.

- Na jakiej podstawie tak twierdzisz?

- Gdy przesłuchiwałem w sobotę Bothmę... Było coś takiego w jej zachowaniu... wiedziałem, że nas okłamuje. Z początku myślałem, że chodzi o śmierć Laurens. Ale potem zacząłem się nad tym zastanawiać. Pracowników przesłuchiwał Keyter. Dziś rano poszedłem tam sam. Nie sądzę, żeby zrobiła to Laurens. - Podejrzewasz, że to Bothma? - Tak.

- A Laurens wzięła na siebie winę, żeby ją ochronić? Do diabła, Benny...

- Wiem. Ale takie rzeczy się zdarzają.

- Masz dowód?
 - Dowiedziałem się, że to Bothma miewa napady furii.
 - Tylko tyle?
 - Matt, wiem, że w sądzie by się to nie obroniło...
 - Benny, Laurens złożyła oświadczenie. Przyznała się. Na kiju są jej odciski palców. I nie żyje. Jesteśmy bez szans.
 - Załatw mi godzinę z Bothmą...
- Joubert odchylił się w fotelu i postukał długopisem w leżącą przed nim teczkę.
- Nie, Benny. To śledztwo Tima. W najlepszym wypadku mogę go poprosić, żeby jeszcze raz dokładnie przyjrzał się sprawie. Ty zajmujesz się sagajem.
 - Ale te sprawy się łączą. Jeśli Laurens była niewinna, wychodzi na to, że samozwańcza ręka sprawiedliwości ukarała niewłaściwego człowieka. To zmienia postać rzeczy.
 - Niby jak? Griessel machnął ręką.
 - Cały pieprzony kraj jest po jego stronie: facet przywrócił karę śmierci. Szlachetny rycerz odwalający robotę za żalospną policję. Nawet Bushy mówi, że powinniśmy go zostawić w spokoju... powiedzmy, że gdzieś jest jakiś świadek, że ktoś go widział. Albo coś wie. Może miał żonę lub dziewczynę albo ktoś go wspiera, bo uznał, że gość postępuje słusznie. Joubert znów postukał długopisem.
 - Wezmę to pod uwagę.
 - Nie cierpię tego wyrażenia.
 - Benny, daj mi pogadać z Timem. Nic więcej nie mogę zrobić. A w sądzie przegramy.
 - Sąd nam niepotrzebny. W każdym razie nie teraz. Chcę tylko, aby media dowiedziały się, że podejrzewamy Bothmę. I że Laurens mogła być niewinna.
 - Porozmawiam z Timem.
 - Dzięki, Matt. - Odwrócił się do drzwi.
 - Chcemy z Margaret zaprosić cię na obiad - powiedział Joubert, zanim Benny nacisnął kłamekę.

Przystanął.

- Dziś wieczorem?

- Tak. Albo jutro, jeśli wolisz.

Uświadomił sobie, że od rana, kiedy zjadł w barze kanapkę, nie miał niczego w ustach.

- Z wielką... - Ale wtedy ujrzał siebie przy stole Jouberta, w towarzystwie żony Matta i dzieci. A on sam. - Ja... Dzięki, nie mogę, Matt.

- Wiem, ile zważyło się na ciebie roboty.

- Nie chodzi o to. - Usiadł naprzeciw szefa. - Tylko... po prostu... tęsknię za swoją rodziną.

- Rozumiem.

Nagle poczuł, że musi to z siebie wyrzucić.

- Dzieci... Były u mnie wczoraj.

Zaczynały dławić go emocje. Próbował je powstrzymać. Podniósł rękę do oczu i pochylił głowę. Nie chciał, żeby Joubert widział go w takim stanie.

- Benny... - usłyszał niezdarne pocieszenie.

- Nie, Matt, ja... cholera, tyle rzeczy schrzaniłem.

- Rozumiem, Benny. - Joubert wstał i obszedł biurko.

- Do diabła! Jezu! Nawet ich nie znam, Matt.

Joubert nie bardzo wiedział, co w takiej sytuacji powiedzieć, położył więc tylko dłoń na ramieniu

Griessela. - Zupełnie, jakby przez dziesięć pieprzonych lat nie było mnie w domu. Jezu, Matt, a to takie dobre dzieciaki. Kochają mnie. - Wytarł nos rękawem koszuli. Joubert miarowo poklepywał go po ramieniu. - Przepraszam, cholera, rozkleiłem się. - Nie szkodzi, Benny.

- To ta abstynencja. Rozwala mi nerwy.

- Jestem z ciebie dumny. Ile to już dni, tydzień?

- Dziewięć dni. Tyle co nic. Jak to się ma do dziesięciu lat destrukcji?

- Wszystko będzie dobrze.

- Nie, Matt. Wątpię, żeby było dobrze.

Wszedł do centrum operacyjnego urządzonego w starej sali wykładowej. Czekali na niego. Czuł się zmęczony. Jakby wyczerpały go emocje, które wyrzucił z siebie przed Joubertem. Kapitan Helena Louw przywołała go ruchem ręki.

- Jak idzie, pani kapitan?

- Powoli, komisarzy. Mamy...

- Proszę mówić mi Benny.

Skinęła głową i wycelowała palcem w komputer.

- Zaczęliśmy szukać w bazie danych wszystkich niewyjaśnionych przypadków, kiedy ofiarami padły dzieci. Jest tego całe mnóstwo... - Mówiła spokojnie, wolno. - Zaczynamy od najpoważniejszych. Od morderstw i gwałtów. Molestowania seksualnego. Już mamy sto sześćdziesiąt.

Griessel cicho gwizdnął przez zęby.

- Tak, komisarzy, koszmar. I to tylko półwysep. Bóg jeden wie, ile tego będzie w całym kraju.

Wpisujemy nazwiska dzieci, krewnych i podejrzanych. Uwzględniamy rodzaj przestępstwa i miejsce. Jeśli to robota gangu, zaznaczamy literą „B”, bo to trochę co innego. Zaznaczamy też rodzaj broni, jeśli dysponujemy danymi. I daty przestępstw. To tyle. Teraz możemy zacząć szukać powiązań. Jeśli napłyną nowe informacje, porównamy je z tym, co mamy. - Brzmi nieźle.

- Ale przyda się na coś?

- Nigdy nie wiadomo, co okaże się pomocne. Nie możemy sobie pozwolić na zaniechanie.

Nie wyglądała na przekonaną. - Pani kapitan, potrzebujemy jeszcze dwóch informacji.

- Na imię mi Helena.

- Chodzi o rodzaj pojazdu. Mamy ślad opony. Może wywnioskujemy coś na jego podstawie.

- Jasne.

- I jeszcze ostatnia rzecz. Zastanawiam się, na jakiej podstawie dokonuje wyboru. Morderca. Jak decyduje, kim będzie następna ofiara?

Skinęła głową.

- Są dwie możliwości. Pierwsza: albo jest częścią systemu, policjantem, oskarżycielem czy kimś takim. Skoro mówisz jednak, że jest ponad sto sześćdziesiąt spraw... I druga: rodzaj i miejsce przestępstw bardzo się różnią. Mam przecucie, że wynajduje ofiary w mediach. Radio albo gazety. Może telewizja. Problem w tym, że nieczęsto czytam prasę czy słucham radia. A chciałbym się dowiedzieć, kiedy te przestępstwa opisano w mediach. Data doniesienia w porównaniu z datą morderstwa z sagajem. Jasno się wyrażam?

- Tak. Wystarczy, jeśli sporządzimy tabelkę na tablicy? - Wskazała na frontową ścianę sali.

- Wystarczy. Dzięki.

Wstał. Jamie Keyter siedział w rogu sali i spoglądał na niego wyczekująco. Cupido i Bezuidenhout siedzieli przy stojących obok siebie biurkach. Wziął krzesło i usiadł naprzeciw nich.

- Te sagaje to niezły spręcik - oznajmił Cupido. Odchylił się w krzesło i podniósł zza pleców długą i wąską paczkę. Rozwinął szary papier i na biurko wypadł sagaj. Błyszczące ostrze lśniło we fluorescencyjnym świetle. - Wala! - zawołał.

- *Volla* - poprawił go Bezuidenhout, niewłaściwie akcentując sylabę. - To francuskie słowo. Oznacza „proszę bardzo”.

- Od kiedy jesteś takim językowym ekspertem?

- Poprawiam cię, żebyś nie robił z siebie durnia. Griessel westchnął.

- Sagaj... - powiedział.

- Wypożyczony z Pearson's African Art. Na Long Street. Sześćset randów, z VAT-em. Sprowadzony z Zulu Dawn, dystrybutor pracuje w Pinetown. Rozmawiałem z Vijayem Kumarem, dyrektorem do spraw sprzedaży w Zulu Dawn. Powiedział, że mają agentów, którzy jeżdżą po kraju i je skupują, w KwaZulu jest co najmniej trzydzieści miejsc, w których są wyrabiane.

- Wielka mi sztuka - zadrwił Bezuidenhout.

- Bushy... - jęknął Griessel.

- Mówię tylko, co myślę. Ostatnio byle bzdet jest sztuką. Nie dałbym za niego nawet pięćdziesięciu randów.

- Ale nie jesteś niemieckim turystą z wypchanym euro portfelem, stary - zauważył Cupido. - Istotne w tym wszystkim jest to, że podejrzany mógł kupić taki sagaj na każdym rogu ulicy. Pearson powiedział, że w samym mieście handluje nimi kilku facetów. A jeszcze są inne sklepy, dwa na Waterfront, dwa w Stellenbosch i jeden na przedmieściu południowym. Biali z Europy najchętniej kupują sagaje i afrykańskie maski. I strusie jaja. Sprzedają im strusie jaja po dwieście randów za sztukę. Puste w środku. - Pokaż ten sagaj ludziom z medycyny sądowej, Vaughn.

- Załatwione. Już nad nim pracują. Wypożyczyłem dwa; chciałem ci pokazać, Benny. Sądówka porówna je z wynikami chemicznej analizy ran.

- Dzięki, Vaughn. Świetnie się spisałeś.

- Nie ma za co. Niestety wygląda na to, że wycieczka do Durbs przepadła.

- Daj mi znać, jak przyjdą wyniki badań.

- Oczywiście. Jutro wybieram się do handlarzy sagajami. Sprawdzę, czy prowadzą jakąś ewidencję sprzedaży. Może zachowali chociaż numery kart kredytowych, faktury podatkowe, cokolwiek. Powęszę. - Jak coś znajdziesz, wprowadź, proszę, nazwiska do bazy danych. Trzeba je porównać z nazwiskami zebranymi przez kapitan Louw.

- Załatwione, szefie.

Griessel odwrócił się do Bezuidenhouta.

- Masz coś, Bushy?

Bezuidenhout, z miną mówiącą, że wreszcie przechodzą do spraw istotnych, przyciągnął bliżej stertę akt. - Nie wiem. - Zdejmował ze stosu teczkę po teczce. - Gwałt Envera Davidsa - powiedział. - Pierwszy rodzaj przestępstwa. Rodzice dziecka mieszkają na dzikim osiedlu na rogu Vanguard i Ridgeway. Mieszkańcy nazywają je Biko City; miasto nie nazywa go nijak. Ojciec bezrobotny, jeden z tych facetów, którzy co rano

wystają na Durban Road i podnoszą ręce, gdy budowlańcy przyjeżdżają po tanią siłę roboczą. Matka pracuje w zakładzie utylizacji makulatury w Stikland. Skupują zużyte tekturowe pudła i przerabiają na papier toaletowy Dawn Soft. Za diabła nie rozumiem, co ma wspólnego świt z miękkością, widocznie jednak nie muszę rozumieć, jestem tylko policjantem. W każdym razie rodzice twierdzą, że w noc morderstwa Davidsa byli razem w swojej chacie w Biko City. Ale na śmierć Davidsa ojciec zareagował tak, cytuję: „No i chwała Bogu”. Oświadczył, że gdyby wiedział, gdzie znaleźć łajdaka, sam by go zadźgał. Ale zapewnia, że to nie on i że nie ma sagaju. Sąsiedzi mówią, że nic nie wiedzą o tej nocy. Nic nie widzieli, nic nie słyszeli.

- Hm - mruknął Griessel. Bezuidenhout zdjął ze sterty kolejną teczkę.

- Tu jest lista wszystkich dzieci molestowanych przez Pretoriusa. Jedenaścioro. Wyobrażacie sobie! I to tylko te, o których wiemy. Podzwoniłem trochę. Większość rodziców mieszka w okolicy Bellville. Zostawiam ich sobie na jutro. Zapowiada się długi dzień. Ich też wpiszę do bazy.

- Weź do pomocy mundurowych, Bushy.

- Benny, nie odbierz tego źle, ale wolę sam z nimi rozmawiać. Mundurowi są całkiem zieloni.

- Niech pogadają z sąsiadami czy co. Musimy ich wykorzystać.

- A co z Jamiem?

- A co ma być?

- Nic nie robi.

- Chcesz go?

- Przydałby się.

- Bushy... - Po czym zmienił zdanie. - Jamie - zawołał do Keytera.

- Tak, Benny? - odpowiedział z zapalem Keyter. Poderwał się, niemal przewracając krzesło.

- Jutro pracujesz z Bushym. Podszedł do nich.

- Okej, Benny.

- Pierwszych parę wywiadów zrób z Bushym. Czy to jasne?
- Jasne.
- Chcę, Jamie, żebyś się nauczył. Potem Bushy powie ci, które możesz przeprowadzić sam.
- Kapuję.
- Jamie...
- Co, Benny?
- Nie mów tak.
- Jak?
- Nie mów: kapuję. Strasznie mnie to wkurza.
- Okej, Benny.
- To niemczyzm - wtrącił się Bezuidenhout.
- Niemczyzm? - spytał Cupido.
- Tak, pochodzi z niemieckiego.
- Germanizm - sprostował ze znużeniem Griessel.
- Przecież tak właśnie powiedziałem. Griessel nie skomentował.
- Powiedziałeś niemczyzm, głąbie. Taki z ciebie spec językowy - zamknął dyskusję Vaughn Cupido i wstał.

31

Marzył, żeby się znaleźć w domu. Nie w swoim mieszkaniu, tylko w domu. Przy żonie i dzieciach. W głowie mu łupało i czuł się tak ospały, jakby wyczerpał mu się cały zapas energii. Jechał samochodem w stronę miasta. Zastanawiał się, co porabiają Carla i Fritz. I Anna.

Wtedy sobie przypomniał, że chciał do niej zadzwonić i porozmawiać o tym, co go wczoraj trapiło. Prowadząc, wyjął telefon i odnalazł w kontaktach jej numer. Nacisnął klawisz i czekał na połączenie.

- Cześć, Benny.

- Witaj, Anno.
- Dzieci mówią, że nadal jesteś trzeźwy.
- Anno... Chciałbym wiedzieć... Nasza umowa...
- Jaka umowa?
- Powiedziałaś, że jeśli przez pół roku nie wypiję...
- Zgadza się.
- To będę mógł wrócić? Milczała.
- Anno...
- Benny, dopiero minął tydzień.
- Już dziewięć pieprzonych dni.
- Wiesz, że nie lubię, gdy przeklinasz.
- Pytam cię tylko, czy serio traktujesz tę umowę?

Cisza w słuchawce. Już miał się odezwać, gdy usłyszał jej głos.

- Benny, trzymaj się z dala od kieliszka przez sześć miesięcy. Potem porozmawiamy.
- Anno... *file* się rozłączyła.

Nie miał nawet siły, żeby się wkurzyć. Po jaką cholere tak się męczy? Po co walczy z nałogiem? Dla obietnicy, która nagle przestała być obietnicą? Znalazła sobie kogoś. Na pewno. Był cholernym detektywem; szybko kojarzył fakty. Chciała się go w ten sposób pozbyć. Nie zamierzał dać się rią to nabrać. Nie będzie przechodził przez to piekło po nic. Nie, do licha, zwłaszcza że czuł się tak fatalnie. Jeden drink i po bólu głowy. Tylko jeden. Ślina napłynęła mu do ust i niemal poczuł smak alkoholu. Dwa drinki dla energii, trzeba zatankować, żeby mieć siłę prowadzić ten zespół. Trzy, i ona może mieć tylu młodych kochanków, ilu zapragnie.

Drink na bank mu pomoże. Od razu wszystko się ułoży. Nikt nie musi wiedzieć. Napije się w mieszkaniu, upragniony drink, a potem twardy sen. Żeby uporać się z umową z Anną. I śledztwem. I samotnością. Popatrzył na zegarek. Monopolowe powinny być jeszcze otwarte.

Gdy stanął pod drzwiami mieszkania z reklamówką z butelkami klipdrift i coli, na progu zobaczył owiniętą w folię aluminiową paczkę. Otworzył drzwi, odstawił butelki i podniósł zawiniątko.

Przylepiono do niego karteczkę. Odkleił taśmę klejącą.

„Dla zapracowanego policjanta. Smacznego. Charmaine -106”.

Charmaine? Z czym mu się kojarzy to imię? Rozwinął folię. W środku znalazł naczynie do zapiekania z pokrywką. Uniósł ją. W jego nozdrza uderzył zapach curry i ryżu. Och rety, pachniało fantastycznie. Nagle poczuł się strasznie głodny. Chwycił sztućce i usiadł przy barze. Nabrał pełną łyżkę. Curry baranie. Mięso rozpływało się w ustach; delektował się smakiem, Charmaine, Charmaine, kimkolwiek jesteś, umiesz gotować, bez dwóch zdań. Nabrał kolejną łyżkę, wyjął palcami listek laurowy, oblizał i odłożył na bok. Następny kęs. Pyszności! I następny. Curry było gorące i na twarz Griessela wystąpiły kropelki potu. Łyżka pracowała miarowo. Rety, ależ był głodny. Musi rozwiązać jakoś kwestię posiłków. Powinien zabierać do pracy kanapki.

Popatrzył na stojącą przed nim butelkę klippies. Już za chwilę. Za chwilę z pełnym brzuchem rozsiądzie się w fotelu i wypije swojego drinka, tak jak powinno się pić: powoli i ze smakiem.

Pochłonał resztę curry, wyskrobał starannie ostatnie skrawki mięsa i kropelki sosu i podniósł łyżkę do ust.

Cholera. Dawno nie jadł czegoś równie wyśmienitego. Odsunął naczynie.

Powinien zwrócić je zaraz tej Charmaine ze 106. Wyobrażał sobie pulchną młodą kobietę. Dlaczego? Dlatego że jedzenie było takie pyszne? Może czuje się trochę samotna? Wstał, żeby umyć w zlewie naczynie, potem pokrywkę i łyżkę. Wytarł wszystko, wziął folię, złożył ją porządnie i umieścił na dnie naczynia. Zamknął za sobą drzwi na klucz i ruszył korytarzem.

Wiedziała, że jest policjantem. Pewnie od dozorczy. Będzie musiał jej powiedzieć, że jest żonaty. A potem wyjaśnić, dlaczego mieszka tu sam... Przystanął wpół drogi. Naprawdę musi przechodzić przez ten koszmar? A gdyby tak po prostu zostawić garnek pod drzwiami?...

Nie. Powinien jej podziękować.

Może jej nie będzie, łudził się. Albo będzie spała czy coś. Zapukał najciszej, jak się dało; usłyszał, że z mieszkania dobiega odgłos włączonego telewizora. Drzwi się otworzyły.

Była drobna i stara. Na oko po siedemdziesiątce.

- Pan pewnie jest tym policjantem - stwierdziła i uśmiechnęła się szeroko; zaśniły białe jak śnieg sztuczne zęby. - Jestem Charmaine Watson-Smith. Proszę wejść. - Akcent miała bardzo brytyjski, przez grube szkła okularów jej oczy wydawały się ogromne.

- Benny Griessel - przedstawił się i jego własna intonacja wydała mu się okropnie afrykanerska.

- Miło mi pana poznać, Benny. - Wzięła od niego naczynie. - Smakowało?

- Bardzo. - Rozkład mieszkania był identyczny jak u niego, z tym że wewnątrz było urządzone.

Wypełnione, właściwie zagraczone meblami, na ścianach rzędy portretów, w oszklonych szafkach mnóstwo bibelotów, na regałach i niskich stoliczkach porcelanowe figurki, lalki i oprawione zdjęcia. Szydełkowe serwetki i książki. Na olbrzymim ekranie telewizora leciał jakiś tasiemiec.

- Proszę usiąść, Benny - powiedziała i ściszyła odbiornik.

- Nie będę pani przeszkadzać. Chciałem tylko przyjść i pięknie podziękować. Doceniam ten bardzo miły gest. - Przysiadł na brzeżku krzesła. Nie zamierzał długo zostawać. Czekala na niego butelka. - Curry było fantastyczne.

- Cieszę się. Nie ma pan żony...

- Mam. Ale jesteśmy - szukał odpowiedniego słowa - w separacji.

- Przykro mi to słyszeć. Tak przypuszczałam, widząc wczoraj pańskie dzieci...

Była czujna.

- Aha.

Usiadła naprzeciw niego. Wyraźnie szykowała się do dłuższej rozmowy. Nie zamierzał...

- Co robi pan w policji?

- Pracuję w wydziale przestępstw ciężkich i bandytyzmu. Jestem komisarzem.

- Och, jak to dobrze. Odpowiedni człowiek do zadania.

- Zadania? Jakiego zadania?

Pochyliła się ku niemu i konspiracyjnie wyszeptała:

- W budynku grasuje złodziej.

- Coś podobnego!

- No więc co rano przynoszą mi „Cape Times” - wciąż szeptała.

- Tak? - W głowie zapaliło mu się światełko. Niestety nie ma czegoś takiego jak darmowe curry z ryżem. - Wkładają gazetę do mojej skrzynki pocztowej w holu. I ktoś ją kradnie. Ciekawe, że nie codziennie. Ale często. Próbowałam już wszystkiego. Obserwowałam nawet drzwi z ogrodu.

Przypuszczam, że tak detektywi to nazywają: obserwacja, mam rację?

- Absolutnie. - Niestety sprawca jest nieuchwytny. Nie poczyniłam żadnych postępów.

- Coś takiego - powiedział, no bo jak to skomentować?

- Ale teraz mamy w budynku prawdziwego detektywa - ucieszyła się i rozsiadła wygodniej.

W kieszeni Griessela zadzwoniła komórka.

- Przepraszam. Muszę odebrać.

- Oczywiście, kochany. Wyjął telefon.

- Griessel.

- Benny, tu Anwar- zgłosił się komisarz Anwar Mohammed. - Mamy ją.

- Kogo?

- Twoją kobietę z sagajem. Artemidę.

- Kobietę z sagajem?

- Tak. Przyznała się do wszystkiego.

- Gdzie jesteś?

- Petunia Street w Bishop Lavis, numer 23. Wstał.

- Musisz mną pokierować. Zadzwoń, gdy będę niedaleko.
- Dobra, Benny. Rozłączył się.
- Naprawdę mi przykro, ale muszę iść.
- Jasne. Obowiązki wzywają.
- Tak, chodzi o sprawę, nad którą pracuję.
- W porządku, Benny. Bardzo miło było mi pana poznać.
- Wzajemnie - powiedział i ruszył do drzwi.
- Lubi pan pieczeń jagnięcą?
- Och, bardzo, proszę jednak nie robić sobie kłopotu.
- To żaden kłopot - oznajmiła, szczerząc białe zęby w uśmiechu. - Zwłaszcza teraz, gdy pracuje pan nad moją sprawą.

Na Petunia Street panował kompletny chaos. Stało tam kilkuset gapiów, musiał zwolnić i czekać, aż go przepuszczą. Przed numerem 23 obracały się koguty trzech policyjnych wozów i migały czerwone światła ambulansu. Na chodniku parkowały dwa mikrobusy toyota ekip sądowej i wideo. Pod numerem sąsiednim stały dwa mikrobusy stacji telewizyjnych SABC i e tv.

Wysiadł i przecisnął się przez tłum. Stojący na trawniku kolorowy umundurowany policjant próbował go zatrzymać. Pokazał mu służbową plaketkę i kazał wezwać posiłki, żeby zapanować nad ciżbą.

- Więcej ludzi nie mamy, już cały posterunek jest tutaj - usłyszał. Griessel wszedł przez otwarte drzwi do domu. W salonie siedzieli dwaj mundurowi i oglądali telewizję.

- No nie, do cholery - wściekł się. - Gapie zaraz wedrą się do środka, a wy siedzicie i oglądacie telewizję?

- Bez obawy - odpowiedział jeden z nich. - To Bishop Lavis. Ludzie są ciekawscy, ale spokojni.

Anwar Mohammed usłyszał jego głos i wyszedł z pokoju.

- Anwar, każ im, do cholery, iść na ulicę, w końcu to pieprzona scena kryminalna.

- Dotarto do was, co mówi komisarz?

Wstali niechętnie.

- Ale to Frasier - powiedział jeden, celując w ekran.

- Nie obchodzi mnie, co to jest. Bierzcie się do roboty - rozkazał Mohammed. A potem zwrócił się do Griessela: - Ofiara jest tutaj, Benny. - Zaprowadził go do kuchni.

Griessel najpierw zobaczył krew - szeroki, jaskrawoczerwo-ny łuk zaczynał się na drzwiczkach kuchennego kredensu i biegł aż pod sufit. Na prawo, obok lodówki i kuchenki, widniały jeszcze większe plamy krwi, charakterystyczne dla przeciętej tętnicy. Mężczyzna leżał skulony w rogu. Dwóch członków ekipy wideo ustawiało lampy, żeby sfilmować scenę zabójstwa. W świetle reflektorów krew zaśniła rudawo. Koszula ofiary była w paru miejscach podarta. Obok mężczyzny leżał sagaj. Drewniane metrowe drzewce, splamione krwią ostrze długie na trzydzieści centymetrów i szerokie na cztery.

- Tego nie zrobił morderca z sagajem - oznajmił Griessel.

- Skąd wiesz?

- Wszystkie okoliczności są inne, Anwar. A to ostrze jest za wąskie.

- Lepiej chodź porozmawiać z dziewczyną.

- Dziewczyną?

- Dziewiętnastka. Ładna. - Mohammed wskazał głową drzwi i ruszył przodem.

Siedziała w jadalni, z twarzą ukrytą w dłoniach. Ręce miała poplamione krwią. Griessel obszedł stół, wziął krzesło i usiadł przy niej. Mohammed stanął za nimi.

- Panno Ravens - powiedział cicho.

Podniosła głowę i spojrzała na Griessela. Rzeczywiście była ładna; miała delikatną twarz o głębokich, ciemnych, niemal czarnych oczach.

- Dobry wieczór - przywitał się. Tylko kiwnęła głową.

- Nazywam się Benny Griessel. Żadnej reakcji.

- Panno Ravens, pan komisarz pracuje nad śledztwem w sprawie morderstw z sagajem. Proszę mu o nich opowiedzieć - polecił Mohammed.

- To ja - powiedziała.

Griessei zauważył, że patrzy nieprzytomnie. Dłonie drżały jej lekko.

- Co to za człowiek tu leży? - zapytał.

- Mój tata.

- Ty go zabiłaś?

- Tak. Ja.

- Dlaczego? Wolno zamrugala.

- Co takiego zrobił?

Spoglądała na Griessela, ale nie był pewny, czy go widzi. Głos miała zadziwiająco silny, jakby należał do kogoś innego. - Przychodził i spał ze mną. Przez dwanaście lat. Nie wolno mi było nikomu powiedzieć. Griessei wyczuł jej gniew.

- I wtedy przeczytałaś o mężczyźnie z sagajem?

- To nie jest mężczyzna. To kobieta. To ja.

- Mówiłem - wtrącił się Mohammed.

- Skąd masz ten sagaj?

- Z dworca.

- Z którego?

- W Kapsztadzie.

- Kupiłaś go na dworcowym pchlim targu? Skinęła głową.

- Kiedy go kupiłaś?

- Wczoraj.

- Wczoraj? - zapytał Mohammed.

- A potem czekałaś, aż wieczorem wróci do domu?

- Nie chciał przestać. Prosiłam go, żeby przestał. Bardzo prosiłam.

- Mieszkaliście tu sami?

- Moja matka umarła. Dwanaście lat temu.

- Panno Ravens, skoro kupiła pani sagaj wczoraj, jak mogła pani zabić tamtych?
Obrzuciła spojrzeniem Griessela. Potem odwróciła wzrok.

- Zobaczyłam to w telewizji. Od razu wiedziałam. To ja. Wyciągnął rękę i położył na jej ramieniu. Wyrwała się i w jej oczach zobaczył błysk strachu. A może nienawiści? Opuścił rękę.

- Zadzwońm po OS - szepnął mu za plecami Mohammed.

- Dobrze, Anwar - odparł. Opieka społeczna zajmie się nią najlepiej. Wstał, ujął Mohammeda za łokieć i wyprowadził z pokoju. W kuchni, obok ciała, dodał: - Miej ją na oku. Nie zostawiaj jej samej. Zanim Anwar zdążył odpowiedzieć, usłyszeli od drzwi głos Pagela.

- Dobry wieczór, Nikita, witaj, Anwar.

- Dobry wieczór, profesorze.

Patolog był w stroju wieczorowym, w ręce niósł swój kuferek. Przecisnął się obok ludzi od wideo i ukucnął nad leżącym na podłodze mężczyzną. - To nie nasz sagaj, Nikita - stwierdził, otwierając walizeczkę. - Wiem, profesorze. - Benny - zawołał ktoś z salonu. - Tu jestem.

Wszedł Cloete, człowiek od public relations.

- O rety, ale zamieszanie. - Przyjrzał się ofierze. - Nieźle oberwał.

- No proszę, patologiem też jesteś? - zapytał jeden z mężczyzn od wideo.

- Niech pan uważa, profesorze, Cloete wyciąga łapę po pana robotę - dodał drugi.

- Wszystko przez to, że Benny rzucił picie. Jeden wakat mniej.

- Benny nie wygląda najlepiej.

- Cholera, ale się was dziś żarty trzymają - burknął Griesseli i zwrócił się do Cloete: - Chodź, pogadamy tam. - Zobaczył, że Mohammed chce do nich dołączyć. - Anwar, znajdź najpierw kogoś, kto przypilnuje dziewczyny.

- Boisz się, że ucieknie? - zapytał Cloete.
 - Nie tego się boję - odparł Griessel i usiadł na fotelu w salonie.
- W telewizji wciąż leciała komedia. Rozległ się śmiech. Griessel pochylił się i wyłączył odbiornik.
- Widziałeś tych ludzi ze stacji telewizyjnych przed domem? Griessel potaknął. Zanim zdążył powiedzieć coś więcej, zadzwoniła komórka w jego kieszeni.
 - Przepraszam. - I zgłosił się: - Griessel.
 - Tu Tim Ngubane. Joubert mówił, że szukasz przynęty. Na faceta z sagajem...
 - Tak. - Trochę zaskoczył go przyjazny ton.
 - Co powiesz na kolumbijskiego bossa narkotykowego, który porwał dziewczynkę?
 - Brzmi dobrze, Tim.
 - Dobrze? Doskonale. Masz to zaklepane.
 - Gdzie jesteś?
 - W Camps Bay, dzielnicy bogatych i sławnych.
 - Przyjadę najszybciej, jak się da.
- Zanim zdążył schować telefon, zaatakował go Cloete.
- Ktoś powiedział im, że to Artemida. - Wskazał ulicę. - Prasa też tu jest. O tym morderstwie dowiedziałem się od nich - oskarżał go.
 - Sam dopiero tu przyjechałem.
 - Nie twierdzą, że to ty, ale diabli wiedzą...
 - Cloete, przepraszam za wczoraj. Z mediami gadał jeden z ludzi z mojego zespołu. To się więcej nie powtórzy.
 - Czegoś chcesz, Benny?
 - Nie rozumiem?
 - Skoro przepraszasz, to znaczy, że czegoś potrzebujesz. Co tu się dzieje?

- Ciężka sprawa. Dziewiętnastolatka pchnęła sagajem ojca, bo ją molestował. Ale nie popełniła tamtych morderstw.
- Jesteś pewny?
- Absolutnie.
- Jak chcesz, żebyśmy to poprowadził?
- Cloete, w śledztwo z sagajem zamieszana jest polityka. Między nami mówiąc, dziewczynę w jakimś stopniu zainspirował nasz morderca, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Jeżeli jednak powiesz to mediom, komendant spuści ci łomot, bo jest pod presją góry.
- Ministra?
- Komisji parlamentarnej.
- Cholera.
- Pogadaj też z Anwarem, żebyśmy trzymali się jednej wersji. Czuję, że najlepiej będzie napomknąć tylko o bójce i ostrym narzędziu. Nie zdradzać na razie, że to sagaj.
- Chyba nie chcesz powiedzieć, że to jest właśnie twoja prośba, Benny. Mylę się?
- Nie, masz rację. Wyświadczysz mi jeszcze jedną przysługę. Cloete z niedowierzaniem pokręcił głową.
- Kurwa, robię tu za dziwkę. Też sobie wybrałem zawód: policyjnej dziwki.

32

Miasteczko było za małe.

Nie mógł dać się rozpoznać. Czuł na sobie spojrzenia, gdy po południu jechał długim łukiem głównej ulicy. Oczu kolorowych wysiadujących przed paroma kafejkami, oczu czarnoskórej obsługi skromnej stacji benzynowej, oczu nielicznych białych mieszkańców Uniondale podlewających węzami przywędnięte ogrody.

Thobela wiedział, że musi od razu odnaleźć dom. Nie będzie mógł się rozejrzeć; nie może jeździć tam i z powrotem. Bo miejscowi wiedzą o skandalu z Scholtzem i w tej dziurze, w której wszyscy się znają, na pewno zapamiętają czarnego w pikapie.

Ucieszył się, gdy w końcu pojawił się drogowskaz. Postanowił wyjechać z miasta trasą R339; biegła na wschód w stronę gór. Gdy

łukiem wyprowadziła go z miasta, spostrzegł dogodne miejsce do ukrycia samochodu, pod pieprzowcami w zagłębieniu ciągnącego się wzdłuż drogi wzniesienia. Pojechał dalej, przez przełęcz, wzdłuż Kamannasie River i po dwunastu kilometrach zatankował na spółdzielczej stacji w Avontuur. Dokąd jedzie? - zapytał go pracownik stacji, Xhosa.

Do Port Elizabeth.

Dlaczego w takim razie tędy?

Bo droga spokojniejsza.

Bezpiecznej podróży, bracie.

Ten pracownik go zapamięta. Trzeba więc wrócić na główną drogę i skręcić w prawo. Na Langkloof, bo mężczyzna może go śledzić wzrokiem. Gdyby zmienił trasę, facet zacząłby się zastanawiać dlaczego i tym bardziej by go zapamiętał.

Zresztą i tak musiał jakoś spędzić czas, czekając, aż się ściemni. Wybrał długą, okreśną trasę. Jechał żwirowymi traktami, mijając gospodarstwa hodowlane, i w końcu znów znalazł się na przełęczy.

Tam, na górującej nad Uniondale drodze, stanął przy furgonetce i w blasku księżyca patrzył na światła leżącego poniżej miasta. Będzie musiał przejść przez równinę i pasmo wzgórz. Wśliznąć się między domy, wystrzegając się psów. Znaleźć właściwy dom. Wejść i zrobić, co ma zrobić. Po czym wrócić i odjechać. To nie będzie łatwe. Za mało wiedział o ukształtowaniu terenu i lokalizacji domu. A czy w ogóle ich zastanie?

Zostaw to, odjedź. Za duże ryzyko. Za małe miasto.

Wyciągnął zza siedzenia sagaj. Koniuszkami pajców głąskał gładkie drewniane drzewce.

Czekała go długa noc.

Między Bishop Lavis a Camps Bay komórka zadzwoniła dwa razy.

Najpierw Greyling z ekipy sądowej:

- Benny, twój podejrzany jeździ pikapem.

- A coś więcej?

- Jeśli się nie mylimy, to napęd dwa na cztery z blokadą mostu. Kabina najpewniej podwójna. Bo odcisk opony pochodzi z RTSA Wranglera. Goodyear 215/14.
 - Jakiej marki jest pikap?
 - Cholera, tego nie da się określić, mnóstwo marek zjeżdża z linii na wranglerach: ford i mazda, izuzu, toyota, co ja ci będę mówił. - Skąd wiesz, że to nie jest zwykły pikap?
 - Bo zwykle schodzą z taśmy na CV 2000 Goodyeara, a konkretnie na 195/14, potocznie zwanych G22. Kłopot w tym, że niemal wszystkie minibusy schodzą na takich samych, co powoduje kompletny chaos. Zwykle mają napęd na cztery koła i opony 215/15. Ale w tym przypadku to opony 215/14, w które wyposaża się z kolei te z napędem dwa na cztery. Osiemdziesiąt procent samochodów z takim napędem ma albo podwójną kabinę, albo są to wozy dwudrzwiowe z dwoma rzędami siedzeń. Co oznacza również, że podejrzany nie zalicza się do biedaków, bo dzisiaj za cenę minibusu z podwójną kabiną można kupić gospodarstwo. - O ile wozu nie ukradł. - O ile go nie ukradł, zgoda.
 - Dzięki, Arrie.
 - Drobiazg, Benny.
- Zanim zdążył zastanowić się nad nowymi dowodami, telefon znów zadzwonił.
- Cześć, tata. - To był Fritz.
 - Cześć, Fritz.
 - Co robisz, tato? - Jego dziecko chciało z nim pogadać?
 - Pracuję. Mam tu dzisiaj niezły cyrk. Wszystko naraz.
 - Zajmujesz się tym mścicielem? Znowu kogoś dopadł?
 - Nie, tym razem nie on. Ktoś inny, kto wcielił się w jego rolę.
 - Super!
- Griessel się roześmiał.
- Myślisz, że to takie super?
 - Jasne. Ale tak naprawdę, tato, dzwonię, bo chciałem cię zapytać, czy odsłuchałeś CD.

Cholera. Zupełnie zapomniał o płycie.

- Wczoraj wieczorem uświadomiłem sobie, że nie mam odtwarzacza. A dziś nie miałem czasu, żeby coś kupić. To istny dom wariatów...

- Nie szkodzi. - Jego głos zdradzał jednak rozczarowanie. - Jeśli chcesz, dam ci mój przenośny odtwarzacz. Tyle że kiepsko odtwarza bas.

- Dziękuję, Fritz, ale powinienem jakiś sobie sprawić. Jutro coś wymyślę, obiecuję.

- Fajnie. A potem daj mi znać.

- Od razu, gdy jej posłucham.

- Nie przepracowuj się, tato. Carla wysłała ci całusy i mówi, że wczoraj było fajnie.

- Dzięki, Fritz. Uściskaj ją ode mnie.

- Dobrze, tato. Do widzenia.

- Śpij dobrze.

Siedział za kierownicą i poruszony wpatrywał się w ciemność. Może Anna już go nie chce, lecz dzieci tak. Mimo wszystkich krzywd, które im wyrządził.

Wystarczył rzut oka, żeby spostrzec dramatyczną różnicę między sceną kryminalną w Camps Bay a tą w Bishop Lavis. Gapiów w bogatej dzielnicy prawie nie było, natomiast policyjnych wozów co najmniej dwa razy tyle. Mundurowi tłoczyli się na chodnikach, jakby spodziewali się zamieszek. / Zeby znaleźć miejsce do zaparkowania, musiał przejechać kawałek dalej, po czym wrócił wznoszącą się w górę uliczką. Domy miały najwyżej trzy piętra, żeby nie zasłaniać widoku na niewidoczny z poziomu ulicy Atlantyk. Wszystkie zbudowano na jedną modłę: beton i szkło; te współczesne zamki przez większość roku stały puste, podczas gdy ich właściciele zgarniali euro w Londynie, Zurychu czy Monachium.

Na schodach zatrzymał go posterunkowy.

- Przykro mi, ale komisarz Ngubane pozwolił mi wpuszczać tylko personel kluczowy - powiedział.

Benny wyjął z portfela plakietkę i mu pokazał.

- Po co tu tyle ludzi?

- Narkotyki, komisarzu. Mamy pomóc je wywieźć, gdy już tam skończą.

Podszedł do drzwi i zajrzał do domu. Był ogromny jak kino. Kilka salonów na różnych poziomach, jadalnia, a na prawo, za tarasem, lśniący niebieski basen. Budynek przeszukiwały dwa zespoły medycyny sądowej z latarkami na ultrafiolet w poszukiwaniu śladów krwi. Na najwyższym poziomie, na długiej skórzanej kanapie, siedziało rzędkiem czterech skutyh kajdankami mężczyzn z pochylonymi głowami, jakby mieli wyrzuty sumienia. Przy nich stali policjanci z bronią gotową do strzału. Griessel ruszył na górę.

- Gdzie znajdę komisarza Ngubane? - zapytał jednego z posterunkowych.

- Ostatnie piętro.

- Który z tych palantów zrobił coś dziewczynce?

- To tylko chłopcy na posyłki - wyjaśnił policjant. - Ich szefem zajął się komisarz. I chodzi nie tylko o to, że coś jej zrobili. - A jaśniej? - Dziewczynka zniknęła...

- Jak się dostanę na to piętro?

- Schody są tam. - Posterunkowy wskazał kolbą.

W korytarzu na pierwszym piętrze stał Timothy Ngubane i sprzeczał się o coś z potężnym białym facetem. Griessel rozpoznał gościa po sztywnej białej czapce z niebieskim daszkiem ozdobionej emblematem z czerwonym kwiatem disa i napisem WP Rugby. Nadinspektor Wilhelm „Boef” Beukes, kiedyś pracownik dawnego wydziału morderstw i kradzieży oraz narkotyków, a obecnie specjalista w wydziale przestępstw zorganizowanych.

- Czemu nie? Dziewczynki tam nie ma.

- Mogą być dowody, nadinspektorze, nie mogę ryzykować... - Dostrzegł Griessela. - Benny - przywitał go z ulgą.

- Cześć, Tim. Boef, jak się masz?

- Dzięki, do chrzanu. Narkotykowa zdobycz dekady, a każą mi stać w kolejce.
 - Priorytetem jest odnalezienie dziecka, nadinspektorze - upierał się Ngubane.
 - Nie ma jej tutaj. Przecież wiecie.
 - Ale na dole mogą być jakieś ślady. Proszę tylko o cierpliwość.
 - Ruszcie tyłki - warknął Beukes i odszedł. Ngubane westchnął głęboko i przeciągle.
 - Niesamowita noc - powiedział do Griessela. - Zdumiewająca. Już chyba wszyscy byli tu na dole...
 - Na jakim dole?
 - W piwnicy jest tyle narkotyków, ile nikt w życiu nie widział, i zjawiała się tu chyba cała policja: ludzie z wydziałów gospodarczych i przestępstw zorganizowanych, facet z medycyny sądowej, wszyscy z własnymi ekipami wideo i fotografami, przecież nie mogę ich wpuścić, bo mogą tam być jakieś ślady prowadzące do miejsca uprowadzenia dziewczynki.
 - A podejrzany?
 - Jest tu. - Ngubane wskazał drzwi za sobą. - Nie chce gadać.
 - Mogę wejść?
- Ngubane otworzył drzwi i Griessel zajrzał do środka. Pokój był nieduży. Nieposprzątany. Facet siedział na kartonowym pudle. Gęste czarne włosy, zwisające czarne wąsy, rozpięta biała koszula z rozdartą kieszonką na piersi. Na policzku czerwony Siniak.
- *Sy naam is Carlos* - Ngubane zaczął rozmyślnie po afrykanersku, żeby Sangrenegra go nie zrozumiał, i wyjął z kieszeni spodni mały notesik. - Carlos San...gre...ne...gra- przesylabizował.
 - Pieprz się - syknął Sangrenegra.
 - Ktoś go pobił? - zapytał Griessel też po afrykanersku.
 - Matka tej dziewczynki. To Kolumbijczyk. Jego wiza... straciła ważność dawno temu.
 - Co tu się dokładnie wydarzyło, Tim?
 - Wejdz. Nie chcę zostawiać sukinsyna samego.

- Bardzo ładnie przeklinasz po afrykanersku. Ngubane wszedł za nim.

- Mam niezły trening. - Zamknął drzwi.

Pokój był chyba przeznaczony na gabinet. Na ścianach półki z ciemnego lśniącego drewna, ale puste. Na podłodze pudła.

- Co jest w tych pudłach? - zapytał Griessel.

- Sam zobacz - odparł Ngubane i usiadł na obitym brązową skórą drogim biurowym fotelu z wysokim oparciem.

Griessel otworzył jedno z pudeł. W środku były książki. Wyjął pierwszą z brzegu - *Opowieść o dwóch miastach*, głosiły wytłoczone na grzbiecie złote litery.

- Zajrzyj do środka.

Otworzył tomik. Nie było w nim stron - książka okazała się plastikowym pudełeczkiem w okładce.

- Niezbyt zapalony z ciebie czytelnik, co, Carlos? - zakpił Griessel.

- Pieprz się.

- O ósmej na posterunek na Caledon Square zadzwoniła kobieta - relacjonował Ngubane po afrykanersku. - Płakała. Powiedziała, że porwano jej dziecko i że wie, kto to zrobił. Wysłali patrol do jej mieszkania na Belle Ombre Street. Była roztrzęsiona, miała zranioną głowę i powiedziała, że napadł na nią ten facet i zabrał jej dziecko. Straciła... - Szukał afrykanerskiego słowa.

- Przytomność. Ngubane potaknął.

- Podała nazwisko faceta i ten adres. Powiedziała, że ją zgwałcił, że go zna i wie, że lubi nieletnie... rozumiesz? I jeszcze, że to baron narkotykowy.

Griessel skinął głową i odwrócił się, żeby spojrzeć na Sangre-negrę. Płonące brązowe oczy. Szczupła sylwetka, z wyraźnymi żyłami na przedramionach, niebieskie dżinsy i sportowe buty. Skute na plecach ręce.

- Policjanci zadzwonili do szefa posterunku, a on do nas. Miałem akurat dyżur telefoniczny, zadzwoniłem do Jouberta i dał mi ludzi. Potem przyjechaliśmy tutaj, a grupa zadaniowa przyleciała

helikopterem. Zastaliśmy tu pięciu facetów. Carlosa i tę czwórkę na dole. W piwnicy nasi znaleźli narkotyki, a w tym pokoju ubranie dziewczynki. Potem w jego bmw znaleźli ślady krwi i piaska przytulankę, ale dziecka nie ma, a ten sukinkot nie chce gadać. Mówi, że nic na ten temat nie wie.

- Ile lat ma dziewczynka?

- Trzy latka. Trzy.

Griessel poczuł falę wściekłej odrazy.

- Gdzie ona jest? - zapytał Carlosa.

- Pieprz się.

Podskoczył, złapał go za włosy i szarpał głową w przód i do tyłu. Przybliżył twarz do twarzy Sangrenegry.

- Gdzie ona jest, ty śmieciu? - 'Nie wiem!

Griessel znów szarpał. Sangrenegra się skrzywił.

- Ona kłamie. Dziwka kłamie. Nic o tym nie wiem.

- Jak ubranie dziewczynki znalazło się w tym pokoju, ty padalcu? - W przypiływie frustracji szarpał go z całej siły. - Podrzuciła je. To dziwka. Była moją dziewczynką.

- Jezu - sapnął Griessel ze wstrętem, pociągnął go jeszcze raz za włosy i puścił. Poczuł, że ma zatuszczoną dłoń. Wytarł ją o koszulę Sangrenegry. - Kłamiesz, skurwysynu.

- Już tego próbowałem - odezwał się spokojnie stojący za nim Ngubane, jakby nic się nie stało.

- Spytaj moich ludzi - powiedział Sangrenegra. / Griessel zaśmiał się kwaśno.

- Od kogo to zarobiłeś? - zapytał i dźgnął palcem siniak na policzku Kolumbijczyka.

Carlos splunął. Griessel cofnął rękę i uderzył go w twarz.

- Powiedział, że dziś był u niej z wizytą - poinformował Ngubane. - Twierdzi, że jest prostytutką. Zaprosiła go do swojego mieszkania. Dziecka nie było. Potem uderzyła go bez powodu. Więc jej oddał. - Tak twierdzi?

- Tak twierdzi.

- A ona?
 - Są z nią dziewczyny z opieki społecznej. Jest w szoku.
 - A ty, co myślisz, Tim? - Griessel poczuł, że się zadyszał. Przysiadł na jednym z kartonów.
 - Dziecko było w jego samochodzie, Benny. Znaleźliśmy ślady krwi. I pieska. Była tam. Gdzieś ją wywiózł. Od zgłoszenia minęły dwie godziny, zanim tu dotarliśmy. Zabrał ją gdzieś. Pomyślał, że skoro matka jest call-girl, może robić, co mu się podoba. Ale podczas jazdy coś musiało się wydarzyć. Dziewczynka się wystraszyła albo coś. Więc ją zranił. Na to wygląda. Na podłokietni-ku tylnego fotela widać krew. Przypomina - szukał słowa po afrykanersku - krew tętniczą. Więc uznał, że ma problem. Widocznie się jej pozbył.
 - Jezu.
 - No właśnie - westchnął Ngubane.
- Griessel popatrzył na Sangrenegrę. Carlos odpowiedział pogardliwym spojrzeniem.
- Chyba nie powinniśmy za bardzo się łudzić co do dziecka. Gdyby żyła, pewnie chciałby się dogadać.
 - Mogę czegoś spróbować? - zapytał Griessel.
 - Proszę - odparł Ngubane.
 - Carlos, słyszałeś o Artemidzie? - zaczął Griessel.
 - Pieprz się.
 - Opowiem ci o nim. Ten facet czeka na ciebie na wolności. Z dużym sagajem. Wiesz, co to sagaj, Carlos? To włócznia. Zuluska broń. Z długim, bardzo ostrym ostrzem. Ten gość stanowi dla nas duży problem, bo zabija ludzi. A wiesz kogo, Carlos? Zabija tych, którzy krzywdzą dzieci. Na pewno o nim nie słyszałeś, Carlos? - Pieprz się.
 - Próbujemy go złapać. Bo łamie prawo. Ale dla ciebie możemy zrobić wyjątek. Mam taki plan. Poinformuję prasę i telewizję, że uprowadziłeś tę śliczną dziewczynkę, Carlos. Podam im twój adres. I wyślę zdjęcie. Postaram się, żebyś wyszedł za kaucją. Twoich koleśków zatrzymam w więzieniu i zostawię cię

tu, w tym dużym domu, zupełnie samego. Będziemy pilnować, żebyś nie zwał do Kolumbii. I poczekamy, aż ten facet z włócznią cię dopadnie.

- Pieprz się.

- Nie, Carlos. To ty się wypieprzysz. Pomyśl o tym. Bo kiedy on się zjawi, my będziemy akurat patrzeć w inną stronę. - Sangre-negra milczał, wpatrywał się tylko w Griessela. - Ten facet z sa-gajem zabił już troje ludzi. Jedno dźgnięcie, prosto w serce. Tym długim ostrzem.

Żadnej reakcji.

- Powiedz mi, gdzie jest dziewczynka. I to może się nie zdarzyć. Carlos wciąż się w niego wpatrywał.

- Chcesz umrzeć, Carlos? Powiedz mi, gdzie jest dziecko. Sangrenegra wahał się chwilę. Potem krzyknął piskliwie:

- Carlos nie wie! Carlos, do cholery, nie wie!

33

Kiedy wrzucili Sangrenegrę na tył policyjnego vana i zatrzasnęli drzwi, Ngubane powiedział:

- Jestem ci winny przeprosiny, Benny. - Za co?

- Za dzisiejszy ranek.

Griessel uświadomił sobie, że zdążył już zapomnieć o porannym incydencie; to był długi dzień.

- Chyba czasem lekko świrujemy. Niektórzy biali policjanci... naprawdę mają nas za nic - stwierdził Ngubane.

Griessel tego nie skomentował.

- Odwiedziłem Cliffy'ego Mketsu. W szpitalu. Powiedział, że ty taki nie jesteś.

Griessel miał ochotę potwierdzić, że rzeczywiście jest inny. Jego problem polegał na tym, że wszystkich miał za nic.

- Jak się czuje Cliffy?

- W porządku. Uważa, że masz większe doświadczenie niż wszyscy pozostali razem wzięci. Więc chcę cię, Benny, zapytać, co więcej mogę tu zrobić? Jak odnaleźć to dziecko?

Popatrzył na Ngubane. Był w przyzwoitym garniturze, białej koszuli i czerwonym krawacie; sprawiał wrażenie człowieka pogodzonego ze sobą. Gdzieś głęboko w sobie Benny dostrzegł światełko.

- Co jeszcze znaleźliście, Tim? Handlarze narkotyków mają zwykle kilka miejsc. Na wypadek wpadki.

- Zgadza się.

- Porozmawiaj z Beukesem. Musieli wiedzieć o Sangrenegrze. Powinni znać inne miejsca.

- Dobrze.

- Czy ekipa techniczna była u matki? Skinął głową.

- Zdjęli tam jego odciski. I pobrali od niej krew. By porównać jej DNA z DNA w samochodzie. Będą mogli stwierdzić, czy to krew dziecka.

- Nie wydaje mi się, żeby dziewczynka jeszcze żyła, Tim.

- Wiem.

Stali przez chwilę, nic nie mówiąc.

- Mogę iść zobaczyć się z matką?

- Pewnie. Użyjesz tego faceta na przynętę?

- Wymarzony kandydat. Ale muszę porozmawiać z matką. A potem uzgodnić to z komendantem, bo w sprawę włączony jest wydział przestępstw zorganizowanych, a z góry mogę ci powiedzieć, że im się to nie spodoba.

- Pieprzyć ich. Griessel zachichotał.

- Z ust mi wyjąłeś.

Gdy jechał przez miasto w kierunku Tamboerskloof, jego myśli krążyły wokół Boefa Beukesa, Timothy'ego Ngubane i młodzieży na ulicach. Było wpół do jedenastej wieczorem, a gdziekolwiek

spojrzał, wszędzie pełno nastolatków. W poniedziałkowy wieczór, w najdroższych lokalach Long Street, w klubach, restauracjach i kafejkach. Stali też na chodnikach z alkoholem i papierosami w rękach, w małych grupkach obok zaparkowanych samochodów. Gdzie, u licha, podziewają się ich rodzice? Wiedzą, gdzie są ich dzieci? Zdał sobie sprawę, że sam nie wie, gdzie są jego. Ale Anna oczywiście tak. Jeśli jest w domu.

Beukes. W dawnych czasach pracowali razem. I razem pili. Kiedy jego dzieci były małe, a on był do rzeczy. Co, do diabła, takiego się stało? Jakim cudem z faceta od paru drinków z kumplami zrobił się alkoholik pełną gębą?

Zaczął pić, gdy wydział morderstw i kradzieży mieścił się jeszcze w Bellville South. Ich wodopojem był hotel President w Parów, nie dlatego, żeby miał cokolwiek wspólnego z nazwą, ale dlatego, że o dowolnej porze dnia i nocy można tam było w barze zastać policjanta opartego o długą mahoniową ladę. Jak i w tym drugim miejscu za Sanlam w Stikland, gdzie robili pyszną pizzę. Lokal nazywał się Glockenberg czy jakoś tak. Glockenburg. Teraz mieści się tam Spur Steak Ranch, ale wtedy była tam olbrzymia tawerna. Któregoś wieczoru, zdrowo podpity, wdrapał się na scenę i zażądał od zespołu, żeby przestali rzępolić tę sieczkę i zagraли prawdziwego rock'n'rolla; „Dajcie mi gitarę - zawołał - znacie Blue Suede Shoes?" Jego kumple siedzący przy długiej ławie zaczęli krzyczeć i klaskać i kwartet na scenie nerwowo przytaknął, młode afrykanerskie dzieciaki z miękkim zarostem i długimi włosami grające Smokie; wziął gitarę, zawiesił sobie na szyi, stanął przed mikrofonem i zaśpiewał *One for the money*. Chłopcy z zespołu odetchnęli z ulgą, że nie jest beznadziejny, a koledzy wstali i zaczęli bawić się wraz z gośćmi na parkiecie. Rozkręcili się, katowali tę pieprzoną piosenkę, aż w końcu dołączyli do nich nawet ludzie z baru i z ulicy. A Benny Griessel śmigał palcami po gryfie, wydobywając całą gamę basów, i kiedy skończył, wszyscy wołali: jeszcze, jeszcze. Więc poszedł na całość. Piosenki Elvisa. I tak pocił się, grał i śpiewał Bóg wie do której godziny, dopóki nie zjawiała się szukająca go Anna; zobaczył ją w drzwiach sali. Z po-

czątku stała ze skrzyżowanymi ramionami, była zła: gdzie jest jej mąż, która to godzina. Ale muzyka zmiękczyła i ją, rozgrzała się, zaczęła kołysać biodrami, klaskać i krzyczeć: Jeszcze, Benny, jeszcze! Bo to był jej Benny, tam w górze na pieprzonej scenie, jej Benny, Boże, ileż to lat temu. Nie był jeszcze alkoholikiem, tylko lubiącym wypić detektywem. Jak oni wszyscy. Tak samo jak Matt Joubert, Boef Beukes, gruby sierżant Tony O'Grady i cała masa innych. Ciężko pili, bo, do diabła, ciężko harowali w tamtych późnych latach osiemdziesiątych. Harowali jak niewolnicy, a świat miał ich gdzieś. Morderstwa naszyjnikowe, mordowani staruszkowie, homoseksualiści, gangi, gdzie się człowiek obrócił - napad z bronią w ręku. Bez chwili wytchnienia. Ale wystarczyło się przyznać, że jest się policjantem, a wszyscy milkli i wpatrywali się w ciebie, jakbyś był gorszy od gówna homara, a już niżej, jak powiadano, niżej upaść się nie da.

Wtedy był taki jak Tim Ngubane. Pogodzony ze sobą. Boże, a jak pracował. Z poświęceniem, owszem. Ale i mądrze. Wyłapywał ich - morderców i napadających na banki, i porywaczy - bezwzględny i pełny entuzjazmu. Miał taki lekki krok. Na tym to polegało - tańczył, gdy inni wlekli się z trudem. Był inny. I myślał, że to nigdy się nie zmieni. Ale potem dopadło go całe to gówno.

Może tu leży problem. Może gorzała łapie w sidła właśnie tych tańczących; wystarczy popatrzeć choćby na Beukesa czy Jouberta, nie są pijusami, spokojnie człapią przez życie. A on? On jest pierdolnięty. Lecz gdzieś głęboko w nim wciąż tkwił zarodek myśli, że jest od nich lepszy, że jest najlepszym pieprzonym detektywem w kraju, koniec kropka.

Zaśmiał się za kierownicą sam z siebie, na końcu Long Street niedaleko basenów, bo stał się wrakiem, pijaczyną, facetem, który po dziewięciu dniach trzeźwości przed godziną kupił butelkę Klip-pies, a niecałe pół godziny temu stracił przy Kolumbijczyku panowanie nad sobą, bo taszczył ze sobą tyle gówna, a teraz nadymał się, myśląc, że jest lepszy od innych.

Co więc się zmieniło? Od czasów Boefa Beukesa i Glockenburg do dziś? Co się, u licha, takiego wydarzyło? Dojechał do Belle

Ombre Street i, ponieważ nie znalazł parkingu, zaparkował na chodniku.

Zanim otworzył drzwi, pomyślał o trupie w Bishop Lavis. Nie słyszał w głowie krzyków śmierci. Nie nękały go straszliwe głosy.

Dlaczego nie? Gdzie zniknęły? Brały się z picia, z alkoholu?

Posiedział jeszcze kilka chwil w wozie, ale nie znalazł odpowiedzi. Wsiadł. Budynek miał kilka pięter, więc postanowił pojechać windą. Pod drzwiami mieszkania zastał dwóch czarnoskórych uzbrojonych byczków w cywilu. Zapytał ich, skąd są. Jeden z nich odparł, że z wydziału przestępstw zorganizowanych i że przysłał ich Boef Beukes, bo życie kobiety jest zagrożone.

- Wiedzieliście wcześniej o Sangrenegrze?

- Powinieneś porozmawiać z Beukesem.

Skinął głową i otworzył drzwi. Siedząca w salonie młoda kobieta poderwała się i podbiegła do niego.

- Znaleźliście ją? - zapytała rozdygotana.

Na kanapie za nią siedziało dwóch policjantów, niższych i szczuplejszych, z dłońmi współczująco złożonymi na kolanach. Opieka społeczna. Koledzy ze służby, którzy zjawiali się, kiedy najgorsze gównem już posprzątało, mężczyzna i kobieta. - Jeszcze nie - odparł.

Stała na środku pokoju i jęknęła; twarz miała spuchniętą i rozciętą w jednym miejscu, już opatrzonym. Oczy zaczerwienione od płaczu. Zacisnęła pięści i zapadła się w sobie. Kolorowa kobieta z OS wstała, podeszła do niej i powiedziała:

- Chodź, usiądź, lepiej, żebyś siedziała.

- Benny Griessel - przedstawił się i wyciągnął dłoń. Ujęła ją:

- Christine van Rooyen.

Pomyślał, że nie wygląda jak zwykła dziwka. Ale potem poczuł jej zapach, mieszaninę perfum i potu; wszystkie tak pachniały, ten zapach nie dawał się zmyć.

Ale była inna niż te, które znał. Dlaczego inna? Wysoka, jego wzrostu. Nie za szczupłą, mocno zbudowana. Miała gładką skórę. Nie, to nie to.

Powiedział, że pracuje z Ngubane i że rozumie, przez co ona przechodzi. Może jednak wie coś, co mogłoby im pomóc. Poprowadziła go do rozsuwanych drzwi na balkon. Usiadła na białym plastikowym krześle. Zrozumiał, że chce odciąć się od ludzi z OS i coś mu powiedzieć. Dołączył do niej, przysiadł na krześle i zapytał, jak dobrze zna Sangrenegrę.

- Był moim klientem. - Zauważył niezwykle kształt jej oczu. Migdałowy.

- Stałym klientem?

W świetle padającym z salonu widział tylko jej prawą dłoń. Oparła ją na poręczy krzesła, zgięte palce wbijały paznokcie w ciało.

- Z początku był jak wszyscy. Nic szczególnego. Potem opowiedział mi o narkotykach. A kiedy dowiedział się, że mam dziecko...

- Wie pani, co znaleźliśmy w jego domu? Skinęła głową.

- Zadzwoił ten czarny policjant.

- Czy Carlos zabierał panią w inne miejsca? Do innego domu?

- Nie.

- Domyśla się pani, dokąd mógł wywieźć pani... hm... córkę?

- Sonię. Moja córka ma na imię Sonia. - Palce poruszyły się, paznokcie wbiły się mocniej w dłoń.

Chciał wyciągnąć do niej rękę.

- Dokąd mógł wywieźć Sonię?

Pokręciła głową. Nie wie. Potem powiedziała:

- Już jej nie zobaczę. - Ze spokojem, jaki może przynieść tylko absolutna rozpacz.

Nocą z Belle Ombre do jego mieszkania jechało się pięć minut. Pierwsze, co zobaczył, kiedy zapalił światło, to butelkę brandy. Stała na śniadaniowej ladzie jak strzegący pokoju wartownik.

Zamknął za sobą drzwi, podniósł butelkę i obrócił ją w dłoniach. Przyjrzał się dokładnie zegarowi na nalepce i miodowej zawartości. Wyobraził sobie rozchodzący się po jego ciele alkohol, lekkie zamroczenie i musowanie tuż pod czaszką.

Odstawił butelkę, jakby była święta. Powinien ją otworzyć i wylać brandy do zlewu. Ale wtedy poczułby jej zapach i nie zdołałby się oprzeć. Zapanuj nad sobą. Oparł dłonie o ladę i skupił się na oddychaniu.

Boże, dzisiaj był bliski, wcześniej wieczorem. Tylko głód powstrzymał go od upicia się. Wziął kolejny głęboki wdech.

Fritz pewnie zadzwoni z pytaniem, czy przesłuchał płytę, a gdyby on był pijany, syn by się dowiedział. Co za kanał. Przypomnił sobie jego głos. Nie chodziło o to, że chłopiec tak bardzo chciał poznać jego opinię o muzyce. Było w tym coś więcej. Pragnienie. Tęsknota. Chęć nawiązania kontaktu z ojcem. Stworzenie więzi. „Nigdy nie mieliśmy ojca”. Jego syn teraz chciał mieć ojca. Bardzo. A niewiele brakowało, żeby on to spieprzył. Tak niewiele.

Wziął jeszcze jeden głęboki wdech i otworzył kuchenną szafkę. Była pusta. Szybko włożył butelkę do środka i zatrzasnął drzwiczki. Poszedł na górę. Już nie czuł się taki zmęczony. Złapał drugi oddech, jak zagoniony człowiek, który po prostu prze naprzód napędzany natłokiem myśli.

Wykapał się, położył i zamknął oczy. Zobaczył prostytutkę, poczuł fizyczną reakcję, podniecenie.

Halo, halo, halo, co jest? Poczul się winny, bo właśnie straciła dziecko, a on tak reagował. Dziwne, dziwki nigdy na niego nie działały. Znał je aż za dobrze. Trudniły się profesją, która przyciągała kłopoty jak magnes; pracowały w świecie, który jedynie maty krok dzielił od poważnego przestępstwa. I wszystkie były niemal takie same - niezależnie od tego, ile chciały pieniędzy.

W Christine van Rooyen było jednak coś, co odróżniało ją od innych. Ale co? Zaczął je porównywać i wreszcie rozpoznał, co to takiego. prostytutki, od ulicznych w Sea Point do tych znacznie mniej licznych, które za ciężkie pieniądze obsługiwały turystów w Radissonie, miały dwie cechy wspólne: charakterystyczny gorzko-słodki zapach i wewnętrzny ból. Wionęło od nich depresją. Jak

z zapuszczonego domu, w którym wciąż jeszcze ktoś mieszka, ale widać, że już o niego nie dba.

A ona nie była taka. Albo w mniejszym stopniu. Wciąż paliło się w niej światło.

Ale nie to go podnieciło. Coś jeszcze. Ciało? Oczy?

Do licha, jeszcze nigdy nie zdradził Anny. Pomijając brandy. Może Anna rozumowała tak: zdradzał ją, bo namiętnie kochał alkohol. Więc miała usprawiedliwienie, żeby rozejrzeć się za kimś na boku. Rozum podpowiadał mu, że ona ma do tego prawo, lecz potwór zazdrości odżył, sprawił, że zaczął ciskać się w łóżku. Starłby sukinsyna na miazgę. Gdyby ich przyłapał. Gdyby wszedł do sypialni i nakrył ich... Zobaczył tę scenę aż nadto wyraźnie. Podciągnął prześcieradło, wsadził głowę pod poduszkę. Wolał tego nie oglądać. Jakiś przystojny młody dupek dmucha jego żonę, a on widzi ekstazę na jej twarzy, ten upojny uśmiech, po którym poznawał, że odpłynęła w świat własnej przyjemności. Jej głos, przypominał sobie jej głos, to szeptanie: „tak, Benny, tak, Benny, tak, Benny”. Ale teraz wypowiadała pewnie imię kogoś innego. Poderwał się, stanął obok łóżka i był absolutnie pewny: zastrzeli sukinsyna. Musi do niej zadzwonić. Natychmiast. Musi się napić. Wyjął butelkę z kuchennej szafki. Zrobił krok do drzwi sypialni. Zacisnął pięści i stanął.

Weź się w garść, powiedział na głos.

W dole brzucha nic już się nie działo. Erekcję diabli wzięli.

Nic dziwnego, do cholery.

To był stary kamienny dom z pordzewiałym dachem z falistej blachy. Przeszedł przez zwisającą drucianą siatkę, ominął stojący na blokach wrak pikapa i dopiero wtedy na krzywo wiszącej tabliczce dojrzał numer na jednym ze słupków werandy. Siedem.

W środku było ciemno. Thobela zawrócił do tylnych drzwi. Przekręcił gałkę. Otwarte. Wszedł, cicho zamykając je za sobą, w lewej ręce niósł sagaj. Znalazł się w kuchni. Poczul stęchły zapach, jakby pasty rybnej. Poczekał, aż oczy przyzwyczają mu się do głębszej niż na zewnątrz ciemności. Wtedy usłyszał dobiegający z sąsiedniego pokoju dźwięk.

Gdy dwójka policjantów z opieki społecznej wreszcie sobie poszła, zaniósła duży dzbanek kawy i kubki policjantom stojącym na straży przed domem. Potem zamknęła drzwi na klucz i wyszła na balkon.

Spojrzała na rozpościerające się przed nią miasto, żywą istotę o tysiącu skrzących się oczu, która teraz, pośrodku nocy, oddychała wolniej i głębiej. Chwyciła się białej balustrady, poczuła chłód metalu. Pomyślała o swojej córeczce. O błagalnych oczach Sonii.

To jej wina. To ona odpowiada za to, co przeżyło jej dziecko.

W salonie rozbrzmiewało chrapanie jak chrząknięcia dzika: krótkie, surowe i głośnie dźwięki.

Thobela zajrzał za drzwi i zobaczył na kanapie okrytego kocem mężczyznę.

Gdzie jest kobieta?

Scholtzowie. Ich dwuletni synek umarł dwa tygodnie temu w szpitalu w Oudtshoorn wskutek wylewu krwi do mózgu.

Chirurg znalazł rany na maleńkich narządach i ciele: cienkich, kruchych żebrach i łokciu, kościach policzkowych i czaszce. Na ich podstawie odtworzył historię cierpienia dziecka. „Nic gorszego nie widziałem, choć już piętnaście lat jestem koronerem” - zacytowała jego słowa niedzielna gazeta. / Podszedł do kanapy. W widocznym w ciemności uchu lśniły srebrne kolczyki w kształcie półksiężyca. Potężne ramię pokrywała pajęczna sieć czarnych tatuaży o nierozpoznawalnym w mroku wzorze.

Mężczyzna miał otwarte usta i z każdym wdechem wydawał te zwierzęce odgłosy.

Gdzie jest kobieta? Przechodząc obok śpiącego w głąb domu, Thobela przeciągnął opuszką kciuka po drewnianej rękojeści saga-ju. Znalazł dwie sypialnie. Pierwsza była pusta, na ścianie wisiały dziecięce rysunki, w ciemności czarno-białe.

Poczuł odrazę. Co ci ludzie sobie myśleli? Jak to możliwe, że wieszali nad łóżeczkiem rysunki, a parę chwil później rozwalali o nie z hukiem główkę dziecka? Albo bili tak, że połamali żebra?

Bydlaki.

W drugiej sypialni w podwójnym łóżku spała kobieta, pod pościelą rysował się kontur jej ciała.

Przewróciła się na drugi bok. Wymamrotała coś niewyraźnie.

Znieruchomiał. Ma problem. A nawet dwa.

Christine wróciła do salonu. Zamknęła za sobą rozsuwane drzwi. W najwyższej szufladzie kuchennej szafki znalazła nóż do warzyw. Miał długie wąskie ostrze, lekko zakrzywione, z cienkim spiczastym czubkiem. Właśnie takie, jakiego potrzebowała.

Nie chciał zabić kobiety. To jego pierwszy problem.

Atak na kobietę to nie wojna. Nie jego wojna, nie taka walka, w której chciał brać udział. Po Laurens dobrze to rozumiał. Kobietami niech zajmą się sądy, choć niedoskonałe.

Jeśli jednak ją oszczędzi, jak ma postąpić z facetem? To drugi problem. Musi go obudzić. Chciał dać mu broń i powiedzieć: Walcz o swoje prawo do rozłupywania czaszek dwulatków, zobaczymy, gdzie leży sprawiedliwość. Ale wtedy kobieta się obudzi. I go zobaczy. Włączy światło. Stanie mu na drodze.

Christine zamknęła drzwi łazienki i usiadła na krawędzi wanny. Odkręciła zakrętkę z butelki detolu i zanurzyła ostrze noża w brązowym płynie. Potem oparła lewą stopę o prawe kolano i wybrała miejsce, między piętą a poduszką stopy. Powoli zagłębiła ostry czubek ostrza w białą, miękką skórę. Oczy Sonii.

Wszedł do sypialni i przeszedł obok kobiety. Wtedy spostrzegł klucz w drzwiach i już wiedział, co powinien zrobić.

Wyjął klucz z zamka. Zachrobotał zgrzytliwie i Thobela usłyszał, że oddech kobiety przyspieszył.

Szybko zamknął drzwi. Próbował wcisnąć klucz w dziurkę od zewnątrz. W pośpiechu nie mógł trafić.

Coś powiedziała, jakieś niewyraźne, niedające się rozpoznać słowo.

Wreszcie trafił i zamknął drzwi.

- Chappie? - zawołała.

Mężczyzna na łóżku przestał chrapać. Thobela odwrócił się w jego stronę.

- Chappie! - wrzasnęła. - Co robisz? Mężczyzna usiadł i odrzucił koc.

- Jestem tu z powodu dziecka - oznajmił Thobela. Zauważył ramiona Scholtza. Siłacz. To dobrze.

- W domu jest czarnuch! - Scholtz krzyknął do żony.

Wbiła ostrze w stopę najmocniej, jak mogła. Nie zdołała stłumić krzyku, który wyrwał się z jej ust.

Przeszył ją wielki ból. Wypalił ranę na popiół; przebił się ponad wszystko, tak jak tego chciała.

34

Męczyły go koszmary, które wybijały go ze snu i dwukrotnie zmusiły do wstania, zanim w końcu o trzeciej rano znów przysnął. Rozmawiał właśnie z Anną, dziwna rozmowa bez celu czy kierunku, gdy obudził go telefon komórkowy. Chwycił go niezdarnie, aparat spadł z parapetu i wylądował pod łóżkiem. Sięgnął ręką w stronę świecącego się wyświetlacza.

- Tak? - zapytał trochę nieprzytomnie.

- Komisarz Griessel?

- Uhm.

- Przepraszam, że pana obudziłem. Mówi Tshabalala, z jednostki w Oudtshoorn. Mam informacje o pańskim mordercy z sagajem.

- Słucham? - Mmacał po parapecie, szukając zegarka.

- Wszystko wskazuje na to, że wczoraj wieczorem był w Uniondale.

- Uniondale? - znalazł zegarek i sprawdził godzinę. Czwarta dwadzieścia jeden.

- Mieliliśmy tu przypadek maltretowanego dziecka. Frederik Johannes Scholtz wyszedł z żoną z więzienia za kaucją. Wczoraj wieczorem zadźgano go w jego domu.
- Uniondale - powtórzył. - Gdzie leży Uniondale?
- Jakies sto dwadzieścia kilometrów stąd na wschód. To bez sensu. Za daleko od Prowincji Przylądkowej.
- Skąd pan wie, że to mój morderca?
- Od żony zmarłego. Podejrzany zamknął ją w sypialni. Ale słyszała, co się stało...
- Widziała go?
- Nie, zamknął drzwi na klucz, gdy spała. Słyszała krzyki męża, że facet ma sagaj.
- Chwila moment - Griessel usiłował się skupić. - Zamknął ją na klucz w sypialni? To jak wyciągnął z niej męża? - Kobieta powiedziała, że od śmierci dziecka sypiali oddzielnie. Scholtz spał w salonie. Obudziła się, gdy zaczął krzyczeć. Usłyszała: „Ma sagaj”. Ale to nie wszystko...
- Tak? - Powiedziała, że zawołał, że to czarny. - Murzyn?
- Zeznała, że krzyknął: W domu jest czarnuch.
- Coś tu nie grało. Murzyn? Nie tak wyobrażał sobie tego człowieka.
- Nie wiem, na ile to wiarygodne. Walczyli chyba po ciemku.
- Jak wyglądają rany?
- Śmiertelną zadano w klatkę piersiową, ale prawdopodobnie próbował odeprzeć cios rękami. Poza tym jest kilka innych. Wywrócone i strzaskane meble. Walka musiała trwać dobrą chwilę.
- Ta rana na piersi... ma wylot?
- Zapewne. Chirurg jej jeszcze nie oglądał.
- Poproszę naszego patologa, żeby do niego zadzwonił. Ekipa sądowa musi koniecznie zwrócić uwagę na kilka szczegółów. To bardzo ważne... - oznajmił Griessel.
- Proszę się nie niepokoić - powiedział Tshabalala. - Wszystkim się zajmiemy.

Umył się pod prysznicem, ubrał i zadzwonił do Pagela, który poranny telefon odebrał z wdziękiem. Podał mu numer telefonu do Oudtshoorn. Potem pojechał do Quickshop przy stacji benzynowej Engen na Annandale Road. Kupił wielką porcję paczkowanych kanapek, litry kawy na wynos i pojechał do pracy. Ulice były ciche, a biuro jeszcze cichsze. Usiadł za biurkiem i z długopisem w dłoni próbował się skupić. Union-kurwa-dale. Otworzył opakowanie z kanapkami. Bekon i jajka. Zdjął pokrywkę z termosu. Para leniwie popłynęła w górę. Wdychał aromat kawy i popijał powoli. Czy to ten sani sagaj, dowiedzą się najwcześniej za dzień czy dwa, choćby komendant nie wiadomo jak naciskał. Ugryzł kanapkę. Wydawała się całkiem świeża. Murzyn. Przerażony Scholtz mocuje się po ciemku z napastnikiem i widzi długie ostrze sagaju. Tak mu się wydawało? Czy naprawdę widział Murzyna? Murzyn z pikapem. W Uniondale. Co za niespodzianka. Niesamowita. Nieoczekiwana wyprawa do miejsca odległego od Prowincji Przylądkowej o pięćset kilometrów. Jedyne, czego im jeszcze brakuje, to jakiegoś naśladowcy. Boże drogi! A ich może się zrobić wysyp, bo chodzi o dzieci. Zaczął uzupełniać leżące przed nim akta.

- Nie, do diabła - zaklął Matt Joubert i Stanowczo pokręcił głową.

Była siódma rano, gdy Griessel i Ngubane zjawili się w biurze szefa. Wszyscy trzej byli tak zaaferowani, że nawet nie usiedli.

- Mam... - powiedział Ngubane.
- Matt, tylko parę dni. Dwa, trzy - prosił Griessel.
- Boże, Benny, wyobrażasz sobie te kłopoty, jeśli on ci się wyrwie? Zwieje za granicę? Te dupki sypią fałszywymi paszportami jak konfetti. Wykluczone...
- Chciałbym... - znów wtrącił Ngubane.
- Mamy ludzi, Matt. Możemy otoczyć dom. Nie będzie się mógł ruszyć.

Joubert nadal kręcił głową.

- Jak myślisz, co zrobi Boef Beukes? Wpadła mu w łapy najgrubsza narkotykowa ryba w całej karierze, a ty chcesz tę rybę wypuścić za kaucją? Będzie kwiczał jak zarzynana świnia.

- Matt, wczoraj wieczorem... - próbował dalej Ngubane.

- Pieprzyć Beukesa. Niech kwiczy. Drugi raz taka przynęta się nam nie trafi.

- Wykluczone, do diabła.

- Posłuchajcie mnie! - warknął w końcu sfrustrowany Ngubane i wreszcie na niego spojrzeli. -

Wczoraj wieczorem rozmawiałem z kobietą z wydziału psychologii śledczej w centrali. Jest tu, w Kapsztadzie. Pomaga Anwarowi w sprawie wielokrotnego gwałciciela w Khayelitsha. Twierdzi, że jeśli Sangrenegra dostanie szansę, pójdzie do dziecka. Bez względu na to, czy dziewczynka żyje, czy nie. Uważa, że to bardzo prawdopodobne, że nas do niej zaprowadzi.

Joubert opadł ciężko na fotel.

- Co ewidentnie przemawia na korzyść naszej prośby - stwierdził Griessel.

- Pomyśl o dziecku - dodał Ngubane.

- Matt, niech zdecyduje komendant. Bardzo proszę. Joubert podniósł wzrok na pochylających się nad biurkiem ramię w ramię mężczyzn.

- Będą kłopoty - mruknął. - Czuję je na kilometr.

Pagel zadzwonił do niego przed ósmą i powiedział, że są dowody, iż sagaj z Uniondale to to samo ostrze, ale trzeba poczekać, aż dostarczą mu samochodem z Oudtshoorn pobrane wycinki tkanek.

Griessel podziękował profesorowi i zwołał swoich ludzi do pokoju operacyjnego.

- Mam do przekazania kilka interesujących faktów - oznajmił.

- Uniondale? - zapytał Vaughn Cupido z przemądrzałym uśmiechem.

- Trąbili o tym na Kfm news - Bushy Bezuidenhout z rozmysłem ostudził zapał Cupida.

- Co powiedzieli?
- Że to wszystko sprawka Artemidy, w kółko tylko Artemida i Artemida - odparł Cupido. - Czemu media zawsze muszą nadawać te głupie przydomki?
- Bo dzięki temu lepiej się sprzedają - wyjaśnił Bezuidenhout.
- Ale przecież podało to radio.
- Co jeszcze powiedzieli? - naciskał Griessel.
- Że istnieje podejrzenie, że stoi za tym Artemida, ale niepotwierdzone - sprecyzował Keyter.
- Nasz morderca z sagajem jest czarnoskóry - powiedział Griessel i wreszcie się przymknęli.
- Zrelacjonował im, czego dowiedział się o walce w salonie w Uniondale. - Pozostaje jeszcze kwestia znalezionych wczoraj śladów opon. Medycyna sądowa twierdzi, że facet jeździ pikapem, prawdopodobnie z napędem dwa na cztery. Niewielki to przełom, ale może okaże się pomocny.
- Skupmy się więc... Zobaczył, że Helena Louw kręci głową.
- Kapitanie, nie zgadza się pani?
- Zastanawiam się, komisarzu. - Wstała i podeszła do tablicy na ścianie. W równych rzędkach wisiały na niley wycinki z gazet, podzielone na grupy oznaczone przypiętymi Szpilkami kępkami kolorowej włóczki. - Zebraliśmy materiały na temat medialnych doniesień o ofiarach. - Wycelowwała w tablicę. - O pierwszych trzech pisano we wszystkich gazetach i prawdopodobnie też wspomniano w regionalnym radiu. Po tym, jak dziś rano usłyszeliśmy o Uniondale, przejrzeliliśmy wszystko. - Wbiła palec w jedną z kartek w części oznaczonej czerwoną włóczką. - O tym pisali tylko w „Rapport”.
- Do czego zmierzasz, siostrze? - spytał Cupido.
- Afrykanerski geniuszu. „Rapport” wychodzi po afrykaner-sku. Czarni nie czytają tej gazety - zauważył Bushy Bezuidenhout.
- Kapuję - mruknął Jamie Keyter i od razu dodał: - Przepraszam, Benny.
- Kolorowy. Może to kolorowy - zastanawiał się Griessel.
- Kolorowi wiedzą, jak posługiwać się ostrzem - stwierdził z dumą Cupido.

- W domu podobno było bardzo ciemno - powiedział Griessel.
- W drzwiach stanął Joubert z ponurą miną i gestem ręki wywołał Griessela.
- Przepraszam na chwilę. - Benny wyszedł, zamykając za sobą drzwi.
 - Dostałeś cztery dni, Benny - oświadczył nadinspektor.
 - Komendant? Joubert skinął głową.
 - Jest pod straszną polityczną presją. Więc chociaż podziela moje obawy co do ryzyka, dał ci czas do piątku.
 - Świetnie.
 - Jezu, Benny, nie podoba mi się to. Ryzyko jest ogromne. Jeśli coś pójdzie źle... Jeśli chcesz go sprowokować, musisz roztrąbić to w mediach. Ci z przestępstw zorganizowanych są mocno wkurzeni. Dziecka wciąż nie ma. Za dużo...
 - Matt, będzie dobrze. Popatrzyli sobie w oczy.
 - Będzie dobrze.
- Wziął dziesięciu mundurowych z zespołu zadaniowego, do tego Bezuidenhouta, Cupida i Keytera i w cztery samochody pojechali do domu na Shanklin Crescent w Camps Bay, żeby zbadać teren. Wiedział, że problem stanowi tył domu, przypominający warownię. Przylegał do góry. Owszem, posesji przed intruzami bronił z tamtej strony mur, ale wysoki tylko na niespełna dwa metry -a obszar był rozległy.
- Jeśli przyjdzie tędy i nas zauważy, zwieje... i w tych krzakach go nie złapiemy. Więc ludzie, którzy będą tu leżeli, muszą być niedostrzegalni, a jednocześnie mieć oko na wszystko. Jeśli go zobaczycie, macie pozwolić mu przejść przez mur. Rozumiecie?
- Potaknęli uroczyście.
- Na jego miejscu zszedłbym tędy, z góry. Jest się gdzie ukryć. Ulica to duży problem, łatwo zostać zauważonym i praktycznie od

niej nie można się dostać do domu. Więc większość ludzi rozlokujemy od strony góry.

Sprawdził plan miasta.

- Powyżej biegnie Kloof Nek, prowadzi na Clifton. Albo tam zaparkuje, albo przynajmniej przejedzie tamtędy kilka razy. Który umie obsługiwać kamerę?

Keyter wyrzucił w górę rękę jak gorliwy uczeń.

- Tylko Jamie?

- Ja mogę spróbować - zgłosił się czarnoskóry posterunkowy o czujnych oczach.

- Jak się nazywasz?

- Johnson Madaka, komisarzu.

- Johnson, ty i Jamie macie znaleźć sobie dogodne miejsce do obserwacji drogi. Fotografujcie wszystkie pikapy. Jamie, pogadaj z facetami z dokumentacji, żeby dali wam aparaty. Jeśli napotkasz trudności, zadzwoń do mnie.

- W porządku, Benny. - Keyter ucieszył się z zadania.

Podzielił ich na dwa zespoły - dzienny i nocny. Ustalił, w których punktach ulicy i wzgórza należy obsadzić ludzi. Poprosił Bezuidenhouta, żeby dowiedział się, czy któryś z domów przy ulicy stoi pusty i czy nie mogliby w nim się ulokować.

- Porozmawiam z Cloete. Już dziś wieczorem media powinny zacząć nagłaśniać sprawę. Teraz wszyscy idziecie do domu, ale o szóstej nocna zmiana ma tu być.

Wpadł do biura Jouberta i zastał Cloete oraz nadinspektora w grobowych nastrojach.

- Chcę, Benny, żebyś wiedział, że nie mam z tym nic wspólnego. - Cloete oznajmił mu natychmiast.

- Z czym? - zapytał i Cloete podał mu „Argus”. *Pogoń za Artemidą*

Już lepszego policjanta nie było? Pierwsza strona.

- Nie mają o czym pisać, w tym pieprzony problem - denerwował się Cloete.

Griessel przeczytał artykuł.

„Wysocy rangą oficerowie policji protestują przeciw powołaniu nałogowego alkoholika na szefa zespołu zadaniowego prowadzącego dochodzenie w sprawie mających ostatnio miejsce na półwyspie tak zwanych morderstw Artemidy. Źródło zbliżone do wysokiego dowództwa służby policyjnej nazywa to powołanie poważnym błędem i proszeniem się o kłopoty.

Policjant, o którym mowa, to weteran wydziału przestępstw ciężkich i bandytyzmu, komisarz Bennie Griessel; podobno dwa tygodnie temu został przyjęty do Tygerberg Hospital po przewlekłym ciągu alkoholowym. Rzecznik szpitala potwierdził, że Griessel przebywał w szpitalu, ale odmówił komentarza na temat jego choroby". - Kurwa mać - zaklął Griessel; był w stanie myśleć tylko o reakcji dzieci. - Benny... - zaczął Joubert.

Griessel wiedział, co się zaraz stanie, i nie czekając powiedział:

- Nie zabierzesz mi tej sprawy, nadinspektorze.

- Benny...

- Wykluczone, Matt. Kurwa, wykluczone, nie zdejmiesz mnie.

- Ale daj mi szansę...

- Co to za skurwysyn? - zapytał Griessel Cloete. - Kto im to dał?

- Benny, przysięgam, że nie wiem.

- Benny. To nie moja decyzja. Wiesz, że bym cię nie zdjął, gdyby to zależało ode mnie - perswadował mu Joubert.

- W takim razie idę do komendanta.

- Nie. Masz co robić. Musisz załatwić sprawę z mediami. Ja porozmawiam z komendantem.

- Nie zdejmuj mnie, Matt. Proszę.

- Zrobię, co w mojej mocy. - Ale mowa jego ciała mówiła co innego.

Z trudem koncentrował się na omawianej z Cloete strategii. Chciał wiedzieć, co za gnida sprzedała go prasie. Jego wzrok co chwila padał na leżącą na biurku Cloete gazetę.

Jamie Keyter, znany prasowy donosiciel? Zabiłby go, małe gównno. Ale miał wątpliwości: ta akcja zanadto trąciła polityką, żeby to mógł być Keyter; to zbyt wyrefinowane. Jakaś rozgrywka międzywydziałowa. Zorganizowane przestępstwa musiały zwietrzyć jego plany. To ich podejrzewał. W swoim zespole zadaniowym miał czterech ludzi z przemocy w rodzinie. A w nowej strukturze przemoc w rodzinie podlegała ZO, Bóg wie dlaczego. Czyżby plotki rozsiewała kapitan Helena Louw? Raczej nie ona. Ktoś z pozostałej trójki?

Gdy skończył z Cłoete, pojechał do miasta. Na światłach kupił gazetę i zaparkował w zatoczce przy Caledon Street. Wydział przestępstw zorganizowanych mieścił się w starym biurowcu tuż za rogiem, przy Caledon Square. Kiedy jechał windą na trzecie piętro, czuł, że wściekłość zaraz go rozniesie; uznał, że musi przystopować, bo inaczej wybuchnie. Ale właściwie co za różnica, i tak zamierzają go odsunąć. Murzynkę w recepcji spytał, gdzie znajdzie Boefa Beukesa, na co ona:

- Oczekuje pana?

- Z całą pewnością - odparł jz naciskiem, ściskając gazetę.

- Zapytam, czy może pana teraz przyjąć.

Wyciągnęła dłoń do telefonu, lecz Griessel, który gardził takimi prymitywnymi praktykami, żeby policjanci ukrywali się za sekretarkami jak jacyś dyrektorzy banku, rzucił jej pod nos swoją kartę identyfikacyjną.

- Proszę mi wskazać jego biuro - zażądał. Otworzyła szeroko pełne dezaprobaty oczy.

- Drugie drzwi na lewo.

Poszedł korytarzem. Drzwi były otwarte. Beukes siedział w pokoju w swojej cholernej głupekowatej czapeczce na łbie. Był z nim jeszcze jeden detektyw, w garniturku i pieprzonym krawacie. Griessel rzucił gazetę na biurko przed Beukesem i zapytał:

- To twoi ludzie, Boef?

Beukes spojrzał na niego, po czym na gazetę. Griessel stał, opierając się dłońmi o biurko. Beukes zaczął czytać. Detektyw w garniturze tylko siedział i patrzył na Griessela.

- Aj - syknął Beukes po drugim akapicie. Ale bez specjalnego zaskoczenia.
 - Co za pieprzone „aj”, Boef?! To twoi ludzie? Beukes spokojnie odsunął gazetę.
 - Może usiądziesz na moment, Benny?
 - Nie.
 - Czyżbym kiedykolwiek wbil komuś nóż w plecy?
 - Boef, po prostu odpowiedz: macie z tym coś wspólnego?
 - Benny, obrażasz mnie. Ze starych dni została nas z dziesiątka czy dwunastka. Dlaczego miałbym podkładać ci świnię? Zdrajców powinienś szukać w swoim wydziale. Słyszałem, że po tych wszystkich akcjach afirmacyjnych tworzycie wielką szczęśliwą rodzinę.
 - Jesteś wścikły, Boef, z powodu Sangrenegry. Masz motyw. - Zerknął na spiętą twarz drugiego detektywa.
 - Motyw? - zdziwił się Beukes. - Sądysz, że naprawdę sprawia nam taką różnicę, jeśli parę dni się nim zajmiecie? Według ciebie to cokolwiek dla nas zmienia?...
 - Spójrz mi w oczy, Boef. Spójrz mi w oczy i powiedz, że to nie ty.
 - Rozumiem, że jesteś wkurzony. Też bym był. Ale uspokój się i pomyśl logicznie; czy kiedykolwiek byłem zdrajcą?
- Griessel przyjrzał mu się uważnie. Na twarzy Beukesa zobaczył! całe wieki służby w policji. Przeżyli razem mroczne lata osiemdziesiąte. Związani tym samym układem, karmieni tym samym gównem. Nie, Beukes nie był zdrajcą.
- Griessel siedział z tyłu sali sądowej i czekał na moment, gdy oskarżyciel państwowy powiedział:
- Państwo nie sprzeciwia się kaucji jako takiej, Wysoki Sądzie.
- Obserwował Sangrenegrę i zauważył, jak nagle zeszywniał.
- Ale prosimy o jej najwyższy możliwy wymiar, co najmniej dwa miliony randów. I o zatrzymanie paszportu oskarżonego. Wnosimy również, aby sąd ustanowił nakaz codziennego meldowania

się przed południem na komisariacie w Camps Bay. To wszystko, Wysoki Sądzie.

Sędzia pokoju przesunął na ławie jakieś papiery, coś zapisał, po czym wyznaczył kaucję w wysokości dwóch milionów randów. Prawnik i klient naradzali się szeptem i Benny żałował, że nie słyszy, o czym mówią. Wychodząc z sądu, Sangrenegra obrzucił wzrokiem ławy dla publiczności. Griessel poczekał, aż Kolumbijczyk go zauważy i uśmiechnął się do niego.

Barki Sangrenegry zapadły się, jakby zrzucono na nie wielki ciężar.

Kiedy jechał do lombardu Faizala w Maitland, zadzwonił do niego Tim Ngubane.

- Krew w bmw Sangrenegry to krew dziecka, DNA się zgadza - poinformował.

- Cholera - zaklął Griessel.

- Więc nie możesz spuścić gą z oka, Benny.

- Nie spuszczę - zapewnił i miał ochotę dodać: Jeśli wieczorem sprawa wciąż jeszcze będzie moja.

Zmienił zdanie. - Tim, coś mi się wydaje, że wydział przestępstw zorganizowanych zajmuje się Sangrenegrą dłużej, niż chcą przyznać. Intuicja mi to podpowiada. Właśnie wracam od Beukesa, on coś wie. Coś przed nami ukrywa.

- A jaśniej, Benny?

- Zastanawiam się coraz głębiej, czy nie śledzili Sangrenegry już przed tym, zanim uprowadził dziecko.

Ngubane zamyślił się, po czym powiedział.

- Sugerujesz, że coś wiedzą? O dziecku?

- Nic nie sugeruję. Tylko się nad tym głowię. Mógłbyś spróbować czegoś się dowiedzieć?

Porozmawiaj z kapitan Louw. Jest z przemocy w rodzinie, ale pracuje w moim zespole zadaniowym. Może przejęła się losem dziecka i ona zdoła się czegoś dowiedzieć.

- Benny, jeśli coś wiedzą... Nie, nie wierzę w to.

- Wiem. Ja też mam wątpliwości. Ale popatrz na sprawę z ich punktu widzenia. Na co dzień pieprzą się z nigeryjskimi gangami

rozprowadzającymi krak w Sea Point i nagle wpadają na aferę sto razy większą. Dzięki czemu mogą się poczuć policjantami pełną gębą. Kolumbia. Święty Graal. Magazyn Sangrenegry po dach był zawalony gównianymi dragami. Gdyby trafiło na mnie, gdyby to w moją sprawę ktoś się mieszał, w te pędy poleciałbym do komendanta krajowego i narobił smrodu. A oni siedzą i czekają. Dlaczego? Coś wiedzą. Coś ich powstrzymuje. I, na moje oko, od dłuższego czasu.

- Jeezuu - zawył Ngubane.

- Ale się okaże.

- Porozmawiam z kapitan Louw.

- Tim, numer do tej psychoanalytyk... masz go jeszcze? - zapytał Griessel.

- Tej, która przyjechała z Pretorii? Tej od profili?

- Tak.

- Prześlę ci wizytówkę.

35

Faizal oznajmił mu, że gitara nie jest już na sprzedaż; raper z Blackheath spłacił dług i ją odebrał.

Griessel wyjaśnił, że na razie szuka odtwarzacza płyt kompaktowych, nic specjalnie wyszukanego, czegoś do słuchania muzyki w domu.

- Ma być samochodowy, przenośny czy do wieży? - zapytał Faizal.

Griessel zastanowił się chwilę i zdecydował, że przenośny, ale z dobrym basem.

- Przenośny z głośnikami czy przenośny ze słuchawkami?

W mieszkaniu lepsze byłyby słuchawki. Faizal wyciągnął walkmana Sony.

- To D-NE siedemset dziesięć, odtwarza też MP-trójki, można zaprogramować sześćdziesiąt cztery nagrania, ale najważniejsze

jest to, że ma korektor i podkreślanie basów; jakość dźwięku naprawdę robi wrażenie, sierżancie. Świetne słuchawki. A na wypadek, gdyby ktoś chciał słuchać w wannie i spadł mu z mydelniczki, jest też wodoodporny.

- Za ile?

- Czterysta, sierżancie.

- Jezu, L.L., to rozbój. Nie da rady.

- Sierżancie, to nowiutki sprzęt, z pierwszej ręki, tylko trochę się zleżał. Trzysta pięćdziesiąt.

Griessel wyjął portfel i wyciągnął dwie setki.

- Miej pan wzgląd na moje dzieci, sierżancie - jęknął sklepikarz. - Też muszą jeść.

Stał na ulicy obok samochodu, zę świeżo nabytym odtwarzaczem w ręce, i miał ochotę pojechać prosto do domu, zamknąć drzwi i posłuchać płyty, którą pożyczył mu syn.

Bo go odsuną. Był tego prawie pewny. Sprawa zrobiła się zbyt polityczna, żeby powierzyć ją alkoholikowi. Za duże naciski. Wizerunek służby. Chociaż on i reszta dinozaurów, jak choćby Matt Joubert, używali słowa siła, teraz nazywało się to służbą. Politycznie poprawna, z uregulowanymi procedurami, wykastrowana i osłabła służba, w której alkoholik nie może być dowódcą zespołu. Nie mówiąc już o pieprzonej konstytucyjnej ochronie praw kryminalistów. Niech sobie go odsuwają, niech dadzą ten chrzaniony kram komuś innemu, jednemu z tych młodych Turków, a on popatrzy sobie z boku na rosnący chaos.

Wsiadł do samochodu. Otworzył pudełko z odtwarzaczem, przesunął plastikową klapkę i wcisnął baterie. Nachylił się i wyjął płytę ze schowka. Przejrzał tytuły na okładce. Utwory Antona Goosena w wykonaniu różnych artystów. Nazwiska prawie nic mu nie mówiły. *Waterblommetjies*, Boże, przypominały mu stare czasy. Dwadzieścia lat temu? Nie. Trzydzieści! Sonja Herholdt śpiewała *Waterblommetjies* trzydzieści lat temu, a razem z nią cały kraj. Trochę się w niej podkochiwał. Niejasne nastoletnie pragnienia. Była taka... czysta. Niewinna. Kochająca ludzi, afrykanerska

księżna Di, choć świat nie słyszał jeszcze wtedy o księżnej Di. Miała ogromne oczy, uroczy głos i blond włosy obcięte... nie wiedział, jak nazywał się ten styl, ale w latach siedemdziesiątych był *cool*, choć nikt wtedy nie używał tego słowa w tym znaczeniu.

Miał szesnaście lat. Mieszkał w Parów i to były lata jego dojrzewania płciowego. Myślał tylko o seksie. Niekoniecznie o akcie jako takim, ale o tym, jak w ogóle stworzyć do niego okazję. W latach siedemdziesiątych z panienkami w Parów było to praktycznie niemożliwe. Afrykanerki z klasy średniej, trzymane w żelaznym uścisku zreformowanego kościoła holenderskiego, dziewczyny niezamierzające popełnić tych samych błędów, co ich matki, w najlepszym wypadku zgadzały się na pikantne przytulanki w ostatnich rzędach kina. Jeśli się miało szczęście. Jeśli udało się którąś sobą zainteresować. Ponieważ nie był ani sportowcem, ani tytanem nauki, zaczął grać na gitarze, żeby nie być tylko jeszcze jednym przyszczatym chłystkiem toczącym ze szkołą nieustającą wojnę o długie włosy.

Gdy był w dziewiątej klasie, na jednej z imprez zagrał czteroosobowy zespół, chłopaki w jego wieku z Rondebosch. Niezbyt dobrzy, angielskojęzyczni Souties: perkusista ledwie sobie radził, a gitarzysta rytmiczny znał tylko sześć chwytów. Lecz dziewczynom to nie przeszkadzało. Widział, jakim wzrokiem na nich patrzają. I chciał, żeby tak samo patrzyły na niego. Więc kiedy zespół zrobił sobie przerwę, podszedł do prowadzącego. Powiedział mu, że gra trochę ze słuchu na gitarze akustycznej i na fortepianie, facet poradził mu jednak, żeby przerzucił się na gitarę basową, bo na sześciu strunach i garnkach gra mnóstwo ludzi, ale o basistę trudno.

Zaczął więc się rozglądać i za psie pieniądze kupił instrument od jakiegoś wojskowego z Goodwood, którego ford cortina potrzebował nowych pierścieni. Grać uczył się w swoim pokoju, z pomocą podręcznika kupionego w Bothners przy Voortrekker Road. Rozpuścił wici i marzył, aż któregoś razu usłyszał, że jakiś zespół z BelMlle szuka basisty. Było ich pięciu: gitara solowa, rytmiczna, perkusja, organy i bas. Nie wiedząc, kiedy znalazł się na scenie sali angielskiej podstawówki; grał podkład do *Stealin Uriah*

Heep i śpiewał pieprzony utwór - on, Benny pieprzony Griessel, w przykrótkiej koszulce i ze swą afrykanerską fryzurą, stał przed podłotkami i śpiewał *Take mi across the water', cause I got no place to hide, I done the rancher's daughter and it sure did hurt his pride*, a one wpatrywały się w niego takim właśnie wzrokiem.

Tym spojrzeniom zawdzięczał swoje jedyne seksualne doświadczenie z lat szkolnych. Niestety przegapił fakt, że podczas gdy faceci z zespołu pocą się na scenie, przewagę mają ci, którzy tańczą. A potem zabawa się kończyła i dziewczyny musiały wracać do domu. Ale pozostała muzyka. Głębokie tony strun, spotęgowane przez wzmacniacz, wibrowały w jego wnętrzu. Tak jak świadomość, że jego bas stanowi podstawę każdego utworu, jest fundamentem, od którego solista czy organista może odbiec, ale zawsze musi wrócić do nieugiętej podawanej przez niego linii. Choć już wiedział, że nie będzie wystarczająco dobry, żeby grać zawodowo.

W przeciwieństwie do wykonywania zawodu policjanta. Od początku wiedział, że to rzecz dla niego - tu wszystko się sprzęgało, tak miał okablowany mózg.

A teraz chcieli go odsunąć od śledztwa, więc odłożył odtwarzacz i wyjął telefon, bo zanim to zrobią, on porozmawia z psychologiem. Sprawdzi parę swoich teorii, póki jeszcze czas.

Spotkali się w delikatesach w Mouille Point, bo miała „bzika” na punkcie tego miejsca. Usiedli w ogródku na dworze, przy wysokim, okrągłym stoliczku.

Kapitan Use Brody, jednostka psychologii śledczej, wydział przestępstw ciężkich i bandytyzmu, centrala - przeczytał na wizytówce, którą przed nim położyła. Była po trzydziestce, paliła papierosy, miała ślubną obrączkę na palcu i krótkie czarne włosy.

- Udało się panu, dziś wieczorem lecę z powrotem - oznajmiła. Zrelaksowana, pewna siebie.

Przyzwyczajona do świata mężczyzn, z którymi pracowała.

Pamiętał ją. Zaliczał kurs, który prowadziła jakieś dwa, trzy lata temu. Nie wspomniał o tym, bo czy był wtedy trzeźwy?

Zamówili kawę. Poprosiła dodatkowo o polane czekoladą płaskie ciastko na orzechowym spodzie, o włoskiej nazwie, której nie dosłyszał.

- Słyszała pani o morderstwach z sagajem? - zapytał.

- Wszyscy tutaj o nich rozprawiają, ale nie znam szczegółów. Słyszałam, że media podejrzewały z początku, że to kobieta. - To nie może być kobieta. Broń, sposób działania, wszystko...

- Jest jeszcze inny powód.

- Jaki?

- Dojdę do tego. Najpierw proszę mi wszystko opowiedzieć. Opowiedział. Podobało mu się skupienie, z jakim słuchała.

Zaczął od Davidsa i skończył na Uniondale. Wiedział, że powinna poznać szczegóły dotyczące miejsca zbrodni. Powiedział jej wszystko, co sam wiedział. Nie wspomniał tylko o dwóch sprawach: pikapie i o tym, że podejrzany może być czarny.

- Hm - zamyśliła się, obracając w prawej ręce zapalniczkę. Miała małe dłonie. Przypominały mu dłonie starych osób. Na skroniach między czarnymi włosami dostrzegł nitki siwizny. - Fakt, że do konfrontacji dochodzi w domach ofiar, jest interesujący. Pierwszy wniosek nasuwa się taki, że facet jest inteligentny. Powyżej przeciętnej. Zdecydowany. Uporządkowany. Zorganizowany. I odważny. Griessel potaknął. Zgadzał się z odwagą, ale stwierdzenie, że jest inteligentny, go zaskoczyło.

- Trudno będzie ustalić zawód. Nie robotnik, na to jest za mądry. Ma zawód, który daje mu swobodę poruszania się, nie musi się nikomu opowiadać, jak spędza czas. Może pojechać do Uniondale i nikt nie zadaje mu pytań. Handlowiec? Prowadzi własny biznes? Pewnie jest wysportowany. I silny. -

Wyjęła papierosa z białej paczki z czerwonym kwadratem i włożyła do ust. Griesse-lowi podobały się jej usta. Zastanawiał się, jak na nią wpływa jej praca, szkicowanie umysłem portretu podejrzanego na podstawie okropnych szczegółów śmierci. Czy to powołanie?

- To biały. Trzy białe ofiary w białych dzielnicach. Trudno by mu było, gdyby nie był biały. - Zapaliła papierosa.

Właśnie, pomyślał.

- Według mnie jest po trzydziestce. - Zaciągnęła się i wypuściła długą białą smugę. Było bezwietrznie w tej okolicy osłoniętej przez górę od zawsze wiejącego południowo-wschodniego wiatru. - Ale najważniejsze pytanie, to dlaczego posługuje się sa-gajem. I dlaczego zabija.

Zastanawiał się, dlaczego takie wrażenie robią na nim jej usta. Żeby się>skoncentrować, skupił wzrok na jej czole.

- Mam na jego temat dwie teorie. Albo próbuje przekonać was, że nie jest biały, zbić was z tropu. Albo szuka medialnego rozgłosu. Próbował się w jakiś sposób kontaktować ze środkami przekazu?

Griessel pokręcił głową.

- W takim razie przyjąłabym pierwszą opcję. Ale to zgadywanka. ¹

- Dlaczego po prostu ich nie zastrzelił? Ta zagadka nie daje mi spokoju.

- Sądzę, że to wiąże się z tym, dlaczego zabija - powiedziała i znów się zaciągnęła. Paliła jak mężczyzna, pewnie dlatego, że najczęściej paliła w towarzystwie facetów. - Zdecydowanie można wykluczyć, że sam był molestowany albo wykorzystywany seksualnie. Wskazuje na to sposób działania i traktowania ofiar. To kolejny powód, by uznać, że to mężczyzna. Skrzywdzeni mężczyźni, wykorzystywani czy molestowani seksualnie, pragną to samo zrobić innym. Kobiety nie. Jeśli skrzywdzono je w młodym wieku, nie robią tego innym. Tylko sobie. Dlatego to nie kobieta. Celem skrzywdzonego mężczyzny są dzieci. Natomiast nasz sprawca prześladowa krzywdzących. I jest silny psychicznie. Na tej podstawie twierdzę, że można sensownie założyć, iż ofiarą było jego dziecko. A przynajmniej bliski członek rodziny. Może młodsza siostra albo brat. Prywatna wojna. Samozwańczy odwet w najczystszej postaci. Rzadkie zjawisko. Gdy w naszym kraju dochodzi do czegoś takiego, zazwyczaj takich czynów dokonuje grupa o specyficznej dynamice.

- A sagaj?

- Muszę przyznać, że sagaj to dla mnie problem. Zastanówmy się, na czym polegają istotne różnice między zadżganiem kogoś a zastrzeleniem. To pierwsze jest o wiele bardziej osobiste. Intymne i bezpośrednie. Co pasuje do osobistej straty: przez to sprawca ma poczucie, że sam egzekwuje karę. Niweluje dystans między nim a ofiarą, ten człowiek nie działa w imieniu grupy, tylko własnym. Ale to samo mógłby zrobić nożem. Ponieważ jednak jest bystry, wie, że użycie noża może skończyć się jatką. Nóż jest poza tym mniej skuteczny. A on chce szybko wykonać zadanie. Nie kieruje nim patologiczna chęć oglądania trupów. Nie zostawia wiadomości. Lecz kto wie, może za pomocą sagaju pragnie zastraszyć ofiary; może jest to narzędzie zdobycia natychmiastowej kontroli, żeby szybko zrobić swoje. Rozważam tylko teoretycznie, bo nie mogę mieć pewności. - Zgasiała papierosa w małej szklanej popielniczce.

Powiedział jej, że też myślał, że podejrzany jest biały. I nadal tak sądzi, ale istnieją kontrdowody.

Opowiedział jej o Union-dale i o tym, że artykuł o maltretowanym dziecku ukazał się tylko w „Rapport”. Zanurzyła czubek palca w jasnobrązowych okruszkach i je zlizwała. I jeszcze raz.

Zastanawiał się, czy ona zdaje sobie sprawę z erotycznego podtekstu tych gestów, po czym zdziwił się, że w ogóle myśli o seksie, a na koniec oświadczył:

- Jeśli to czarnoskóry, to tym gorzej.

Palec trzeci raz powędrował do talerzyka i do ust, więc Benny znów na nie spojrzął. Jeden ząb, górny kieł, był lekko krzywy.

- Położyłabym większy nacisk na inteligencję i motywację. Rzucają nowe światło na ten przypadek. Mówimy o symbolach, tradycyjnych wartościach i tradycyjnej sprawiedliwości. To człowiek wyrafinowany, w mieście czuje się swobodnie. Nie jest wiejskim chłopem: nikt nie widział, jak dokonał egzekucji trzech białych, co w białym otoczeniu dowodzi niezłych umiejętności. Czyta afrykanerskie gazety. Wie, że policja prowadzi przeciw niemu śledztwo. Być może dlatego pojechał do Uniondale. Żeby podzielić waszą uwagę. Nie wolno go panu nie doceniać.

- Jeśli to naprawdę czarny. Skinęła głową.

- Mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe. - Spojrzała na zegarek. - Muszę się zbierać - oznajmiła i otworzyła torebkę.

Szybko poinformował ją o planach wobec Sangrenegry i zapytał, czy jej zdaniem zasadzka poskutkuje. Wyjęła portfel.

- Lepiej byłoby, gdybyście mogli zastawić pułapkę poza Kapsztadem. Tutaj czuje ciśnienie.

- Ja zapłacę - zaproponował. - Ale sądzi pani, że się zjawi? Wyjęła dziesięć randów.

- Zapłacę połowę. - Włożyła banknot pod spodeczek z rachunkiem. - Zjawi się. Jeśli dobrze rozegra pan sprawę ze środkami przekazu, to się zjawi.

Wybrał drogę wzdłuż wybrzeża, bo chciał jeszcze raz pojechać do Camps Bay. Zauważył, że w Green Point powstają nowe budynki. Duże bloki w trakcie budowy, obwieszane wielkimi tablicami reklamowymi, romantycznie zachwalającymi gotowy produkt. Za półtora miliona randów. Ciekawe, czy pomogą odżyć tej części miasta. I co się stanie z bezdomnymi włóczęgami, którzy gnieźdzą się w komunach kawałek dalej w głąb lądu? I starymi, rozpadającymi się budynkami, obłazącymi z farby, w których wynajmuje się pokoje na godziny?

Co przypomniało mu Christine van Rooyen. Powinien uprzedzić ją o ich planach, ale bardzo zważając na słowa.

Jechał wzdłuż Coast Road i przez Sea Point, które tu, nad samym morzem, wyglądało znacznie lepiej. Ale wiedział, że to tylko fasada - dalej w głąb lądu zżerały je erozja i rozpad, było płataniną brudnych uliczek i ciemnych zaułków. Zatrzymał się na światłach i zauważył rusztowanie na stojącym nad morzem budynku. Zastanawiał się, kto wygra tę wojnę Europy przeciwko Afryce - bogatych Brytyjczyków i Niemców przeciw nigeryjskim i somalijskim sieciom narkotykowym, której odsunięci na dalszy plan mieszkańcy Afryki Południowej przypatrywali się z pozycji widza. Jej wynik zależał od ilości wpakowanych tu pieniędzy. Jeśli Europejczycy wpakują ich wystarczająco dużo, pieniądze wygrają i przestępcy

będą musieli się wynieść, pewnie do południowych dzielnic podmiejskich albo do Cape Flats. Lepiej, żeby wygrała Europa, bo widok był oszałamiający. To właśnie dają pieniądze. Pozwalają zagarnąć piękno dla siebie. A policjantów wyrzucają do Brackenfell.

Na rondzie skręcił w lewo w Queens, potem w prawo w Victoria, wzdłuż wybrzeża i Bantry Bay. Obok domów stały rzędem maserati, porsche i bmw X5. Nigdy nie czuł się tu jak u siebie. To był inny kraj.

Clifton. Przez ulicę przechodziła kobieta z dwójką małych dzieci. Niosła dużą plażową torbę i złożony parasol. Była w samym bikini, wokół bioder zawiązała chustę, ale ledwie się na nich trzymała.

Kobieta była wysoka i ładna, z długimi brązowymi włosami do ramion. Popatrzyła na drogę za nim.

Jego samego, w średniej klasy policyjnym wozie, zdawała się nie dostrzegać.

Pojechał do miejsca, gdzie Lower Kloof Street skręcała w lewo, po czym wjechał w uliczkę, która, zawracając, prowadziła do Round House. Przejechał tam i z powrotem trzy razy, próbując ocenić wzrokiem okolicę. Podejrzany nie mógł tu zaparkować, byłby zbyt widoczny. Będzie musiał przejść kawał na piechotę albo z góry, ze Wzgórza Sygnałowego, albo dołu. Z dołu lepiej, bo po rozprawieniu się z Sangrenegrą tak będzie mu łatwiej.

A może postanowi przyjść inną drogą? Zaryzykuje i wybierze ulicę?

Jest odważny, powiedziała Ilse Brody. Odważny i mądry.

Zadzwoił do Bushy'ego Bezuidenhouta i zapytał, gdzie jest. Bushy poinformował go, że znaleźli dom prawie naprzeciw domu Sangrenegry. Należy do mieszkającego za granicą Włocha. Agent nieruchomości dał im klucze, zakazał tylko palenia papierosów w środku. Griessei powiedział, że już do nich jedzie.

Jego komórka zadzwoniła prawie natychmiast.

- Griessei.

- Benny, tu John Afrika. Komendant. Cholera, pomyślał.

36

Musiał wziąć prysznic, najeść się i wyspać.

Thobela przejeżdżał przez George York Street, gdy dostrzegł Protea Forrester's Lodge. Nazwa nic mu nie mówiła. Zaparkował przed budynkiem, położył dłoń na torbie i wtedy właśnie spiker w radiu zaczął mówić o Kolumbijczyku i dziecku. Słuchał z jedną dłonią zaciśniętą na rączkach torby, drugą na zamku drzwi, z oczyma utkwionymi w drzwiach hotelu.

Po wysłuchaniu wiadomości jeszcze trzy albo cztery minuty siedział nieruchomo, w końcu puścił rączki, włączył silnik i wrzucił wsteczny bieg. Zawrócił York Street, skręcił w prawo w C.J.

Langenhoven Street i skierował się na Outeniqua Pass.

Policjanci, którzy mieli pilnować drzwi domu Christine van Rooyen, zniknęli. Griessel zapukał przekonany, że pewnie są w środku.

- Kto tam? - Usłyszał cichy głos kobiety. Podał nazwisko. Strażników tam nie było, bo inaczej by nie odpowiedziała. Pierwsze, co zobaczył, gdy uchyliła drzwi, to jej twarz. Nie wyglądała najlepiej: blada, oczy zapuchnięte.

- Proszę wejść. - Choć nie było zimno, jej zgarbione ramiona okrywał sweter. Podejrzewał, że przeczuwa, iż nie zobaczy już swojej córki. Usiadła na łóżku. W ściszonej telewizorze leciała opera mydlana. Tak zabija czas?

- Wie pani, że zgodzono się na kaucję? Skinęła głową.

- I że my to załatwiliśmy?

- Powiedzieli mi. - Jej głos był wyprany z emocji, jakby niewiele ją to obchodziło.

- Sądzymy, że Sangrenegra zaprowadzi nas do Soni. Christine wpatrywała się w ekran, na którym kłóciła się jakaś

para.

- To prawdopodobne. Pomagają nam psycholodzy kryminalni. Twierdzą, że są duże szanse, że nas do niej doprowadzi - ciągnął.

Spojrzała na niego. Wie, pomyślał. Już wie.

- Napije się pan kawy? - zapytała.

Zawahał się. Był głodny. Od śniadania nic nie miał w ustach.

- Może pójdę i kupię coś do jedzenia? Coś na wynos?

- Nie jestem głodna.

- Kiedy pani ostatnio jadła? Nie odpowiedziała.

- Musi pani jeść. Co mogę pani przynieść? Chociaż coś małego.

- Cokolwiek. Wstał.

- Pizzę?

- Proszę poczekać. Weszła do kuchni. Do drzwi dużej lodówki przypięto magnesem menu Mr Delivery. - Sami przywiozą - powiedziała, przyniosła mu kartkę i usiadła. - Nie chcę zostawać sama.

- Gdzie są ci dwaj policjanci sprzed drzwi?

- Nie wiem. Przerzucił menu.

- Na co ma pani ochotę?

- Wszystko jedno. Byle bez czosnku i cebuli. - I dodała po chwili. - Nieważne, naprawdę wszystko jedno. Wyjął telefon komórkowy, zadzwonił i złożył zamówienie. Zapytany o adres, zawahał się, ale szybko mu pomogła. Potem powiedział, że musi zadzwonić w służbowej sprawie, i zapytał, czy może wyjść na balkon. Skinęła głową. Rozsunął drzwi i wyszedł. Wiał wiatr, więc zamknął za sobą drzwi i wybrał numer Ngubane. - Tim, wiesz, że ludzie z przestępczości zorganizowanej nie chronią już matki? - Nie. Nie byłem dziś u niej. Dzwoniłem, ale nic mi nie powiedziała.

- Jezu, co za idioci.

- Może uznali, że nic jej już nie grozi.

- Albo że to już nie ich problem.

- Co możemy zrobić?
- Nie mam wolnych ludzi. Cały mój zespół jest zajęty w Camps Bay.
- Pogadam z nadinspektorem.
- Dzięki, Tim.

dopatrzył na miasto. W oknach hoteli na Strand odbijały się ostatnie promienie słońca. Nic jej nie grozi? Jego zespół śledził Sangrenegrę. Czterej kolesie Carlosa siedzieli w mamrze.

Boef Beukes będzie wiedział, ilu ludzi ma Sangrenegra. Ilu z nich nie mieszka na Camp Bay. Musi być ich więcej. Siatka dilerów, asystenci, pomagierzy: nie da się w piątkę prowadzić operacji narkotykowej. Zadzwoił do SVC i poprosił do telefonu kapitan Helenę Louw. Połączyli go; zapytał ją, czy zna numer komórki Boefa Beukesa.

- Chwileczkę - powiedziała. Wróciła i podała mu numer.
- Dziękuję,, pani kapitan. - Można jej zaufać? Skoro podlega pod przestępstwa zorganizowane? W stosunku do kogo jest lojalna? Zadzwoił do Beukesa.
- Tu Benny, Boef. Czemu odwołałeś ochronę Christine van Rooyen.
- Teraz to twoja broszka.
- Jezu, Boef, nie wydaje ci się, że mogłeś nas uprzedzić?
- A ty nas uprzedzałeś? Gdy postanowiłeś doprowadzić do tego, żeby puścili Carlosa za kaucją? Miałeś na tyle przyzwoitości, żeby to z nami uzgodnić?
- Wisi wam jej bezpieczeństwo?
- To kwestia obsady. - Ale w jego głosie było co dziwnego. Kłamał.
- Pieprzenie - warknął Griessel.

Skończył rozmowę i stał z telefonem w ręku, myśląc, że na tym właśnie polega problem z pieprzoną służbą, zazdrość, konkurencja, każdy zważa tylko na pieprzoną PPE, wszystkich ocenia się na podstawie Procedury Poprawy Efektywności i wszystkich trzyma za jaja. Teraz sami wbijają sobie nawzajem nóż w plecy.

Gdy jechał do Christine van Rooyen, zadzwonił do niego komendant John Afrika. Benny, jesteś trzeźwy? - zapytał. Odparł, że tak, komendancie, na co John Afryka: I dalej będziesz trzeźwy? Odparł: Tak, komendancie. Afrika oświadczył, dorwę tych gazetowych informatorów, Benny. Matt Joubert powiedział mi, że jesteś najlepszym z jego ludzi. Powiedział, że odstawisz alkohol, i mnie to wystarczy, Benny, słyszysz? Będę stał za tobą i poinformuję o tym gazety. Ale, do diaska, Benny, jeśli wykręcisz mi numer...

Jeśli wykręci numer komendantowi, to PPE komendanta będzie gówniana.

Ale doceniał fakt, że go popiera. Kolorowy. Był na łasce kolorowego, który w dawnych czasach musiał przełknąć tyle gówna od białych. Czy John Afrika mógł wtedy liczyć na najmniejsze choćby zrozumienie?

Nie wykręcę panu numeru, komendancie, zapewnił. W takim razie rozumiemy się, Benny. Chwila ciszy; John Afrika westchnął i wyznał: To podgryzanie się doprowadza mnie do szału. Nie umiem się w tym połapać.

Griessel wrócił myślą do rozmowy z Beukesem. Przystępczość zorganizowana coś knuła. Czuł to. Dlatego poszli do gazet. Dlatego cofnęli ochronę.

Ale co?

Otworzył zasuwane drzwi; nie mógł w nieskończoność tkwić na balkonie.

Zanim wszedł, chowając telefon, próbował wejść w skórę Bo-efa Beukesa. Wreszcie zrozumiał i go zmroziło. Ich przynętą była Christine van Rooyen. Wykorzystywali ją jako zasadzkę. Ale na kogo? Na Sangrenegrę? Przypomniawszy sobie wizytę w biurze Beukesa. I tego detektywa w garniturze i krawacie. Nikt się już tak nie ubierał. Kto to, do licha, był? Należał do Skorpionów, specjalnej jednostki oskarżyciela publicznego?

Nieemożliwe. Beukes i spółka prędzej pocięliby sobie nad kibelem nadgarstki niż współpracowali ze Skorpionami.

Uświadomił sobie, że Christine wstała i go obserwuje.

- Wszystko z panem dobrze?

- Tak - odparł.

Ale czy z nią wszystko będzie dobrze?

Późnym parnym popołudniem letniego dnia na wyżynie High-veld, na stacji benzynowej przy New Road łączącej Old Pretoria Road i Sixteenth Avenue w Midrand, pod Quickshop zatrzymało się kradzione bmw 320 d. Wysiedli z niego John Khoza i Andrew Ramphele. Otworzyły się przed nimi automatyczne szklane drzwi i podeszli jak gdyby nigdy nic do lady w głębi sklepu.

Gdy Ramphele zamawiał dwa hamburgery z kurczakiem, Khoza zlustrował narożniki dużego pomieszczenia. Zauważył tylko jedną kamerę - na ścianie wschodniej, naprzeciwko kasy.

Wyszeptał coś do Ramphele, który pokiwał głową.

Kiedy czekali na pizzę, zadzwonił telefon Griessela.

- Benny, szef mówi, że możemy przyznać jej ochronę dla świadka, ale chwilę potrwa, nim się to załatwi - powiedział Ngubane.

- Jaką chwilę?

- Pewnie nie wcześniej niż jutro. Nic więcej nie da się zrobić.

- W porządku, Tim. Dzięki.

- A co z dzisiejszą nocą? Co zamierzasz?

- Coś wymyślę.

Khoza zaczął czekać, aż ostatni klienci zapłacą i wyjdą. Wtedy podszedł do kobiety za kasą, wepchnął rękę pod dzinsową kurtkę, wyciągnął pistolet i przystawił go do skroni kobiety.

- Otwieraj, siostrzyczko, i dawaj kasę - rozkazał. - Nic ci się nie stanie.

- Muszę dziś spać na pani kanapie - oświadczył Griessei. Christine spojrzała na niego i skinęła głową.

- Jutro otrzyma pani ochronę dla świadka. Organizujemy to, ale to zajmie trochę czasu.

- Co to oznacza? - zapytała.

- Zależy.

Rozległo się pukanie do drzwi. Griessel wstał i wyjął służbową Z 88.

- Pewnie przywieziono nasze pizze - powiedział.

Toyota mikrobus jednostki zadaniowej Południowoafrykańskiej Służby Policyjnej zatrzymała się przy stacji benzynowej, żeby zatankować. Jadących nią dziewięciu policjantów zdrętwiało od długiego siedzenia i chciało im się pić. Ostatnią okazję do rozprostowania kości mieli w Louis Trichardt. Wysiedli wszyscy. Młody czarny posterunkowy, snajper zespołu, wiedział, że to jego obowiązkiem, jako najmłodszego, jest zebranie zamówień na napoje chłodzące.

- Czego się napijecie? - zapytał.

Wtedy właśnie z Quickshop wyszli dwaj faceci, obaj z pistoletami w jednej ręce i plastikowymi torbami w drugiej.

- Hej! - zawołał snajper i jego dłoń chwyciła trzymaną w kaburze na biodrze broń.

Pozostałych ośmiu członków jednostki zadaniowej spojrzało instynktownie w stronę, w którą patrzył posterunkowy. Przez chwilę nie wierzyli własnym oczom. Przez bardzo krótką chwilę.

- Powiedziała pani, że nie chce zostać sama. Dlaczego? - zapytał Griessel, ale Christine miała usta pełne pizzy i najpierw musiała ją przeżuć.

- Jest pan pierwszą osobą, którą dzisiaj widzę - odparła wreszcie.

Widział, że walczy z napływającymi łzami.

Zrozumiał. Wyobraził sobie jej dzień. Jej dziecko zaginęło, prawdopodobnie nie żyje. Straszny niepokój i wątpliwości. I pewnie strach, bo zniknęła ochrona. A ona sama, w czterech ścianach pokoju.

- Przepraszam.

- Nie ma za co. To moja wina. Tylko moja.

- Jak pani może tak mówić? Zamknęła oczy.

- Gdybym nie była dziwką, nigdy bym go nie spotkała. Pierwszą rzeczą, która wpadła mu do głowy, to spytać, dlaczego została dziwką.

- To nie działa w ten sposób - stwierdził.

Ale tylko pokręciła głową, nie otwierając oczu. Chciał wstać, podejść do niej i otoczyć ją ramieniem. Nie ruszył się.

- To problem psychiki - ciągnął. - Często mamy z tym do czynienia. Ofiary albo ich rodziny obwiniają siebie. Nie można brać na siebie odpowiedzialności za zachowanie innych.

Nie zareagowała. Spojrzał na pizzę na stojącym przed nim talerzu, odsunął go i wytarł ręce w papierową serwetkę. Przyjrzał się Christine. Była w dżinsach. Siedziała w fotelu na podwiniętych bosych stopach. Długie jasne włosy na wpół zakrywały jej twarz. Co więcej może jej powiedzieć? Co jemu ktokolwiek mógłby powiedzieć, gdyby chodziło o jego dziecko?

- Tak naprawdę przyszedłem pani o czymś powiedzieć. Otworzyła oczy.

- Nie chcę słyszeć złych wieści.

- Nie sądzę, że to złe wieści. Tylko coś, co chyba ma pani prawo wiedzieć. Słyszała pani o sprawie Artemidy? Gazety się o niej rozpisują.

Gwałtownie odrzuciła z twarzy włosy.

- Tak. I chciałabym, żeby się zjawił i zabił Carlosa. - W jej głosie była nienawiść, którą w zupełności rozumiał.

- To ja prowadzę tę sprawę. Faceta z sagajem. Chcę użyć Carlosa, żeby go złapać.

- Jak?

- Wiemy, że wybiera ofiary, kiedy piszą o nich środki przekazu. O ich przestępstwach. Dziś podaliśmy mediom dużo informacji o Carlosie. O tym jak... uprowadził Sonię. O tym, że handluje narkotykami. Sądzymy, że go tym zwabimy.

- I co potem?

- To jeszcze jeden powód, dlaczego bacznie obserwujemy Carlosa.

Nie odpowiedziała od razu. Zmrużyła oczy i zacisnęła wargi. Próbował odczytać myśli z jej twarzy.

- A więc nie chodzi o Sonię - wydusiła.

- Chodzi. Wszystko wskazuje na to, że on nas do niej zaprowadzi. - Starał się brzmieć jak najbardziej przekonująco, ale czuł się winny. Powiedział Sangregrze, co zamierzają. Dziś rano w sądzie popatrzył mu w oczy i wzmocnił przekaz: jesteś przynętą. Był pewien, że Carlos nigdzie ich nie zaprowadzi, bo wie, że śledzi go policja. Szanse, że Kolumbijczyk doprowadzi ich do Sonii były zerowe.

- Nie wierzę panu.

Czyżby po tonie jego głosu poznała, że skłamał?

- Mój czarnoskóry kolega rozmawiał dziś rano z panią psycholog. Powiedziała, że tacy jak Carlos wracają do swoich ofiar. Daję pani słowo. To prawda. Szansa. Możliwość. Nie mogę przysiąc, że zdarzy się na pewno, ale to możliwe.

Jej twarz zmieniła się, złagodniała. Ona zaraz się rozplacze, pomyślał.

- To możliwe - powtórzył. Ukryła twarz w dłoniach.

- Zostawcie go. Pozwólcie mu zabić Carlosa. - Jej plecami wstrząsnęło łkanie. To było ponad jego siły. Poczucie winy i litość kazały mu do niej podejść. Położył rękę na jej ramieniu.

- Rozumiem panią. Pokręciła głową.

- Też mam dzieci - wyszeptał i odetchnął, wciągając w płuca słaby zapach jej potu i perfum.

Usiadł na poręczy fotela. Poklepał Christie pocieszająco po szyi. Zrobiło mu się głupio, bo się wzdrygnęła.

- Rozumiem - powtórzył.

Poruszyła się i poczuł, że jej ciało się poddaje; oparła się o niego. Objęła ramieniem jego biodro i płakała.

37

Wiele myśli przemknęło mu przez głowę, gdy leżała skurczona pod jego ramieniem. Po raz pierwszy od czasu, gdy Anna go wyrzuciła, ogarnęło go coś w rodzaju spokoju.

Rozejrzał się po mieszkaniu. Salon i kuchnia stanowiły jedno duże pomieszczenie, przedzielone białą melaminową ladą. Za jego plecami korytarzyk prowadził na prawo. Do sypialni? Zauważył okazałą lodówkę i duży płaski ekran telewizora. Nowy. Na lodówce pod magnesami wisiały dziecięce kolorowe rysunki zwierząt. Krokodyl, nosorożec i lew. Spostrzegł też ekspres do kawy, błyszczący chromem, z mnóstwem dziobków i gałek. Ale krzesła przy ladzie były porysowane, fotel w salonie też stary i wytarty. Dwa światy w jednym.

O ścianę po jego lewej stronie oparto obraz. Duży i oryginalny. Wiejski lańdszaft, w dali niebieska góra, na pierwszym planie zielona dolina, porośnięta wysoką bujną trawą. Po trawie biegła dziewczyna. Krajobraz przytłaczał jej postać, była tylko małą plamką po lewej stronie, mimo to Benny mógł dostrzec rozwiane w biegu jasne włosy. Kilka kroków przed nią leciał czerwony balonik ze zwisającym sznurkiem, wążutką, ledwie widoczną czarną nitką na tle niebieskich gór.

Dziewczyna wyciągała do niego rękę. Trawa za nią falowała. Pewnie od wiatru. To on wyrwał jej z ręki balonik. Griessel zastanawiał się, czy biegnie wystarczająco szybko, żeby go dogonić.

Poczuł, że członek mu nabrzmiwa.

Christine nie mogła tego wyczuć, bo dotykali się górnymi częściami ciała. Oddychała teraz ciszej, ale nadal zasłaniała twarz.

Skrzyżował nogi, chcąc ukryć erekcję. Nic nie mógł na to poradzić; tyle rzeczy tu na niego działało. Świadomość, że seks to jej praca. Była atrakcyjna. I krucha. Skrzywdzona. Wszystko razem poruszyło w nim jakąś strunę. Jego rozum dokonał szybkiego rozeznania i wysłał prymitywny rozkaz: skorzystaj z okazji, chwila jest doskonała. Wiedział, że tak właśnie reaguje. On - i inni męż-

czyżni. Również ci psychicznie chorzy, którzy postrzegają w takich sytuacjach coś więcej niż prostą okazję do seksualnego podboju. Jak seryjni mordercy. Wyszukują dla swoich ponurych czynów słabe, łatwe cele. Często właśnie prostytutki. Nie zawsze rozmyślnie, z premedytacją i z góry zaplanowaną strategią. Instynktownie. Gdzieś w obszarach pamięci z okresu prealkoholicznego obudziło się coś, co sobie wypracował. Był dobrym policjantem, bo dzięki samowiedzy rozumiał innych. Umiał spożytkować własne słabości, własne lęki i instynkty, gdyż je znał. Mógł je wyolbrzymić, przekręceniem gałki wyobraźni wzmocnić do poziomu, na którym kazały innym ludziom popełniać morderstwa czy gwałty, kłamać albo kraść. Gdy tak tam siedział, zdał sobie sprawę, że to jeden z powodów, dla których zaczął pić. Ponieważ powoli uświadomił sobie, że jest taki jak oni, a oni są tacy jak on, że nie jest od nich lepszy. Choćby to, jak poczuł się wczoraj wieczorem albo przedwczoraj, nie pamiętał kiedy, gdy w wyobraźni zobaczył Annę i jej młodego, wyimaginowanego kochanka: zazdrość pstryknęła złą ręką we włącznik i chciał strzelać. Gdyby ich przyłapał i miał na biodrze swój służbowy pistolet, strzeliłby sukinsynowi prosto między oczy, kurwa, bez dwóch zdań. Ale to nie był główny powód, dla którego pił. Nie. Ani jedyny. Były inne. Duże i małe. Teraz zaczął to wszystko jasno widzieć. Nieociosany kamień, czyli on, oszlifowany został w tysiąc faset i Benny miał już takiego pecha, że ostateczny kształt tak doskonale pasował do pijaństwa. To, jakim był, rodziło konsekwencje. Sposób, w jaki cieniutka elektryczna przedza jego mózgu tworzyła połączenia, niósł implikacje. Dzięki niemu patrząc na scenę kryminalną, widział to, co widział, i budziło się w nim pragnienie polowania. Wielkie pragnienie. Jego mózg doświadczał uzależniającej przyjemności. Ale ta sama elektryczna sieć sprawiała, że pił. Polowanie i poszukiwanie oznacza konieczność bycia przygotowanym na to, by spojrzeć śmierci w oczy. A jeśli śmierć człowieka przeraża? Wtedy pije, bo nie może sobie inaczej poradzić. A jeśli pije długo, alkohol tworzy własną elektryczną pajęczynę, własne myśli i własne

uzasadnienia. I nakłada na oczy grube szkła, przez które patrzy się na siebie i świat.

Co z tym zrobić? Co zrobić z drugą stroną monety, konsekwencjami, które marnowały człowiekowi życie? Odejść z policji i jeździć wieczorami po ulicach Brackenfell białą toyotą tazz Chubb Security i wsuwać ludziom w drzwi kartki z ostrzeżeniami? Zostawili państwo otwarte okna. Wyłączył się państwa alarm. Czy usiąść w galerii handlowej przed jednym z małych czarno-białych ekranów telewizji przemysłowej i patrzeć, jak wypindrzone mamuśki wydają pieniądze tatuśków?

I już nigdy nie polować i umrzeć w środku.

Nagle poczuł rozpacz, jak ktoś złapany w pułapkę labiryntu. Musi zająć myśli czymś innym - opierającą się o niego kobietą i faktem, że ona zaspokaja potrzebę bycia przytulany. Potrzebę dotyku. Rosł w nim, od kiedy wyrzucono go z własnego domu.

Zastanawiał się nad nią.

Dlaczego uznała, że musi zostać dziwką? Afrykanerka. Nie piękna jak modelka. Raczej atrakcyjna, seksowna.

Wszystkie kobiety noszą w sobie ten potencjał? Drzemie w ukryciu, czekając na właściwy splot okoliczności? Czy też, jak jego własne wypolerowane do połysku fasetki, odpowiadają jedynie konkretnemu połączeniu kątów i powierzchni?

Nie musiał dziś wieczorem do niej wpadać. Lecz to pragnienie cały dzień czało się w głębi jego umysłu: chciał zajrzeć.

Czy to tylko zbieg okoliczności, że jadąc tutaj, tak wyraźnie przypominał sobie swoje pierwsze seksualne doświadczenie? I zastanawiał się jednocześnie, jak oddziałują na siebie alkohol i pamięć.

Oczami wyobraźni ujrzał zanurzone w brandy synapsy: gdy trzeźwiał, poziom trunku opadał systematycznie i podobnie jak wysychająca rzeka odsłaniał stare, zardzewiałe wspomnienia.

Nie wszystkie były przyjemne, ale skupił się na tych najdawniejszych: dziewczyna ze złotym łańcuszkiem na szyi z wypisanym złotymi literami imieniem: „Yvette”. Nosiała dżinsy, koszulkę w poprzeczne białe i niebieskie pasy i używała zbyt mocnych perfum. Ale pachniały niebiańsko.

Dziś po południu przypomniał sobie dziwne szczegóły. Z okazji szesnastych urodzin synalka jakiegoś znanego bogacza, w We-lgemoed naprzeciw Tygerberg urządzono koncert. Rozstawili sprzęt nad basenem kąpielowym, na importowanych ceramicznych kafelkach. Nadziany kretyn przyłaził bez przerwy i pytał: Podłożyliście gumy pod nóżki bębnow? Gdy odszedł wystarczająco daleko, perkusista powiedział: Założyłem gumę na nóżkę dla twojej córki - i wszyscy się roześmiali. Forsiasty dupek, jeden z tych, co to ubierają się, jakby też niezmiennie mieli szesnaście lat, zatrzymał się przy nim i zapytał: Co powiedziałaś? Perkusista odparł: Że się zabezpieczyłem - ale z uśmiechem. Bogacz stał tam, wiedząc, że robią sobie z niego jaja, ale niewiele mógł na to poradzić. Gdy zaczęli grać, zjawiała się ta dziewczyna. Krążyła wokół dużej grupy gości, na pół w mroku. Nie należała do niej. Albo nie chciała należeć. Czasem tańczyła sama. Popatrzyła na niego i najpierw zauważył jej oczy, ogromne brązowe oczy, o smutnym wyrazie. Długie proste brązowe włosy. A potem ładne małe piersi, krągły tyłeczek, potencjalną okazję - i zaczął dla niej grać. Już na samą myśl o niej robiło mu się gorąco. Obawiał się, że jego nadzieje są nierealne. Zaczekał do późnej nocy, do ostatniej przerwy. Podeszedł do niej i przywitał się: „Cześć”, a ona odparła: „Cześć”, i popatrzyła na niego z tym bezradnym uśmiechem, jakby chciała powiedzieć, wiem, co ci chodzi po głowie. A potem zdarzyła się rzecz przedziwna. Wzięła go za rękę i zaprowadziła w ciemność za domem. Otworzyła drzwi do jakiegoś składziku. Zamknęła je za nimi i zrobiło się smoliście czarno. Nie było widać kompletnie nic. Wtedy przytuliła się do niego, zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęła go całować. Jej język smakował alkoholem i miętowymi pastylkami; czuł zapach jej perfum. W tej całkowitej ciemności owładnęła nimi żądza, całowali się, gorączkowo zdzierając z siebie ubrania. Przeciągnął dłońmi po jej twarzy, szyi, piersiach, biodrach i pośladkach. Wpadli na jakieś narzędzia ogrodnicze, ale znaleźli skrawek miejsca i położyli się na jakichś workach przykrytych kawałkiem brezentu - nie było miękko, lepiej jednak

niż na gołej podłodze. Pamiętał zapach terpentyny i starej farby, ale nade wszystko zapach jej perfum. W ciszy unosiły się tylko ich pożądliwe oddechy. Chwyliła jego ptaszka. Boże, nigdy tego nie zapomni. Przez chwilę nie mógł jej znaleźć, potem poczuł jej dłoń wokół swojego członka, a później objęło go coś ciepłego i mokrego, poczuł oszołomienie, jakby dostał obuchem w głowę, jego ptaszek w jej ustach. Spełnienie fantazji, która towarzyszyła mu przy masturbacji. Chciał to zobaczyć. Strasznie tego pragnął, żeby wiedzieć, jak to wygląda, i zapamiętać, ale do składziku nie wpadała nawet odrobina światła. Jęknął z frustracji i z ekstazy, wyciągnął rękę i odszukał kępkę włosów, wśliznął w nią swój palec i poczuł gorąco, jakby w środku żarzyły się węgle. Potem otworzyła drzwi, żeby z dworu wpuścić światło, by mogli znaleźć ubrania. Patrzył na jej sylwetkę słabo odcinającą się w nikłej jasnej smudze. Więcej jej nie zobaczył. Wrócił do zespołu, speszony i niespokojny, że może w składziku ubrał się byle jak. Radzili sobie bez niego. Rozglądał się za nią, lecz zniknęła.

Yvette. Tyle wiedział. Tamtej nocy leżał w łóżku dziwnie przygnębiony. Na palcach i ciele wciąż czuł jej zapach. Ale następnego ranka zniknął. Jak ona.

Gdy poszła do łazienki, wybiegł na dwór do samochodu i przyniósł płyty i odtwarzacz.

Wróciła z umyтыми, mokrymi włosami. Posłała mu kanapę i podała duży niebieski ręcznik.

Powiedziała, że może skorzystać z łazienki. Odparł, że chętnie weźmie prysznic. Był świadom ich skrepowania. A może tylko własnego?

Tę noc spędzi pod jednym dachem z dziwką. Nie mógł na nią spojrzeć, zdobył się tylko na wymuszony uprzejmy uśmiech.

- W takim razie dobranoc.

- Miłych snów - odparł.

- Wzajemnie. - Zniknęła w korytarzu i zamknęła drzwi. Poszedł do łazienki, wciąż zaparowanej po prysznicu i pełnej

zapachów mydła, szamponu i toniku. Pachniała inaczej niż łazienka Anny. Bogaciej.

Rozebrał się, złożył starannie ubranie i położył je na pokrywie deski klozetowej, na służbowym pistolecie. Spojrzał na swoje ciało. Nagi w łazience dziwki. Popatrzył na siwiejące włosy na klatce piersiowej i obwisły z wiekiem brzuch. Jego penis przypominał do połowy wypalone cygaro, ni to obojętny, ni to pobudzony. Cóż, nie wyglądasz jak grecki bóg. Niekoniecznie pociągałbyś Christine van Rooyen. Uśmiechnął się cierpko do siebie w zaparowanym lustrze.

Umył się pod prysznicem jej półprzezroczystym mydłem w kolorze czerwonego wina i szamponem z białej butelki. Opłukał się i wytarł. Wciągnął tylko spodnie, resztę ubrania i broń zaniósł do salonu. Ułożył je w schludną kupkę obok kanapy i usiadł. Obrzucił spojrzeniem swoje posłanie. Było duże, szerokie i długie. Wyjął pudełko z płytami i jeszcze raz zerknął na spis utworów. Wybrał drugą płytę z albumu i umieścił ją w odtwarzaczu. Założył słuchawki. Wyłączył stojącą obok kanapy lampę i położył się z odtwarzaczem na brzuchu. Wcisnął przycisk.

Kiedy już członkowie grupy operacyjnej zmęczeni się śmiechem i żartami i pojechali dalej swoją drogą, detektyw z Midrand zdjął odciski palców podejrzanych. Potem znów zamknął ich w celi. Usiadł przy biurku i zaczął systematycznie badać zebrane dowody. W jednym z przezroczystych plastikowych woreczków zauważył dokumenty tożsamości, które ludzie z grupy operacyjnej znaleźli w bmw. Wyjął je i popatrzył na nazwiska.

Sprawdźmy to, pomyślał, i podniósł słuchawkę. Wystukał numer do centrum bazy danych w Pretorii. Gdy przygasły brawa po ostatnim kawałku, leżał z zamkniętymi oczami i lekkim sercem. Zastanawiał się nad tym, co stracił w ciągu ostatnich paru lat. Był pijackim odpowiednikiem Rip van Winkla z tą olbrzymią dziurą w życiu, czarną dziurą nieprzytomności. Wszystko się rozwijało - jego dzieci, muzyka... cały pieprzony kraj. Wszystko poza nim. Umysł podsuwał mu alternatywę, jak inaczej jego życie mogło się potoczyć. Nie chciał teraz tego analizować. Zdjął słuchawki.

Do pokoju wpadały słabe odgłosy miasta. Oczy przywykły już do półmroku. Sączące się przez zwiewne zasłony uliczne światło lekko oświetlało pokój. Widział kontury mebli, ciemną plamę opartego o ścianę obrazu. Małe czerwono-zielone światełka na lodówce i telewizorze.

Chciał powiedzieć Fritzowi. Sięgnął ręką nad małym stolikiem i znalazł telefon. Przewinął menu do wiadomości tekstowych. Męczył się chwilę z małymi klawiszami. „Fantastyczna płyta i basy. Dzięki. Tata”.

Wysłał SMS i odłożył odtwarzacz i telefon na stertę ubrań. Powinien pospać. Nie chciał już snuć tych rozważań, dość tego jak na jeden dzień. Kręcił się na kanapie, szukając najwygodniejszej pozycji. Najlepiej było z plecami na oparciu. Za gorąco na koc. Spać.

Pomyślał przez chwilę o Christine w sypialni obok, ale odciął się od niej i postanowił myśleć o Annie. Co go nie uspokoiło, więc pomyślał o muzyce i zrobił to, co zwykł robić, gdy był siedemnastolatkiem: wyobraził sobie siebie na scenie. W State Theatre. Z Antonem i przyjaciółmi. Grał na gitarze basowej. Płynął lekko z prądem nut, pozwalał swoim palcom biegać swobodnie po gryfie i wtedy usłyszał otwierające się drzwi sypialni i ciche kroki na dywanie. Pewnie szła do łazienki. Ale znalazła się przy nim. Położyła się na kanapie, odwrócona do niego plecami. Przysunęła się bliżej i leżeli jak dwie łyżeczki. Niemal bał się oddychać. Musi udawać, że śpi. Oddychać miarowo i spokojnie. Czuł jej zapach, jej ramię tuż obok swojego nosa.

Szukała pocieszenia. Potrzebowała drugiego człowieka. Nie chciała być sama, tęskniła za dzieckiem, była obolała i zraniona. Wszystko to rozumiał.

Wydał dźwięk, który, miał nadzieję, zabrzmiał jak mruknięcie śpiącego i położył rękę na jej biodrze. W geście otuchy. Pod dłonią czuł cieniutki materiał i nagie ciało.

Biło od niej gorąco. I dostał pieprzonej erekcji, jego członek rozkwitł prześmiewczo i nic nie mógł na to poradzić. Musiał coś wymyślić. Wydał kolejny niejasny odgłos i odsunął biodra. Rety, ona nie może się zorientować. Powinien był włożyć slipy, utrzymałyby go na wodzy. Może już przysypia. Próbował wsłuchać się w jej oddech, lecz jego zmysły czuły tylko jej ciepło i zapach.

Przysunęła się do niego bliżej. Przyłgnęła. Całym ciałem.

Chciał ją przeprosić. Wymamrotał: Wybacz albo coś w tym stylu, ale się bał. Na wpół spała i przeprosiny jeszcze pogorszyłyby sytuację. Leżał jak kłoda. Myślał o muzyce. Grał na gitarze basowej do *gee die harlekyn nog wyn, skoebiedoewaa, skoebie-doewaa, rooiwyn vir sy lag en traan en pyn, skoebiedoewaa, skoebiedoewaa* - dajcie arlekinowi wina, skubidubida, skubidubida, czerwonego wina za jego śmiech i Izy, i ból...

Poruszyła ramieniem, położyła dłoń na jego dłoni. Przez chwilę trzymała ją na swoim biodrze, a potem wsunęła pod nocną koszulę, o cholera, i ujęła nią swoją pierś. Poczłł miękkość, westchnęła głęboko i mocniej przycisnęła jego rękę. Odsunęła biodra od jego miednicy, opuściła rękę za plecy, i rozpięła zamek jego spodni; nie miał pojęcia, jak jej się to udało. Wsunęła w nie dłoń i go chwyciła. Żądza wybuchła wysoką doskonałą nutą, gitara prowadząca dołączyła do basowej zgodnej z rytmem jego serca i wtedy wprowadziła go w siebie od tyłu.

Jeszcze długo po jego orgazmie leżeli w tej samej pozycji, brzuch przy plecach; wciąż w niej był, choć już zwiotczały. Odezwała się prawie niesłyszalnie:

- Też jesteś rozbity.

Długo się namyślał, nim odpowiedział. Zastanawiał się, skąd wiedziała. Po czym poznała czy wyczuła. Dlaczego do niego przysłała? Ona tego potrzebowała? Czy zrobiła prezent jemu? To pocieszenie?

Więc jej opowiedział. O Annie. O dzieciach. O piciu. Bez planu czy porządku, pozwolił słowom płynąć tak, jak przychodziły mu na myśl, mocno otaczając ją ramieniem, palcami obejmując delikatnie krągłość jej piersi. Widział jej głowę, delikatne włosy ocierały się o jego kilkudniowy zarost.

Opowiedział jej o sobie z czasów sprzed alkoholu. Że był eks-trawertycznym optymistą.

Dowcipnisiem. Gdy dopisywał mu humor, potrafił każdego rozśmieszyć. W sali apelowej, gdzie napięcie

sięgało zenitu i cały zespół miał nadszarpnięte nerwy, umiał dostrzec śmieszne aspekty sytuacji i przeciąć ją jednym zdaniem -i wszyscy musieli się roześmiać. To do niego pierwszego dzwoniło, gdy ktoś chciał rzucić na ruszt jakieś mięso i grilować. Dwa, trzy razy w miesiącu dołączał do kolegów z wydziału morderstw i kradzieży na improwizowanym grillu, *braai*. Organizowali je w piątkowe popołudnia o trzeciej po to, żeby trochę odsapnąć i odprężyć się, w Blouberg albo Silvermine, a nawet w samym biurze w Bellville South. Piwo, mięso i chleb, śmiech, pogawędka i alkohol; był pierwszy na liście gości, bo był sierżantem Bennym Griesselem, wybijającym się oficerem śledczym i nieoficjalnym, cynicznym, nadwornym błaznem, który potrafił wyśmiać pracę, biurokrację i akcję afirmacyjną, ale ze współczuciem. Aby znów mogli stawić im czoło.

Tjeraz, na tym końcu alkoholowego tunelu, wciąż urządzano *braais*. Ale do niego nikt nie dzwonił. Nikt go tam nie chciał, otumanionego opoja, co to nie umie sklecić dwóch sensownych słów z rzędu, wpada na ludzi, przeklina, wdaje się w bójki i trzeba go odstawiać do domu, do żony, która niechętnie otwiera drzwi. Bo nie chce tego pijaka i upokorzenia.

Wyznał też Christine, że nie pije już jedenaście dni i że nie zna siebie z tego końca tunelu.

Wszystko się wokół zmieniło. Dzieci, żona, koledzy. Jezu, był w służbie starym rupieciem pośród tego Sturm und Drang młodych policjantów.

Ale najważniejsze jest to, że i on chyba się zmienił. Nie wiedział jak. Ani jak bardzo. Dziwny gość po czterdziestce, z ziejącą dziurą w życiorysie.

Zwierzał jej się i w pewnym momencie zapytała:

- Dlaczego chcesz ją odzyskać?

Zastanowił się, nim odpowiedział. Odparł, że rzecz w tym, że był wtedy szczęśliwy. Oboje byli. Z nią zaczął swoje życie. Nie mieli nic poza sobą. Razem założyli dom, razem cierpieli, razem się śmiali.

Dzielili cud narodzin Carli i Fritza. Świętowali wspólnie jego awanse. Stworzyli coś wartościowego.

Byli przyjaciółmi i kochankami i chciał, żeby to wróciło. Pragnął więzi, koleżeństwa

i zaufania. Bo w znacznej mierze stanowiły o tym, kim był, dzięki nim był tym, kim był.

I kim na powrót pragnął się stać.

Jeśli nie zdoła odzyskać Anny, wszystko ma w dupie. I tyle.

- Człowiek nie może być taki jak dawniej - stwierdziła i zanim zdołał zareagować, zapytała: - Nadal ją kochasz?

Nieważne, jak długo by się nad tym zastanawiał, nie mógł jej odpowiedzieć. Już miał zacząć pieprzyć głupoty na temat tego, czym jest miłość, ale dał sobie spokój; nagle poczuł się znużony sam sobą, więc zapytał:

- A ty?

- Co ja?

- Dlaczego uznałaś za konieczne... zostać prostytutką?

- Sekspracownikiem - odparła z cichą autoironią. Poruszyła się i wysliznęła się z niej. Drobnym moment straty. Przekręciła się na drugi bok, zwrócona teraz do niego twarzą, i jego dłoń zsunęła się z jej piersi.

- Gdybym była kwiaciarką, też pytałbyś mnie, jak nią zostałam? - Nie atakowała go. Jej słowa były bezbarwne, bez emocji. Nie czekała na odpowiedź. - To tylko praca. Zaczerpnął powietrza, żeby odpowiedzieć, ale ona ciągnęła: - Ludzie uważają, że to coś strasznego. Złego. Niszczącego. Twoja praca też cię niszczy. Przed chwilą sam to przyznałeś. Tyle że w byciu policjantem nie ma nic złego. W przeciwieństwie do bycia dziwką. Pomyślał, że gdyby nie była prostytutką, Soni nic by nie groziło, wiedział jednak, że nie wolno mu tego powiedzieć. - Na początku też się zastanawiałam, co ze mną nie tak. Wszyscy klienci pytają o to samo: Dlaczego zostałam panienką do towarzystwa? Człowiek zaczyna drażnić, co z nim jest nie w porządku. A potem pomyślałam, dlaczego to coś złego? Dlaczego nie coś dobrego? A może po prostu patrzę dalej niż większość ludzi? Co to seks? Jest czymś aż tak złym? Z jakiego powodu jest aż tak zły?

Wstała i odeszła. Zrobiło mu się przykro, że zadał to pytanie. Nie miał zamiaru jej zdenerwować.

Powinien ugryźć się w język.

Chciał ją przeprosić, ale zniknęła w korytarzyku. Nagle uświadomił sobie, że wciąż ma rozpięte spodnie, więc zasunął zamek.

Wróciła. Widział jej ciemną sylwetkę. Podeszła do niego, ale tym razem usiadła w nogach łóżka.

- Chcesz papierosa?

- Poproszę.

Włożyła do ust dwa papierosy i pstryknęła zapalniczką. W świetle płomienia dostrzegł jej piersi, twarz i nagie ramiona. Podała mu jednego. Zaciągnął się głęboko.

- Zawsze byłam inna - powiedziała i wydmuchnęła smugę dymu, która rzuciła upiorny cień na przeciwległą ścianę. - Trudno to wyjaśnić. Gdy jesteś dzieckiem, niczego nie rozumiesz. Myślisz) że coś jest z tobą nie w porządku. Moi rodzice... Pochodzę z dobrego domu. Ojciec był wojskowym, a matka przeważnie siedziała w domu i to im odpowiadało. Ich mały świat. Takie życie. Dorastałam i coraz bardziej tego nie rozumiałam. To już ma być wszystko? Jak im to może wystarczać? Idziesz do szkoły, znajdujesz męża czy żonę, wychowujesz dzieci, potem emerytura nad morzem i w końcu umierasz. Nigdy nikogo nie denerwujesz, postępujesz właściwie. To słowa mojego ojca. „Moje dziecko, postąpiłaś właściwie”. Dla kogo właściwie? Dla innych? Kim oni są, żeby decydować, co jest właściwe? Płacisz za parking, nigdy nie przekraczasz prędkości i nie hałasujesz po dziesiątej wieczorem. I wypełniasz swoje obowiązki. To kolejna klasyka mojego ojca. „Ludzie muszą wypełniać swoje obowiązki, moje dziecko”. Wobec rodziny, miasta i kraju. Po co? Co za to dostają? Mój ojciec wypełnił swój obowiązek wobec armii i umarł, zanim zdążył przejść na emeryturę. Matka wypełniła swój obowiązek wobec nas i nigdy nie była w Kapsztadzie, w Europie czy gdziekolwiek. Po opłaceniu należności pieniędzy nie wystarczało już na nic. Ani na ubranie, ani na samochód, meble czy wakacje. Ale oni uważali, że to w porządku, bo ludzie nie powinni się popisywać, to nie jest właściwe... Każdy chce, żebyś był zwyczajny. Wszystko, czego nas uczą, to właśnie jak nie być innym. Ale ja byłam inna. Nic nie mogłam na to poradzić. Taka już moja natura. Jeśli moi rodzice,

szkoła albo ktoś mówił, że powinnam zrobić jedno, zawsze zastanawiałam się, jak to będzie, gdy zrobię na przekór. Chciałam się przekonać, jak rzecz wygląda z innej strony. Więc robiłam. Trochę paliłam i piłam. Ale kiedy się ma piętnaście czy szesnaście lat, prawie wszystkie zasady dotyczą seksu. Tego i tamtego ci nie wolno, bo musisz być przyzwoitą dziewczyną. Chciałam wiedzieć, po co mam być przyzwoitą dziewczyną. W jakim celu? Żeby dostać przyzwoitego mężczyznę? I przyzwoite życie z przyzwoitymi dziećmi? I przyzwoity pogrzeb z mnóstwem ludzi? Więc robiłam różne rzeczy. A im więcej, tym bardziej zdawałam sobie sprawę, że po drugiej stronie jest ciekawiej. Ludzie w większości nie chcą być przyzwoici, wszyscy mają to coś w sobie, co żąda, żeby byli inni, ale brak im odwagi. Za bardzo się boją, że ktoś coś powie. Że stracą tę nudę w swoim życiu. Jeden z moich nauczycieli był taki poprawny, bez zarzutu. Pracowałam nad nim. I sypiałam z nim na obozie chrześcijańskiego stowarzyszenia studentów na Wyspie. Powiedział, Boże, Christine, od tak dawna cię pragnąłem. Więc zapytałam go, dlaczego czegoś z tym nie zrobił. Nie umiał mi odpowiedzieć. No i ten przyjaciel mojego ojca. Gdy przychodził do naszego domu, patrzył na mnie ukradkiem, ale potem siadał obok żony i trzymał ją za rękę. Wiedziałam, czego chciał. Pracowałam nad nim, wreszcie powiedział, że lubi młode dziewczyny, lecz to jego pierwszy raz.

Zgasiła papierosa i odwróciła się lekko do niego.

- Miał tyle lat co ty - dodała, i przez moment myślał, że słyszy w jej głosie pogardę.

Odchyliła się i oparła plecami o jego stopy. Skrzyżowała ręce pod piersiami.

- Wiesz, dlaczego rodzice wysłali mnie na uniwersytet? Żeby znaleźć męża. Wykształconego. I z dobrą pracą, żebym mogła wieść przyjemne życie. Przyjemne życie. A w czym pomaga przyjemne życie? Jaki z niego pożytek, gdy się umiera i można powiedzieć sobie: miałam przyjemne życie?

Nudne, ale dobre.

Na uniwersytecie przychodził do mnie jeden facet, student medycyny z trzeciego roku. Jego rodzice mieszkali w Heuwelsig

i mieli pieniądze. Widziałam, jak mieszkają. Zobaczyłam, że kiedy ma się forszę, nie trzeba być posłusznym ani zwykłym czy dobrym. Posiadanie pieniędzy to coś więcej niż możliwość nabywania dóbr. Można być, jakim się chce, i nikt nic nie mówi. Wtedy zrozumiałam, czego chcę. Jak to jednak zdobyć? Wyjść za bogacza? Ale to nadal nie twoje pieniądze. Dostałam pracę w weekendy w biznesie gastronomicznym. Pewnego wieczoru, kiedy stałam na polu golfowym i paliłam papierosa, podszedł do mnie mężczyzna. Prowadził interes samochodowy na Zastron Street; zapytał mnie: „Ile zarabiasz?” Powiedziałam mu, a on na to: „Nie wolałabyś zamiast tego zarobić tysiąc randów w jedną noc?” Chciałam wiedzieć jak. Odparł: „Swoim ciałem, skarbie”. Dał mi wizytówkę i powiedział: „Porjyiśl o tym”. Zadzwoiłam do niego któregoś poniedziałku. I zrdbiłam to. U niego w mieszkaniu; siedmiu facetów wynajmowało mieszkanie w Hiltonie i czasem w porze obiadowej albo wieczorem dzwonili po mnie do akademika.

No i tuż przed końcowymi egzaminami zaszłam w ciążę. Brałam pigułki antykoncepcyjne, jednak nie zadziałały. Kiedy im powiedziałam, oświadczyli, że zapłacą za przerwanie ciąży, ale się nie zgodziłam. Więc dali mi pieniądze i przyjechałam do Kapsztadu.

38

Poranki Orlanda Arendse przebiegały według określonego porządku. Bez pomocy budzika obudził się o szóstej w swoim wielkim, ładnym domu na West Beach w Milnerton. Włożył kapcie i szlafrok w kolorze burgunda. Podniósł z nocnego stolika okulary, zostawił śpiącą żonę i poszedł do kuchni. Położył okulary na kuchennym stole i zmełł kawę, pół na pół włoską i jawańską moc-cę, tyle żeby wystarczyło na cztery duże kubki. Nalał wody do ekspresu i ostrożnie wsypał kawę. Potem go włączył.

Skierował się do drzwi wejściowych, otworzył je i wyszedł na dwór. Spojrzał w niebo, żeby sprawdzić, jaka szykuje się pogoda, po czym przeszedł wybrukowanym podjazdem do dużej, automatycznie podnoszonej bramy. Mimo swoich sześćdziesięciu sześciu lat, z których większość przeżył na Cape Flats, poruszał się dziarsko, wyprostowany. Na prawo od bramy znajdowała się skrzynka pocztowa. Otworzył ją i wyjął „Die Burger”.

Bez rozkładania gazety rzucił okiem na nagłówki. Musiał odsunąć ją na odległość ramienia, bo nie wziął okularów.

Wrócił do domu i, zanim stanął w drzwiach, rozejrzał się na prawo i lewo. To zachowanie intuicyjne, już nie służbowe.

Rozpostarł gazetę na kuchennym stole z oregońskiej sosny. Włożył okulary. Prawą ręką sięgnął do kieszeni szlafroka - pusta. Cmoknął, zirytowany. Już nie palił. Żona i lekarz spiskowali przeciwko niemu. Przeczytał tylko pierwszą stronę. Ekspres do kawy skończył bulgotać z ostatnim westchnieniem. Orlando, jak co rano, też sobie westchnął. Wstał, wyjął z szafki nad ekspresem dwa kubki i postawił je na ładzie. Napełnił jeden i z przyjemnością zaciągnął się aromatem. Bez mleka i cukru. Sama kawa. Resztę wlał do termosu, żeby zachowała świeżość. Z kubkiem w dłoni znów zasiadł do lektury. Przewrócił stronę i przyjrzał się niewielkiemu zdjęciu redaktorki strony trzeciej. Śliczna kobieta. Potem przeniósł spojrzenie na stronę drugą i zaczął ją uważnie czytać.

Zwykle o siódmej nalałby kawy z termosu do drugiego kubka i zaniósł żonie. Ale za dziesięć siódma, kiedy czytał właśnie w rubryce sportowej sprawozdanie z meczu krykieta, elektroniczna skrzynka w holu irytująco się rozdzwoniła.

Orlando wstał i przeszedł do holu. Nacisnął guzik i zbliżył usta do mikrofonu.

- Tak?

- Orlando?

Znał skądś ten niski głos, ale nie mógł go od razu skojarzyć z osobą.

- Tak?

- Tu Thobela.

- Kto?

- Maleńki. Maleńki Mpayipheli.

Biegł zieloną doliną przez wysoką po kolana trawę, goniąc czerwony balonik. Wyciągnął rękę do nitki, ale potknął się i upadł, a balonik pomknął w przestworza. Obudził się w salonie Christine van Rooyen i poczuł zapach swojego pachnącego seksem ciała. Co ja, u licha, zrobiłem?

Spuścił stopy z kanapy i przetarł oczy. Nie wyspał się, czuł, że umysł i ciało tkwią w letargu, ale nie to mu tak ciążyło. Nie chciał o tym myśleć. Wstał, lekko się chwiejąc. Wepchnął pistolet Z 88 i telefon komórkowy pod kanapę, podniósł złożone na kupkę ubrania i buty i zniknął z nimi w łazience. Musi umyć zęby, ale to poczeka. Wszedł pod prysznic i odkręcił kran.

Jezusie. Pijak i cudzołożnik. Pieprzy się z dziwkami, pierdolony, niepanujący nad sobą mięczak.

Opowiedział jej całe życie. Co, do diabła, się z nim dzieje? Przecież nie jest już chrzanionym nastolatkiem.

Wyszorował się mydłem, kilka razy myjąc genitalia. Co on ma teraz z nią zrobić? Załatwili już tę ochronę dla świadka? Musi do nich zadzwonić. Ciekawe, jak minęła noc Bushy'emu

Bezuidenhoutowi i reszcie w Camp Bay? Gdy on obściskał się z prostytutką. Z premedytacją, to w tym najgorsze, przyszedł tutaj, mając na to nadzieję. Pragnął, żeby go dotknęła, bo cholernie potrzebował czyjegoś dotyku. Bo pomyślał, że dziwce łatwiej będzie go dotknąć. Bo nie mógł poczekać pieprzonego pół roku na żonę, która, kto wie, może by go dotknęła.

Wszedł spod prysznic i wytarł się ze złością. Jezus, gdyby tak mógł umyć zęby, czuł w ustach smak, jakby nasrała mu w nie mangusta. Powąchał spodnie. Wciąż śmierdziały seksem, nie mógł tak pójść do pracy. Lepiej będzie, jak zadzwoni do Tima Ngubane i dowie się, czy ochrona świadków może przyjechać i ją zabrać.

Dlaczego musiała przyjść i położyć się z nim? A potem opowiedzieć mu swoją historię, jakby to była jego pieprzona wina?

Wciąż jeszcze stał, przytykając spodnie do nosa, gdy otworzyła drzwi łazienki i powiedziała przerażona:

- Chyba ktoś jest pod drzwiami.

Ostatnim razem Arendse widział Maleńkiego Mpayipheli przed pięcioma laty. Siedząc z nim przy oregońskim stole, zauważył, że Xhosa się zmienił. Wciąż był potężnym mężczyzną, z głosem jak wiolonczela. Wciąż miał te same smoliście czarne, budzące lęk oczy. Ale bruzdy na twarzy pogłębiły się, a krótko ostrzyżone włosy posiwiały na skroniach

- Opowiedz mi o Carlosie Sangrenegrze - powiedział Thobela, upijając łyk kawy.

Arendse spojrział na pierwszą stronę leżącej przed nim gazety, po czym na olbrzymia. Zobaczył niezłomne postanowienie. Już chciał coś powiedzieć, zasypać go pytaniami, ale znów popatrzył na gazetę, potem znów na Maleńkiego i wszystko stało się jasne. Wszystko.

- Jezus, Maleńki.

Xhosa nie odezwał się, spojrział tylko na niego bystro.

- Co się stało? - zapytał Arendse.

Thobela wpatrywał się w niego długo; pokręcił głową.

- Jestem na emeryturze - powiedział Arendse.

- Znasz ludzi.

- Teraz wszystko jest inaczej, Maleńki. Nie tak jak kiedyś. Kolorowi zepchnęli nas na dalszy plan. Nawet w handlu narkotykami. Żadnej reakcji.

- Mam wobec ciebie dług. To prawda. - Arendse wstał i podszedł do ekspresu. - Pozwól mi zanieść żonie kawę albo do końca życia mi tego nie zapomni. Potem zadzwonię tu i ówdzie.

Griessel próbował wciągnąć spodnie, ale za bardzo się śpieszył. Stojąc na jednej nodze, stracił równowagę. Upadając, z głuchym łupnięciem uderzył głową o krawędź umywalki. Zaklął, podskoczył, włożył spodnie, zapinając je tylko na guzik, i rzucił się z łazienki do kanapy, pod którą leżała broń.

Kiedy się nachylił, żeby wyciągnąć Z 88, zakręciło mu się w głowie. Z pistoletem w dłoni podszedł do drzwi.

- Kto tam? - Odbezpieczył broń.

Najpierw nie słyszał nic, potem odgłos kroków kilku osób. Kroki oddalały się korytarzem. Przekręcił lewą ręką klucz, szarpnięciem otworzył drzwi i wystawił lufę na zewnątrz. Zobaczył znikającą w windzie sylwetkę. Pobiegł w tamtą stronę. W głowie wciąż mu szumiało.

Drzwi windy się zamknęły. Wahał się przez ułamek sekundy, po czym rzucił się ku schodom i popędził na dół, po dwa schodki naraz.

Sześć cholernych pięter. Lewą ręką trzymał się poręczy, w prawej ścisnął broń, gnał na dół, ubrany w same spodnie. Na trzecim piętrze pośliznął się i nie upadł tylko dzięki temu, że trzymał się poręczy.

Ujrzał przed sobą parę nóg i podniósł wzrok. Przed nim stała bardzo gruba kobieta w jaskrawofioletowym dresie, z twarzą błyszczącą od potu, i wpatrywała się w niego z otwartymi ustami.

- Przepraszam - powiedział, wyprostował się i przecisnął obok niej, żeby zbiec w dół.

- Krwawi pan - usłyszał słowa grubaski. Instynktownie dotknął ręką czoła, po czym spojrzał na swoją dłoń: była mokra, ciepła i czerwona. Biegnij. A jeśli na dole zostanie więcej osób? Dyszał, w piersiach czuł ogień, nogi odmawiały mu posłuszeństwa.

Drugie piętro, pierwsze, parter.

Wyciągnął przed siebie pistolet, ale hol był pusty. Szarpnięciem otworzył szklane drzwi i wypadł na poranne słońce dokładnie w chwili, gdy za rogiem Belle Ombre i Kloof Nek Road zniknął z wizgiem opon biały opel. Po telefonie z Midrand detektyw odszukał akta w zapomnianej stercie pod ścianą.

Wtedy zaczął sobie przypominać tych dwoje, którzy zastrzelili chłopca na stacji benzynowej. I ojca, który kupił zawartość teczek.

Postukał środkowym palcem w okładkę. Ciekawe, czy nadal go to interesuje. Czy teczka kryje kolejną okazję.

Sprawdził w dokumentach dane ojca. Znalazł numer z kodem Cathcart. Przysunął bliżej telefon i wystukał cyfry. Długo czekał, aż ktoś odbierze. W końcu odłożył słuchawkę.

Spróbuj jeszcze raz później.

Słyszała, że ktoś próbował otworzyć drzwi, powiedziała, czyszcząc ciepłą, wilgotną myjką ranę na jego czole. Nos wypełniał mu zapach detolu. Siedział na kanapie, ona stała przed nim. Ubrana w cienki szlafroczek. Wolałby, żeby nie była tak blisko.

Z początku nie była całkiem pewna. Usłyszała coś, gdy poszła do kuchni wstawić wodę, a on mył się pod prysznicem. Zobaczyła, że na drzwiach lekko poruszyła się zasuwka. Podeszła do nich i zawołała:

- Jest tam ktoś? - Na chwilę zaległa cisza, po czym ktoś szarpnął drzwiami. Pobiegła do niego do łazienki.

- Nabiłeś sobie guza i rozciąłeś czoło. - Odsunęła się, żeby obejrzeć opatrzoną ranę.

Dziś rano była łagodniejsza, ale wolał o tym nie myśleć.

- Niedługo powinna zjawić się ochrona świadków - oznajmił. Zadzwoił do nich, zanim zajęła się jego obrażeniami.

- Przygotuję się.

- Zabiorą cię do kryjówki. Musisz spakować ubranie. Spojrzał na jej twarz. Patrzyła na niego z nieodgadnioną miną.

Wyciągnęła dłoń i dotknęła koniuszkiem palca jego brody. Delikatnie. Przesunęła palcem po policzku, aż do opatrunku na ranie.

Pod drzwiami znalazł zawinięte w folię naczynie. Podniósł je, otworzył drzwi i wszedł do mieszkania.

Wydało mu się martwe, jakby nikt w nim nie mieszkał. Postawił jedzenie na ladzie i poszedł schodami na górę. Nogi zeszywniały mu po porannych wyczynach. Długo i dokładnie szorował zęby. Umył twarz. Znalazł czyste ubranie, przebrał się szybko i zbiegł na dół. Już był za drzwiami, gdy przypomniał sobie o jedzeniu. Wrócił. Charmaine znów zostawiła mu wiadomość. Przeczytał:

Będę się starał o strawę twą i mieszkanie. ^v- I wierz mi, dostojny panie, Że wszelkie moje szczęście, Obecne czy przyszłe, Oddam natychmiast za jedno życzenie: Żebyś powrócił do bogactwa i władzy i tym mi wynagrodził.

Tymon z Aten Nie miał zielonego pojęcia, kim był ten Grek.

Gdy Griessel wszedł do budynku naprzeciwko domu Sangre-negry, Bushy Bezuidenhout popatrzył znacząco na zegarek.

- Przepraszam, Bushy. Miałem ciężki poranek.

- Bardzo ciężki, jak widzę. Co ci się stało w głowę?

- Długa historia - powiedział, wyczytując w przekrwionych oczach kolegi podejrzenie o pijaństwo. - Jak idzie?

- Ludzie z nocnej zmiany już odjechali. Czekałem na ciebie. Czuł się okropnie winny i przez chwilę zastanawiał się, czy nie

powiedzieć mu, gdzie spędził noc. Ale podał już telefonicznie jedną wersję Mattowi Joubertowi. Nie chciał drugi raz przez to brnąć.

- Dzięki, Bushy.

- Nic się nie działo. Żadnych podejrzanych pojazdów, żadnych pieszych poza paniusią, która rano wyprowadziła na spacer psy. Carlos zgasił światła kwadrans po dwunastej.

- Pokazał się dziś rano?

- Nie. Ale przed południem musi się zameldować na posterunku policji, więc pewnie wkrótce da jakiś znak życia. - I po namyśle: - Powinniśmy założyć pluskwę na telefon.

Griessel się zastanowił. Szanse, że facet z sagajem zadzwoni, były nikłe.

- Może.

- W takim razie idę sobie.

- Zostanę tu do ósmej wieczorem, Bushy.

- Nie ma sprawy. I tak nie będę tak długo spać.

Vaughn Cupido z dużą lornetką był na trzecim piętrze.

- *My moer*, Benny, co ci się stało w głowę?

- To długa historia.

- Nigdzie mi się nie śpieszy.

Griessel odstawił talerz z jedzeniem na komodę i podszedł do Cupida. Wyciągnął rękę po lornetkę.

Cupido podał mu ją i Griessel spojrział przez nią na dom Sangre negry.

- Nie bardzo jest co oglądać - oznajmił Cupido.

Fakt. W większości okien zamontowano odblaskowe szyby.

- Musi stawić się na posterunku.

- Fielies za nim pojedzie. - Cupido postukał w radio na biodrze. - Będzie nas informował.

Griessel oddał mu lornetkę.

- Nie sądzę, żeby przyszedł za dnia.

- Facet z sagajem? Griessel potaknął.

Cupido siedział w fotelu zwróconym do okna.

- Nigdy nie wiadomo. Próbuję postawić się na jego miejscu, ale mi się nie udaje. Co jest w paczce?

Griessel oparł się o ścianę. Wolałby wyciągnąć się na stojącym za nimi podwójnym łóżku.

- Lunch. - Pogodziłeś się ze starą, Benny? - Nie.

- Sam sobie zrobiłeś?

- Czy ja cię przesłuchuję na okoliczność twoich pieprzonych posiłków, Vaughn?

- Już dobrze, dobrze, tak tylko pytam. Obserwacja nie należy do najbardziej pasjonujących mnie czynności. W takim razie opowiedz, skąd ten opatrunek. Czy to też temat zakazany?

- Rąbnąłem głową w umywalkę.

- Jasne.

- Jezu, Vaughn, a co myślisz? Że się zalałem? Mam ci, do cholery, chuchnąć? Żebyś mógł pognać do redakcji i opowiedzieć pieprzonym dziennikarzom, jaki ze mnie ochłapus? Masz moją

komórkę; Zadzwoń do nich. No dalej, bierz. Myślisz, że mnie to obchodzi? Że jeszcze mnie to rusza?

- Jeezu, Benny, wyluzuj. Jestem po twojej stronie.

Griessel skrzyżował ramiona. Radio na biodrze Cupida zapikało.

- Vaughn, to Fielies, odbiór.

- Słucham.

- Mamy kogoś pod czterdziestkąósemką?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Na drugim piętrze stoi człowiek z olbrzymią lornetką. Nie wydaje mi się, żeby wiedział, że go widzę.

- Patrzy na Carlosa?

- Tak.

- Powiedz mu, że to sprawdzę - wtrącił się Griessel.

- Zaczekaj - odparł Cupido. - Bo właśnie wychodzi król Carlos. Griessel spojrział na dom Sangre negry.

Drzwi podwójnego garażu wolno się otwierały.

- Cholera - zaklął - daj mi radio. - Zabrał aparat.

- Fielies, tu Benny. Facet ma tylko lornetkę?

- Więcej nic nie widać.

- Carlos wyjeżdża. Popatrz uważnie na okno...

- Tylko lornetka. Właśnie zniknęła... Proszę, tylko nie snajper, pomyślał Griessel.

- Wszyscy są na tej częstotliwości? - zapytał Cupida. Vaughn skinął głową.

- Uwaga, alarm.

- Lornetka wróciła - poinformował Fielies.

- Jedź za Carlosem, Fielies. - A do Cupida: - Kto go ubezpiecza?

- Jest sam. Wiesz, że za mało ludzi na ubezpieczenie.

- Fielies...

- Słucham.

- Nie zgub go.

Kiedy bmw Carlosa zniknęło za zakrętem, Griessel wybiegł z domu i przeszedł na drugą stronę ulicy. Na dworze było upalnie i bezwietrznie w tym osłoniętym przez górę od wiatru miejscu.

Żar bił od ziemi i pot zrosił mu skórę. Zmartwił się, że znów odżyją zapachy minionej nocy. Dom pod numerem 48 był kolejnym domem bogacza; pomalowana na biało betonowa forteca zajmowała całą działkę. Nie zostawiono choćby najmniejszego miejsca zabaw dla dzieci. Wszystko dla dorosłych. Popatrzył na okna drugiego piętra. Zobaczył pokój wychodzący na ulicę i dom Sangrenegry, zasłony były rozsunięte. Nikogo nie dostrzegł.

Podszedł do drzwi wejściowych i zadzwonił. Dzwonka nie było z zewnątrz słyhać. Nigdy nie mógł zrozumieć, po co ludzie montują takie niesłyszalne dzwonki. Skąd człowiek ma wiedzieć, czy dzwonek działa, czy nie? Stoi się pod drzwiami i naciska szaleńczo, przeważnie dzwonek nie działa, a ty sterczysz jak głupek i nikt nie wie, że tam jesteś.

Zirytowany nacisnął jeszcze raz. Drugi, trzeci.

Nic. Cisza.

Fielies przecież coś zobaczył. Lornetkę. Pojawiła się i zniknęła. Załomotał w drzwi pięścią. Łup, łup, łup, łup - dźwięk niósł się w środku echem. Otwierać, sukinsyny. Żadnej reakcji, żadnych kroków. Wyjął telefon i wyszukał numer Boefa Beukesa, pod który dzwonił ubiegłego wieczoru. Nacisnął zielony guzik. Nikt nie odbierał. Boef wiedział, kto dzwoni. I pewnie nawet wiedział dlaczego, bo ten bałwan z lornetką prawdopodobnie zadzwonił do niego i powiedział mu, że pod drzwiami stoi człowiek z SVC.

Walnął ostatni raz w drzwi, bardziej z frustracji niż spodziewając się odzewu.

Potem odwrócił się i odszedł.

39

Zabrał fotel z luksusowego salonu, przytachał go na górę schodami i ustawił obok fotela Cupida. Widzieli, kiedy wrócił Sangrenegra,

i wysłuchali relacji Fieliesa. Kolumbijczyk pojechał na komisariat, po czym wrócił prosto do domu. Siedzieli, czekali i gadali o niczym. Starali się utrzymać uwagę zespołu, detektywów na ulicy i tych ukrytych na veldzie za domem.

Była już piętnasta trzydzieści cztery i senność ciążyła mu jak ołów. Musiał zasnąć z otwartymi oczami, bo gdy Cupido zawołał zdenerwowany: „Benny!”, podskoczył przerażony. Spojrzał na ulicę i zobaczył zaparkowaną pod domem Carlosa furgonetkę. Z boku miała duży niebieski krzyż.

Pogotowie basenowe. Oddział intensywnego nadzoru.

Z furgonetki wysiadł Murzyn. Duży. W niebieskim kombinezonie.

Griessel podniósł radio.

- Uwaga wszyscy.

Mężczyzna poszedł na tył furgonetki, wyjął rury, siatki i inny sprzęt.

- Na ścianie domu jest ich tabliczka - powiedział Cupido z lornetką przy oczach.

- Co?

- Na ścianie domu Carlosa. Tam, obok drzwi do garażu. „Basenem kąpielowym zajmuje się pogotowie basenowe”. I numer.

Facet od basenów poszedł do drzwi wejściowych. Nacisnął guzik domofonu i czekał.

- Ich numer to: cztery osiem siedem dwa zera dwa zera. Griessel wystukał go na komórce i czekał.

Drzwi po drugiej stronie ulicy się otworzyły. Zobaczyli Carlosa. Przytrzymał je. Murzyn wszedł do środka.

- Nie ma takiego numeru - poinformował głos kobiety w jego uchu.

- Cholera - zaklął. - Vaughn, jesteś pewny tego numeru?

- Cztery osiem siedem dwa zera dwa zera.

- Taki właśnie wy... - Zdał sobie sprawę, że nie dodał kodu Kapsztadu, znów zaklął, wcisnął 021, a potem jeszcze raz numer. Po czwartym dzwonku odebrała kobieta.

- Pogotowie basenowe, dzień dobry. Mówi Ruby. W czym mogę pomóc?
- Komisarz Benny Griessel z wydziału przestępstw ciężkich i bandytyzmu. Może mi pani powiedzieć, czy obsługujecie Sangre-negrę? Czterdzieści pięć Shanklin Crescent w Camps Bay. - Tonem głosu usiłował dać jej do zrozumienia, że mu się śpieszy, żeby się nie opieprzała.
- Przykro mi, proszę pana, nie możemy podawać takich informacji przez telefon...

Z trudem zachowując spokój, wyjaśnił:

- Ruby, to nagły wypadek policyjny i nie mam czasu na... - chciał powiedzieć: „pierdoły”, ale musiał użyć innych słów. - .. Proszę, Ruby, bardzo ładnie proszę.

Na drugim końcu zapadła cisza, może Ruby dosłyszała desperację w jego głosie, bo po chwili zapytała:

- O jakie nazwisko chodzi?

- Sangrenegra. - Przeliterował.

Drzwi wejściowe po drugiej stronie ulicy nadal były zamknięte.

Słyszał ciche stukanie w klawiaturę.

- Nie mamy żadnego Sangrenegry w bazie danych, proszę pana.

- Jest pani pewna?

- Tak, proszę pana, jestem. Nasz komputer nie kłamie - rzuciła ostro.

- Jasne. Ale musimy wiedzieć to na bank. Macie w bazie danych Shanklin Crescent w Camps Bay, numer domu czterdzieści pięć?

- Chwileczkę.

- Listonosz. - Cupido wskazał ulicę. Człowiek w mundurze jeździł na rowerze od jednej skrzynki pocztowej do drugiej. Z domu Carlosa nie dochodziły żadne dźwięki.

- Proszę pana?

- Tak, jestem - powiedział Griessel.

- Mamy czterdzieści pięć Shanklin Crescent w Camps Bay w bazie...

Poczuł wielką ulgę.

- Naszym klientem jest chyba firma.

- Tak?

- The Colombian Coffee Company.

- Aha - Griessel odetchnął. Napięcie zaczęło odpływać.

- Wychodzi - zameldował Cupido.

Duży Murzyn pojawił się w drzwiach. Niósł białą plastikową rurę.

- To dobry klient. Wszystko opłacone - poinformowała Ruby.

- Wyjmuje chyba coś z furgonetki - powiedział Cupido. Griessel obserwował Murzyna w niebieskim kombinezonie. Ubranie wyglądało na za ciasne na niego. Mężczyzna otworzył drzwi od strony kierowcy. - Obsługujemy go...

Czarny wrzucił rurę na przód furgonetki.

- ...w piątki - dodała Ruby. Mężczyzna wsiadał do samochodu.

- Co? - zapytał Griessel.

- Coś jest nie tak - zaniepokoił się Cupido. - Odjeżdża...

- Obsługujemy go w piątki.

- ...a narzędzia zostawił. Griessel wyrwał mu radio:

- Zatrzymać go! Zatrzymajcie faceta od basenu! Uwaga wszyscy! - Popędził w dół schodami, z telefonem w jednej ręce, radiem w drugiej. Ruby zawołała: Słucham?, gdy krzyknął do radia: - Fielies, zawróć i zatrzymaj faceta od basenu! - Jest pan tam? - Już jadę, Benny.

Omiał nie wpadł, wybiegając na prostą po ostatnim zakręceniu schodów; przemknęło mu przez myśl, że świat to cholernie zabawne miejsce. Przez lata człowiek nie chodzi po schodach i nagle pojawia się na jego drodze więcej, niż pieprzone nogi są w stanie pokonać.

- Halo? - powiedziała Ruby w komórce.

- Jest za rogiem! - krzyknął Fielies przez radio.

- Jedź, Fielies, pędź, człowieku! - Griessel pędził na drugą stronę ulicy do domu Carlosa. Usłyszał za sobą łomot stóp w asfalt, obrócił się i zobaczył Cupida i dwóch posterunkowych.

- Proszę pana, jest pan tam?

Tuż przed sobą spostrzegł listonosza na rowerze, z wybałuszonymi oczami i rozdziawionymi ustami. W ostatniej chwili uchylił się, myśląc przez sekundę, że zaraz się zderzą.

- Halo?

Rąbnął kolanem w tylną oponę roweru i przez chwilę bał się, że się wywali i roztrzaska telefon komórkowy i radio. Ale odzyskał równowagę. Otworzył drzwi, wpadł do domu i zobaczył Kolumbijczyka leżącego nad basenem, twarzą do ziemi, w kałuży krwi. Podbiegi do niego i przewrócił go na plecy. W klatce piersiowej Carlosa ziała olbrzymia dziura. Nie żył.

- Cholera, cholera, cholera - zaklął Griessel, na co Ruby odpowiedziała: „Właśnie!”, po czym komórka piknęła trzy razy, trzech biegnący za nim policjanci stanęli jak wryci i zapadła cisza.

Na rogu Shanklin i Eldon policjant Malcolm Fielies zastanawiał się, czy facet od basenu pojechał w lewo, czy w prawo. Zgadując, skręcił w lewo, zobaczył przed sobą furgonetkę i wcisnął gaz do dechy, aż opony zapiszczały na asfalcie.

Skręcił za furgonetką w Cranberry, zauważył na drogowskazie, że droga ostro zakręca i zatacza koło, i pomyślał, mam cię, sukinsynu, zobaczymy, co teraz zrobisz! Ale droga biegła prosto jak strzała i daleko przed sobą ujrzał światła hamowania, po czym furgonetka pomknęła w lewo. Fielies zaklął i krzyknął do radia: Jadę za nim! - ale wiedział, że radio działa tylko na małą odległość, więc pewnie go nie usłyszeli.

Cisnął radio na przednie siedzenie i skręcił w lewo. Geneva Drive. Przypuszczał, że ulica łączy się z prowadzącą do miasta Camps Bay Drive, więc wrzucił w golfie niższy bieg i pędził, słuchając ryku silnika.

Doganiał go, powoli, ale systematycznie doganiał skurwysyna, chociaż skurwysyn świetnie prowadził.

Chwycił mikrofon policyjnego radia, wezwał kontrolę i zgłosił, że potrzebuje wsparcia, nagle jednak ulica zakręciła ostro w prawo, tak cholernie niespodziewanie, że poczuł, że tył golfa zarzuca, i oburącz złapał kierownicę. Opony zapiszczały i zobaczył, że zahaczy o krawężnik. Wchodząc w zakręt, patrz przed siebie, tak go uczyli. Spojrzał przed siebie. Za szybko. Samochód zarzucił tyłem i obrócił się w kółko; silnik zgasnął. Fielies wrzasnął: „skurwysyn”. Przekręcił kluczyk, silnik zajęczał przeciągle, po czym zaskoczył i golf ruszył z piskiem opon. Przy skrzyżowaniu z Camps Bay Drive Fielies zatrzymał się i rozejrzał, ale po furgonetce nie było ani śladu.

Piętro domu, na którym znajdował się basen, wypełniał tłum policjantów i ludzi z medycyny sądowej. Griessel siedział z boku z telefonem komórkowym w ręku. Myślał o tym, że pozbawił Christine van Rooyen ostatniej szansy na poznanie losu córki. I że jeśli dziewczynka jeszcze żyje, teraz już nigdy jej nie znajdą. Wiedział, że stojący dalej nadinspektor Esau Mtimkulu i Matt Joubert, pierwszy i drugi dowódca SVC, oraz komendant John Afrika, szef wydziału śledczego na prowincję, dyskutują o jego przyszłości. Jeśli dadzą mu wycisk, będą mieli rację, bo uparł się, że facet z sagajem jest biały, choć wiele wskazywało na to, że się myli. Dlatego tak niemrawo zareagował na furgonetkę. Dlatego najpierw zadzwonił. Jego wina. Za bardzo wierzył w swój pieprzony instynkt, był zbyt pewny siebie i zadufany - i teraz za to zapłaci.

Zadzwonił telefon.

- Griessel.

- Komisarzu, helikopter odnalazł furgonetkę firmy od czyszczenia basenów na Signal Hill Road.

Wysyłamy tam wóz patrolowy.

- A podejrzany?

- Zniknął. Mamy tylko samochód.

- Wyjaśnijcie mi, gdzie to jest.

- To droga, która z Kloof Nek Road skręca do punktów kontrolnych na Wzgórzu Sygnałowym, komisarzu. Jakies pół kilometra od zjazdu jest kepa drzew po prawej stronie.

- Dopilnujcie, żeby nikt nie zbliżał się do pojazdu. Niech tylko zabezpieczą teren. - Poderwał się i podszedł do Cupida. - Vaughn, znaleźli furgonetkę na Signal Hill. Proszę, zastanów się dobrze: był w rękawiczkach?

- Nie, do cholery. Dokładnie mu się przyjrzałem.

- Jesteś pewny?

- Absolutnie.

Griessel podszedł do trzech starszych oficerów. Widząc, że się zbliża, przerwali rozmowę.

- Szefie - zwrócił się do Jouberta - helikopter znalazł furgonetkę na Wzgórzu Sygnałowym. Są duże szanse na znalezienie odcisków palców. Zabójca nie miał rękawiczek. Chcę tam zaraz pojechać z ludźmi z medycyny sądowej...

Wyraz trzech twarzy mówił mu, co zaraz się stanie.

- Benny - powiedział cicho John Afrika, żeby nikt poza nimi go nie usłyszał. - Zrozumiesz, jeśli teraz obowiązki przejmie nadinspektor Joubert?

Do cholery, zasłużył na to, ale zabolalo. Nie chciał tego pokazać.

- Zrozumiem, komendancie.

- Jesteś nadal członkiem zespołu, Benny - dodał Matt.

- Ja... - zaczął, nie wiedział jednak, co powiedzieć.

- Zabierz ludzi z sądówki, Benny. Zadzwoń, jeśli coś znajdziecie.

Niczego nie mogli znaleźć.

Mężczyzna wytarł czymś kierownicę, dźwignię zmiany biegów i klamkę drzwi. Wtedy Griessel przypomniał sobie, że wyjmował coś z tyłu wozu. Facet z sądowej popsikał tam i pomachał swoim pędzelkiem. - Mamy coś - oznajmił.

Griessel podszedł, żeby spojrzeć. Na zewnętrznej stronie tylnych drzwi rysował się na tle białej farby wyraźny odcisk palca.

- Niekoniecznie musi być jego - zauważył facet z sądówki. Griessel się nie odezwał.

Usiadł przy ladzie śniadaniowej w swoim mieszkaniu i zjadł kawałek pieczonego jagnięcego udźca podarowanego mu przez Charmaine Watson-Smith. Ale myślał o stojącej w szafce nad jego głową butelce Klipdrift.

Czemu nie? Nie znajdował na to pytanie ani jednej dobrej odpowiedzi.

Nie miał apetytu, jadł jednak, gdyż wiedział, że trzeba.

Wczoraj wieczorem snuł wielkie teorie na temat swojego picia. Griessel filozof. Pił, bo to i pił, bo tamto, ale ani to, ani tamto nie było prawdą. A prawda wyglądała prosto: był do niczego. I tyle. Ot pieprzący się z dziwkami i bijący żonę popapraną pijanica.

Gdzie się podział ten wesoły facet, który grał na gitarze basowej? Wczoraj wieczorem go szukał i teraz wiedział. Tamten facet już wtedy był popapraną, tylko nie zdawał sobie z tego sprawy. Można od czasu do czasu kogoś oszukać... Ale życia oszukać się nie da, tatuśku. Życie wcześniej czy później cię na tym przyłapie.

Wstał. Wykończony. Wyskrobał do śmietnika resztki jedzenia. Umył i wytarł talerz. Nie miał siły odnieść go teraz starszej pani. Jutro rano zostawi go pod jej drzwiami z karteczką z podziękowaniem.

Nie da się oszukać życia. W kieszeni zadzwoniła komórka.

A niech sobie, do cholery, dzwoni.

Wyjął ją jednak i zerknął na wyświetlacz.

„Anna”.

Czego chce? Możesz zabrać dzieci w niedzielę? Jesteś trzeźwy? Naprawdę obchodzi ją, czy jest trzeźwy? Czyżby? I tak nie wierzy, że go na to stać. Ma rację. Nikt nie zna go lepiej od niej. Była świadkiem całego procesu, przeżyła go na własnej skórze. Głównym świadkiem. Życie go sprawdzało, a jej przypadło miejsce tuż przy ringu. Wiedziała, że za pół roku zadzwoni do adwokata i powie: położmy kres mojemu małżeństwu z mężem alkoholikiem, który wciąż pije. To pół roku dała mu tylko po to, aby pokazać dzieciom, że nie jest bez serca.

Niech sobie dzwoni. Niech idzie do diabła.

Nieodebrane połączenie. Zmarnowane życie.

Telefon znów zadzwonił. Numer z pracy. Czego chcą?

- Griessel.

- Mamy go, Benny - powiedział Matt Joubert.

40

Gdy wszedł, wszyscy byli już w pokoju zadań SVC. Od razu wyczuł ich podniecenie, widział je na twarzach, słyszał w głosach.

Joubert siedział obok pracującej z komputerem Heleny Louw. Bezuidenhout i jego nocna zmiana też się stawili. Keyter rozmawiał z posterunkowym; pieprzona pożyczona kamera wciąż z wysuniętym obiektywem dyndała mu u szyi.

Griessel usiadł przy jednym ze stolików.

Joubert podniósł wzrok, zobaczył go i przywołał gestem. Podeszedł do niego.

- Siadaj koło mnie, Benny. Usiadł.

Joubert wstał.

- Mogę prosić o uwagę? W pokoju zapadła cisza.

- Zidentyfikowaliśmy podejrzanego dzięki odciskom palców, które komisarz Griessel i jego zespół znaleźli na wozie firmy oczyszczającej baseny. Nazywa się Thobela Mpayipheli. Ma czterdzieści parę lat, pochodzi z plemienia Xhosa i mieszka we wschodniej Prowincji Przylądkowej. Zameldowany jest wCata, gospodarstwie rolnym w regionie Cathcart. To też we wschodniej Prowincji. W tym roku Mpayipheli stracił syna podczas napadu z bronią w rękę na stację benzynową. Aresztowano dwóch podejrzanych, ale podczas rozprawy uciekli. Najwyraźniej wtedy się

wszystko zaczęło. Przy okazji, Thobela ma furgonetkę izuzu KB; odcisk opon znaleziony przez komisarza Griessela się zgadza i należy założyć, że tym wozem wybrał się do Kapsztadu i Uniondale. Na razie tyle o nim wiemy.

Zadzwoiła komórka Griessela, więc wyjął ją z kieszeni.

Anna.

Wyłączył telefon.

- Ponieważ zamierzam poprosić komisarza Griessela, żeby pojechał do wschodniej prowincji, sam przejmę sprawę tutaj -oznajmił Joubert.

Ńie chciał nigdzie jechać.

•j Przeczeszemy Prowincję Przylądkową i znajdziemy Mpay-ipheli, musi gdzieś być. Benny dowie się, czy ma tu jakąś rodzinę albo przyjaciół, tymczasem jednak musimy sprawdzić wszystkie potencjalne kwatery. Czekamy... Wzrok Jouberta powędrował ku drzwiom. Wszyscy na nie popatrzyli. Wszedł Boef Beukes, a za nim mężczyzna w garniturze, którego Griessel widział w jego biurze. Joubert skinął im głową. - Czekamy na dobre zdjęcia z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, dostaniecie je wszyscy, razem z możliwie najlepszym opisem, jaki uda się nam sporządzić. Już przygotowaliśmy pewne materiały, znajdziecie je w broszurze. Postawimy blokady drogowe na NI, N2, N7, R27, R44 i w czterech miejscach na R300 wokół Mitchells Plain i Khayelitsha. Podamy też szczegóły mediom i poprosimy o współpracę społeczeństwo. Za jakąś godzinę powinniśmy mieć już plan działań i będziecie mogli zacząć dzwonić po hotelach. Joubert podszedł do Griessela i usiadł obok niego.

- Przykro mi, Benny. Nie było kiedy cię uprzedzić. Griessel wzruszył ramionami. Co za różnica?

- Wszystko z tobą w porządku?

Chciał zapytać, co Matt ma na myśli, ale tylko kiwnął głową.

- Zarezerwowaliśmy ci lot o dziewiątej do Port Elizabeth. To dziś ostatni.

- Pójdę się spakować.

- Potrzebuję cię tam, Benny.

Znów skinął głową. Podeszli do nich Boef Beukes i Pan Czerwony Krawat, który trzymał dużą szarą kopertę. - Matt, możemy zamienić kilka słów? - zapytał Beukes. Griessel zastanawiał się, czemu mówi po angielsku.

- Mamy tu lekki kociokwik - powiedział Joubert.

- Dostaliśmy pewne informacje... - zaczął Beukes.

- Słuchamy.

- Możemy porozmawiać w twoim biurze?

- O co chodzi z tym angielskim, Boef? Ćwiczysz na wypadek, gdyby mieli zadzwonić z „Argusa”? - wtrącił się Griessel. - Pozwólcie, że przedstawię wam agenta specjalnego Chrisa Lombardi z DEA. -

Beukes odwrócił się do Czerwonego Krawata.

- Pracuję dla amerykańskiej agencji do spraw narkotykowych i w waszym kraju jestem od trzech miesięcy - poinformował Chris Lombardi. Z łysą głową i wielkimi mięsistymi uszyskami wyglądem przypominał Griesselowi księgowego. - Bierzymy z nadinspektorem Beukesem udział w operacji międzyagencyjnej, której celem jest zbadanie przerzutu narkotyków między Azją a Ameryką Południową. Afryka Południowa, a w szczególności Kapsztad, wydają się odgrywać znaczącą rolę. - Lombardi miał silny amerykański akcent, jak gwiazdor filmowy.

Trzy miesiące, pomyślał Griessel. Sukinsyny obserwowali Carlosa przez trzy miesiące.

Lombardi wyciągnął z szarej koperty arkusz A4 i położył na biurku Jouberta. Widniało na nim czarno-białe zdjęcie gładko ogolonego mężczyzny z ciemnymi kręconymi włosami.

- To Cesar Sangrenegra. Znany również jako El Muerte. Jest wiceszefem kartelu Guajira, kolumbijskiej organizacji zajmującej się przerzutem narkotyków, należącej do największych w Ameryce Południowej. To jeden z trzech niesławnych braci Sangrenegra; sądzymy, że dziś rano przybył do Kapsztadu. - Brat Carlosa - wtrącił Griessel.

- Tak, to brat zmarłego Carlosa. Ale to nie wszystko. Pozwólcie mi opowiedzieć od początku. - Lombardi wyciągnął z koperty

kolejne zdjęcie. - To Miguel Sangrenegra, pseudonim La Rubia albo La Rubia de la Santa Marta. *Rubia* to znaczy blondyn, a jak widzicie, facet bynajmniej nie jest jasnowłosa. To patriarcha rodu, ma siedemdziesiąt dwa lata; w 1995 przeszedł na emeryturę. Od niego to wszystko się zaczęło. W latach pięćdziesiątych Miguel był przemytnikiem kawy na Karaibach i znajdował się w doskonałym punkcie wyjścia, żeby w latach sześćdziesiątych awansować na przemytnika marihuany. Pochodzi z miasta Santa Marta w kolumbijskiej prowincji Guajira. Co ważne, Guajira nie należy do najjirrodzajniej szych regionów Kolumbii, ale ma jeden dziwny atut. Ze względu na rodzaj gleby produkuje się tam bardzo popularną odmianę marihuany zwaną Santa Marta Gold. Jest bardzo poszukiwana w USA i osiąga znacznie wyższą cenę niż pozostałe odmiany. W Guajira Santa Marta Gold nazywają La Rubia. I stąd wzięło się jego przezwisko, bo Miguel właśnie ją zaczął przemycać. Lombardi wyjął z koperty mapę i rozłożył ją na biurku.

- To Kolumbia, a ten obszar tutaj, na wybrzeżu karaibskim, to Guajira. Jak łatwo zauważyć, to, co prowincja traci na żyzności gleby, odbija sobie położeniem geograficznym. Spójrzcie tylko na długość linii brzegowej. Każdy, kto chce przemycić do USA marihuanę, wysyła łódź albo samolot transportowy na wybrzeże Guajira. Miguel znał rolników, którzy uprawiali w górach krzewy, a wybrzeże znał jak własną kieszeń. Więc został *marimbero*. Przemycnikiem marihuany.

Kolumbijczycy nazywają ją *marimba*. W każdym razie, w latach siedemdziesiątych łatwo i szybko zarobił kupę forsy. Ale pod koniec lat siedemdziesiątych i w osiemdziesiątych świat zaczął preferować kokainę. I szczyty narkotykowe, pieniądze i lobbing skupiły się w Kolumbii Centralnej. W rękach ludzi takich jak Pablo Escobar i z kartelu Medellin. Carlos Lehder, bracia Ochoa, José Rodriguez-Gacha... Miguel nie lubił kokainy i nie miał naturalnych kontaktów, więc pozostał przy marimbie, zarobił na niej kokosy, lecz nigdy nie wspiał się na szczyty bogactwa i władzy jak Escobar czy Lehder. Na dłuższą metę wyszło mu to jednak na zdrowie. Kiedy bowiem zaczęliśmy polować na duże kartele, Miguel po cichu dalej prowadził biznes. I w latach

dziewięćdziesiątych jego rodzina wypełniła próżnię po grubych rybach.

Kolejne zdjęcie z szarej koperty.

- To najstarszy syn Miguela Sangrenegry, Javier. Po matce jest niski i krępy. Sądzymy, że odziedziczył po niej inteligencję i ambicję. To on wywarł presję na ojca, żeby interes rodzinny rozwinąć, poszerzając go o handel kokainą. Miguel się sprzeciwił, więc Javier wykluczył go z gry. Nie od razu, ale powolutku i po cichutku wysłał ojca na emeryturę, pozwalając staruszkowi zachować szacunek... A teraz przejdźmy do Carlosa. - Kolejne zdjęcie, tym razem najmłodszego brata. Trochę niewyraźne, czarno-białe. Słoneczna ulica w południowoamerykańskim mieście, młody Carlos wysiada z landrowera discovery.

Griessei popatrzył na zegarek. Musiał się spakować. Zastanawiał się, do czego zmierza ta opowieść.

- Carlos to czarna owca w tym pomocie. Najmniej inteligentny z braci, mały playboy z upodobaniem do młodych dziewczyn. Zrobił dziecko czternastolatce z sąsiedniego miasta Barranquilla i żeby uniknąć kłopotów, Javier wysłał go do Kapsztadu. Potrzebował tu kogoś zaufanego. Kto mógłby nadzorować jego operacje. Bo w 2001 roku kartel Guajira, jak teraz są nazywani, zaczął działać na skalę międzynarodową. Przy okazji rozszerzając asortyment do całego spektrum narkotyków. Carlos nieźle sobie radził. Z pomocą bardzo oddanych Javierowi ludzi: czterech facetów, których mamy w areszcie, unikał kłopotów i dobrze zarządzał biznesem. Ale potem zabałagał z córką prostytutki. I teraz, jak wiecie, nie żyje.

Na scenę wchodzi Cesar Sangrenegra. El Muerte. Śmierć, tak go nazywają. Jeśli Javier jest mózgiem kartelu, to Cesar jest jego zbrojnym ramieniem. To zabójca. Podobno w ostatnich dziesięciu latach zgładził ponad trzysta osób. I nie mówimy tu o morderstwach na zlecenie. Tylko o tych, kiedy osobiście wbił nóż w plecy.

Lombardi wyjął z koperty ostatnie zdjęcia i rozłożył na biurku. Faceci z wepchniętymi do ust genitaliami. Ciała kobiet z poodcinanymi piersiami.

- A tu mamy metodę na krawat. Spójrzcie na ten przeciągnięty przez dziurę w gardle język. El Muerte to chory bydlak. Jest duży, silny i bardzo, bardzo wysportowany. I absolutnie bezwzględny. Niektórzy twierdzą, że to socjopata. W Guajira wystarczy wyszeptać jego imię, żeby ludzie drżeli ze strachu.

- A co robi w Kapsztadzie? - zapytał Matt Joubert.

- Dlatego tu jesteśmy - odparł Boef Beukes.

- Widzicie, w Guajira panują proste zasady - ciągnął Lombardi. - Gdy ktoś zabiera ci pieniądze, własność lub coś w tym stylu, riiówi się, że chodzi z *culebra* na plecach. *Culebra* to wąż. Chodzi z wężem na plecach, jadowitym gadem, który w każdej chwili może zaatakować, więc człowiek z przerażeniem ogląda się do tyłu. Guajiro bezwarunkowo wierzą w *justicia*. Sprawiedliwość. Zemstę.

- Do czego pan zmierza? - spytał Griessel.

- Do tego, że pan, komisarzu Griessel, zostanie uznany za winnego śmierci Carlosa. Pan, facet z sagajem i prostytutka. Wszyscy chodzą z *culebras* na plecach.

Detektyw komisarz z wężem na plecach chyba się spóźni. Walizkę spakował w dzikim pośpiechu, a przechodząc przez kuchnię, chwycił stojącą w szafce butelkę brandy i dorzucił ją do bagażu.

Wyrwał z notatnika karteczkę i niechlujnie nagryzmolił podziękowania dla Charmaine Watson-Smith. Na chwilę zadumał się nad faktem, że jedyny wierszyk, jaki zna, zaczyna się od „Raz młody elegancik z Australii...” - nie mógł sobie przypomnieć dalszego ciągu, lecz to żaden problem, bo i tak raczej nie byłby odpowiedni.

Postawił pod jej drzwiami czysty talerz i pognął do wyjścia z budynku. I wtedy uświadomił sobie, dlaczego zniknęła gazeta Charmaine. Zatrzymał się w pół kroku, zawrócił, pobiegł do jej drzwi i zapukał. Podniósł talerz.

Minęło parę sekund, zanim otworzyła.

- Czemu, komisarzu...

- Przepraszam panią, śpieszę się na samolot. Chciałem tylko podziękować. Wiem, co dzieje się z pani gazetą.

- Tak? - Odebrała od niego talerz.

- Ktoś zabiera ją, wychodząc. Zabiera ją ze sobą. Rano.

- Mój Boże...

- Muszę lecieć. Zajmę się tym po powrocie.

- Dziękuję, komisarzu.

- Nie, to ja pani dziękuję. Za... - przez moment nie mógł znaleźć właściwego angielskiego słowa.

Chciał powiedział: łowczyne, chociaż wiedział, że to niepoprawne. - Jagnięcinę, pieczeń była cudowna. - Pognął z powrotem do wyjścia, myśląc, że teraz już naprawdę powinien się pośpieszyć, bo już jest spóźniony. Gdy druga brandy z colą przepłynęła przez niego niebiańską falą ciepła, oparł się o fotel i głęboko westchnął z przyjemności. Popapraniec, pijanica - taki już był, urodził się do picia, do tego był stworzony. To wychodziło mu najlepiej, dzięki picciu czuł się pozbierany, na miejscu i pojednany z wszechświatem. Nawet wierszyk teraz mu się przypomniał.

Raz młody elegancik z Australii,

Wymalował sobie na dupie kwiat dalii.

Choć kolory były żywe,

A płatki jak prawdziwe,

Zapach wszak mu cośkolwiek się nie udał.

Uśmiechnął się i zamyślił. Ile jeszcze wierszyków sobie przypomni, teraz, gdy jego rozum znów pracuje? Za młodych lat potrafił rzucać nimi jak z rękawa. „Raz pewien facet z Madrytu połknął laskę dynamitu”... Może powinien ułożyć jakiś o sobie. „Detektyw komisarz, co pił”...

Upił kolejny łyczek z cholernie małej plastikowej samolotowej szklaneczki z dwiema kostkami lodu i stwierdził: nie, źle. No to:

W Kapsztadzie żył raz glina marny, Któremu spod nosa zwał czarny...

Na przodzie samolotu pokazała się stewardesa, więc uniósł szklaneczkę i postukał w nią wskazującym palcem. Skinęła głową, ale nie wydawała się zachwycona. Pewnie obawiała się, że będzie miała na pokładzie urzędnego w sztok pasażera. Odpręż się dziewczyno, ze staranną fryzurką i małymi czerwonymi ustami; może i biję żonę, pieprzę się z dziwkami i do dupy ze mnie policjant, ale picie umiem kontrolować, laluniu. Tę jedną rzecz opanowałem z niezwykłą perfekcją.

Bo uparł się, że to biały, Choć dowody zaprzeczały...

Ale jak, do diabła, znaleźć rym do „marny” i „czarny”? Wszystko, co przychodziło mu do głowy to „koszmarny”. Może zacząć od początku. O, jest stewardesa z następnym drinkiem.

Tak czy owak, głupkiem był koszmarnym.

- Proszę pana, dobrze się pan czuje? - zapytała kobieta w wypożyczalni samochodów Budget Rent-a-Car, lekko marszcząc brwi.

- Doskonale - odparł, po czym podpisał się zamasyście obok każdego pieprzonego ptaszka zaznaczonego przez nią na dokumencie.

Dała mu klucze i wyszedł na wietrzny wieczór w Port Elizabeth. Pomyślał, że powinien włączyć pieprzoną komórkę, ale najpierw postanowił znaleźć samochód. Zresztą po co włączać telefon?

Zwolniono go z obowiązków, prawda?

Dostał nissana almerę, przynajmniej tak informowała dołączona do kluczyków plakietka. Nie mógł znaleźć tego pieprzonego wozu. Z walizką w ręce chodził wzdłuż rzędów samochodów. Na całym parkingu prawie same białe. Nie potrafi! sobie przypomnieć, jak wygląda almera. Przywykł do sentry, egzemplarza z wystawy, który kupił prawie za darmo w Schus w Bellville i z którym nigdy nie miał najmniejszych kłopotów. Jezus, to było wieki temu. Wreszcie znalazł tę pieprzoną almerę, stała z prawej strony, pod samym

nosem. Nacisnął przycisk na kluczykach. Samochód zapiszczał, zapaliły się światła. Griessel otworzył bagażnik i wrzucił do niego walizkę. Może lepiej jednak włączy telefon, a nuż złapali już faceta.

Oparł się o almerę. Musiał przyznać, że jest trochę podchmielony.

„Masz trzy wiadomości. Zadzwoń 121”. Nacisnął klawisze. Odezwała się kobieta:

- „Otrzymałeś trzy nowe wiadomości głosowe.

- Benny, tu Anna. Gdzie jesteś? Carla zniknęła. Nie wiemy, co się z nią dzieje. Jeśli jesteś trzeźwy, zadzwoń do mnie”.

O której dzwoniła Anna? Telefon wyłączył jakoś po południu. Dlaczego miała taki wystraszony głos?

- „Tu Tim Ngubane. Jest dwudziesta czterdzieści dziewięć. Chcę cię tylko powiadomić, Benny, że zniknęła Christine van Roo-yen. Zadzwonili do mnie z ochrony świadków. Wszystko wskazuje na to, że im zwiąła. Zawieźli ją do domu w Boston i stamtąd pry-snęła. Będę cię informował na bieżąco. Do widzenia”.

Zwiąła? Po co niby miałyby to robić? Nacisnął siódmkę, żeby wykasować wiadomość.

- „Benny, tu Anna. Rozmawiałam z Mattem Joubertem. Powiedział, że poleciałeś na wschód.

Zadzwoń do mnie, proszę. Carli wciąż nie ma w domu. Obdzwoniliśmy wszystkich. Bardzo się martwię. Odezwij się do mnie, gdy odbierzesz tę wiadomość. Proszę!”

Rozpacz w głosie Anny, która przedarła się przez alkoholowe opary, uświadomiła mu, że to coś ważnego. Nacisnął dziewiątkę i się wyłączył. Oparł się o nissana. Nie mógł oddzwonić do Anny, bo był pijany.

Gdzie jest Carla? Jezu, musi napić się kawy i szybko wytrzeźwieć. Otworzył samochód. Siedzenie ktoś przesunął prawie pod samą kierownicę, więc by móc wsiąść, musiał znaleźć dźwignię pod spodem. W końcu uruchomił wóz.

Nie był bardzo pijany, po prostu musiał się skoncentrować. Ruszył na poszukiwanie hotelu. Napić się kawy. I przejść się, pospacerować, poczekać, aż minie mu zamroczenie alkoholem i będzie mógł zatelefonować do Anny; ona nie może się dowiedzieć,

że pił. Od razu by poznała. Po pieprzonych siedemnastu latach takich doświadczeń poznałaby w mig. Nie powinien pić tych drinków. A jeszcze zabrał ze sobą butelkę. Szykował się na pijaństwo pełną gębą, a teraz zaginęła Carla; zaczęły w nim narastać podejrzenia, ale wołał o nich nie myśleć.

Zadzwoiła komórka.

Sprawdził. To nie Anna.

Kto dzwoni do niego o jedenastej w nocy?

Musiał zjechać na bok. Nie był wystarczająco trzeźwy, żeby rozmawiać i jednocześnie prowadzić.

- Griessel.

- Komisarz Benny Griessel? - G wymówiono miękko, z lekko znajomym akcentem.

- Tak.

- Świetnie. Komisarzu Griessel, proszę teraz słuchać bardzo uważnie, bo to bardzo ważne. Słucha pan bardzo uważnie? - Kto mówi?

- Pytam ponownie: słucha pan bardzo uważnie?

- Tak.

- Poszukuje pan zabójcy Carlosa Sangrenegry, zgadza się?

- Tak. - Serce załomotało mu gwałtownie.

- Dobrze. Bardzo dobrze. Ponieważ musi mi go pan dostarczyć. Rozumie pan?

- Kim pan jest?

- Człowiekiem, który ma pańską córkę, komisarzu. Jest tu przy mnie. Powtarzam, proszę słuchać bardzo, bardzo uważnie. Moi ludzie pracują z panem. Wiem wszystko. Dowiem się, jeśli popełni pan jakieś głupstwo, czy to jasne? Gdy popełni pan głupstwo, odetnę Carli palec, rozumie pan? Jeśli powie pan policji, że mam pańską córkę, okaleczę ją, rozumie pan?

- Tak. - Wydyszał z siebie słowa z wielkim trudem, usiłując poskładać myśli.

- Okej. Będę do pana dzwonił. Codziennie. Rano i po południu, przez trzy dni. Musi pan znaleźć człowieka, który zabił Carlosa, i mi go dostarczyć.

- Nie wiem dokąd... - Nie potrafił zapanować nad strachem, zdradził go jego głos.
- Boi się pan. To dobrze. Ale musi pan zachować spokój. Gdy zadzwonię i dowiem się, że dopadł pan tego człowieka, powiem, dokąd trzeba przyjechać, jasne?
- Tak.
- Trzy dni. Ma pan trzy dni, żeby go dorwać. Po tym czasie ją zabiję. A teraz muszę coś zrobić, bo znam się na ludziach. Jutro stwierdzi pan, że jest sprytniejszy od tego dzwoniącego faceta. Muszę więc coś zrobić, żeby jutro pan to pamiętał, zgoda?
- Zgoda.
- Jest tu przy mnie Carla. Zdejmiemy jej ubranie. Pańska córka ma ładne ciało. Podobają mi się jej cycuszki. Teraz przyłożę jej tam nóż. Zaboli i będzie krwawić. Ale chcę, żeby pan tego posłuchał. Niech pan go jutro pamięta. Ten dźwięk.

Część III
Thobela

41

Zostawiam cię samego - powiedział Sangrenegra i odszedł.

Thobela wypowiedział jego imię. Carlos. Słowo rozbrzmiało echem w dużym pomieszczeniu.

Kolumbijczyk się odwrócił.

Thobela prędko i zręcznie wyjął sagaj z białej rury.

- Jestem tu z powodu dziewczynki - oświadczył.

- Nie - wydusił Carlos.

Thobela nie odpowiedział, podszedł tylko bliżej do stojącego nad basenem mężczyzny.

- Ona kłamie - powiedział Carlos, cofając się. Poprawił chwyt na sagaj u.

- Proszę - wybełkotał Carlos. - Nie tknąłem dziewczynki. - Wyciągnął przed siebie ręce. Przerazenie wykrzywiło mu twarz. - Proszę. Ona kłamie. Kłamie, dziwka, kłamie.

Ogarnęła go furia. Z powodu tchórzostwa tego drania, jego zaprzeczeń, wszystkiego, co sobą reprezentował. Dopadł go szybko, podniósł wysoko sagaj.

- Policja... - powiedział Carlos i długie ostrze opadło.

Christine zauważyła, że oczy pastora są czerwone i zmęczone, ale wiedziała, że słucha jej uważnie.

Wstała z krzesła i nachyliła się nad biurkiem, wyciągając ręce do tekturowego kartonu. W tej pozycji piersi niemal wylewały jej się z dekoltu. Zdawała sobie z tego sprawę, a także z tego, że to już bez znaczenia. Przysunęła do siebie pudło i otworzyła.

- Teraz muszę wyjaśnić to - oznajmiła i sięgnęła do środka. Wyjęła dwa wycinki z gazet. Rozłożyła pierwszy. Rzuciła okiem na zdjęcie i notatkę, zwłaszcza na młodą dziewczynę wysiadającą w towarzystwie mężczyzny z helikoptera. Położyła wycinek na biurku i wygładziła dłonią.

- To moja wina - powiedziała i odwróciła zdjęcie tak, żeby pastor lepiej widział. Postukała w nie koniuszkiem palca. - Nazywa się Carla Griessel.

Podczas gdy pastor patrzył na fotografię, wzięła drugi wycinek.

Wyszedł z domu Sangrenegry i kątem oka dostrzegł ruch. Naprzeciwko, w dużym budynku, za oknem. Ciążył mu niesmak z powodu reakcji Carlosa i jego słów, a także dojmujące uczucie, że jest obserwowany.

Coś było nie tak.

Na biurku w nierównym rzędzie leżało pięć przedmiotów. Najdalej na prawo dwa wycinki z gazet. Następnie zabawka: brązowo-biały piesek z dużymi, łagodnymi oczami i lekko wysuniętym z uśmiechniętego pyska czerwonym językiem. Obok niewielki biały plastikowy pojemnik z jakimś medykamentem. I ostatnia po lewej stronie, duża strzykawka.

Christine znów odsunęła karton. Jeszcze nie był pusty.

- Następnego ranka po tym, jak Carlos zobaczył Sonię, zadzwoniłam do Vanessy.

Zahamował z piskiem opon obok swojego pikapa, chwycił białą rurę, w której ukrył sagaj, i wyskoczył z wozu.

Powoli, podpowiadał mu rozum. Nie śpiesz się. Nie zrób głupstwa.

Otworzył pikapa, przechylił oparcie do przodu i położył za nim rurę. Rozpiął sportową torbę, w której miał ubranie. Wyjął błękit-no-białą bawełnianą koszulkę. Kupił ją w motocyklowym ośrodku szkoleniowym w Amersfoort. Jedną sobie, jedną Pakamile. Wróci! do furgonetki firmy oczyszczania basenów.

Syreny zbliżały się, nie wiedział, z której strony ani jak są blisko. Przyływ adrenaliny. Łomot serca. Nie śpiesz się. Wylał kierownicę furgonetki koszulką. Potem dźwignię zmiany biegów.

Syreny zbliżały się coraz bardziej.

Klamka po wewnętrznej stronie drzwi. Rączka do opuszczania i podnoszenia szyby. Co jeszcze?

Kolejna syrena, gdzieś od strony miasta.

Czego jeszcze dotykał? Lusterko wsteczne? Wylał je, ale śpieszył się i nie zrobił tego, jak należy.

Powoli. Wylał je starannie, z tyłu i przodu.

Gdy zawracał pod Diabelski Szczyt, kątem oka dostrzegł plamkę helikoptera na błękitnym niebie.

Szukają go.

Kiedy uciekał sprzed domu Sangrenegry, zanim skręcił, zobaczył coś w lusterku wstecznym. Czy mu się zdawało? Szukali go.

Rzucił przekleństwo w xhosa, jedną sylabę. Zza zakrętu wyszedł spacerowicz, schodził ze stoku Wzgórza Sygnałowego. W czterech susach dopadł pikapa.

- Nie wiedziałam, czym się to wszystko skończy - powiedziała do pastora, próbując się usprawiedliwić. Zauważyła, że jej głos wyprany jest z emocji. Zdawała sobie sprawę, że jest zmęczona, jakby na ostatniej prostej zabrakło jej siły. To dlatego, że tyle razy to w sobie wałkowałam, pomyślała.

Kiedy zobaczyła wycinek, czy Carli Griessel, poczuła straszny ciężar, że to wszystko jej wina, ale też ulgę, że w ogóle jeszcze odczuwa winę i wyrzuty sumienia. Po tym wszystkim. Po tylu kłamstwach. Oszustwach. Przez tyle lat. Wciąż ranił ją czyjś ból. I potrafiła współczuć innym ludziom. Ale też obwiniała się, że poczuła ulgę.

Wzięła głęboki wdech, żeby zebrać siły, gdyż to, co chciała wyjaśnić, miało dla niej wielkie znaczenie.

- Bałam się. Proszę zrozumieć. Byłam przerażona. Sposób, w jaki Carlos patrzył na Sonię... Myślałam, że go znam. To jeden z moich problemów. Znam mężczyzn. Musiałam się ich nauczyć. A Carlos był jak nieposłuszne dziecko. Właściwie niegroźny. Marudny, zaborczy i zazdrosny. Ale bardzo lubił sprawiać przyjemność. Zdarzało się, że pobił moich klientów, lecz nigdy sam. Do tamtej chwili wciąż myślałam, że mogę go kontrolować. To najważniejsze. Dotyczy wszystkich mężczyzn. Mieć nad nimi kontrolę tak, żeby nie zdawali sobie z tego sprawy. Ale wtedy zobaczyłam jego twarz. I wiedziałam, że wszystko, co myślałam, to nieprawda. Nie znałam go. Nie miałam nad nim żadnej kontroli. I wpadłam w panikę. Absolutną panikę.

Ja... To nie tak, że to zaplanowałam, albo coś. Chodziło mi to jednak po głowie. Ten facet, Artemida, to, co się działo w domu Carlosa, narkotyki i reszta, i strach, z powodu tego, jak patrzył na Sonię... Zdaje mi się, że gdy ktoś naprawdę się boi, jest przerażony, wtedy umysł zaczyna pracować bez jego wiedzy, przejmuje obowiązki. Nie wiem, czy pan to rozumie.

Zadzwoiłam do Carlosa i powiedziałam, że chcę z nim porozmawiać.

Prowadził z włączonym radiem. Rozmyślnie wybierał mniej uczęszczane trasy, instynktownie jadąc na wschód, w kierunku Wellington i przez Bains Kloof, przez Mitchells Pass do Ceres i żwirowymi drogami do Sutherland.

Początkowo odrzucał możliwość, że Sangrenegra może być niewinny.

Najpierw ułożył sobie inne elementy - ruch w domu naprzeciwko, przebiegający przez ulicę mężczyzn, którego dostrzegł we wstecznym lusterku. Prześmiewcze artykuły w gazetach. Słowo Carlosa: policja... Chciał coś powiedzieć, coś wiedział.

Czekali na niego. Zorganizowali zasadzkę i wpadł w nią jak głupiec, jak amator - nieostrożny, zbyt pewny siebie.

Zastanawiał się, ile wiedzą. Mieli kamerę w domu po drugiej stronie ulicy? Czyżby jego zdjęcia przekazywano właśnie gazetom i telewizji? A gdyby zaryzykować powrót do domu?

Ale jak czkawką odbijała mu się możliwość, że Carlos był niewinny.

Te zaprzeczenia. Ta twarz.

Wielka różnica między reakcją Carlosa a tamtych wcześniej, którzy użycie ostrza uważali za ucieczkę. Albo wymierzenie sprawiedliwości.

Boże. Jeśli Kolumbijczyk był niewinny, Thobela Mpayipheli nie jest katem, tylko mordercą.

Pierwsze wiadomości usłyszał trzydzieści kilometrów na zachód od Fraserburga, radio łapało falę z przerwami.

- Zespół operacyjny wydziału przestępstw ciężkich i bandytyzmu przybył za późno, żeby pochwycić mściciela, tak zwanego Artemidę... ustawiono liczne blokady drogowe w Prowincji Przylądkowej oraz Boland z zamiarem... model Isuzu KB 260 rocznik 2001 o numerze rejestracyjnym...

Od razu porzucił te samooskarżenia, wiedział, że oni wiedzą, i odżyła w nim stara bitewna gorączka. Nieraz już tego doświadczał. Bycia zwierzyną łowną. Polowano na niego wzdłuż i wszerz różnych kontynentów. Znał to dobrze, szkolili go w tym najlepsi; nie mogli zrobić nic, czego by już nie przeżył, z czym by nie musiał już wcześniej sobie radzić.

W tej chwili poczuł też, że w pełni wrócił do walki. Jak za dawnych, bardzo dawnych dni, kiedy istniały sprawy warte ochrony przed śmiercią. Wyższy poziom moralny zapewnia szersze horyzonty. I spłynął na niego wielki spokój, teraz, gdy już dokładnie wiedział, co robić.

Spotkała się z Carlosem w Mugg & Bean na Waterfront. Obserwowała, jak zbliża się z tą pełną samozadowolenia miną, z radośnie rozkołysanymi ramionami i lekko przekrzywioną głową. Jak duży chłopiec, któremu znów udało się postawić na swoim. Pieprz się Carlos; akurat.

- Jak twoja córka, *conchita*? - zapytał z uśmiechem, gdy usiadł.

Musiała zapalić papierosa, żeby ukryć strach.

- Dobrze - odparta szorstko.
 - Oj, *conchita*, nie złość się. Sama jesteś sobie winna. Masz przed Carlosem sekrety. Carlos chce tylko cię poznać, zatroszczyć się o ciebie.
- Nie odpowiedziała. Patrzyła na niego.
- Jest prześliczna. Jak matka. Ma twoje oczy. - Myślał, że te słowa ją uspokoją?
 - Carlos, postanowiłam dać ci, czego pragniesz.
 - Czego pragnę?
 - Żebym nie spotykała się z innymi klientami. Żebym nie miała przed tobą sekretowy. Zgadza się?
 - *Si*. Zgadza.
 - Zrobię to, ale pod pewnymi warunkami.
 - Carlos zatroszczy się o ciebie i małą *conchitę*. Przecież wiesz.
 - Nie chodzi o pieniądze, Carlos.
 - Wszystko jedno, *conchita*. Więc czego chcesz?

Jechał z Merweville do Prince Albert przez suche bezkresy Great Karoo tonące w spektakularnej feerii barw zachodzącego słońca.

Sądząc z wiadomości radiowych, myśleli, że wciąż jest w Prowincji Przylądkowej.

Pod osłoną nocy przekroczył Swartberg Pass i ostrożnie zjechał do Oudtshoorn. Na wyboistej jednopasmówce łączącej Willowmore ze Steytlerville poczuł, że pokonuje go znużenie, więc poszukał miejsca, gdzie można by zjechać i się przespać. Ułożył się w miarę wygodnie na przednim siedzeniu i zamknął oczy. Usnął o wpół do trzeciej nad ranem, ale zeszywniały obudził się już o brzasku, z piaskiem pod powiekami i pragnieniem przemycia twarzy.

W brudnej toalecie stacji benzynowej w Kirkwood umył zęby i ochlapał twarz zimną wodą. Był teraz w krainie Xhosa, więc nie przyciągał uwagi. W Chicken Licken kupił kurczaka na wynos i ruszył dalej. Do domu.

O wpół do dziesiątej przejechał Hogsback Pass, trzydzieści pięć minut później skręcił w drogę wiodącą na farmę i na rudym kurzu zobaczył ślady opon.

Wysiadł.

Jeden pojazd. Wąskie opony małego sedana. Wjechał i jeszcze nie wyjechał. Ktoś na niego czekał.

- Moja córka ma na imię Sonia.

- Ślicznie. - Jakby naprawdę tak myślał.

- Nie przyprowadzę jej do twojego domu, Carlos. Możemy jednak gdzieś razem się wybrać. Na piknik albo do kina, tylko nie do twojego domu.

- Ale, *conchita*, mam basen kąpielowy...

- I ochroniarzy ze spluwami i baseballowymi kijami. Nie życzę sobie, żeby moja córka na to patrzyła.

- To nie ochroniarze. To moi ludzie.

- Wszystko jedno.

- Okay, okay, Carlos ich odprawi, kiedy przyjdiesz.

- Nie odprawisz.

- Nie? Czemu nie?

- Bo nie odstępują cię na krok.

- Odprawię, *conchita*, przysięgam - nakreślił na piersi znak krzyża.

- Gdy będę z córką, nie będę z tobą spała i nie spędzimy nocy u ciebie. Bez dyskusji.

- Carlos rozumie - powiedział, ale nie potrafił ukryć rozczarowania.

- I nie będziemy się śpieszyć. Najpierw muszę z nią o tobie porozmawiać. Musi mieć czas do ciebie przywyknąć. - Okay.

- W takim razie jutro wieczorem sprawdzimy, czy mówisz poważnie. Przyjdę do ciebie i mamy być sami. Bez ochroniarzy. - *Si*. Oczywiście.

- Zostanę na noc. Ugotuję coś i porozmawiamy.

- A gdzie będzie Sonia?

- Sonia będzie bezpieczna.
 - U niani? - zadowolony, że o niej wie.
 - Tak.
 - Może w weekend dokądś się wybierzemy? We trójkę, z Sonią?
 - Jeśli przekonam się, że mogę ci zaufać, Carlos.
- Ale już wiedziała, że dał się złapać. Że nadała bieg wydarzeniom.

42

Thobela zostawił pikapa za grzbietem Waterval Plantation i z sagajem w lewej ręce ruszył brzegiem Cata River do domu.

Na kilometr przed miejscem, skąd widać było farmę, skręcił na północny wschód, żeby podejść do domu od strony wzgórz. Spodziewają się go od strony drogi.

Usiadł i dwadzieścia minut obserwował dom, ale widział tylko zaparkowany przed nim samochód. Bez anteny, czegokolwiek, co wskazywałoby na wóz policyjny. Cisza.

Dziwne.

Biegł, starając się, żeby zasłaniała go szopa; sprawdził, czy drzwi wciąż są zamknięte. Pochylony, trzymając się poniżej poziomu okien, zbliżył się do miejsca, w którym stał samochód.

W kurzu dojrzał pojedyncze ślady stóp. Zaczynały się przy drzwiach od strony kierowcy i wiodły prosto na werandę.

Jeden człowiek.

Przykucnął na posładkach, opierając się plecami o ścianę werandy, i rozważał wszystkie możliwości. W końcu znalazł odpowiedź. Detektyw z Umtata. Musiał słyszeć wiadomości. Znał go, od początku wiedział o wszystkim.

Przyszedł po więcej pieniędzy.

Wyprostował się z ulgą, zdecydowanym krokiem wszedł po schodach werandy i otworzył drzwi, przekładając sagaj do prawej ręki.

I zobaczył siedzącego w fotelu mężczyznę, z pistoletem na kolanach.

- Tak myślałem, że się tu pojawisz - powiedział biały.

- Kim jesteś?

- Nazywam się Benny Griessel. - I wycelował Z 88 prosto w pierś Thobeli.

Christine podniosła z biurka wypchanego pieska.

- Tyle się nachodziłam, żeby znaleźć odpowiedniego - powiedziała. - W sklepach co roku mają inne zabawki. - Pogłaskała palcami długie brązowe uszy. - Kupiłam jej takiego, gdy miała trzy latka. To jej ulubieniec, bez niego nigdzie się nie ruszy. Więc musiałam zdobyć takiego samego i je podmienić, bo na tym, którym się bawiła, były ślady jej DNA. Policyjne komputery mogą sprawdzić wszystko. Więc tego właściwego musiałam jej zabrać.

Stał przed białym mężczyzną. Rozważał swoje szanse, mierząc odległość od sagaju do pistoletu. I odprężył się, bo to nie był właściwy moment na działanie.

- To mój dom - powiedział.

- Wiem.

- Czego chcesz?

- Chcę, żebyś tam usiadł i się zamknął. - Biały wskazał lufą Z 88 podwójną kanapę naprzeciw fotela.

W jego oczach i głosie wyczuwał przejęcie i determinację.

Thobela zawahał się, wzruszył ramionami i usiadł. Spojrzał na Griessela. Co to za jeden? Przekrwione oczy i żyłki na nosie zdradzały nadużywanie alkoholu. Włosy długie i potargane - albo usiłował zachować wygląd młodzieniaszka z lat siedemdziesiątych, albo miał to gdzieś. Zważywszy na wymięte ubranie i zakurzone znoszone brązowe buty, druga możliwość zdawała się bardziej prawdopodobna. Zalatywało od niego stróżem prawa, co potwierdzał Z 88, ale policjanci zjawiają się zazwyczaj w grupie, a już co najmniej we dwóch. Policjanci zakuwają w kajdanki i rozkazują, nie proszą, żebyś usiadł w twoim własnym domu.

- Usiadłem - powiedział i położył sagaj na podłodze obok kanapy.
- To teraz się zamknij.
- I co będziemy robić? Siedzieć i gapić się na siebie? Biały nie odpowiedział.
- Zastrzelisz mnie, jeśli będę gadał? Milczenie.
- Z tabletkami nie było kłopotu - powiedziała spokojnie Christine. Wskazała biały pojemnik na biurku.
- I z sukienką. Nie mam jej, zabrała ją policja. Ale krew... Z początku nie potrafiłam tego zrobić. Nie wiedziałam, jak powiedzieć córce, że muszę jej wbić w ramię igłę, że będzie bolało, że krew popłynie do strzykawki, a ja ochłapię nią siedzenie samochodu. To było najtrudniejsze. Martwiłam się. Nie wiedziałam, czy krew nie skrzepnie. Nie wiedziałam, ile jej pobrać. I czy policja rozpozna, że krew nie jest świeża. Nie wiedziałam też, jak robią te badania genetyczne. Czy komputer umie stwierdzić, że krew cały dzień leżała w lodówce?

Przycisnęła pieska do piersi. Nie patrzyła na pastora. Patrzyła na swoje palce zaplątane w uszy zabawki.

- Kiedy Sonia się kąpała, weszłam i ją okłamałam. Powiedziałam, że trzeba to zrobić, bo muszę zawieźć odrobinę jej krwi do lekarza. Gdy zapytała „dlaczego?”, nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Zapytałam, czy pamięta szczepienie, które robiono jej w przedszkolu, by chronić ją przed chorobami. Zawołała: „Mamusi, miałam ranek”; uspokoiliam ją: „Ale ranka szybko się zagoiła, ta też szybko się zagoi, będzie tak samo, nie ma się czego bać”. Już nie protestowała, zacisnęła powieki i wyciągnęła rękę. Nigdy nie pobierałam nikomu krwi, kiedy jednak jest się dziwką, co miesiąc trzeba robić test na obecność wirusa HIV, więc nieraz to widziałam. Ale kiedy dziecko mówi: „Aua, mamusiu, auć”, wtedy zaczynają trząść się ręce i trudno trafić, i zaczynasz się bać, że nie pobierzesz krwi...

- Na co czekamy? Czego chcesz? - zapytał.

Ale biały tylko siedział, patrzył na niego, z opartą na kolanach ręką z pistoletem, i się nie odzywał. Od czasu do czasu mrugał albo gapił się przez okno.

Zaczynał podejrzewać, że facet ma nie po kolei w głowie. Może jest naćpany. Był jakoś tak strasznie spięty, jakby coś okrutnie go gryzło. Gałki jego oczu wciąż się poruszały. Czasami podrygiwało mu kolano, jakby tkwiła w nim sprężyna. Pistolet też podskakiwał lekko, prawie niezauważalnie.

Nieźrównoważony, co znaczy niebezpieczny. Ma szansę, gdyby odepchnął się od kanapy i rzucił się na niego, pokonując te dzielące ich dwa metry z małym okładem? Gdyby wybrał moment, kiedy wzrok faceta znów powędruje do okna? Gdyby udało się wytracić białemu z ręki wymierzony w niego Z 88? Oceniał odległość. Zajrzał w brązowe oczy. Nie.

Ale na co czekają? W takim napięciu?

Częściową odpowiedź poznał trochę później, gdy zadzwoniła komórka. Dwa sygnały. Biały mężczyzna wyprostował się gwałtownie. Podniósł z kolan telefon, znieruchomiał i gapił się na wyświetlacz. Telefon zamilkł. Piętnaście, dwadzieścia sekund później brzęknął dwa razy, oznajmiając odebranie wiadomości. Ale Gries-sel jej nie odsłuchał.

Czekają na instrukcję; tak to zrozumiał Thobela. Która przyjdzie telefonicznie. Napięcie brało się ze stresu. I niepokój. Ale dlaczego? Co to miało wspólnego z nim?

- Masz kłopoty?

Griessel tylko popatrzył na niego.

- Mogę ci jakoś pomóc?

Griessel spojrział w okno i znów na niego.

- Mogę się zdrzemnąć? - zapytał Thobela, ponieważ sen był wszystkim, co w tej sytuacji mógł zrobić.

Zresztą go potrzebował.

Żadnej reakcji.

Usiadł wygodnie, wyciągnął przed siebie długie nogi, oparł głowę o oparcie kanapy i zamknął oczy.

Ale wtedy komórka znów zadzwoniła i tym razem biały mężczyzna nacisnął klawisz odbioru; powiedział: Griessel - i: Tak, mam go. - Potem tylko słuchał. Powiedział: Tak.

I jeszcze raz: Tak. A dalej?

Thobela słyszał cichy głos dzwoniącego mężczyzny, słów jednak nie rozumiał.

Griessel odjął telefon od ucha i podniósł się z fotela, zachowując bezpieczną odległość.

- Wstawaj - rzucił. - Jedziemy.

- Dziękuję, ale tu mi wygodnie.

Strzał przeciął grzmiotem ciszę pokoju i kula wybiła dziurę w oparciu za jego plecami. Wyleciały z niego wypełnienie i kurz i wolno opadły na podłogę. Thobela popatrzył na białego mężczyznę, ale ten się nie odezwał. Więc wstał, trzymając ręce z dala od ciała.

- Tylko spokojnie - powiedział do Griessela.

- Do samochodu. Poruszył się.

- Czeka.

Obejrzał się. Griessel stał nad sagajem. Popatrzył na broń, potem na Thobelę, jakby podejmował decyzję. Po czym pochylił się i podniósł włócznie.

Thobela wyciągnął wnioski. Facet nie chciał zostawić żadnego dowodu. Nie wróżyło to najlepiej.

Miał po nią przyjechać o wpół do czwartej, ale już kwadrans po trzeciej rozległo się pukanie do drzwi i gdy je otworzyła, zobaczyła szeroko uśmiechniętego Carlosa z bukietem kwiatów.

Wszedł do środka:

- A więc tutaj mieszkasz, *conchita*. Przyjemne mieszkanie. Bardzo przyjemne.

Musiała zachowywać się spokojnie i przyjaźnie, choć zeszywniała z napięcia. Bo piesek leżał na widoku, a w lodówce strzykawka z krwią.

Zamierzała ukryć ją w torbie z zakupami, między produktami na kolację, którą miała ugotować.

Złożoną sukienkę Soni schowa-

ła w torebce. Carlos chciał zobaczyć, gdzie śpi i gdzie jest pokój jej córki. Był pod wrażeniem dużego ekranu telewizora (Carlos podaruje ci taki, *conchita*. Tobie i Soni). Podszedł do lodówki.

- No, to się nazywa lodówka - oświadczył z podziwem. Lecz kiedy wyciągnął dłoń do uchwyty, powiedziała ostro:

- Carlos!

Tak ostro, że sama się wystraszyła brzmienia swojego głosu. Obejrzał się jak skarcone dziecko.

- Pomożesz mi zanieść do samochodu zakupy na kolację? - Wyśle go na dół z paroma reklamówkami.

- *Si*. Oczywiście. Co ugotujesz?

- Niespodzianka, więc nie otwieraj lodówki.

- Ale chcę zobaczyć, jaka jest duża.

- Innym razem. - Nie będzie innego razu.

Biały mężczyzna usiadł z tyłu po lewej stronie i pozwolił Tho-beli prowadzić.

- Jedź.

- Dokąd?

- Po prostu jedź.

Thobela wjechał na drogę wiodącą z farmy. We wstecznym lusterku nie widział, co dzieje się z tyłu.

Odwrócił głowę, jakby zobaczył coś za samochodem. Kątem oka dostrzegł, że Griessel trzyma na kolanach mapę drogową. Podsumował w myśli zebrane informacje. Był prawie pewny, że Griessel jest policjantem. Z 88, zachowanie. Biały wiedział, gdzie leży farma i że Thobela tam wróci. Co ważniejsze: nie pojawili się inni policjanci. Uznali, że farma jest sprawdzona.

Griessel czekał na konkretny telefon. „Tak. Mam go”. Ale nie była to procedura policyjna. Nie mogła być. Kto jeszcze go poszukiwał? Dla kogo jeszcze był ważny? - Jedź do George - polecił Griessel.

Thobela obejrzał się: mapa drogową została złożona.

- George?

- Wiesz, gdzie to jest.

- To prawie sześćset kilometrów.

- Wczoraj zrobiłeś ponad tysiąc.

Policjant wiedział, że wczoraj opuścił Prowincję Przylądkową. Miał dostęp do oficjalnych informacji, ale nie był tu w charakterze oficjalnym. Bez sensu. Może by tak coś wykręcić. Choćby spróbować jakiejś sztuczki z samochodem na zwirowej drodze, bo był w pasach, a Griessel nie. Na przykład nagle zahamować i chwycić mężczyznę, gdy rzuci nim do przodu. Spróbuj i zabierz mu pistolet.

Ryzykowne.

Musi ryzykować? George? Co takiego znajduje się w George? Gdyby policjant był tu oficjalnie, jechałby teraz do Cathcart, Seymour, Alice albo Port Elizabeth. Albo do Grahamstown. W każdym razie do najbliższego miejsca, gdzie są policjanci, areszt i oskarżyciel państwowy.

Był podejrzanym dużego kalibru; wiedział o tym. Gdybyś był z policji i złapał Artemidę, dzwoniłbyś teraz do facetów ze spluwami i helikopterami, siedziałbyś na komórcie, póki nie skuliby go dziesięcioma parami kajdanków.

Chyba że biały pracuje jeszcze dla kogoś. Że ma dodatkowe źródło dochodów...

Rozważył wszystkie możliwości i uznał, że nasuwa się tylko jeden logiczny wniosek.

- Od jak dawna pracujesz dla Sangrenegry? - Przekręcił lewą ręką lusterko. Napotkał spojrzenie przekrwionych oczu. Żadnej odpowiedzi.

- Na tym polega problem tego kraju. Pieniądze liczą się bardziej niż sprawiedliwość - stwierdził.

- Tym usprawiedliwiasz swoje morderstwa? - zapytał policjant.

- Morderstwa? Było tylko jedno morderstwo. Nie wiedziałem, że Sangrenegra jest niewinny. To wy wykorzystaliście go jako zasadzkę.

- Sangrenegra? Skąd wiesz, że był niewinny?

- Zobaczyłem to w jego oczach.

- A Bernadette Laurens? Co powiedziały ci jej oczy?

- Laurens?

Policjant milczał.

- Przecież się przyznała.

- To właśnie w kółko słyszę.

- Nie ona?

- Nie sądzę, żeby to była ona. Według mnie chroniła matkę dziecka. Jak inni chronią swoje dzieci.

Thobela oniemiał.

- Po to mamy system sprawiedliwości. Po to są sądy. Dlatego nie możemy brać sprawiedliwości we własne ręce - powiedział Griessel.

Thobela zmagał się z tą możliwością, z usprawiedliwieniem i akceptacją winy. Ale nie mógł przechylić szali na żadną stronę.

- Po co się w takim razie przyznała? - zastanawiał się głośno. Z tylnego siedzenia nie padła odpowiedź.

43

Gdy nieśli torby z zakupami do kuchni Carlosa, myślała tylko o strzykawce z krwią.

Bez ochroniarzy dom był nienaturalnie cichy i pusty; duże przestrzenie rozbrzmiewały echem ich kroków i rozmowy. Objął ją, ledwie odstawili zakupy, przycisnął do siebie z zadziwiającą czułością.

- Jak dobrze, *conchita* - powiedział. Rozluźniła się. Przywarła do niego biodrami.

- Tak.

- Będziemy szczęśliwi.

Pocałowała go w usta, całowała wprawnie, dopóki nie poczuła, że członek mu nabrzmiwa. Położyła na nim dłoń. Ręce Carlosa wędrowały po jej plecach. Centymetr po centymetrze podciągał do góry sukienkę, aż odsłonił pośladki i wsunął palce pod gumkę majtek. Oddychał coraz szybciej.

Musnęła wargami jego policzek, sunęła w dół szyi, aż do krzyżyka zaplątanego między włosami na klatce piersiowej. Jej język znaczył wilgotny szlak. Wyswobodziła się z jego ramion, opadła na kolana i zaczęła manipulować przy suwaku jego spodni. Jedną ręką zsunęła slipy, drugą wyjęła członek.

Długi, cienki i owłosiony, stał. Jak chudy wojak w za dużym błyszczącym hełmie.

- Conchita. - W jego głosie zabrzmiała żądza, bo nigdy wcześniej nie robiła tego bez prezerwatywy.

Głaskała go obiema rękami, od włosów łonowych aż do czubka.

- Będziemy szczęśliwi - powiedziała i delikatnie włożyła go do ust.

Thobela Mpayipheli i jego biały pasażer, rozparty na tylnym siedzeniu jak kolonialny baron, minęli Mwangala i Dyamala, gdzie na świeżej zielonej trawie pasło się dorodne bydło. Skręcili w prawo na R63. Przemknęli obok cichego w porze letnich wakacji Fort Hare. Pięć minut później wjechali do ruchliwej Alice. Chodniki okupowali sprzedawcy owoców, przez ulicę przechodziły wolno i statecznie kobiety z koszami na głowach i dziećmi na plecach. Na rogu czterech mężczyzn pochylało się nad grą planszową. Thobela był ciekaw, czy policjant też to wszystko widzi. Czy słyszy nawoływania Xhosa płynące nad szeroką ulicą. Miasto było ich. Władą nim ten lud.

Po kolejnych trzydziestu kilometrach minął Fort Beaufort i skręcił na południe. Kilka razy dostrzegł wijącą się między wzgórzami rzekę Kat. Zamierzał przywieźć tu Pakamile: przyjechaliby sami, z plecakami, butami turystycznymi i dwuosobowym namiotem. Chciał pokazać swojemu chłopcu miejsce, gdzie dorastał.

Thobela znał każdy zakręt Kat. Głębie przy Nkqantosi, gdzie można skoczyć do wody z klifu, otworzyć głęboko pod zielonka-wobrazową taflą oczy i zobaczyć wdzierające się w ciemność promienie słońca. Małą piaszczystą plażę poniżej Komkulu. Na której przed trzydziestu laty odkrył w sobie wojownika. Mtetwa, młody bawół - łobuz, niesprawiedliwość, którą naprawił. Pierwszą.

I jego ulubione miejsce, daleko od drogi. Cztery kilometry przed miejscem, gdzie Kat wpływa do Great Fish River, rzeka zata-

czala wyraźny, wielki łuk, jakby po raz ostatni chciała się zabawić, nim straci tożsamość - meander był tak rozległy, że tworzy! prawie wyspę. Stamtąd było prawie dziesięć kilometrów do plebanii kościelnej misji, gdzie mieszkał, ale potrafił dobiec tam w godzinę, sekretnymi drózkami przez okalające dolinę wzgórza. Potem siadał między trzcinami, w których gadatliwe, jaskrawo upierzone wikłacze wabiły samiczki do swoich wiszących gniazd. Słuchał wiatru. Obserwował grubą iguanę wygrzewającą się w słońcu na czarnej skale. Późnym popołudniem z gąszczu wychodziły jak zjawy antylopy i zanurzały głowy w wodzie. Najpierw z gracją łanie w czerwonych lśniących płaszczach. Później parami byki, ciemnobrazowe w półmroku, potężne, o krótkich, ostrych jak igła rogach, które podnosiły i zanurzały, podnosiły i zanurzały.

Ciekawe, czy nadal tam są. Czy mógłby z synem zobaczyć potomków zwierząt, na które w dzieciństwie czekał z zapartym tchem? Czy wciąż chodzą tymi samymi ścieżkami przez trzcinę i sitowie?

Pamięta jeszcze te dróżki? Może się tu zatrzymać, zdjąć buty i zniknąć między ciernistymi drzewami? Odszukać tamte ścieżki? Znaleźć ten rytm, kiedy czuje się, że można biec bez końca, tak długo, dopóki na horyzoncie nie pojawi się wzgórze, na które trzeba się wspiać?

Kiedy Carlos z butelką czerwonego wina zasiadł przed telewizorem, wyjęła z torebki strzykawkę z krwią i ukryła ją głęboko w szafce z garnkami i patelniami, nowymi, czystymi, nieużywanymi.

Gdzie schować pieska? Wyjęła go spod sterty warzyw w torbie na zakupy.

Ręce jej drżały, bo nie usłyszałaby, gdyby Carlos przyszedł do kuchni.

Jechali w milczeniu kolejne dwie godziny. Za Grahamstown, w zmroku wczesnego wieczoru, zapytał:

- Słyszałeś może o Nxele? - cmoknął, wymawiając to imię.

Nie oczekiwał odpowiedzi. A gdyby ją otrzymał, wiedział, jaka będzie. Biali ludzie nie znali tej historii.

- Nxele. Podobno wielki chłop. Dwa metry wzrostu. I miał ga-dane. Kiedyś dzięki temu uniknął nawet plemiennego stosu. A potem został przywódcą, choć w jego żyłach nie płynęła królewska krew. Było mu wszystko jedno, czy biały mężczyzna słucha, czy nie. Skoncentrował się na prowadzeniu. Chciał pozbyć się ospałości, wyrzucić z siebie uczucia, które obudził w nim krajobraz za oknami. Jakoś rozładować napięcie.

- To było niespotykane w tamtych czasach, prawie dwieście lat temu, gdy ludzie walczyli ze sobą... i z Anglikami. Wtedy przyszedł Nxele i głosił, że powinni przestać korzyć się przed białym Bogiem, a słuchać głosu Mdalidiphu, Boga Xhosa, który zabraniał im klękać przed sobą w pyłe. Kazał im żyć. Tańczyć. Podnieść głowę i cieszyć się życiem. Sypiać z żonami, żeby się rozmnożyli i wygnali białego człowieka. I odzyskali swoją ziemię.

Można powiedzieć, że to on wywołał pierwsze powstanie. Zebrał dziesięć tysięcy wojowników. Widziałeś tę okolicę, przez którą przejeżdżaliśmy, Griessel? Widziałeś? Umiesz wyobrazić sobie dziesięć tysięcy wojowników schodzących tamtymi wzgórzami? Nacierali się czerwoną ochrą. Każdy niósł sześć czy siedem długich włóczni i tarczę. Biegli uzbrojeni. Nxele nakazał ciszę, nie wolno było śpiewać ani wznosić okrzyków. Chcieli zaskoczyć Anglików pod Grahamstown. Dziesięć tysięcy wojowników maszerowało dolinami, wzdłuż rzek i wzgórzami jak długi czerwony wąż. Wyobraź sobie, że jesteś Anglikiem w Grahamstown, budzisz się kwietniowego ranka i patrzysz na wzgórza. Przez chwilę wszystko wygląda jak co dzień, a potem na szczytach pojawia się to wojsko, widzisz błysk siedemdziesięciu tysięcy włóczni. Żadnego dźwięku. Jakby zjawiała się śmierć.

Nxele krążył między nimi. Przykazał im złamać o kolano jedną z długich włóczni. Powiedział, że Mdalidiphu zmieni brytyjskie kule w wodę. Mieli przypuścić jednoczesny atak na armaty i broń palną i cisnąć długie włócznie, gdy tylko podejną wystarczająco

blisko. A oni potrafili rzucać, umieli wystrzelić włócznią w powietrze i trafić w serce Anglika z odległości sześćdziesięciu metrów. A po wyrzuceniu ostatniej mieli trzymać przed sobą tę przełamaną. Nxele wiedział, że na nic się zda długa broń, gdy widzi się już białka oczu wroga. Wtedy potrzebna jest taka, która pozwala torować sobie drogę.

Podobno był pogodny dzień. Podobno Anglicy nie wierzyli własnym oczom, gdy zobaczyli biegnących wzgórzami Xhosa. Śmiertelnie cichych. Ale w doskonałym szyku.

Na dole Czerwone Płaszcze rozstawiły barykady. Na górze czerwoni czekali na sygnał. A kiedy biali zasiedli w południe do obiadu, oni się pojawili.

Kiedy usłyszałem od wuja tę historię, żałowałem, że nie było mnie wśród nich, Griessel. Powiadają, że gdy wojownicy zaatakowali, podniósł się straszny krzyk. Podobno krzyk jest w każdym żołnierzu. Podczas walki, gdy kipi w nim krew, wyrywa się krzyk. Wybuchą z gardła i daje siłę słonia i chyżość antylopy. Powiadają, że człowiek boi się tylko do tego momentu, potem strach znika. Potem jest się już wyłącznie wojownikiem, którego nic nie może zatrzymać.

Całe życie chciałem być jednym z nich. Marzyłem, żeby znaleźć się w pierwszym szeregu. Wyrzucić włócznię i na koniec zatrzymać sagaj. Pragnąłem poczuć zapach prochu i krwi. Podobno tamtego dnia przepływający przez miasto strumień poczerwieniał od krwi. Pragnąłem spojrzeć Anglikowi w oczy, chciałem, żeby podniósł bagnet i żebyśmy stanęli przeciw sobie jak żołnierze walczący o swoje racje. Chciałem honorowej walki. Jeśli jego ostrze okazałoby się szybsze od mojego, jego siła większa, wówczas umarłbym jak mężczyzna. Jak wojownik.

Długo milczał. A potem, kiedy minęli zjazd do Bushmans River Mouth, powiedział:

- Honor już nie istnieje. Teraz już wszystko jedno, po której stronie się walczy.

W samochodzie znów zapadła cisza, ale Thobela miał wrażenie, że inna.

- I czym się skończył tamten dzień? - usłyszał z tyłu głos Griessela.

Thobela uśmiechnął się w ciemnościach. Z kilku powodów.

- To była wielka bitwa. Anglicy mieli armaty i strzelby. Szrapnele. Tysiąc Xhosa straciło życie.

Znajdowano ich jeszcze wiele dni później, kilometry dalej, z pękami trawy wepchniętymi w rany, żeby zatamować krwawienie. Ale zwycięstwo było blisko. W pewnym momencie bitwy szala zaczęła się przechylać na korzyść Xhosa. Szeregi Nxele były szybkie i liczne, Anglicy nie nadawali ładować broni. Czas się zatrzymał. Ważyły się losy bitwy. Wtedy Czerwone Płaszcze doczekały się cudu. Na imię miał Boesak. Zanim został żołnierzem, był myśliwym polującym na grubego zwierza. Wysłano go razem ze stu trzydziestoma ludźmi na patrol i właśnie tamtego dnia wrócili. W samą porę dla Anglików, bo ich brytyjski dowódca już zamierzał odtrąbić odwrót. Boesak i stu trzydziestu strzelców wyborowych wycelowało w serce ataku, w najlepszych wojowników Xhosa, tych, którzy walczyli w pierwszych szeregach, i w tych biegających między nimi i zagrzewających ich do walki. Odstrzelano jednego po drugim jak byki ze stada. I było po wszystkim.

Próbowała zetrzeć tabletki na sicie do mąki, ale okazały się za twarde.

Wzięła deskę do krojenia chleba i rozgniotła tabletki łyżeczką - drobinki wystrzeliły na podłogę i wpadła w panikę. Dołożyła jeszcze kilka i nacisnęła. Łyżeczka głośno stuknęła w deskę.

Carlos słyszał?

Starła żółty proszek na mały stojący z boku talerzyk. Wystarczająco te tabletki rozdrobniła?

Nakryła do stołu. Nie mogła znaleźć świec ani świeczników, więc tylko położyła podkładki i sztucce.

Zawołała Carlosa, po czym przyniosła jedzenie: stek wołowy faszerowany wędzonymi ostrygami, ziemniaki w mundurkach i *petit pois*.

Carlos nie mógł się jej nachwalić, choć wiedziała, że jedzenie wcale na to nie zasługuje. Bez przerwy jej się podlizywał.

- Widzisz, *conchita*, nie ma moich ludzi. Jesteśmy tylko we dwoje. Żaden problem.

Powiedziała, żeby zachował trochę miejsca na deser: gruszki w winie i cynamonie. I że zrobi mu prawdziwą kawę po irlandzku i bardzo jej zależy, aby ją wypił, bo zaparzy ją w sposób, którego nauczyła się dawno temu, gdy pracowała przy cateringu w Bloem-fontein.

A on na to, że wypije do ostatniej kropelki, po czym będą się kochać, właśnie tutaj, na stole.

Gdzieś na N2, pięćdziesiąt kilometrów przed Port Elizabeth, Griessei kazał mu się zatrzymać.

- Chcesz się wysikać?

- Tak.

- To sikaj.

Sikali oddaleni od siebie o cztery metry; biały mężczyzna trzymał w jednej ręce członek, w drugiej pistolet. Pojechali dalej.

Na peryferiach miasta zatankował, nie wysiadając z samochodu. Gdy minęli zjazd na Hankey i droga zaczęła biec w dół do Gamtoos Valley, Griessei odezwał się znowu:

- Kiedy byłem chłopcem, grałem na gitarze basowej. W zespole.

Thobela nie wiedział, czy powinien odpowiedzieć.

- Myślałem, że właśnie to chcę robić... Wczoraj w nocy słuchałem płyty, którą podarował mi syn. Gdy się skończyła, leżałem w ciemnościach i coś mi się przypomniało. Dzień, kiedy uświadomiłem sobie, że nigdy nie będę kimś więcej niż przeciętnym gitarzystą... Skończyłem szkołę, były grudniowe wakacje i konkurs zespołów w Green Point. Poszliśmy ich posłuchać, faceci z mojego zespołu i ja. I wtedy usłyszałem tego basistę, chłopaczka z białymi jak śnieg włosami; grał w jednym z zespołów rockowych, które wykonywały cudze utwory. Boże, co to był za czarodziej. Stał nieruchomo z zamkniętymi oczami, prawie nie drgnął. Nawet nie patrzył na gryf, palce mu po nim fruwały, a dźwięki płynęły jak rzeka. Wtedy

zdałem sobie sprawę, gdzie jest moje miejsce. Zobaczyłem kogoś, kto się urodził gitarzystą basowym. Cholera, wiedziałem, że czujemy to samo. Muzyka działała na nas tak samo: otwierała nas. Ale czuć, a umieć zagrać to wielka różnica. Tragiczna. Chcesz być tak po prostu, od niechcienia doskonały, ale nie masz w sobie tego czegoś.

Więc zrozumiałem, że nigdy nie będę prawdziwym gitarzystą basowym, chciałem jednak sprawdzić się w czymś innym. Taki dobry. Taki... biegły. W czymkolwiek. Zacząłem się zastanawiać, jak to znaleźć. Gdzie i jak szukać tego czegoś, do czego jest się stworzonym. A jeśli nic takiego nie istnieje? Jeśli we wszystkim można być tylko cholernym przeciętniakiem? Urodzonym przeciętniakiem, który pędzi swój przeciętny żywot, po czym, do cholery, umiera i nikomu nie sprawia to różnicy.

I w tamtym okresie poszukiwań wstąpiłem do policji, bo nie wiedziałem, że można wiedzieć, nie wiedząc. Coś głęboko w człowieku popycha go do tego, do czego się nadaje. Ale trochę to trwało. Bo nie myślałem, że robota policjanta to coś, co można czuć jak muzykę. Poza tym to nie dzieje się tak po prostu. Trzeba swoje zapłacić, uczyć się, popełniać błędy. Pewnego dnia jednak siada się nad teczką z aktami, które żadnemu z pieprzonych kolegów nic nie mówią, czyta się zeznania, notatki i raporty i nagle wszystko układa się w całość. Czuje się to w środku. Gdzieś w głębi słyszy się muzykę, podchwytuje jej rytm i już wiadomo, że właśnie do tego jest się stworzonym.

Thobela usłyszał westchnienie białego mężczyzny. Chciał mu powiedzieć, że rozumie.

- I wtedy już nikt cię nie powstrzyma - ciągnął Griessel. - Nikt. Poza tobą samym. Wszyscy uważają, że jesteś dobry. Mówią ci: „Do licha, Benny, jesteś najlepszy. Jezu, człowieku, jesteś wielki”. A ty chcesz w to wierzyć, bo wiesz, że mają rację, lecz coś w tobie szepcze, że jesteś tylko przeciętniakiem z Parów, który nigdy nie będzie w niczym dobry. Małym szarym człowieczkiem. I wcześniej czy później oni cię skapują. Pewnego dnia cię zdemaskują i cały świat będzie się zaśmiewać, bo tobie się wydawało, że jesteś kimś. Więc, zanim to nastąpi, musisz zdemaskować się sam.

Zniszczyć się. Gdyż jeśli zrobisz to sam, przynajmniej będziesz mógł to kontrolować.

Thobela usłyszał coś jakby śmiech.

- Pieprzone żałosne życie.

44

Zasnął przy stole. Widziała, jak to nadchodzi. Język Carlosa coraz bardziej kołowaciał. Kolumbijczyk przeszedł na hiszpański, jakby rozumiała każde słowo.

Oparł się ciężko na podkładce, usiłując skupić na niej wzrok.

Scena rozgrywała się poza nią, jakby wszystko działo się w innym miejscu i czasie. Do twarzy przylepiony miał głupi uśmiech. Coś mamrotał.

Jego głowa wolno, bardzo wolno opadała na blat stołu. Położył na nim płasko dłonie. Wypowiedział jedno ostatnie, niezrozumiałe słowo, po czym zaczął oddychać głęboko i spokojnie. Wiedziała, że nie może go tak zostawić. Jeśli rozluźnią się mięśnie, spadnie z krzesła.

Wstała i stanęła za nim. Wsunęła ręce pod jego ramiona i splotła palce z jego palcami. Podniosła go. Był ciężki jak ołów, ponad jej siły. Bąknął coś - przeraziła się, bo zaczęła się bać, że nie dość głęboko usnął. Znieruchomiała i stała tak, czując, że długo go nie utrzyma. Potem przeciągnęła go, krok po kroku na kanapę. Osunęła się na nią, pociągając ze sobą Carlosa.

Powiedział coś czystym jak kryształ głosem. Drgnęła. Potem zamarła i siedziała sztywno, póki nie zdała sobie sprawy, że jest nieprzytomny. Z wysiłkiem stoczyła go z siebie; leżał teraz na ukos.

Stanęła obok kanapy. Oddychała szybko, spociła się, pragnęła usiąść i dać odpocząć drżącym nogom. Zmusiła się do działania. Najpierw zadzwoniła po taksówkę; nie wiedziała, ile ma czasu.

Upewniła się, że plastikowy flakonik z tabletkami schowała do torebki. Wzięła pieska i strzykawkę i zeszła po schodach do garażu.

Bmw było zamknięte na klucz. Zakląła. Wróciła na górę. Nie mogła znaleźć kluczyków. Ogarnęła ją panika, zaczęły drżeć ręce. W końcu przyszło jej do głowy, żeby zajrzeć do kieszeni spodni Carlosa, i tam je znalazła.

Wróciła do garażu. Nacisnęła guzik na kluczyku i w pustej przestrzeni rozbrzmiał przenikliwy elektroniczny pisk. Otworzyła drzwi. Wrzuciła pieska pod siedzenie pasażera. Ujęła strzykawkę, położyła kciuk na tłoku i wycelowała igłę w oparcie tylnego siedzenia. Ręka jej się trzęsła. Syknęła z frustracji i chwyciła lewą dłonią prawy nadgarstek, żeby ją unieruchomić. Musi dobrze wykonać tę część zadania. Nacisnęła szybko tłok, szarpiąc dłonią z prawa do lewa. Ciemnoczerwony strumień trysnął na materiał. Drobniutkie kropelki odbiły się i spadły na jej ramiona i twarz.

Przyjrzała się swemu dziełu. Nie wyglądało dobrze. Nie wyglądało prawdziwie.

Serce jej łomotało. Nic więcej nie mogła zrobić. Wysiadła z wozu i po raz ostatni się rozejrzała. Nie zapomniała o niczym. Zamknęła drzwi.

W strzykawce zostało jeszcze parę kropel. Musi pochłapać nimi sukienkę. I upchnąć ją gdzieś w jego szafce.

Zastanawiał się nad słowami policjanta. Założył, że on próbuje wyjaśnić, jak doszło do tego, że dał się skorumpować. Dlaczego robił to, co robił.

- Jak cię znaleźli? - zapytał, gdy minęli zjazd do Humansdrop.

- Kto?

- Sangrenegra. Jak to się stało, że dla nich pracujesz?

- Nie pracuję dla Sangrenegry.

- W takim razie dla kogo?

- Dla policji.

- Nie w tej chwili.

Griessel nie od razu zrozumiał. Potem roześmiał się ironicznie.

- Uważasz, że się sprzedałem. Że to miałem na myśli, gdy powiedziałem...

- A co innego?

- Piję, oto, co robię. Przepijam moje pieprzone życie. Żonę, dzieci, pracę i siebie. Nigdy nie wziętem od nikogo centa. Nigdy nie musiałem. Jeśli chcesz zmarnować sobie życie, alkohol w zupełności wystarczy.

- W takim razie po co jedziemy do George? Dlaczego nie siedzę w celi w Port Elizabeth?

Griessel wybuchnął wściekły i przerażony:

- Bo mają moją córkę. Brat Carlosa Sangrenegry porwał moją córkę. Jeśli nie dostarczę im ciebie... - nie dokończył.

Thobela miał już wszystkie kawałki układanki i nie spodobał mu się obraz, który zobaczył.

- Jak jej na imię?

- Carla.

- Ile ma lat?

Griessel nie spieszył się z odpowiedzią, jakby rozważał sens tej rozmowy.

- Osiemnaście.

Zdał sobie sprawę, że biały mężczyzna ma nadzieję, i wiedział, że w jego położeniu też chciałby ją mieć. Bo tylko to pozostawało. - Pomogę ci.

- Nie potrzebuję twojej pomocy.

- Potrzebujesz. Griessel milczał.

- Naprawdę sądzisz, że powiedzą: Dziękujemy bardzo, oto twoja córka, możesz odjechać?

Cisza.

- Decyzja należy do ciebie, policjancie. Mogę ci pomóc. Ale decyzja należy do ciebie.

Jedenaście minut po siódmej rano załomotał do jej drzwi, czego się spodziewała. Otworzyła, wpadł do środka, złapał ją za ramię i zaczął nią potrząsać.

- Dlaczego to robisz? Dlaczego? - Ucisk jego palców sprawia! jej ból. Lewą ręką trzepnęła go w głowę, najsilniej jak mogła.
 - Suka! - krzyknął Carlos, puścił jej ramię i uderzył ją pięścią w czoło. Zachwiała się, ale odzyskała równowagę.
 - Ty skurwysynu! - wrzasnęła jak najgłośniej i ruszyła na niego z pięściami. Szarpnął się i plasnął ją otwartą dłonią w ucho. W jej głowie rozległ się armatni wystrzał. Oddała cios, tym razem rąbnęła go w kość policzkową.
 - Suka! - krzyknął znów piskliwie. Złapał ją za ręce i pchnął. Uderzyła skronią o podłogę i ją zamroczyło. Zamrugwała; usiadł na niej. - Pieprzona suka. - Trzepnął ją jeszcze raz w głowę. Podrapała go.
- Chwycił ją za nadgarstek i popatrzył na nią wściekły.
- Lubisz to, suko, Carlos widzi, że to ci się podoba. - Przycisnął ją obiema rękami do podłogi. - Teraz spodoba ci się nawet bardziej. - Złapał ją za koszulę nocną na brzuchu i szarpnął. Rozdarła się.
 - Dobrze mnie wypieprzysz? - zapytała. - Bo to będzie pierwszy raz, ty sukinsynu. - Znów ją uderzył; poczuła w ustach smak krwi.
 - Nie ma na co liczyć. Na całym świecie nikt nie pieprzy gorzej od ciebie!
 - Zamknij się, suko!
- Prychnęła na niego, plunęła mu krwią i śliną w twarz i na koszulę. Chwycił ją za pierś i ścisnął, aż wrzasnęła z bólu.
- Lubisz to, dziwko? Lubisz?
 - Tak. Przynajmniej teraz wreszcie cię czuję. Ścisnął znowu. Krzyknęła.
 - Dlaczego mnie uśpiłaś? Dlaczego? Ukradłaś moje pieniądze! Dlaczego?
 - Uśpiłam cię, bo taki z ciebie gówniany kochanek. Dlatego.
 - Najpierw cię wypieprzę. Potem poszukamy pieniędzy.
 - Pomocy! - zawyła. Zakrył jej ręką usta.

- Zamknij się, dziwko.

Ugryzła go w spód dłoni. Krzyknął i ponownie się na nią zamachnął. Uchyliła głowę, wrzeszcząc:

- Na pomoc, proszę, pomóżcie mi!

Uwolniła jedną rękę i walczyła, zadawała ciosy pięścią, drapała i się darła. Gdzieś z dworu albo z korytarza, nie była pewna, dobiegł męski głos.

- Co się tam wyrabia?

Carlos też go usłyszał. Walnął ją obiema rękami w klatkę piersiową. Poderwał się. Nie mógł złapać tchu. Na jego policzku rósł wielki guz.

- Wróć - oznajmił.

- Tylko obiecaj, że dobrze mnie wypieprzysz, Carlos. Tylko mi obiecaj, ty cholerny sukinsynu. -

Leżała naga na podłodze, krwawiąc i sapiąc. - Choć raz.

- Zabiję cię - syknął i, zataczając się, ruszył do drzwi. Otworzył je. - Zabrałaś moje pieniądze. Zabiję cię. - I wyszedł.

Za Plettenberg Bay zapytał Griessela:

- Dokąd masz mnie dostarczyć?

- Dowiem się, kiedy dojedziemy do George. Zadzwoń.

Zanim zatelefonowała po policję, obejrzała się w lustrze. Krwawiła. Lewa strona twarzy była czerwona, pulsowała. Skórę na czole miała rozciętą. Na piersiach purpurowe ślady palców.

Wyglądała doskonale. Wzięła telefon komórkowy i usiadła na łóżku. Przejrzała zapisane poprzedniego dnia numery. Spojrzała na telefon. Ogarnął ją kamienny spokój.

Pochyliła głowę, przywołując ból, upokorzenie, gniew, nienawiść i strach. Zaczerpnęła głęboko powietrza i wypuściła je z sykiem. Pocięła łza, potem kolejne. W końcu rozplakała się, tak jak chciała. Wtedy nacisnęła klawisz.

Wysłuchała siedmiu dzwonek.

- Południowoafrykańska Służba Policyjna, Caledon Square. W czym możemy pomóc?

Komórka policjanta zadzwoniła, gdy zatrzymali się na kolejnych światłach w Knysnie. Griessel mówił cicho, połykając słowa, i Thobela zrozumiał niewiele. Rozmowa trwała niespełna minutę.

- Chcą, żebyśmy jechali dalej - poinformował.
- Dokąd?
- Do Swellendam.
- Tam na nas czekają?
- Nie wiem.
- Muszę rozprostować nogi.
- Najpierw wyjedź z miasta.
- Myślisz, że chcę uciec, Griessel? Że ucieknę w takiej sytuacji?
- Nic nie myślę.
- Mają twoją córkę, bo zabiłem Sangrenegę. Moim obowiązkiem jest to naprawić.
- Niby jak?
- Zobaczymy. Griessel chwilę milczał.
- Stań, gdzie ci się podoba - powiedział w końcu.

Siedemdziesiąt kilometrów dalej, na którymś z długich, szerokich łuków, jakie między George a Mossel Bay zakreśla N2, coś upadło na przednie siedzenie obok Thobeli. Sagaj. Ostrze połyskiwało lekko w świetle deski rozdzielczej.

45

Najpierw przyszli mundurowi. Płakała histerycznie i krzyczała:

- Ma moje dziecko, ma moje dziecko!

Zadawali pytania i próbowali ją uspokoić.

Przyjechało więcej policjantów. Wezwali ambulans. Nagle w jej mieszkaniu zaroilo się od ludzi.

Dławiła się łzami. Sanitariusz dezynfekował ranę, a czarnoskóry detektyw ją przesłuchiwał. Przed-

stawił się: Timothy Ngubane. Usiadł przy niej i w przerwach między kolejnymi napadami szloch opowiedziała mu swoją historię. Zapisał ją w notatniku, po czym obiecał poważnie:

- Znajdziemy ją, proszę pani.

Wydał parę rozkazów i kilku policjantów wyszło.

Później przyjechało dwoje ludzi z opieki społecznej, a po nich ten duży mężczyzna z emblematem Zachodniej Prowincji na czapce. Nie okazał ani odrobiny współczucia. Musiała wszystko powtórzyć. Nie robił notatek. W pewnym momencie zdała sobie sprawę, że on jej nie wierzy. Popatrzył na nią z dziwnym uśmieszkiem, który szybko zgasł. Zamarło w niej serce. Dlaczego jej nie wierzy?

Gdy skończyła, wstał.

- Zostawię tu dwóch ludzi. Za drzwiami - oświadczył. Spojrzała na niego pytająco.

- Nie chcemy, żeby się pani coś przytrafiło, prawda?

- Nie aresztowaliście Carlosa?

- Aresztowaliśmy. - Znów ten uśmieszek, jakby dzielili jakąś tajemnicę.

Chciała zadzwonić do Vanessy i zapytać, jak się czuje Sonia. Bardzo pragnęła uciec. Od tych wszystkich ludzi i zamieszania. Uwolnić się od napięcia, bo to jeszcze nie był koniec.

Kolejny detektyw. Włosy za długie i potargane.

- Nazywam się Benny Griessel - przedstawił się i wyciągnął do niej rękę. Ujęła ją i popatrzyła mu w oczy, ale szybko odwróciła wzrok. Miała wrażenie, że ją prześwietlają. Wyszedł z nią na balkon i zadawał pytania łagodnie, z tak potrzebnym jej współczuciem. Ale nie odważyła się znów spojrzeć mu w oczy.

Zjechali z N2 i wjechali do Swellendam. W centrum znajdowała się stacja benzynowa, było tam też muzeum, pensjonaty i restauracje o małomiasteczkowych afrykanerskich nazwach, puste już o tej późnej godzinie.

Griessel wysiadł i Thobela zauważył, że nie wziął swojego Z 88. Też wysiadł. Nogi mu zeszywniały, a w mięśniach ramion

czuł skurcze. Przeciągnął się wyczerpany. Oczy miał czerwone, piekły go.

Griessel zatankował nissana do pełna. Potem stanął obok Tho-bełi i się nie odzywał. Wyglądał marnie.

Ciemne koła wokół oczu, głębokie bruzdy na twarzy.

- Noc za długo się ciągnie - powiedział do Griessela.

- Tak. Wkrótce się skończy - odparł detektyw. Thobela kiwnął głową.

- Chcę, żebyś wiedział, że mamy Khoza i Ramphele - rzucił Griessel.

- Gdzie?

- Aresztowano ich wczoraj wieczorem w Midrand.

- Dlaczego mi to mówisz?

- Bo bez względu na to, co się wydarzy, dopilnuję, żeby już nie wyszli na wolność.

Leżała w łóżku i mówiła sobie, że musi opanować pragnienie oddania się śpiącemu na jej kanapie detektywowi, gdyż kierują nią złe pobudki.

Zadzwoiła komórka Griessela. Odebrał i powiedział: Tak -i - tak - i - sześć kilometrów - i - tak - i - dobrze. A potem: Chcę usłyszeć jej głos.

Na ulicy w Swellendam było bardzo cicho.

- Carla! - Griessel ledwie panował nad uczuciem. - Tatuś już po ciebie jedzie, słyszysz? Tatuś już jedzie.

Thobeli ścisnęło się serce.

Chciała, żeby ktoś wziął ją w ramiona. Żeby ją przytulił, bo się bała Carlosa i detektywa w czapce rugby i że cały plan się zawali i ją zmiażdży. Bała się, że Griessel przejrzy ją tymi swoimi oczami, że ją zdemaskuje. To nie było w porządku, bo chciała znaleźć się z nim w łóżku, aby uczynić go niewidomym.

Nie wolno jej.

Wstała.

- Infanta - powiedział Griessel. - Sześć kilometrów za miastem jest zjazd na drogę do Infanty. Będą tam czekać w samochodzie. Pojadą za nami.

Wrócili do nissana. Thobela usiadł z przodu, Griessel z tyłu.

- Infanta - powtórzył biały, jakby ta nazwa nic mu nie mówiła.

Wyświetlacz zegara na desce rozdzielczej pokazywał żółtymi cyframi 03.41.

Wyjechali z miasta, znów na N2.

- Skręć w prawo. Na Kapsztad.

Przejechali most. Breede River, przeczytał na znaku. Potem zauważył drogowy znak. Malgas. Infanta.

- Tędy. Thobela włączył lewy kierunkowy znak. Żwirowa droga. Zobaczył zaparkowany pojazd, światła nissana wydobyły z mroku przysadzisty kształt. Mitsubishi pajero. Obok wozu stało dwóch uzbrojonych mężczyzn. Rękami osłaniali oczy przed światłem reflektorów. Zatrzymał się.

Podszedł tylko jeden. Thobela opuścił szybę. Mężczyzna nie spojrzał na niego, tylko na Griessela.

- To jest zabójca?

- Tak.

Mężczyzna był gładko ogolony, łącznie z głową. Tylko pod wargą rysowała się mała koczka.

Popatrzył na Thobelę. - Tej nocy umrzesz.

Thobela spojrzał mu prosto w oczy.

- Jesteś ojcem? - spytał Griessela Ogolona Głowa.

- Tak.

Mężczyzna uśmiechnął się znacząco.

- Twoja córka ma miłą cipkę.

Griessel wydał z siebie jakiś dźwięk i Thobela pomyślał: tylko nie teraz, nic teraz nie rób. Ogolona Głowa się zaśmiał.

- Okay. Jedź przed siebie. Będziemy jechać kawałek za wami. Sprawdźmy, czy nie zabraliście ze sobą przyjaciół.

Czuli się panami sytuacji, uświadomi! sobie. Nawet nie zadali sobie trudu, by poszukać broni; wiedzieli, że trzymają w ręku kartę atutową.

Ruszył. Zastanawia! się, co dzieje się w głowie Griessela.

Przyszło po nią dwóch uzbrojonych detektywów z ochrony świadków.

Spakowała walizkę. Zjechali razem windą, po czym wsiedli do samochodu i ruszyli.

Dom w Boston był stary i odrapany, ale w oknach miał zabezpieczenia antywłamaniowe i strzeżoną bramę.

Oprowadzili ją po nim. Rozgościć miała się w głównej sypialni, w kuchni zobaczyła zakupy spożywcze, a w łazience ręczniki. W salonie stał telewizor, a na niskim stoliku leżała sterta czasopism, stare wydania „Sports Illustrated”, „FHM” i kilka egzemplarzy „Huis-genoot”.

- Tak wwożą narkotyki - odezwał się Griessel po półgodzinie jazdy zwirową drogą.

Thobela nic nie powiedział. Skupił się na celu podróży. Widział broń tych dwóch w pajero.

Nowoczesna. Automatyczne ręczne karabinki, chyba marki Heckler & Koch, z rodziny G36. Drogie. Skuteczne.

- Infanta i Witsand. Wszystkie palanty z motorówkami przyjeżdżają tu na ryby - ciągnął Griessel. -

Przywożą towar małymi łódeczkami. Pewnie ze statków...

A więc na tym skoncentrował się detektyw. Wolał nie myśleć o swoim dziecku. Nie wyobrazać sobie, co zrobili jego córce.

- Wiesz, ilu ich tam jest? - spytał Thobela.

- Nie.

- Przydałoby się, żebyś przeładował swój Z 88.

- Oddałem tylko jeden strzał. W twoim domu.

- Każda kula jest na wagę złota, Griessel.

Była w salonie, kiedy rozległo się pukanie do drzwi wejściowych. Dwóch detektywów zerknęło najpierw przez wizjer, potem otworzyli zamki.

Usłyszała ciężkie kroki; wszedł ten duży facet w czapce rugby z emblematem Zachodniej Prowincji.

- Musimy porozmawiać - powiedział.

Usiadł na najbliższym fotelu. Detektywi z ochrony świadków stali w drzwiach.

- Nie denerwujmy jej niepotrzebnie, chłopcy- powiedział Beukes.

Niechętnie wycofali się na korytarz. Usłyszała, jak otwierają się i zamykają drzwi.

- Gdzie są pieniądze? - zapytał, kiedy w domu zapadła cisza.

- Jakie pieniądze? - Serce waliło jej jak młotem.

- Wiesz, o czym mówię.

- Nie wiem.

- Gdzie jest twoja córka?

- Zapytaj Carlosa.

- Carlos nie żyje, ty zdziro. I nigdy nie miał twojej córki. Ty to wiesz i ja to wiem.

- Jak możesz tak mówić? - Rozpłakała się.

- Oszczędź sobie tych cholernych łez. Na mnie nie działają. Masz pieprzone szczęście, że to ja jechałem za nim wczoraj rano. Bo gdyby to był ktoś inny...

- Nie wiem, o czym mówisz...

- W takim razie wytłumaczę ci. Zespół, który pełnił służbę przedwczoraj, zameldował, że pojechałaś do jego domu w jego bmw. I że w trakcie pieprzonej nocy wezwałaś pod dom taksówkę. Miałaś przy sobie te reklamówki z Pick and Pay i okropnie ci się śpieszyło. Co było w tych torbach?

- Gotowałam dla niego obiad.

- I potem zabrałaś wszystko z powrotem do domu?

- Tylko to, czego nie zużyłam.

- Kłamiesz.

- Przysięgam. - Płakała i były to prawdziwe łzy, bo znów zaczęła się bać.
- Nie wiem tylko jednego: dokąd pojechałaś pieprzoną taksówką. Bo moi pieprzeni tak zwani koledzy nie pomyśleli, żeby kogoś za tobą wysłać. Bo mieli za zadanie obserwować Carlosa. Tak wygląda współpraca z dzisiejszymi policjantami. Pieprzone czarne śmiecie. Ale wczoraj to co innego, bo wczoraj ja prowadziłem obserwację, kochana. A Carlos wypruł z domu, jakby go sam diabeł gonił, prosto do twojego mieszkania. Po dziesięciu minutach wyszedł z tym wielkim czerwonym siniakiem na twarzy, ale nigdzie nie było żadnego dziecka. A minutę później w pieprzonym radiu jest pełno Sangrenegry i zanim cokolwiek zdążyłem zrobić, przyjechała grupa operacyjna, SVC i licho wie, kto jeszcze. Ale jedno wiem na pewno: twojej córki z nim nie było. Ani przedwczoraj w nocy, ani wczoraj rano. A w tym jego bunkrze z pieniędzmi brakuje tylko głównianych randów. Tylko randów. Zastanawiam się dlaczego, choć leżały tam dolary, euro i funty, komuś zachciało się wziąć akurat południowoafrykańskie randy? Przypuszczam, że był to amator. Ktoś, kto nie chce zawracać sobie głowy walutami. Ktoś, kto miał czas przemyśleć sobie, co chce ukraść. Z czego może zrobić użytek. Co da się wynieść w reklamówkach Pick and Pay. Uświadomiła coś sobie i zapytała:

- Ilu randów brakuje?

- Pieprz się, dziwko. Zapamiętaj, co ci teraz powiem: to jeszcze nie koniec. W każdym razie nie dla ciebie.

Zadzwoiła komórka Griessela. Odebrał.

- Mówią, że mamy zwolnić - powiedział do Thobeli. Zwolnił. Nissan zagrzecotał na gruntowej drodze. Reflektory

pajero za nimi ledwie przebijały się przez tumany kurzu. Na rzece Breede po lewej stronie migotały światła Witsand.

- I przy drogowskazie skręcić lewo.

Zwolnił jeszcze bardziej, zauważył strzałkę na Kabeljoubank. Włączył kierunkowskaz i skręcił. Droga zwęziła się, biegła teraz

między płotami. Prowadziła do rzeki. We wstecznym lusterku zobaczył, że pajero jedzie za nimi.

- Jesteś spokojny? - zapytał detektywa.

- Tak.

Poczuł przyływ adrenaliny, bo byli już blisko.

W blasku reflektorów zobaczył kilka łodzi na przyczepach. I dwa samochody - mikrobus i pikapa.

Poruszające się postacie. Zatrzymał się sto metrów od wozów. Przekręcił kluczyk i silnik nissana zamilkł. Rozmyślnie nie wyłączył świateł.

- Wychodź, ale ukryj pistolet - powiedział.

Podniósł sagaj i schował go na plecach pod koszulą. W samochodzie było mało miejsca, wsunął go pod za dużym kątem. Usłyszał, jak ostrze rozdziera materiał koszuli, poczuł jego chłód. Nic lepszego nie da się zrobić, pomyślał. Otworzył drzwi i wysiadł. Griessel stanął po drugiej stronie nissana.

Od mikrobusu zbliżało się czterech mężczyzn - jeden, wysoki i barczysty, był potężniejszy od pozostałych. Pajero zatrzymało się za nimi. Thobela stał obok samochodu, wiedział, ilu ich jest.

Słyszał ich kroki na żwirze i fale morza nieopodal, czuł zapach ziemi, rzeki i łodzi rybackich. Ciało miał odrętwiałe, ale znużenie minęło, w tętnicach buzowała adrenalina. Wydawało się, że świat zwolnił, żeby dać więcej czasu na myślenie i działanie.

Kwartet podszedł do niego. Osilek zmierzył go wzrokiem.

- Jesteś oszczepnikiem - oświadczył, jakby go rozpoznawał. Był niemal wzrostu Thobeli, miał długie, proste, czarne włosy sięgające masywnych ramion. Nie miał broni. Pozostali trzymali na ramionach pistolety maszynowe. - Gdzie moja córka? - zapytał Griessel.

- Jestem oszczepnikiem - potwierdził Thobela. Chciał ściągnąć uwagę na siebie; obawiał się, że Griessel nad sobą nie zapanuje. - Nazywam się Cesar Sangrenegra. Zabiłeś mojego brata.

- Tak. Zabiłem twojego brata. Możesz mnie wziąć. Ale wypuście dziewczynę i policjanta.

- Nie. Urządzimy *justicia*.

- Nie, możesz...

- Stul pysk, do cholery, Murzynie. - Z warg Cesara trysnęła ślina, krople zakreśliły błyszczące łuki w światłach nissana. - *Ju-sticia*. Wiesz, co to oznacza? Ten policjant zastawił pułapkę na Carlosa. Miałbym wrócić do ojca i powiedzieć, że go nie zabiłem? Wykluczone. Chcę, żebyś wiedział, policjancie, zanim umrzesz. Chcę, żebyś wiedział, że wypieprzyliśmy twoją córkę. Dobrze ją wypieprzyliśmy. Jest młoda. To było słodkie pieprzenie. A kiedy umrzesz, wypieprzymy ją jeszcze raz. I jeszcze raz. Będziemy pieprzyć ją tak długo, jak długo da radę żyć. Słyszysz mnie?
- Zabiję cię - syknął Griessel i Thobela usłyszał, że punkt zmęczenia materiału jest blisko. Sangrenegra zachichotał, kręcąc głową.
- Nic nie możesz zrobić. Mamy twoje dziecko. I tę białą dziwkę też znajdziemy. Tę, która nakłamała o Carlosie. Która ukradła nasze pieniądze.
- Jesteś tchórzem - powiedział Thobela do Sangrenegry. Cesar roześmiał mu się w twarz.
- Chcesz, żebym cię zaatakował? Chcesz wyprowadzić mnie z równowagi?
- Chcę, żebyś nie żył.
- Myślisz, że nie widziałem włóczni za twoimi plecami? Myślisz, że jestem taki głupi jak mój brat? - odwrócił się do jednego ze swoich ludzi. - *Deme el cuchillo*.
Mężczyzna wyciągnął nóż z długiej pochwy na biodrze i podał Cesarowi.
- Będziesz umierał powoli - zwrócił się do Thobeli. - A teraz wyjmij tę włócznię.

46

Kiedy nadinspektor Boef Beukes wyszedł, poszła do sypialni, gdzie miała swoje rzeczy. Otworzyła torebkę, wyjęła dowód toż-

samości i położyła na łóżku. Wyjęła też portfel, papierosy i zapalniczkę. Zamknęła torebkę i podniosła sukienkę. Dowód i portfel schowała na brzuchu pod majtkami. Papierosy trzymała w ręce. Podeszła do drzwi i powiedziała:

- Wychodzę na dwór na dymka.

- Z tyłu. - Pokazał jej gestem ten wąsaty. - Nie chcemy, żebyś pokazywała się od frontu.

Skinęła głową, przeszła do kuchni i wyszła tylnymi drzwiami, zamykając je za sobą. Na podwórku rosły drzewa owocowe. I wysoka trawa. Posesję otaczał betonowy mur. Ruszyła prosto w jego stronę. Położyła na ziemi papierosy i popatrzyła w górę. Wzięła głęboki wdech i skoczyła. Chwyciła się szczytu muru. Podciągnęła się, przerzuciła nad nim jedną nogę - obtarła kolano - potem drugą i znalazła się na górze. Za murem był kolejny ogród, warzywnik z rosnącymi w schludnych rzędkach roślinami. Skoczyła, lądując na błotnistej grzędzie. Wstała. Jeden sandał utkwiał w błocie. Wyciągnęła go i włożyła. Ruszyła wkoło domu.

Usłyszała łapy na cementowej ścieżce, zanim zwierzę wybiegło zza rogu. Duży brązowy pies.

Warknął głucho i cofnął się kawałek, przestraszony nie mniej niż ona. Obronnie wysunęła przed siebie ręce. Pies stanął, warcząc i obnażając duże ostre zęby.

- Cześć, piesku - powiedziała.

Stali naprzeciw siebie, pies blokował jej drogę. Wiedziała, że nie wolno okazywać strachu, zapamiętała to skądś. Opuściła ręce i wyprostowała się.

- Dobry piesek. - Choć serce podchodziło jej do gardła, usiłowała nadać głosowi pieszczotliwe brzmienie. Zwierzę znów warknęło.

- Spokojnie, piesku, dobry pies. - Potrząsnął głową i kichnął.

- Chcę tylko przejść, piesku, nic więcej. - Włosy na karku psa opadły. Przestał szczyrzyć kły.

Niepewnie machnął ogonem.

Postąpiła krok do przodu. Pies zbliżył się, ale nie warczał. Wyciągnęła rękę do jego łba.

Ogon poruszył się energiczniej. Podstawił łeb pod jej dłoń i znów kichnął.

Zacząła wolno iść odprowadzana przez psa. Zobaczyła furtkę na ulicę. Przyspieszyła.

- Halo - usłyszała głos z frontowej werandy. Stał na niej starszy mężczyzna.

- W czym mogę pani pomóc? - zapytał.

- Tylko przechodzę - powiedziała, z dłonią na klamce furtki. -Tylko przechodzę.

Sięgnął za plecy po sagaj. Cesar Sangrenegra rzucił się na niego zwinnie i długi nóż przeciął koszulę i żebra Thobeli. Thobela poczuł przenikliwy, piekący ból i ciekącą po brzuchu krew.

Cofnął się o krok i zobaczył uśmiech na twarzy Kolumbijczyka. Trzymał sagaj w prawej ręce, dla lepszej równowagi ugiął kolana. Przesunął się w prawo, patrząc Cesarowi w oczy; nigdy nie patrz na ostrze, tam nie zobaczysz ostrzeżenia. Cesar wykonał pchnięcie do przodu. Thobela odskoczył; widział, jak nóż przeciął przed nim powietrze. Dźgnął sagajem. Cesar zdażył się uchylić. Poczul kolejne pchnięcie noża. Szarpnął ramieniem, ostrze przecięło rękę. Cofnął się. Przeciwnik był szybki. Poruszał się lekko, dziesięć kilogramów lżejszy od niego. Thobela uskoczył znowu, tym razem w lewo, Cesar wykonał zwód w prawo, skoczył w lewo. Thobela uchylił się, otarł o przód nissana; nie może dać się przyprzeć do samochodu, więc zrobił trzy, cztery krótkie kroki w prawo; nóż chybił o milimetry.

Wiedział, że jest w tarapatach; długowłose olbrzym był zręczny. Szybszy od niego. Lżejszy, młodszy. I miał jeszcze jedną wielką przewagę: mógł zabić, a Thobela nie. Życie Carli Griessel zależało od tego, żeby nie zabił Cesara.

Musi wykorzystać długość sagaju. Poprawił chwyt, przesunął dłoń na koniec drzewca i ciął ze świstem nocne powietrze, od lewej do prawej, od prawej do lewej. Poczul ostrze na ramieniu; zachwiał się i zobaczył łuk rozpylającej się krwi. Cesar cofnął się, ale spokojnie. Jego ludzie stanęli kręgiem. Jeden rzucił coś po hiszpańsku, pozostali czterej roześmiali się.

Walczący patrzyli sobie w oczy. Kolumbijczyk rzucił się do przodu, dźgnął nożem i błyskawicznie odskoczył.

Cesar się nim bawił. Zdawał sobie sprawę z przewagi, którą dawała mu szybkość. Thobela musiał go jej pozbawić. Powinien użyć swojej siły, ciężaru ciała, ale w przypadku noża to niemożliwe.

Oczy Kolumbijczyka zdradziły kierunek ataku. Thobela udał, że się cofa, a zamiast tego rzucił się do przodu - musi utrzymać nóż z daleka - i znowu do przodu; gdy ramię z nożem wykonało zamach, ugodził przeciwnika sagajem. Cesar złapał włócznię, chwytając lewą ręką ostrze, i niespodziewanie szarpnął. Thobela stracił równowagę. Zobaczył na ramieniu Cesara krew, w miejscu, gdzie sagaj przeciął je głęboko. Gdy nóż znów mu zagroził, wyrzucił lewą rękę, żeby zablokować cios, złapał ramię Cesara i je wykręcił. Kolumbijczyk poprawił chwyt na sagaju, przesuwając dłoń na drzewce. Zwarli się w klinczu. Cesar zmienił kąt nachylenia noża, czubek ostrza wszedł głęboko w biceps Thobeli. Przeszywający ból. Musi chwycić przeciwnika bliżej nadgarstka. Prędko i sprawnie. Wykonał błyskawiczny ruch. Uratował go przecinający biceps nóż, gdyż na chwilę unieruchomił rękę Cesara.

Wiedział, że został poważnie zraniony. Z całej siły ścisnął nadgarstek Cesara. Ramię rwało go niemiłosiernie. Uniósł kolano i rąbnął Cesara w brzuch. Po wyrazie jego oczu poznał, że zadał mu wielki ból.

Musi teraz skończyć, wykorzystując drobną przewagę. Zneutralizować uzbrojoną w nóż rękę. Jego lewe ramię wkrótce go zawiedzie, mięsień został głęboko przecięty. Przesunął punkt ciężkości, wyszarpnął sagaj i rzucił na ziemię. Obiema dłońmi ścisnął ramię z nożem i wykręcił je za plecy Cesara. Boże, ależ ten facet jest silny. Kopnął go od tyłu w kolana i Cesar się zachwiał; wykręcił ramię jeszcze odrobinę; przeciwnik jęknął. Jego ludzie krzyknęli. Ściągnęli pistolety z ramion, ale zareagowali za późno. Wykręcał ramię tak długo, aż coś trzasnęło i palce puściły nóż.

Prawą ręką przycisnął ramię Cesara do pleców, z nożem w lewej otoczył jego szyję ramieniem i przycisnął czubek ostrza do wgłębienia szyi. Mocno. Cesar krzyczał, szarpał się i walczył. Jest niesamowicie silny. Musi go unieruchomić. Wykręcił ramię jeszcze

trochę, aż pękły więzadła. Pod Cesarem ugięły się kolana. Podtrzymał go w pozycji stojącej, zasłaniając się nim jak tarczą.

Wbił czubek noża głęboko w szyję. Poczuł na ręce strużkę krwi. I przenikliwy ból w ramieniu. Nie wiedział, ile straci! krwi. Cały lewy bok miał mokry i ciepły.

- Jesteś o krok od śmierci - szepnął cicho w ucho Cesara. Jego gwardia wycelowała w nich pistolety. Kolumbijczyk zamarł.

- Wystarczy, że przesunę nóż, a rozetnę ci tętnicę. Słyszysz? Jakiś niewyraźny dźwięk.

- Niech twoi ludzie rzucają broń.

Żadnej reakcji. Wydawało mu się, że zna hierarchię w narkotykowym biznesie. Autokracja.

- Liczę do trzech. Potem tnę. - Naprężył mięśnie ramienia, ale prawie bez skutku. Miał poprzecinane ścięgna.

- Jeden.

Cesar usiłował się wyrwać, ale ramię miał tak wykręcone, że ból musiał być straszliwy.

- Dwa.

- *Coloque sus armas.* - Prawie niesłyszalnie.

- Głośniej.

- *Coloque sus armas.*

Jego ludzie ani drgnęli. Thobela zaczął wolno wbijać czubek noża w gardło.

- *iAhoral*

Pierwszy ruszył się wolno, położył ostrożnie broń na ziemi. Po nim następny.

- Nie! - krzyknął jeden z mężczyzn z pajero, ten z ogoloną głową.

Stanął obok Griessela, mierząc z karabinka w skroń detektywa.

- Zastrzelę go - zagroził Ogolona Głowa.

- Strzelaj - odparł Thobela.

- Puść Cesara.

- Nie.
- W takim razie go zastrzele.
- A strzelaj! To policjant. Jestem mordercą. - Mocniej wbił ostrze w gardło Cesara.
- *i Ahoral* - Krzyk rozpaczy był ochryple i wysoki. Thobela wiedział, że ostrze o coś się otarło.
Ogolona Głowa popatrzył na Cesara, znów na Griessela i wypluł jakieś słowo. Rzucił automatyczny karabinek w piach.
- Teraz - powiedział Thobela po afrykanersku. - Teraz musisz odszukać córkę.
Przy znaku „Stop” na Eleventh Avenue zapukała w szybę prowadzonego przez kobietę audi.
- Proszę pani, potrzebuję pomocy - powiedziała.
Kobieta zmierzyła ją wzrokiem, zobaczyła jej ubłocone nogi i odjechała.
- Pieprz się! - krzyknęła za nią Christine.
Ruszyła w stronę Frans Conradie Avenue, oglądając się co chwilę. Na pewno wiedzą już, że uciekła.
Na pewno jej szukają.
Na światłach się rozejrzała. Po drugiej stronie ulicy były sklepy. Gdyby tylko się tam dostała.
Niezauważona. Pobiegła. Jakiś samochód zahamował i zatrąbił. Biegła dalej. Drugim pasem ulicy pędziły auta. Stała na wysepce i czekała. Przejechały. Puścił się pędem. Sandały nie są najlepszym obuwem do sportowych wyczynów.
Na chodniku skręciła w lewo; pod górkę. Już niedaleko. Uda jej się. Musi zadzwonić do Vanessy.
Żadnych taksówek. Sprawdzą je; wiedzieliby, gdzie wysiadła. Musi po nią przyjechać Vanessa. Z Sonią. Zawiezie je na dworzec. Złapią pociąg, wszystko jedno dokąd. Wyrwie się stąd. Samochód może kupić w Beaufort West albo w George, albo gdzieś tam. Teraz musi się tylko się wyrwać.
Zniknąć.
Przed trzymającym przeciwnika w uścisku Thobelą pojawił się Griessei. Szedł wolno, z pustymi rękami. Thobela zastanawiał się, gdzie ma pistolet. I co znaczy wyraz jego oczu.
Griessei podszedł do mikrobusu.

Otworzył drzwi. Thobela dostrzegł poruszenie w środku. Usłyszał, że Griessel coś mówi. Pochyla się. Zobaczył ramiona opasujące szyję policjanta.

Popatrzył na ludzi Cesara. Stali nieruchomo. Niespokojni, czujni, wpatrywali się w szefa.

Zacieśnił uścisk ramienia. Nie wiedział, czyja krew po nim spływa. Znów spojrzął na mikrobus.

Griessel nadal stał przy nim, górną połową ciała we wnętrzu wozu, z córką w ramionach. Wydało mu się, że słyszy głos detektywa.

- Griessel! - krzyknął, bo nie był pewien, jak długo wytrzyma. Jeden z pacholków Kolumbijczyka przestąpił z nogi na nogę.

- Nie ruszaj się, bo poderżnę mu gardło.

Mężczyzna popatrzył na niego z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Zastrzelcie ich - rozkazał Cesar, ale słowa wypuł razem z krwią, niewyraźnie.

- Zamknij się albo cię zabiję.

- Zastrzelcie ich. - Tym razem wyraźniej.

Banda zbliżała się powoli. Ogolona Głowa postąpił krok w stronę swojego karabinka.

- Teraz zabiję Cesara. - Ból w ramieniu kulminował. W głowie mu huczało. Gdzie policjant?

Rozejrzał się szybko. Griessel szedł do nich z Z 88, trzymając za rękę córkę.

Wszyscy skupili na nim wzrok. Podeszedł do pierwszego mężczyzny.

- Zrobił to? - zapytał Carłę.

Skinęła głową. Griessel uniósł pistolet i strzelił. Mężczyzna padł na plecy.

Ojciec z córką podeszli do następnego.

- Ten też?

Skinęła głową. Wymierzył mu w skroń i pociągnął za spust. Noc zagrziała drugim strzałem i mężczyzna upadł. Ogolona Głowa rzucił się do swojej broni. Thobela wiedział, że zbliża się chwila ostatecznej rozgrywki. Przeciągnął nożem po gardle Cesara i puścił go. Wiedział, gdzie leży najbliższy pistolet; doskoczył do nie-

go i usłyszał kolejny strzał. Nie spuszczał wzroku z broni. Padł na żwir, rozpląszczył się i usłyszał następny strzał. Położył palec na stali. Od upływu krwi kręciło mu się w głowie. Lewe ramię miał bezwładne. Światła nissana oślepiały go: spróbował wstać, ale się zachwiał.

Przykląkł na kolanie.

Ogolona Głowa osunął się na ziemię. Cesar też leżał. I trzech innych. Griessel wymierzył pistolet w ostatniego. Carla podeszła do Thobeli. Widział jej twarz. Od razu wiedział, że nigdy jej nie zapomni.

- I ten? - zapytał Griessel.

Spojrzała na mężczyznę i skinęła głową.

Czesc IV
Carla

Za CaMnią zobaczył piętrzące się nad górami chmury, śnieżnobiałe w przedpołudniowym słońcu wieże cumulusów ciągnące się pasem nad suchą ziemią. Chciał pokazać je Carli. Wyjaśnić jej swoją teorię wpływu ukształtowania terenu na pogodę. Spała na fotelu obok.

Popatrzył na nią. Ciekawe, czy coś jej się śni.

Przed nimi otwierała się olbrzymia równina. Szosa do Brandvlei przecinała ją prosto jak strzała - czarna jak smoła wstążka aż po horyzont.

Zastanawiał się, kiedy się obudzi, bo tyle traciła.

Pastor spojrział na wycinek z gazety. Widniało na nim zdjęcie dwojga ludzi wysiadających z helikoptera. Mężczyzna i młoda kobieta. Mężczyzna miał ciemne, potargane, posiwiałe na skroniach włosy i poważną twarz o słowiańskich rysach. Z troską patrzył na dziewczynę.

Istniało między nimi podobieństwo, pewna zbieżność linii brwi i podbródka. Może to ojciec i córka. Była ładna - regularne rysy, czarne włosy. Ale coś dziwnego było w tym, jak trzymała głowę i patrzyła pod nogi. Jakby czuła się stara i nieatrakcyjna. Może pastor odniósł takie wrażenie, dlatego że jej żakiet był za szeroki w ramionach. Albo zasugerował się nagłówkiem artykułu: „Dramat uprowadzenia zakończył się masakrą”.

John Afrika, Matt Joubert i Benny Griessel siedzieli w przestronnym biurze wydziału przestępstw ciężkich i bandytyzmu. Wszedł Keyter i się przywitał. Nie odwzajemnili powitania.

- Zapytam cię tylko raz, Jamie - powiedział Griessel cicho, ale jego głos niósł się w pomieszczeniu. - To byłeś ty?

Keyter patrzył na nich, nerwowo przenosząc wzrok z twarzy na twarz.

- Ee... yy... O czym mówisz, Benny?

- Dałeś Sangrenegrze informacje?

- Jezu, Benny...

- Dałeś?

- Nie. Nigdy.

- Skąd miałaś pieniądze, Jamie? Na ubrania? I ten drogi telefon komórkowy? Skąd te pieniądze? - Griessel uniósł się z krzesła.

- Benny. - John Afrika próbował go uspokoić.

- Ja... - zaczął Jamie.

- Jamie - odezwał się Joubert. - Będzie lepiej, jeśli powiesz.

- To nie tak, jak myślicie - odparł drżącym głosem.

- A jak? - zapytał Griessel, zmuszając się, żeby usiąść.

- Dorabiam, Benny.

- Dorabiasz na boku?

- Jestem modelem.

- Modelem? - zdziwił się John Afrika.

- W reklamach telewizyjnych. Milczenie.

- Francuskich. I niemieckich. Ale przysięgam, koniec z tym.

- Możesz tego dowieść, Jamie?

- Tak, szefie. Mam nagrania na wideo. Reklamy kawy i sera topionego. I ubrań. Jedną zrobiłem dla Szwedów, reklama mleka, musiałem zdjąć koszulę, ale to wszystko, inspektorze, przysięgam...

- Reklamy telewizyjne - powtórz! John Afrika.

- Jezu - sapnął Griessel.

- Z powodu ubrania, Benny? Podejrzewałeś mnie tylko z powodu ubrania?

- Znalazłem faks, Jamie. Wysłany stąd. Z numeru SVC. Ze zdjęciem Mpayipheli.

- To mógł zrobić każdy.

- Ty jesteś strojnisiem, Jamie.

- Ale to nie ja.

W pokoju zapanowała cisza.

- Możesz iść, Jamie - powiedział Joubert. Posterunkowy się zawahał.

- Myślałem, Benny... Popatrzyli na niego zniecierpliwieni.

- Zastanawiałem się, skąd wzięli adres twojej córki. I numer twojej komórki. To wszystko...

- Co sugerujesz?

- Musieli do niego zadzwonić. Do brata Carlosa. Nie tylko wysłali faks.

- Tak?

- Na pewno miał telefon komórkowy, komisarzu. Brat. Można sprawdzić nieodebrane, odebrane i wybierane numery.

Trwało chwilę, nim dotarło do nich, o co mu chodzi.

- Cholera - zaklął Griessel i wstał.

- Przepraszam, Benny- powiedział Keyter skruszony, ale Griessel już go minął, zmierzając do drzwi.

O dwunastej trzydzieści dojechali do Brandvlei. Postanowił zatrzymać się przy krytej strzechą kawiarni z betonowym stolikami. W kurzu bawiły się bosa kolorowe dzieci.

Carla obudziła się i zapytała, gdzie są. Powiedział jej. Popatrzyła na kawiarnię.

- Chcesz coś zjeść?

- Raczej nie.
- Napijmy się czegoś.
- Dobrze.

Wysiadł i czekał na nią. Na zewnątrz lał się żar. Włożyła adidas, wysiadła, przeciągnęła się i obeszła samochód. Miała na sobie bluzkę z krótkimi rękawkami i wyblakłe dżinsy. Jego śliczna córka.

Usiedli przy jednym z betonowych stolików. Pod strzechą było trochę chłodniej.

Patrzył, jak przygląda się kolorowym dzieciom ciągnącym samochodziki z drutu. Zastanawiał się, o czym myśli.

- Daleko jeszcze do Upington?

- Jakieś sto pięćdziesiąt do Kenhardt, siedemdziesiąt do Keimoes i potem może z pięćdziesiąt do Upington. Niecałe trzysta -dodał szybko.

Kolorowa kelnerka przyniosła im menu. U góry białej laminowanej kartki wydrukowano „Oasis Cafe”. Z boku strony widniał niezbyt udany rysunek palmy. Carla zamówiła białe grapetiser.

- W takim razie dwa - powiedział Griessel. - Jeszcze nigdy nie piłem grapetiser - przyznał się, kiedy kobieta się oddaliła.

- Nigdy?

- Nie pasuje do brandy, sama rozumiesz. Uśmiechnęła się, ale tylko kącikiem ust.

- Tu jest zupełnie inny świat - stwierdziła i spojrzała na główną ulicę.

- To prawda.

- Myślisz, że dowiesz się czegoś w Upington?

- Może.

- Ale dlaczego, tato? Po co?

Zrobił gest ręką oznaczający, że sam nie wie.

- Nie wiem, Carla. Taki już jestem. Dlatego jestem detektywem. Lubię znać powody. I fakty. Chcę zrozumieć. Nawet jeżeli to niewiele zmienia. Niewyjaśnione wątki... Nie lubię ich.

- Dziwne. - Wyciągnęła rękę i pogłaskała palcami jego dłoń. -Ale cudowne.

Z głośnomówiącego aparatu w biurze Jouberta dzwonił pod numery z listy odebranych połączeń Cesara Sangrenegry. Przy pierwszych trzech włączyły się skrzynki głosowe z jakimś tekstem po hiszpańsku. Czwarty dzwonił i dzwonił, i dzwonił. W końcu połączenie przekierowało się na skrzynkę głosową.

- Cześć, tu Bushy. Wyłapię rzezimieszków i oddzwonię.
- Przez Carlosa nie pójdę do piekła. Bo dostrzegłam wyraz jego oczu, gdy zobaczył Sonię. I wiem, że Bóg wybaczy mi, że jestem prostytutką. Że zrozumie, że musiałam pobrać krew. I wziąć pieniądze. -
Christine popatrzyła na pastora.
Nic na to nie powiedział.
- Ale za Carlę Griessel Pan wszystkich ukarał. - Rozłożyła drugi wycinek z gazety. Nagłówek głosił:
„Wielki skandal korupcyjny w policji”.
- Brat Carlosa i jego ochroniarze. Artemida. Wszyscy nie żyją. A ci policjanci pójną do więzienia. -
Postukała w dołączone do raportu zdjęcia. - Ale co będzie ze mną?
- Nawet ich nie znam - powiedział Bushy Bezuidenhout.
- Ale przekazałeś im informacje - oświadczył Joubert.
- Dla pieniędzy, ty ścierwo - syknął Griessel.
Joubert uspokajająco położył swoje wielkie łapsko na ramieniu komisarza.
Bezuidenhout otarł pot z czoła i pokręcił głową. - Sam za to siedzieć nie będę.
- Daj nam ich, Bushy. Doskonale wiesz, że jeśli pójdziesz na współpracę...
- Jezu, szefie.
- Chcę pięciu minut sam na sam z tym chujem - oświadczył Griessel.
- Jezu, Benny, nie wiedziałem, co zamierzali. Nie wiedziałem. Myślisz, że?...
- Kto, Bushy? Gadaj natychmiast kto! - wrzasnął Griessel.
- Beukes, do diabła. Beukes z tą swoją pieprzoną czapką. To on przyniósł mi te gówniane pieniądze w pieprzonej szarej kopercie...
W pokoju rozległ się ostry głos Matta Jouberta.
- Benny, nie. Siadaj. Nie puszcę cię, nigdzie nie pójdziesz.
Czternaście kilometrów za Keimoes zobaczył drogowskaz i skręcił w prawo do Kanoneiland.
Przejechali przez rzekę. Płynęła

pod mostem spokojna i brązowa, wijąc się dalej wśród zielonych winnic ciężkich od olbrzymich kiści winogron.

- Niesamowite - rzuciła Carla; wiedział, co miała na myśli. Jak żyzny jest ten kraj. Zauważył też, że uważnie się wszystkiemu przygląda, \ie nie jest już taka skupiona na sobie. I znów poczuł nadzieję. Jechali do pensjonatu długą, wysadzaną sosnami drogą.

- Spójrz. - Carla wycelowała palec w boczną szybę. Między drzewami dostrzegł konie: duże araby, trzy gniadosze i wspaniałego siwka.

Kiedy Christine van Rooyen szła ulicą w Reddersburg, nad horyzontem Wolnego Stanu wzeszło słońce, olbrzymi balon uniósł się znad wzgórz i sunął nad trawiastą równiną.

Skreśliła z głównej ulicy w nieutwardzoną uliczkę, mijając wciąż jeszcze ciemne i ciche domy.

Przyjrzała się uważnie jednemu z nich. Opiekunka do dzieci powiedziała, że mieszka w nim ukrywający się przed światem pisarz.

Dobre wybrał miejsce.

Sekretarka liceum pokręciła głową i powiedziała, że pracuje dopiero od trzech lat. Może jednak zapytać pana Lospera. Pan Lo-sper uczy w szkole od dawna. Biologii. Ale są wakacje; pana Lospera należy szukać w domu. Wytłumaczyła mu dokładnie, jak do niego dojechać, i teraz pukał do drzwi. Losper był po pięćdziesiątce, miał zmarszczki palacza i ostry głos. Zaprosił go do mieszkania, bo w jadalni było chłodniej. Zapytał, czy napije się piwa. Odparł: nie, dziękuję.

Gdy usiedli przy stole i zadał swoje pytanie, nauczyciel zamknął na moment oczy, jakby wznosił do nieba szybką modlitwę, po czym powiedział:

- Christine van Rooyen. - Oparł na stole ręce i złożył dłonie. -Christine van Rooyen - powtórzył, jakby w ten sposób chciał otworzyć swoją pamięć.

Potem opowiedział Griesselowi tę historię, przetykając ją regularnie wyznaniem winy i usprawiedliwieniami. O Martie van Rooyen, której mąż żołnierz zginął w Angoli. Martie van Rooyen, blondynce z dużym tyłkiem, i małej jasnowłosej córce. O kobiecie, o której społeczność plotkowała jeszcze za życia jej męża. O różnych wizytach, gdy Rooies był na szkoleniach albo na Granicy. Po śmierci męża szybko się pocieszyła. Potem był następny facet. I następny. Łowiła ich w barze dla kobiet w River Hotel za pomocą czerwonej szminki i głębokiego dekoltu. A jej córka szwendała się w tym czasie po podwórku, tuląc w ramionach wypchanego pieska, coraz bardziej brudnego. Plotkarze opowiadali, że następcy Rooiesa nieraz przyłożyli Martie. I że czasem zabawiali się nie tylko z matką. Ale w Upington wielu patrzyło, niewielu reagowało. Próbowwała wkroczyć opieka społeczna, lecz matka odesłała ich z kwitkiem i Christine van Rooyen dorastała w takich warunkach. Smutna i dzika. Dorabiając się własnej reputacji. Rozwiązała. Łatwa. Kiedy była nastolatką, mówiło się o tym i owym. O dawnym znajomym jej ojca, który... rozumie pan. I nauczycielu afrykanerskiego. Miała kłopoty w szkole. Sprawiała trudności. Paliła i piła z chuliganerią, której tam nie brakowało, to było specyficzne miasto, ze stacjonującym wojskiem i całą resztą. Losper słyszał, że kiedy Christine skończyła szkołę, pewnego dnia, gdy matka zabawiała się z kolejnym facetem, wyszła z domu z jedną walizką. Pewnie pojechała do Bloemfontein, ale nie wiedział, co się z nią dalej działo.

- A matka?

Też wyjechała, podobno. Z jakimś gościem wpikapie. Do Kapsztadu. Albo na Wybrzeże Zachodnie: różnie ludzie mówili.

Minęła dom pisarza. Trzy domy dalej skręciła w ogrodową furtkę; zaskrzypiała, kiedy ją uchyliła. Trzeba ją naoliwić.

Ogród zarósł gęstymi chwastami. Postawiła karton na werandzie. Teraz był już lekki.

W gabinecie pastora przyciągnęła go do siebie po raz ostatni i wyjęła pieniądze. Czteryście tysięcy randów w sturandowych banknotach.

- To jedna dziesiąta - powiedziała.

- Nie da się kupić przebaczenia Pana - odparł ze znużeniem, ale nie mógł oderwać wzroku od pieniędzy.

- Nie chcę niczego kupować. Chcę tylko dać. Na Kościół. Zaczekała na jego odpowiedź,; potem odprowadził ją do drzwi

i poczuła zapach ciała, zapach zmęczonego długim dniem mężczyzny.

Zeszła z werandy, schyliła się i wyrwała chwast. Korzenie oblepiała czerwona glina; uznała, że ziemia wygląda na żyzną.

Podeszła do schodów. Sięgnęła do wiszącej po prawej stronie tablicy z napisem: „*Te Koop/Na* sprzedaż” i pociągnęła. Przybito ją mocno. Musiała poruszyć nią kilka razy, zanim gwoździe wolno zaczęły puszczać i w końcu dała się oderwać

Wniosła ją po schodach i położyła na werandzie. Potem wyjęła klucze i otworzyła drzwi. Na nowej kanapie siedziała duża czarna opiekunka do dzieci. Spała głęboko.

Christine poszła korytarzem do głównej sypialni. Na łóżku leżała Sonia, zwinięta w kłębek wokół małego wypchanego pieska. Wyciągnęła się cichutko obok córki. Później, gdy zjedzą już śniadanie, zapyta Sonię, czy nie chciałaby zamienić wypchanego zwierzaka na prawdziwego.

Wracając do pensjonatu, Griessel myślał o nadinspektorze Beukesie. Trzy tygodnie temu odbyło się przesłuchanie. Nie pozwolili mu być na nim, Joubert się upart. Siedział z zawiedzionym Amerykaninem, Lombardim, i próbował mu wyjaśnić, że nie cała policja w Afryce jest skorumpowana. A potem wyszedł Joubert i powiedział mu, że Beukes do niczego się nie przyznawał. Do samego końca, kiedy to podsunęli mu pod nos uzyskany dzięki sądowemu nakazowi wyciąg z konta. Wtedy powiedział:

- Czemu lepiej nie zajmiecie się odnalezieniem tej dziwki? To ona ukradła pieniądze. I nakłamała o córce. Nie wiedział, czy to prawda, czy nie. Ale teraz, po tym, co usłyszał od Lospera, miał nadzieję, że tak. Bo przypomniały mu się słowa sądowej psycholog. „Kobiety są inne. Jeśli skrzywdzono je w młodym wieku, nie robią tego innym. Tylko sobie”.

Oby tylko zrobiła z pieniędzy dobry użytek. Dla siebie i córki.

Gdy wjechał w wysadzaną sosnami aleję, zadzwoniła jego komórka. Zatrzymał się na poboczu.

- Griessel.

- Mówi komisarz Johnson Mtetwa. Dzwonię z Alice. Zastanawiam się, czy nie mógłby mi pan pomóc?

- Tak, komisarzu.

- Chodzi o śmierć Thobeli Mpayipheli.

- I?

- Kłopot w tym, że jest tu u mnie pastor z misji w Knott Memoriał.

- Tak?

- Powiedział mi strasznie dziwną rzecz, komisarzu Griessel. Otóż twierdzi, że wczoraj rano widział Mpayipheli. - Coś podobnego!

- Upiera się, że widział go, jak schodzi ze wzgórz nad Kat River w stronę plebanii. Wszedł na dwór, żeby zobaczyć, kto to. Gdy podszedł bliżej, mężczyzna zawrócił. Ale pasto mógłby przysiąc, że to był Mpayipheli, bo go zna. Z dawnych czasów. Rozumie pan, ojciec Mpayipheli też był misjonarzem.

- Rozumiem.

- Pojechałem z ludźmi z posterunku w Cathcart na farmę Mpayipheli. Mieli uporządkować sprawy prawne. A teraz zadzwonili i powiedzieli, że zniknął motocykl. Momencik... bmw R 150 GS.

- Coś takiego!

- Ale policjanci z Prowincji Przylądkowej twierdzą, że był pan świadkiem jego śmierci.

- Proszę poprosić o akta, komisarzu. Szukali jego ciała w rzece....

- Dziwne - zamyślił się Mtetwa - że ktoś ukradł tylko motocykl.

- Samo życie - odparł Griessel. - Cóż poradzić, że jest dziwne.
- Fakt. Dziękuję, komisarzu. I powodzenia w Prowincji Przylądkowej.
- Dziękuję.

Benny Griessel schował telefon do górnej kieszeni. Wyciągnął rękę, żeby przekręcić kluczyk w stacyjce, ale nim uruchomił samochód, zobaczył coś, co kazało mu się wstrzymać.

Za drzewami, na padoku, przy dużym gniadoszu stała Carla. Przytulona do wspaniałego zwierzęcia, z twarzą ukrytą w końskiej grzywie, łagodnie gładziła smukły łeb.

Wysiadł z samochodu i podszedł do ogrodzenia. Widział tylko ją, bezmiar czułości niemal go obezwładnił.

Jego dziecko.

Podziękowania

Diabelski Szczyt, bardziej niż którakolwiek z moich poprzednich książek, jest w dużym stopniu dziełem zdumiewającej dobrej woli, bezinteresowności, gotowości do dzielenia się wiedzą, i bezwarunkowego wsparcia ze strony wielu, wielu osób.

Pragnę im podziękować.

Nie znam jej prawdziwego imienia, ale jako prostytutka znana była pod imieniem Vanessa. Podczas dwóch długich porannych wywiadów inteligentnie, otwarcie i szczerze opowiadała o swojej pracy i życiu. Po skończeniu książki próbowałem się z nią skontaktować i podziękować. Automatyczna sekretarka jej telefonu komórkowego poinformowała mnie: Już nie jestem w biznesie... Niech spełnią się jej wszystkie marzenia.

Trzem innym bezimiennym prostytutkom, które poświęciły swój czas, żeby porozmawiać ze mną w kawiarni i opowiedzieć mi swoje historie.

Personelowi Sex Workers Education and Advocacy Taskforce (SWEAT), w Kapsztadzie, a zwłaszcza jego dyrektor, pani Jayne Arnott.

Pani Ilse Pauw, psycholog klinicznej, która długie godziny dzieliła się ze mną swoją wiedzą o prostytucji.

Kapitan Elmarie Myburgh z South African Police Service's Psychological Investigation Unit w Pretorii. Jej niezwykła znajomość tematu, doświadczenie i wiedza o psychologii człowieka w ogóle, a zwłaszcza psychologii przestępstwa i przestępców, jej entuzjazm dla projektu i wiele godzin cierpliwości uczyniły mnie jej wielkim dłużnikiem. Jest wspaniałym ambasadorem swojej jednostki i SAPS, a praca z nią to spełnienie marzeń autora.

Komisarzowi Riaanowi Poolowi, rzecznikowi prasowemu z Kapsztadu.

Inspektorowi Mike'owi Barkhuizenowi z jednostki SVC w Kapsztadzie.